

Jak hitlerowska zbrodniarka Hermine Braunsteiner
latami wymykała się wymiarowi sprawiedliwości

POLOWANIE NA BESTIĘ Z MAJDANKA

JAROSŁAW
MOLENDĄ

FILIA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

JAROSŁAW
MOLENDĄ

**POLOWANIE
NA BĘSTIĘ
Z MAJDANKA**

FILIA

Była sobie raz Elżunia,
umierała sama,
bo jej tatuś na Majdanku,
w Oświęcimiu mama...[\[1\]](#)

Prolog

TEL AWIW

**„Czy wie pan może, co stało się
z «Kobyłą»”?**

„Był to ostatni dzień mego pobytu w Izraelu, w styczniu 1964 roku. Siedziałem na tarasie Cafe Roval w Tel Awiwie i chłonać słoneczne ciepło, starałem się nie myśleć o zimowych chłodach oczekujących mnie w Wiedniu. Wkrótce nadejść miał mój przyjaciel, Zeev Porath, z którym studiowałem architekturę we Lwowie, a który obecnie był zastępcą głównego architekta Tel Awiwu. Chcieliśmy porozmawiać o czasach naszych studiów i o tym, co teraz robią nasze żony i dzieci. Wobec tego, że Zeev wyraźnie się spóźniał, przeglądałem jakieś pismo ilustrowane kupione po drodze” [2].

Powyższe wspomnienia zapisał siwiejący już wtedy mężczyzna, który przeszedł do historii pod przydomkiem *Nazijäger*, czyli „łowca nazistów”. Człowiek, którego nazwisko spędzało sen z powiek hitlerowskim zbrodniarzom ukrywającym się w tym czasie głównie w Ameryce Południowej, zaczął się niepokoić przedłużającą się nieobecnością przyjaciela. Jakby ktoś czytał mu w myślach, nagle głos z głośnika – jak to było wówczas przyjęte w izraelskich kawiarniach i hotelach – zaanonsował: „Pan Wiesenthal proszony jest do telefonu!”.

Oczy gości kawiarni spoczęły na mężczyźnie, który odłożył gazetę, wstał z krzesła i poszedł w kierunku wejścia. Zwłaszcza trzy kobiety

wpatrywały się w jego oddalające się plecy. Kilku ludzi zaczęło bić brawo. „W Wiedniu zdarzało się – przyznawał – że niektórzy goście kawiarniani spluwali na mój widok”. Szymon Wiesenthal, zyskawszy pewną sławę po ujawnieniu przeszłości wciąż pozostającego w służbie austriackiego policjanta, który dwie dekady wcześniej odnalazł Annę Frank w jej kryjówce^[3], zniknął w głębi kawiarni.

Wiesenthal zgodnie z przewidywaniami usłyszał w słuchawce telefonu tłumaczenia Zeeva. Niespodziewanie musiał zastąpić w pracy jednego z kolegów i nie mógł przybyć na spotkanie. Umówili się na wieczór, po czym Wiesenthal skierował się do swojego stolika, ale ze zdziwieniem zauważył, że w ciągu tych kilku minut dosiadły się do niego owe trzy kobiety. Gdyby nie dostrzegł swojej gazety, byłby przekonany, że pomylił miejsca.

„Jedna z nich wstała – relacjonował – i odezwała się po polsku: «Przepraszamy pana, że tak po prostu usiadłyśmy przy pana stoliku, ale usłyszałyśmy pana nazwisko przez głośnik i chciałyśmy z panem porozmawiać. Wszystkie trzy byłyśmy w Majdanku. Czy wie pan może, co stało się z ‚Kobyłą’»?»

Wiedziałem oczywiście, co oznacza kobyła po polsku, ale nie mogłem sobie tego określenia z nikim skojarzyć.

«Oczywiście, nie wie pan, o kogo chodzi. Zawsze myślimy, że każdy wie, kto to jest ‚Kobyła’. Nazywamy ją tak dlatego, że kopała i deptała więźniarki nogami. Naprawdę nazywa się Hermine Braunsteiner i pochodzi z Austrii. Ona była najgorsza ze wszystkich»^[4].

Mężczyzna, który kilka lat wcześniej wytropił w Argentynie Adolfa Eichmanna, spojrział na nią pytająco. Nie, nie słyszał wcześniej o „Kobyle”. Kobiety opowiedziały Wiesenthalowi, że na Majdanku, w miejscu zagłady około półtora miliona Żydów i innych „niepożądanych” osób, pracowała austriacka strażniczka, która nawet na tle makabrycznych standardów obozowych słynęła z sadystycznego traktowania swoich więźniarek.

Nie potrafiły wymazać ze swoich myśli tych wspomnień. Opisały, jak maszerowała przez obóz z pejczem, chłoszcząc więźniarki, kiedy tylko chciała i za co tylko chciała. To, że prowadziła je do komór gazowych Majdanka, wydawało się jej nie wystarczać – musiała je najpierw poniżyć, odbierając tę resztkę ludzkiej godności, która jeszcze im pozostała[5].

„Moja rozmówczyni – opisywał Wiesenthal – zaczęła się nagle bardzo denerwować. Była osobą około czterdziestki, a jej przeżycia odbiły się również na jej wyglądzie. Na policzki i szyję wystąpiły ceglaste rumieńce, a głos jej stał się chrypliwy. «Nigdy nie zapomnę tego dziecka... To dziecko... wie pan, to było małe dziecko... Ten mężczyzna niósł je na plecach. To znaczy niósł je w plecaku i nie wiadomo było, co tam jest. Przypadkiem przechodził koło Braunsteiner, a ona miała zawsze pejcz przy sobie, kiedy przychodził transport. Walila tym pejczem na ślepo i uderzyła też w ten plecak. Wtedy usłyszeliśmy krzyk i płacz. Kazała rozwiązać ten worek i ukazało się w nim dziecko. Stałyśmy całkiem blisko i widziałyśmy jego twarz. Było przerażone, wyrywało się temu mężczyźnie, który chciał je zatrzymać, i zaczęło uciekać. Ale ona dopędziła je, schwyciła tak mocno, że aż krzyknęło, i zastrzeliła».

Tu przerwała opowieść i rozplakała się. Nawet jeśli ktoś spędził wiele lat w obozie koncentracyjnym i wydaje się już znieczulony na wszelkie okrucieństwo, nagle przychodzą wspomnienia, które palą jak ogień. «Myślę, że jeśli zamkną mi powieki, jak to jest u nas w zwyczaju, to jeszcze tymi martwymi oczami widzieć będę twarz tego dziecka». Mówiła to już spokojniejszym tonem i zaczęła się usprawiedliwiać, że po tylu latach ciągle jeszcze nawiedzają ją takie wspomnienia”[6].

Ze słów trzech Polek wynikało, że praca w obozie koncentracyjnym wyzwoliła w aufzejerce[7] nieprzebrane pokłady sadyzmu, którym upajała się jak narkotykiem. Nie rozstawała się ze szpicrutą. Była bestią bez odrobiny litości. Przy selekcji uwielbiała wyrywać matkom dzieci i deptać je na ich oczach na śmierć. Szymon Wiesenthal nie mógł uwierzyć własnym uszom, kiedy słuchał opowieści zapłakanych kobiet

na tarasie telawiwskiej kawiarni. Sam cudem przeżył Holocaust i ścigając nazistów po całym świecie od prawie dwudziestu lat, wysłuchał tysięcy opowieści o niewyobrażalnym bestialstwie. To, co usłyszał tego styczniowego popołudnia, wstrząsnęło nawet nim.

„Wszystkie trzy kobiety mówiły teraz jednocześnie – wspominał – jakby pękła tama. «Dzieci selekcionowano na śmierć zaraz po przybyciu transportu, ciężarówki, które miały je zawieźć do komór gazowych, stały już w pogotowiu. Matki chciały zatrzymać swoje dzieci, ale Hermine nie pozwalała. Wyrywała je im z rąk. Kobiety musiały same wspinać się na ciężarówki, a Hermine rzucała im dzieci jak paczki. Najczęściej robiła to razem z Alice. Alice była szlachcianką, metr osiemdziesiąt, wysoka, piękna blondynka – modelowa dziewczyna z SS. Specjalizowała się w młodych dziewczętach. Biła je pejczem po twarzy, najchętniej po oczach...»

«Orlowsky» – przemknęło mi przez głowę. Ja również spotkałem w obozie Kraków-Plaszów nadzorkinię, która dokładnie tak samo biła dziewczyny, jak to opowiadały obecnie kobiety z Majdanka. Nazywała się von Orlowsky i była szlachcianką. Kto raz zobaczył ją w akcji, ten nigdy jej nie zapomni. Rozkoszowała się biciem, jakby czerpała życiową siłę z upokorzenia tych, które biła, bez żadnego powodu i sensu. Były to potwornie zastraszone, całkowicie apatyczne po wielodniowym transporcie i wynędzniałe dziewczęta, które nigdy nie próbowały się bronić, gdy prowadzono je do komory gazowej. Ciosy zadawane im przez Orlowsky miały im uświadomić, że nie będą po prostu umierać – będą umierać w upokorzeniu.

«Ona nazywała się von Orlowsky – powiedziała jedna z trzech pań. – Nigdy jej nie zapomnimy».

Ja również nie zapomnę”[8].

Jeszcze przez kilka godzin rozmawiał z tymi kobietami, chcąc dowiedzieć się jak najwięcej. Następnego dnia, kiedy przybył do Wiednia, prosto z lotniska pojechał do swojego biura i wyciągnął z archiwum wszystkie dokumenty na temat załogi obozu

koncentracyjnego na Majdanku. „Łowca nazistów” ruszył na kolejne polowanie.

Pierwszy proces związany z Majdankiem rozpoczął się w Lublinie już 27 listopada 1944 roku, tuż po wyzwoleniu obozu przez Armię Czerwoną, i trwał osiem dni. Osiemdziesięciu spośród tysiąca trzystu członków załogi SS zostało skazanych (Rosjanie powiesili najbardziej brutalnych funkcjonariuszy). Hermine Braunsteiner w tych aktach nie było. Jednakże Wiesenthal – ku swemu zdumieniu – znalazł ją w rejestrze skazanych w Austrii przestępców nazistowskich^[9].

Miał więc przynajmniej pierwszy trop. Okazało się, że jest to osoba z krwi i kości czy raczej z piekła rodem...

Część I

MAJDANEK

*Dopiero na zgnilej, więziennej słomie [...] stopniowo pojąłem,
że linia oddzielająca dobro od zła przebiega
nie między państwami,
nie między klasami, nie między partiami –
tylko przecina każde ludzkie serce, nie omijając żadnego.*

Aleksander Sołżenicyn, *Archipelag GUŁag*,
t. 2, przeł. J. Pomianowski, Warszawa 1990

Rozdział I

„LEKKA PRACA NIEWYMAGAJĄCA WYSIŁKU FIZYCZNEGO”

Maria Mandl, Ilse Koch, Irma Grese, Hildegard Lächert, Johanna Bormann, Alice Orlowski, Therese Brandl... Niektóre piękne i młode, jak Grese, Mandl, niektóre starsze i brzydsze, jak Johanna Bormann. Łączyła je funkcja strażniczki obozowej i fakt, że każda znalazła się tam dobrowolnie. Co je skłoniło, żeby podjąć pracę w miejscach, które budziły grozę? Co sprawiło, że zamieniły się w bestie w ludzkiej skórze?

Wojna wydobywa z ludzi zarówno to, co najlepsze, jak i to, co najgorsze – prawdziwości tego powiedzenia dowiodła druga wojna światowa, najbardziej krwawy konflikt zbrojny w historii. Ludzka predylekcja do przemocy nie zna granic narodowościowych, rasowych ani płciowych. Gdy w 1941 roku ruszyła niemiecka ofensywa na wschód, ponad pół miliona młodych kobiet podążyło za zwycięskimi oddziałami Wehrmachtu i SS do Polski, Estonii, Ukrainy, Litwy, Łotwy i Białorusi, będąc narzeczonymi lub żonami albo pełniąc funkcje administratorek, pielęgniarek, sekretarek, strażniczek.

To, czego były świadkami, a w niektórych przypadkach – to, czego same się dopuszczały, wywołało w nich wewnętrzną przemianę; zwłaszcza gdy pozwoliły sobie wmówić, że są lepsze od swych ofiar. W ich przypadku ignorancja i arogancja okazały się jeszcze bardziej

niszczycielskie niż propaganda żerująca na owych wadach i kompleksach. Postrzeganie Słowian i Żydów jako podludzi pomagało tym kobietom pozbyć się wyrzutów sumienia oraz zwalniało je z odpowiedzialności za własne czyny[10].

Strażniczki nazistowskich obozów koncentracyjnych znalazły się w centrum zainteresowania dopiero w latach pięćdziesiątych XX wieku, kiedy wnikliwie badania pozwoliły dostrzec w nadzorczyniach niemieckich obozów koncentracyjnych sprawczynie, a nie ofiary. Po zakończeniu wojny jednak tylko nieliczne z nich zostały postawione przed sądem i skazane. Nie licząc pojedynczych wyroków śmierci, większość oskarżonych dostała karę pozbawienia wolności, którą jednakże skazane rzadko musiały odbyć w pełnym wymiarze[11].

Natomiast te, które nie zdecydowały się dobrowolnie na pracę w obozie, i tak po odbytych szkoleniach z całym zaangażowaniem wspierały maszynę hitlerowskiego terroru. W celu pogodzenia sprzeczności pomiędzy stereotypem matki Niemki a udziałem kobiet w zbrodniach nazistowskich powojenne społeczeństwo uznało, że Niemki w III Rzeszy były ofiarami systemu i patriarchy. Dlatego tylko nieliczne nadzorczynie SS dostały się w ręce sprawiedliwości i zostały osądzone[12].

Ba, Mark Felton w książce *Polowanie na ostatnich nazistów* wspomina o niesamowitym przypadku byłej strażniczki, która otrzymała świadczenia finansowe za... czas pobytu w obozach. Margot Pietzner służyła w formacji pomocniczej SS w Ravensbrück oraz dwóch podobozach, które znajdowały się w Belzig i Wittenburgu. W 1945 roku została schwytana przez Armię Czerwoną, postawiona przed sądem i, co było do przewidzenia, skazana na śmierć. Wyrok nie został jednak wykonany, a karę zamieniono na dożywocie.

Skazana strażniczka odzyskała wolność w 1956 roku w wyniku amnestii po śmierci Stalina, potem wyszła za mąż i zmieniła nazwisko na Kunz. Po zjednoczeniu Niemiec na początku lat pięćdziesiątych Pietzner, będąca wówczas już po siedemdziesiątce, wystąpiła

o odszkodowanie jako „ofiara stalinizmu”. Niewiarygodne jest to, że była strażniczka SS z trzech mających złą sławę obozów otrzymała odszkodowanie w wysokości prawie sześćdziesięciu pięciu tysięcy ówczesnych marek niemieckich[13].

Nie ma wątpliwości, że niemieckie kobiety wiedziały, co naprawdę dzieje się w III Rzeszy. W miarę swoich możliwości wspierały reżim i uczestniczyły w działaniach władz nazistowskich. Ich postępowanie zaprzecza wszelkim stereotypom, w myśl których Niemki były tylko marionetkami w maszynie terroru. Wykreowane przez propagandę na kochające matki, żony i opiekunki domowego ogniska, przyczyniły się także do śmierci i cierpienia milionów niewinnych ludzi[14].

Potworności doby nazizmu każą zapytać, czy istnieje „męski” i „kobięcy” styl zbrodni. Czy można mówić zasadnie o okrucieństwie typowym dla kobiet lub mężczyzn? Co miałyby wyróżniać każdą z tych odmian? Kobiecość z trudem łączy się z brutalnością i sferą śmierci. Nie tylko w mitologii i sztuce, ale i w powszechnej świadomości jest ona kojarzona z życiem i prokreacją. Dwie kwestie nie podlegają zatem dyskusji: kobieta i przemoc oznacza konieczność przełamania stereotypów kulturowych[15].

Milcząco przyjęte założenie o biernej roli kobiet w hitleryzmie spotykało się z równie konsekwentnym powojennym milczeniem wokół zbrodni popełnionych w obozach koncentracyjnych przez członkinie załogi SS. W Niemczech dyskusja toczyła się głównie wokół okrucieństw i winy mężczyzn. Znamienne, że ruch kontestatorski, którego kulminacją była rewolta studencka z 1968 roku, nie pytał o to, gdzie w epoce III Rzeszy były „nasze matki”, tylko o to, gdzie byli „nasi ojcowie”[16].

Brutalność, sadyzm, okrucieństwo i obojętność na ludzkie cierpienie nie były cechami zachowania wyłącznie esesmanów. Młode kobiety były tak samo zdeprawowane przez maszynę Holocaustu jak Franz Stangl czy Josef Mengele. Postępowanie strażniczek obozowych trudno zrozumieć i wytłumaczyć, ponieważ było ono tak różne od tego, jak postrzegamy

działania kobiet podczas wojny. Potwierdza natomiast sukces nazistowskiej indoktrynacji dziewcząt, które po kilku latach w liczbie prawie czterech tysięcy pomagały w masowym mordowaniu milionów niewinnych ludzi[17].

Fakt, że o wiele częściej wspominało potem przemoc kobiet, należy wytłumaczyć „szokiem”, jaki ich zachowanie w obozach wywołało zarówno u ocalałych, jak i u pozostałych uczestników procesu. „Zaskakujące dla wszystkich było to – przyznawał jeden z prokuratorów – że proces udokumentował nagle okrucieństwa, do jakich zdolne są także kobiety. Do naszego stereotypowego wyobrażenia o kobietach nie pasuje fakt, że młode kobiety mogą mordować dzieci”[18].

Jednego z powodów takiego stanu rzeczy należy zapewne upatrywać w kulturowo umocowanym przeświadczeniu o łagodnej naturze kobiet. Tymczasem były one na różnych poziomach zaangażowane w poparcie reżimu. Nie znajduje potwierdzenia rozpowszechniony pogląd, że „w latach 1933–1945 kobiety realizowały się przede wszystkim w roli gospodyń domowych”[19].

W wielu sytuacjach kobiety starały się naśladować męskie okrucieństwo i dorównać mężczyznom w tym zakresie. Nadzorczyńie w Auschwitz czy w Majdanku – jak pokazują dokumenty i wspomnienia – początkowo niepewne, stopniowo przejmowały inicjatywę, wzorując się na zachowaniach esesmanów i strażników. Zdarzało się, że niektóre z nich – jak Irma Grese, Ilse Koch, Alice Orlowski, Maria Mandl, Herta Oberheuser – swoim barbarzyństwem przewyższały nawet męskich przedstawicieli SS[20].

Dobrze wychowani obywatele, wzorowo odgrywający role rodzinne i zawodowe, głoszący wartości akceptowane przez większość swego społeczeństwa, mogą stać się w określonych warunkach nie tylko mordercami, ale wręcz ludobójcami[21]. Należy przy tym jednak wziąć pod uwagę, że te nieliczne kobiety z obozowej załogi, która liczyła poza tym minimum kilkuset mężczyzn, tak rzucały się w oczy, że świadkom

bardziej utkwily w pamieci twarze i postepowanie nadzorczyń niz esesmanów.

Spośród czterdziestu milionów niemieckich kobiet jedna trzecia była członkiniami NSDAP, a trzydzieści tysięcy należało do świty SS. Co dziesiąty pracownik personelu dozoru w obozie koncentracyjnym był kobietą. Obok tych zmuszanych do wykonywania tego zajęcia wiele kobiet ochotniczo zgłaszało się do SS. Od prostej dziewczyny do „menedżerki śmierci” – to było łatwe w III Rzeszy, kilka tygodni szkolenia i droga otwarta. Odurzenie władzą, groźne psy, broń, mundur, pejcz i bezkarność, obok odczłowieczona masa pozbawiona praw, którą można torturować i zabijać – tak rodziły się bestie[22].

Taką samą drogę przeszła Hermine Braunsteiner, która urodziła się 16 lipca 1919 roku w Wiedniu. Była najmłodsza z siedmiorga dzieci Friedricha Braunsteiner'a i jego żony Marii, z domu Knoden. Oprócz prowadzenia gospodarstwa domowego matka musiała dokładać się do utrzymania rodziny, pracując jako pracznka. Hermine dorastała w biedzie na przedmieściach Wiednia. Ulica, przy której stał jej dom, znajdowała się na wzgórzu z widokiem na Las Wiedeński. Braunsteinerowie zajmowali trzypokojowe służbowe mieszkanie należące do browaru, w którym Friedrich pracował jako woźnica, rozwożąc piwo.

Jej dom rodzinny był niepolityczny – charakteryzował się dobrymi stosunkami rodzinnymi i surowym, katolickim wychowaniem. Od 1925 roku Hermine uczęszczała do szkoły powszechnej, następnie do szkoły głównej. Była dobrą uczennicą, chciała zostać pielęgniarzką, ale niestety jej ojciec zmarł na raka przelyku, więc rodzinie wiodło się jeszcze gorzej.

Dziewczyńce marzyły się bogactwo i sława, jednak nic nie wskazywało, aby mogła zrealizować którykolwiek z tych celów. Jej rodzina ledwo wiązała koniec z końcem, przez co czternastoletnia Hermine, tuż po zakończeniu podstawowej edukacji, musiała poszukać sobie jakiegokolwiek źródła dochodu. Jedyńą pracą, na jaką wówczas

mogła liczyć taka dziewczyna, było zatrudnienie w charakterze pokojówki u którejś z zamożnych wiedeńskich rodzin[23].

Rozpoczęła pracę w tym samym browarze, co ojciec, potem została zatrudniona u Hermanna barona von Bachofena (von Echt), właściciela browaru, najpierw jako pomoc domowa, a później jako kucharka. Tam zarabiała szylinga dziennie, czyli pensję, która nie była do końca książęca, nawet jak na ówczesne standardy. Ponieważ Hermine Braunsteiner była ambitna i pragnęła zrobić coś, aby uwolnić się od ubóstwa i ciężkich warunków życia w Wiedniu, wyjechała do siostry do Holandii.

Chciała tam znaleźć posadę, niestety nie otrzymała zezwolenia na pracę i po trzech miesiącach wróciła do Wiednia. W browarze Bachhofen zatrudniła się jako osoba bez kwalifikacji. Nie trwało to długo, bo w 1937 roku znalazła pracę w Anglii jako pomoc domowa. Jednak to zajęcie w żaden sposób nie odpowiadało jej ambicjom. Kilka razy próbowała dostać się do szkoły pielęgniarstwa, a gdy pewne się stało, że nie zrealizuje tego marzenia, zdecydowała się w maju 1938 roku wrócić do Wiednia[24].

Ponieważ miało to miejsce już po przyłączeniu Austrii do III Rzeszy, to panujące tam realia znacząco się zmieniły. Za radą znajomego sportowca z wiedeńskiego urzędu pracy zgłosiła się do fabryki zbrojeniowej w Grünbergu pod Berlinem, gdyż Austria została w międzyczasie sprowadzona przez Hitlera do „domu Rzeszy”.

Wraz z koleżanką zamieszkała u policjanta w Meklemburgii, gdzie pracowała przy produkcji naboju w fabryce amunicji. Do pracy dojeżdżała pociągiem przez około godzinę w jedną stronę, zarabiając szesnaście marek niemieckich, z czego pięć oddawała policjantowi w ramach miesięcznego czynszu, bilet kosztował cztery marki sześćdziesiąt fenigów, a z reszty nadal utrzymywała matkę, która mieszkała w Wiedniu.

Jej praca w fabryce, oprócz tego, że była trudna, nie dawała wystarczającego zarobku i perspektyw na lepsze życie. Szansę

dostrzegła w sugestii właściciela mieszkania, by złożyła podanie na stanowisko strażniczki w pobliskim obozie koncentracyjnym Ravensbrück. Ta propozycja musiała wydawać się zaledwie dwudziestoletniej Hermine darem niebios.

Komendant policji wiedział, jak sprawić, by korzyści z tej pracy okazały się dla niej zachętą. Było nią między innymi sześćdziesiąt marek niemieckich, które miała tam zarobić, oraz darmowe wyżywienie i zakwaterowanie. Propozycja była znacznie lepsza od poprzedniego miejsca zatrudnienia, ponieważ warunki pracy i odległość od miejsca zamieszkania były bardziej korzystne. Była to też pierwsza okazja, by niepozorna dotychczas Hermine mogła ujawnić zupełnie odmienne oblicze od spokojnej, prostej dziewczyny. Już wówczas zaczęła mieć złą sławę wśród więźniarek.

Jedno należy podkreślić – sama zgłosiła się na ochotniczkę do pracy w charakterze strażniczki w obozie karnym, bo pracując gdzie indziej, mało zarabiała. Jednak wielu ludzi było w tej sytuacji. Ona tej pracy chciała, bo dawała jej awans społeczny. I poczucie siły. Albo, być może, wierzyła, że naród niemiecki jest rasą wyższą od innych, i dlatego w swoim sumieniu została uwolniona od winy za powodowanie śmierci ludzi rasy niegermańskiej[25].

Braunsteiner wyobrażała sobie obóz koncentracyjny jako instytucję, która służy reedukowaniu podopiecznych w duchu narodowego socjalizmu. Hermine zasilila w ten sposób szeregi aufzejerek – jak nazywano nadzorczyńce, pracujące przede wszystkim na terenach żeńskich obozów koncentracyjnych. Ich jednostki stanowiły pomocnicze oddziały SS, bez których hitlerowska maszyna śmierci z pewnością nie działałaby tak sprawnie[26].

Do ich zadań należało przede wszystkim nadzorowanie pracy więźniarek, zarówno na terenie obozu, jak i poza nim. Po swoim wstąpieniu do służby w SS Hermine spełniła się w nowej roli. Jej ambicja była bardzo widoczna, realizowała osobiste i zawodowe plany. Dzięki gorliwemu wypełnianiu obowiązków pojawiła się możliwość

awansu (wewnątrz hierarchii nadzorczyń SS), a z tym szansa na lepsze życie. Braunsteiner postanowiła z tego skorzystać[27].

W Ravensbrück, gdzie trafiła 15 sierpnia 1939 roku, była przez pół roku szkolona jako nadzorczyńi w tak zwanym Strafkommando (komando karne). Następnie, zaopatrzona już w mundur, rozpoczęła samodzielny nadzór nad mniejszym komandem pracy. Wraz z początkiem 1941 roku aż do końca jej pobytu w Ravensbrück przejęła kierownictwo nad Kleiderkammer, czyli magazynami z odzieżą[28].

Na podkreślenie zasługuje też fakt, że sama, jako ochotniczka, wstąpiła do służby 15 sierpnia 1939 roku, na DWA TYGODNIE przed wybuchem drugiej wojny światowej, kiedy sprawa Buchenwaldu i Dachau stanowiła już tajemnicę poliszyneła. Bezsensownym i niewiarygodnym tłumaczeniem jest stwierdzenie, że Braunsteiner nic nie wiedziała o „okrutnych medycznych eksperymentach” w Ravensbrück[29].

To niemożliwe, aby w małym i zamkniętym świecie obozu koncentracyjnego nie zauważyć charakteru i wyników tych eksperymentów. Poza tym sama przyznała, że przed przeniesieniem jej z Ravensbrück na Majdanek musiała podpisać zobowiązanie, że nigdy nie ujawni, co się działo w obozie. Jasne więc, że jej przełożeni wiedzieli, iż jest ona świadoma tych spraw[30].

Od 16 października 1942 roku Braunsteiner, wspólnie z nadzorczynią Else Ehrich i ośmioma innymi strażniczkami, została przeniesiona na Majdanek. Następnie, jak wszyscy nadzorcy wysłani do Lublina, została skierowana do obozu na tak zwane stare lotnisko (Alter Flughafen), gdzie więźniarki zajmowały się sortowaniem i naprawianiem ubrań. Nieco później została Rapportführerin, a ostatecznie zastępczynią Oberaufseherin Else Ehrich.

Do 1938 roku przeciętna niemiecka kobieta akceptowała propagandowe hasło „miejsce kobiety jest w domu”, nie robiąc sobie z plakatów, anonsów i ogłoszeń zachęcających je do służby wartowniczej. Sytuacja zmieniła się w przededniu drugiej wojny światowej. Konieczność ekonomiczna oraz intensyfikacja działań

przemysłu zbrojeniowego zmusiły masę Niemek do pracy w urzędach i fabrykach. 22 czerwca 1938 roku wydano rozporządzenie o zaspokojeniu zapotrzebowania na siłę roboczą, za którego sprawą urzędy pracy zmobilizowały do służby w obozach koncentracyjnych około dwudziestu procent byłych nadzorczyń[31].

Kobiety zatrudniano na stanowiskach administracyjnych w każdym niemal resorcie nazistowskiego rządu oraz wojska, również w SS. Praktycznym rozwiązaniem okazało się włączenie ich do programu germanizacji obszarów wschodnich. Kobiety te uważały się za pionierki podobne do osadniczek z Dzikiego Zachodu lub brytyjskich kolonistek w Afryce, krzewiące cywilizację na „czarnym kontynencie” zamieszkanym przez ludy dzikie i bezwartościowe. Żydów należało zmieść z powierzchni ziemi, sowieckich komisarzy bezzwłocznie zlikwidować, a partyzantów wyłapać. Rdzenną ludność można było pozostawić w spokoju, o ile zgodzi się ona podporządkować nowym panom[32].

Kobiety w służbie obsługiwały telefony, radiostacje, uczestniczyły w egzekucjach, nadzorowały więźniarki, miały również swój udział w procesie wywłaszczania ludzi kierowanych do obozów zagłady. Sporządzając listy osób żydowskich, otrzymały pełną swobodę działania. O tym, czy dane nazwisko miało „żydowskie brzmienie”, decydował wyłącznie ich subiektywny osąd. Kobiety traktowały deportację jako całkiem normalne zjawisko społeczne, niewywołujące ani wyrzutów sumienia, ani współczucia[33].

Problem braku kobiecego personelu wciąż narastał. Sytuacja na froncie, rozbudowa sieci obozów i podobozów sprawiły, że władze NSDAP zaczęły szukać sposobów na rozwiązanie owego kłopotu. Ostatecznie 27 stycznia 1943 roku podjęto próbę mobilizacji roboczej kobiet w wieku od 17 do 45 lat, z licznymi wyjątkami. Obawiano się bowiem, że praca fizyczna ujemnie wpłynie na chęć i zdolności do posiadania potomstwa. Starano się również nie dopuścić do sytuacji, w której oburzone przymusem pracy kobiety utracą zaufanie i sympatię do władz narodowosocjalistycznych[34].

Decyzja o podjęciu pracy w charakterze nadzorczyńi dla większości kobiet była niełatwa. Wpływ na nią miały różnego rodzaju czynniki natury społecznej i ekonomicznej. Ba, pozyskiwanie kobiet do służby w obozach koncentracyjnych od początku budziło opór w społeczeństwie niemieckim, co wiązało się silnie ze stereotypami i propagowanym społecznym wyobrażeniem na temat tego, czym jest kobiecość i jaka jest społeczna rola kobiet.

Dlatego starano się różnymi sposobami zachęcać kobiety do wstępowania w szeregi Aufseherinnen. Poza akcjami propagandowymi prowadzonymi przez organizacje kobiece i młodzieżowe do podjęcia służby w obozach zachęcały plakaty i ogłoszenia w prasie. Skuteczność tych przekazów miała zapewnić dwutorowa argumentacja. Po pierwsze, przekonywano o konieczności podjęcia służby jako swoistej misji wychowawczej, być może nieprzyjemnej, ale koniecznej z punktu widzenia dobra całego społeczeństwa[35].

Fakt, że obozy koncentracyjne ciągle poszukiwały nowych kandydatek, świadczyć może o tym, że kobiety nie miały wystarczającej motywacji do podejmowania pracy wartowniczek bądź bały się drastycznych wymogów stawianych przez Sztafety Ochronne NSDAP w czasie szkoleń na nadzorczyńi[36]. Aufseherki rekrutowano spośród ochotniczek, wabionych ogłoszeniami prasowymi zamieszczanymi przez władze.

„Waszym jedynym zadaniem – zapewniał materiał reklamowy – będzie pilnowanie więźniów, zatem kandydatki w wieku 21–45 lat nie muszą przechodzić zawodowego szkolenia. Wysokość wynagrodzenia Aufseherinnen zatrudnionych na terenie Rzeszy określa [wykaz] SOA IX; zostanie ono podwyższone po przepracowaniu próbnych trzech miesięcy. Zapewnia się wyżywienie oraz «dobrze umeblowane mieszkanie», a także ubrania służbowe (bieliznę i mundury)”[37].

Po drugie, tego typu oferty zawsze wyglądały bardzo zachęcająco – oferowano „lekką pracę”, „niewymagającą wysiłku fizycznego”, która może być „sposobem na okazanie miłości do Rzeszy i Führera”.

Dodatkowo kuszono także możliwością uzyskania państwowej emerytury za odbytą służbę. Dla tysięcy niewykształconych dziewczyn, bez większych perspektyw, praca taka mogła wydawać się marzeniem, zwłaszcza w trudnych, wojennych czasach[38].

Aby móc rozpocząć karierę, wystarczyło mieć dobrą kondycję fizyczną i czystą kartotekę. Dopiero stwierdzenie spełnienia tego formalnego wymogu jako przesłanki *sine qua non* umożliwiało rozpoczęcie wykonywania czynności. Wydaje się to zaskakujące, gdyż w kontekście późniejszych popełnionych zbrodni wojennych i zwykłych przestępstw pospolitych w tak przytłaczającej liczbie osoby te miały dawać gwarancje prawidłowego wykonania funkcji nadzorczyń w obozach koncentracyjnych.

Tak brzmiały teoretyczne założenia, natomiast efekty akcji werbunkowej były niezadowalające, w związku z czym przyjmowano praktycznie wszystkie zgłaszające się chętne. Zaprzestano prowadzenia weryfikacji poziomu moralnego kandydatek. Z tego powodu po zakończeniu wojny częste były opinie, iż do pełnienia tej służby trafiały kobiety z zapadłej prowincji, mające słabe kwalifikacje lub niepotrafiące dla siebie znaleźć innego miejsca w życiu.

Faktem jest, że szukano kobiet zdeklasowanych, dumnych Niemek cierpiących na niedostatek wszystkiego: pieniędzy, prestiżu, ciekawego życia. Gospodynie domowe, które każdego miesiąca próbowały związać koniec z końcem, były kandydatkami idealnymi. Kompleks niższości i skryta nienawiść klasowa wobec tych, którym powodziło się lepiej, miały eksplodować w warunkach obozowych z pełną siłą[39].

W teście dla kandydatek na funkcję pomocnicy SS, który miał sprawdzić ogólną wiedzę kobiet starających się o służbę, zamieszczono kilkanaście pytań. Dotyczyły one głównie ważnych wydarzeń historycznych dla Niemiec. Jednak w teście znalazły się także zadania z dziedziny matematyki, geografii oraz ogólnej wiedzy dotyczącej Rzeszy Niemieckiej, jak na przykład: „Kiedy i gdzie urodził się

Führer?”, „Co oznacza skrót SS?”, „Kiedy odbył się pucz monachijski?”, „Kto był wynalazcą druku?”, „Ile waży kilogram żelaza?”[40].

Jak podaje Joanna Czopowicz, autorka opracowania *SS-Aufseherin. Nadzorkynie z Ravensbrück*, ogłoszenia werbunkowe publikowane w codziennej prasie lub pismach skierowanych do kobiet nie mówiły wprost o charakterze tej pracy. Dokładniejsze informacje kandydatki uzyskiwały podczas indywidualnej rozmowy lub w momencie otrzymania pisma urzędowego z kancelarii danego obozu. Jednym z głównych powodów, dla których kobiety zgłaszały się do pracy jako nadzorkynie SS, była chęć pełnienia służby dla Rzeszy Niemieckiej. Wstąpienie do kobiecych jednostek pomocniczych było naturalną kontynuacją pracy dla wspólnego dobra kraju.

W służbie strażniczej znalazło się zaledwie trzy tysiące siedemset kobiet, co w porównaniu z pięćdziesięcioma pięcioma tysiącami mężczyzn pełniących tę funkcję nie jest znaczącą liczbą. Pierwsze strażniczki zwerbowano w 1938 roku, w 1943 roku, w związku z brakami kadrowymi w SS, do całego systemu obozów koncentracyjnych trafiło znacznie więcej młodych kobiet. Ogłoszenia prasowe znalazły szeroki odzew wśród dziewcząt pochodzących z klasy robotniczej lub wywodzących się z niższych warstw klasy średniej, które miały za sobą doświadczenia pracy jako pielęgniarki i higienistki, robotnice fabryczne, fryzjerki, konduktorki i nauczycielki[41].

Służba Pracy wolała zatrudniać kobiety bez formalnego wykształcenia, ponieważ strażniczki miały „tylko pilnować więźniów”. Wyższe wykształcenie stanowiło natomiast poważne przeciwskazanie – wychodzono z założenia, że wraz z wiedzą człowiek nabywa etycznych standardów. Mało kto chciał jednak z własnej woli pracować w obozach. Młode strażniczki trafiały pod opiekę starszych nadzorczyń, które tłumaczyły spokojnie i cierpliwie:

„Osobiście w procesie gazowania uczestniczyć nie będziecie, nie bójcie się. Owszem, będziecie pomagać w selekcji, a z czasem być może ją poprowadzicie, ale przede wszystkim odpowiadacie za pracę

osadzonych. Część z was zostanie pod opiekę wyszkolonego owczarka, a wraz z nim Kleidungsstück – ubranko ozdobione runami SS. Przestrzegamy przed samowolnym zdejmowaniem go ze zwierzęcia. Terminy prania są dokładnie ustalone i wywieszane w gablotach. Przypominamy, że wedle zasad mężczyźni i psy mają prawo do noszenia na uniformach symboli SS, w przeciwieństwie do kobiet. Po pewnym czasie część spośród was zostanie przeniesiona do innych obozów. Szkolimy się tylko w Ravensbrück, ale zasilamy cały system obozowy w starej i nowej Rzeszy”[\[42\]](#).

Po ukończonym szkoleniu w Ravensbrück wartowniczkę kierowano do nowo powstałych żeńskich obozów na terenie Polski i III Rzeszy. W 1944 roku z powodu większego zapotrzebowania na żeński personel powstał nowy ośrodek szkoleniowy w Stutthofie. Nadzorczynie przygotowywano do służby również w Holleischen w Sudetach oraz w podobozie Langenbielau[\[43\]](#).

Doświadczone strażniczki zapoznawały nowe aufzejerki z obowiązkami i regułami życia obozowego, a od 1939 roku prowadzono dla wszystkich wykłady światopoglądowe. Kandydatki na nadzorczynie zmuszane były do wyzbycia się wszelkich zasad moralnych i człowieczeństwa. Reguły obozowe zabraniały savoir-vivre’u pod każdą postacią. Młode wartowniczkę uczone posłuszeństwa wobec rozkazów i władzy Hitlera, zmuszano do agresji, okrucieństwa i znęcania się nad więźniami[\[44\]](#).

Szkolenie przyszłych strażniczek obozowych trwało przeważnie od czterech tygodni do sześciu miesięcy (pod koniec wojny za wystarczający uznano pięciodniowy kurs[\[45\]](#)). Kursantki uczyły się o korupcji w czasach Republiki Weimarskiej, sposobach karania więźniów oraz wykrywania sabotażu i spowalniania pracy. Jedna z dziewcząt opowiadała, że jej drużyna dostała rozkaz bicia żydowskiego więźnia w ramach szkolenia – niektóre z kobiet odmówiły wykonania takiego polecenia[\[46\]](#).

Hermine Braunsteiner zarzekała się, że chciała zrezygnować z pracy, ale nie było to możliwe. Przekonywała, że we wcześniejszych latach można było zwolnić się jedynie w przypadku ciąży, a od 1942 roku mobilizacja ogólna wykluczała nawet taką przyczynę. Lecz czy tak było w istocie? Nie.

Wiele byłych nadzorczyń podczas powojennych przesłuchań twierdziło, że zostały zobowiązane przez urzędy pracy do służby w obozach koncentracyjnych. Powoływały się przy tym na wspomniane już Rozporządzenie z 22 czerwca 1938 roku, będące narzędziem, za pomocą którego państwo mogło ingerować w rynek pracy, jednak bez stosowania przymusu. Zgodnie z tym rozporządzeniem urzędy pracy mogły na określony czas zwolnić niemieckich pracowników z ich zakładów i przenieść do przedsiębiorstw o strategicznym znaczeniu dla wysiłku wojennego[47].

„Wierzyłyśmy – przyznawała Gabriele Wizenblit – i tak nam mówiono, że będzie to obóz pracy. I my w to wierzyłyśmy, byłyśmy młodymi dziewczynami. Wierzyłyśmy, że te, które są dobrze ubrane i dobrze wyglądają, dostaną lepszą pracę. Przyjechałyśmy więc na Majdanek w butach na wysokich obcasach”[48].

Niemniej jednak istniała możliwość odmowy pełnienia służby w obozie koncentracyjnym, bez ponoszenia konsekwencji. Dwie kobiety opowiadały, że po obejrzeniu warunków panujących w obozie Ravensbrück wzbraniały się przed pracą tam. Po początkowych trudnościach ostatecznie musiały tylko opłacić swój powrót do domu, nie ponosząc żadnej kary. Często wysuwane w powojennych Niemczech twierdzenie, jakoby w razie niepodporządkowania się nakazowi obowiązku służbowego groziło wysłanie do obozu koncentracyjnego, jest nieprawdziwe.

Aufzejerki po uzyskaniu pozytywnej oceny z kursu stawały się członkiniami obozowej załogi, zobowiązanymi prawnie do przestrzegania panujących reguł i zasad. Należy jednak dodać, że istniała możliwość zakończenia służby obozowej po upływie trzymiesięcznego

okresu próbnego. Niemki mogły również rozwiązać umowę z Waffen SS z powodu choroby, problemów osobistych, ciąży bądź sędziwego wieku[49].

Jak podkreśla Kathrin Kompisch, autorka książki *Sprawczynie*, zobowiązanie służbowe co prawda oznaczało konieczność podjęcia pracy, jednak kobiety już pracujące mogły się nie zgodzić na zatrudnienie w obozie koncentracyjnym i powrócić do swojego poprzedniego zakładu. Wiele z tych, które zmieniły fabrykę na służbę obozową, zwiększyło swój dochód, dlatego wykonywały nowe zadania, nawet jeżeli nie entuzjastycznie, to przynajmniej obowiązkowo. Nie należy utożsamiać przywoływanego często „rozkazu o gospodarczej mobilizacji” z obowiązkiem służbowym[50].

Jak podaje specjalizująca się w tej tematyce Daria Graczyk, w ramach zobowiązania służbowego, za ich aprobatą, rekrutowano je do pracy w charakterze nadzorczyń. Zdarzało się również, że „pośredniaki” bez obopólnej zgody zmuszały pracownice do służby. W tym przypadku zwerbowane Niemki musiały punktualnie stawić się na szkoleniu w Ravensbrück, ale nie były zobowiązane do natychmiastowego podpisania umowy z SS. Istniał specjalny przepis mówiący, że w razie niedostosowania się do panujących reguł groziło więzienie lub grzywna. Dotyczył on jednak kobiet, które nie stawiały się w urzędzie.

„Przy trzecim wezwaniu powiedzieli do mnie – tłumaczyła się była dozorczyńni Luzie Moschko – dzisiaj mamy dla pani zajęcie, przy którym nie będzie pani musiała pracować fizycznie. A jeżeli nie przyjmie pani tego, to sama trafi pani do obozu jako więzień za uchylanie się od pracy. Do tego leniwego «motłochu»”[51].

Powoływanie się przez wiele nadzorczyń na zobowiązanie służbowe należy uznać za wybieg w celu ochrony siebie. Wiadomo bowiem, że co najmniej w dziewięciu przypadkach istniała możliwość zakończenia służby obozowej w czasie trzymiesięcznego okresu próbnego. Kobiety mogły również wystąpić ze służby. Gertrud Rabestein już w 1938 roku pełniła obowiązki nadzorczyńni w obozie Lichtenburg, później pracowała

w Ravensbrück i w 1941 roku złożyła podanie o zwolnienie. Prawdopodobnie odeszła za porozumieniem stron, ponieważ w opinii z 21 grudnia 1941 roku stwierdza się, że pełniła „służbę zawsze sumiennie”[\[52\]](#).

Wniosek z tego taki, że w początkowej fazie wojny reżim nie pozbawił niemieckich kobiet możliwości dokonywania wyborów. Dlatego nie ma usprawiedliwienia dla tych Niemek, które do 1943 roku zdecydowały się na służbę w obozach koncentracyjnych. Czyniły to dobrowolnie, z indywidualnych pobudek, a nie – jak podkreślały w powojennych zeznaniach – z powodu przymusu oraz zastraszania[\[53\]](#).

Zdaniem doktora Adalberta Rückerla kobiety zgłaszające się do pracy w charakterze dozorczyń w obozach koncentracyjnych mogły lub wręcz musiały przeczuwać, co się tam dzieje, może nie ze wszystkimi szczegółami, ale zdawały sobie sprawę, że dochodzi tam do rzeczy sprzecznych z ludzkimi zasadami. Jak wspominała Rosa Reischl-Süss: „Wzięli kilka takich głupich gęsi z okolic Lasu Bawarskiego. Nie miały w ogóle pojęcia, co to obóz koncentracyjny. W taki sposób tam się wśliznęłam”[\[54\]](#).

Profesor Wolfgang Scheffler utrzymuje, że kobiety zabierano z zakładów zbrojeniowych, gdzie marzyły o spędzeniu służby wojskowej w przyjemniejszym otoczeniu. „W dużej części była to warstwa kobiet reprezentujących bardzo niski poziom. Nie jest to ani przesłanką, ani wyjaśnieniem tego, że niektóre z nich stały się potworami. Posiadanie władzy nad ludźmi – szczególnie nad grupami ludzi, które uważane są za odrażające – jest olbrzymią pokusą”[\[55\]](#).

Mecenas Stanisław Rymar, broniąc Marii Mandl, podkreślał psychologiczny aspekt awansu społecznego i poczucia realnej władzy: „[...] wiejska dziewczyna, córka szewca, która przez długi czas była służącą i pokojówką, która dostawszy stanowisko przez swego wuja nadinspektora policji, przeszła całą szkołę hitlerowską, począwszy od obozu w Ravensbrück [...], stała się niewolnikiem systemu, stała się psychopatką, stała się chorym, ciężko chorym człowiekiem”[\[56\]](#).

Podobną linię obrony przyjęła również pani mecenas Szczęsna Wolska-Walasowa, broniąca pozostałych czterech kobiet, sądzonych w procesie załogi KL Auschwitz. Poza oskarżoną Teresą Brandl żadna z kobiet nie należała do NSDAP, a miejsce pracy w obozie znalazły przez urząd zatrudnienia[57]. Żadna z nich nie należała do SS, gdyż była to organizacja czysto męska.

Lepiej ową „wspólnotę krwi” ujawnia przemówienie Himmlera do wyższych rangą funkcjonariuszy SS i policji, wygłoszone w październiku 1943 roku w Poznaniu. Reichsführer SS uwypuklił w nim kategorię wybraństwa w zbrodni. To oczywisty dowód na to, że szef SS miał dogłębną świadomość tego, co czyni, jak „trudne zadanie” czeka jego podwładnych. Wiedział, że temu wyzwaniu mogą sprostać tylko „najlepsi”[58].

Nadzorzynie miały w hierarchii status pośredni: z jednej strony, tak jak esesmani, były urzędniczkami państwowymi i podlegały sądom „oddziałów ochronnych NSDAP”, formalnie nie były jednak ich członkiniami. Oficjalna nazwa w terminologii nazistowskiej, „żeńska służba pomocnicza SS”, jest charakterystyczna dla ich szczególnej pozycji: nadzorzynie były pracownicami cywilnymi w organizacji SS[59].

Faktem jest, że na Niemców wywierana była zróżnicowana presja – od ekonomicznej (na przykład dobre warunki finansowe pracy w obozie zagłady, wysokie zyski w przemyśle) poprzez grupową (sprawcy tworzyli często silne wspólnoty zawodowe o odrębnym etosie) aż po ideologiczną (jak choćby dzielenie poglądów nazistowskich przez uznanych lekarzy). Nie bez znaczenia był też strach przed karą, nawet jeśli nie miał on w każdym przypadku racjonalnych podstaw.

Wielce pouczające są rezultaty pracy Michaela Manna, który przebadał ponad półtora tysiąca sprawców zbrodni nazistowskich. W świetle danych nie byli to ani patologiczni przestępcy, ani „demony zła” – prowadzili typowe życie prywatne (w większości nie byli ofiarami maltretowania ani nie uciekali się do systematycznej przemocy) i byli

przeciętnie utalentowani. Typowi zbrodniarze rekrutowali się z zawodów niebiorących bezpośredniego udziału w walce klas – reprezentanci zawodów przemysłowych czy rolnych byli w mniejszości – w przeciwieństwie do sektora publicznego (nauczyciele, prawnicy, żołnierze)[60].

W żeńskich obozach podlegających komendantowi panowała ściśle określona hierarchia, umożliwiająca sprawną organizację pracy. Najważniejszą funkcję sprawowała główna nadzorczyńi (SS-Oberaufseherin), odpowiedzialna za kobiecy personel wartowniczy. Jej głównym obowiązkiem było przygotowywanie sprawozdań o stanie liczebnym nadzorczyń i więźniarek. Ponadto organizowała codziennie komanda robocze, kontrolowała baraki oraz przygotowywała podania o mianowanie więźniarek funkcyjnych[61].

Główną nadzorczynią mogła zostać strażniczka o długim stażu pracy i odpowiednim doświadczeniu. Awans na tę funkcję zapewniał wzrost przywilejów i lepsze wynagrodzenie. Biorąc pod uwagę fakt, iż większość aufzejerek była niewykształcona, zadania głównej nadzorczyńi i jej zastępczyni jawiły się dla nich jako bariera nie do pokonania. Większość z nich nie umiała bowiem czytać i pisać. Zdarzało się, że z tego powodu wartowniczkki rezygnowały z awansu. Obawiały się szykan ze strony przełożonych i bały się kar za niewłaściwe wykonywanie powierzonych obowiązków[62].

Klimat społeczny wśród załogi SS na Majdanku był zmienny. W obozach „na Wschodzie” ludzie ze „starej Rzeszy” i „Marchii Wschodniej” stykali się z „volksdeuschami”: była to mieszanka mogąca prowadzić do konfliktów między nadzorczyńiami, które atakowały się nawzajem i tworzyły kliki. Jednocześnie zaimki osobowe, „my, nadzorczyńie”, często używane podczas przesłuchań przez byłe funkcjonariuszki obozowe, wskazują na silne poczucie przynależności grupowej: mimo wszystkich nieporozumień i rywalizacji kobiety te także w czasach powojennych myślały o sobie jak o kolektywie[63].

To właśnie przeniesienie na Majdanek wymagało od nich utrzymania przynajmniej w minimalnym stopniu więzi i porozumienia. W tym obozie „na obczyźnie” nie tylko znalazły się w miejscu wyjątkowo opanowanym przez przemoc, w którym najpierw należało się rozeznać. Musiały także znaleźć swoje miejsce w grupie kolegów, mężczyzn, których przewaga była w obozie przytłaczająca. Łącznie na Majdanku nigdy nie było więcej niż dwadzieścia nadzorczyń jednocześnie. Skonfrontowane były niekiedy nawet z tysiąc dwustu mężczyznami, a zatem stanowiły znikomą mniejszość w paramilitarnej męskiej społeczności[64].

Zdaniem Darii Graczyk były to przeważnie kobiety bez jakichkolwiek hamulców moralnych. Większość z nich nie posiadała w ogóle wykształcenia bądź ukończyła tylko kilka klas szkoły powszechnej. Niektóre z aufzejerek jako młode dziewczyny należały do Związku Niemieckich Dziewcząt, organizacji młodzieżowej, gdzie edukowano je w duchu ideologii narodowego socjalizmu i przygotowywano do roli matki, żony i opiekunki domowego ogniska.

Dla tak wychowanych kobiet ambiwalencja postaw i krytyczny dystans wobec rzeczywistości był zjawiskiem niemal nieznanym. Młode strażniczki wykonywały swoje obowiązki z gorliwością i przekonaniem. Jedna z nadzorczyń zeznała w procesie: „[...] uczono nas, aby nie żałować więźniów-Słowian, bo narody słowiańskie to robactwo, które trzeba tępić i niszczyć jak szkodniki [...]. Nie należy kierować się sumieniem, gdyż takowego Niemcy nie powinni posiadać” [65].

Zdaniem znawczyni tematu, Elissy Mailänder Koslov, ta koncepcja codzienności obozowej i analiza społeczno-kulturowych uwarunkowań przemocy pozwalają przyjrzeć się z bliska działaniom i doświadczeniom nadzorczyń, a zarazem uwzględnić wielowymiarowość i wieloznaczność aktów przemocy.

Ludobójca musiał w najgorszym momencie zachować samokontrolę, dowodząc, że przełamuje naturalne opory w imię nazistowskiej doktryny. Poświęca się dla rasowej wspólnoty i przyszłych pokoleń.

Dlatego przywódcy SS woleli, aby ich podwładni przechodzili załamania nerwowe, niż aby ztratili się w entuzjzmie dla mordów. Nazbyt gorliwy kat Hitlera mógłby przecież stanowić później zagrożenie dla społeczeństwa. Dlatego podkomendnych obejmowano różnorodnym wsparciem – od przydziału alkoholu, papierosów i kiełbasy poprzez spotkania dyskusyjne (w istocie pijackie biesiady) aż po sanatoria dla załamanych esesmanów[66].

Odmienne charakter zbrodni sprawiał, że mechanizm utrzymywania mobilizacji sprawców musiał być także odmienny. Dla sadystów, którzy nie stanowili większości w tych formacjach, możliwość zadawania cierpienia ofiarom była rodzajem nieustannej gratyfikacji. Dla innych była poważnym obciążeniem psychicznym. Doskonale zdawali sobie z tego sprawę ich przełożeni. Formacje te składały się przecież z nazistowskiej elity narodu, miały w przyszłości kierować III Rzeszą. Tym samym nie mogła to być zbieranina degeneratów[67].

Kobiety, gdy podejmowały służbę w kacecie, były bardzo młode. Po ukończeniu szkoły powszechnej rzadko która miała wyuczony zawód, dlatego większość pracowała jako niewykwalifikowana pomoc biurowa bądź jako konduktorki na kolei. Wiele przyznawało, że przeniesienie do pracy w obozie było dla nich nagrodą i wyróżnieniem za wzorowe wykonywanie obowiązków zawodowych. Były dumne, że mogły wiernie służyć III Rzeszy[68].

Warto się zastanowić, jakimi motywami kierowały się młode dziewczyny decydujące się na pracę w obozach. Co sprawiało, że Niemki gotowe były poświęcić rodzinę dla pracy na rzecz III Rzeszy i w jakim stopniu przyszłe nadzorkynie SS uległy propagandzie hitlerowskiej? Co sprawiało, że kobiety tak chętnie z własnej woli zgłaszały się w początkowych latach wojny do pracy w obozach koncentracyjnych?

Hermine Braunsteiner została nadzorkinią z bardzo prostej przyczyny. Zgłosiła się na stanowisko pracy Aufseherin z tego samego powodu, co większość młodych, średnio wykształconych niemieckich

kobiet. Trudna sytuacja materialna, niskie zarobki i chęć awansu zmusiły ją do radykalnej decyzji o podjęciu służby w jednym z kobiecych obozów koncentracyjnych.

Kathrin Kompisch w swoim opracowaniu *Sprawczynie* podaje, że po okresie próbnym następowało ostateczne zatrudnienie w VIII grupie zaszeregowania z pensją 185,68 marki brutto (pensje nadzorczyń wypłacane były z funduszy SS). Po odjęciu podatków, składki na ubezpieczenie socjalne, wydatków na wyżywienie i zakwaterowanie pozostawało 105,10 marki miesięcznie.

Dla porównania – niewykształcona włókniarka w 1944 roku zarabiała 76 marek brutto miesięcznie, natomiast pracownica w przemyśle elektrycznym 93 marki. Jednak inne źródła podają, że zarobki dwudziestodwuletniej pakowaczki w firmie Osram wynosiły 165 marek brutto, i wskazują, że „wynagrodzenie nadzorczyń SS nie było szczególnie wysokie”, co obalałoby argument, iż kobiety zobowiązywały się do służby w obozach koncentracyjnych ze względów czysto ekonomicznych^[69].

Dobrze uszyty uniform dla wielu z nich był najlepszym ubraniem, jakie kiedykolwiek na sobie miały. Nikt im w tamtej chwili nie musiał podpowiadać, jak powinna zachowywać się nosząca go kobieta. Kostium wprowadzał w rolę, od pierwszego złożenia dawał poczucie przynależności i siły. Trzeba też pamiętać o nowych mieszkaniach, o jakich SS-Aufseherinen w cywilu mogły jedynie pomarzyć. Każda dostawała trzydziesto-, czterdziestometrowy lokal na specjalnie wybudowanym osiedlu, tuż za obozową bramą. Czysta pościel, salon z sofą, radiodbiornik, wanna, możliwość zamieszkania wraz z dziećmi^[70].

Nie można wskazać jednoznacznego powodu, dla którego kobiety decydowały się na pracę w obozach koncentracyjnych. Część z nich z pewnością czyniła to ze względu na korzyści materialne, pewna grupa pragnęła wspierać cele polityki narodowosocjalistycznej, a jeszcze inne w służbie obozowej widziały perspektywę niezależności^[71].

Na przykład „Kobyła” tłumaczyła po wojnie, że wybrała zawód strażniczki, gdyż nie było jej stać na wynajmowanie mieszkania. Rzeczywiście, pilnowanie więźniów gwarantowało jej cztery razy wyższą pensję od dotychczasowej. Daniel P. Brown twierdzi, że Hermine Braunsteiner „[...] nie miała środków finansowych ani odpowiedniego wykształcenia, żeby zrobić w życiu coś znaczącego. Gdyby nie wysoka funkcja w obozie na Majdanku, najprawdopodobniej przez całe życie pracowałaby jako pokojówka”[72].

Dla części z tych kobiet praca na rzecz reżimu – oprócz możliwości zaspokojenia uczuć patriotycznych – wiązała się z nadzieją na podniesienie prestiżu społecznego i zdobycie szacunku wśród męskich cywilów. Jeśli spojrzeć na nazizm przez pryzmat rewolucyjnych przemian społecznych – jak to często czyniono – okaże się, że był on atrakcyjny również z powodów ambicjonalnych, obietnicy prestiżu, szansy na zmianę statusu zawodowego[73].

Mimo to ochotniczki stanowiły zaledwie dziesięć procent zwerbowanych w ciągu całej wojny aufzejek[74]. Dlatego stworzono cały system zachęt i udogodnień. SS-Obergruppenführer Oswald Pohl i sam Reichsführer SS Heinrich Himmler nakazywali poszczególnym komendantom obozów koncentracyjnych liczyć się z ich życzeniami. Wynikało to z ciągle niewystarczającej liczby strażniczek. Nie chciano tracić personelu już wykonującego swoje zadania. Uzupełnienie wakatów w tym zakresie, zwłaszcza w obozach na terytoriach wschodnich okupowanych przez III Rzeszę, było niezwykle trudne[75].

Z jednej strony aufzejerki podlegały sztabowi komendantury, komendantowi i wyższemu dowódcy SS (stanowiska najwyższych rangą funkcjonariuszy i kierowników także w obozach dla kobiet zajmowali mężczyźni), z drugiej strony jako nadzorki więźniarek sprawowały nad nimi bezpośrednią władzę służbową. Ich głównym zadaniem, zgodnie z przepisami służbowymi, w pierwszym rzędzie było pilnowanie, żeby rytm dnia i pracy w obozie przebiegał bez zakłóceń[76].

Mimo że od pierwszej wojny światowej kobiety były umundurowane i w czasach Republiki Weimarskiej, na przykład w Saksonii, istniała według angielskiego wzoru żeńska policja samoobrony cywilnej o charakterze raczej opiekuńczym, to dopiero aufzejerki po raz pierwszy przełamały męski monopol przemocy i w tym kontekście także kobietom przypisywano stosowanie przemocy ze skutkiem śmiertelnym. To odwrócenie ról stało się – być może – przyczyną tego, że podczas procesu załogi Majdanka konkretne zeznania świadków, tak pod względem liczby, jak i jakości, dotyczyły w większym stopniu nadzorczyń niż oskarżonych esesmanów[77].

Kobięcy personel w żeńskim obozie koncentracyjnym w Ravensbrück z okazji wizyty Heinricha Himmlera w 1940 roku otrzymał służbowe uniformy. Szare umundurowanie składało się z żakietu, peleryny, spódnicy bądź spódnico-spodni, furażerki zwanej kepi, zdobionej godłem narodowym koloru matowego srebra oraz symbolem trupiej czaszki – Totenkopf. Strój uzupełniały białe koszule, których kołnierz wykładano na wierzch marynarki. Na rękawie żakietu znajdował się czarny pas, do którego po awansie dodawana była gwiazda[78].

Do munduru kobiety nosiły wysokie buty z cholewami bądź półbuty z czarnej skóry. W czerwcu 1944 roku każda aufzejerka w ramach wyposażenia otrzymała dwa letnie i zimowe mundury, dwie pary oficerek, parę półbutów, pończochy i koszulę. Ponadto nadzorzynie uzbrojone były w bity, pejczy i pistolety. Zgodnie z rozkazem z 24 lipca 1942 roku strażniczki miały przejść naukę posługiwania się bronią palną, aby wzbudzać respekt i strach wśród więźniarek. Broń krótką kobiety nosiły przy skórzanym pasie zapinanym aluminiową klamrą, na której widniał napis „Mój honor to wierność” oraz symbol orła[79].

„Po raz pierwszy zobaczyłam kobiety w mundurach – wspominała Halina Birenbaum – uzbrojone w rewolwery i pejczy, podobnie jak esesmani. Sądziłam dotychczas, że tylko mężczyźni są w SS, bo trudno było sobie wyobrazić, że kobiety zdolne są bić, torturować i zabijać! [...] Esesmanki, odziane w grube mundury, w nieprzemakalne płaszcze z olbrzymimi kapturami i wysokie buty, kręciły się po placu, przeliczały

nas ciągle, pastwiły się nad więźniarkami, wywołując strach i grozę pozostałych”[\[80\]](#).

Noszenie pistoletów przez strażniczki było najbardziej kontrowersyjnym aspektem ich służby, trudnym do zaakceptowania nawet dla samych esesmanów. Rozkaz komendantury nr 3 z obozu Ravensbrück z dnia 27 października 1942 roku wyraźnie pozwalał na posiadanie broni palnej przez nadzorczynie[\[81\]](#). Tylko w razie czynnego ataku „nadzorcy i nadzorczynie SS byli upoważnieni do użycia broni palnej”. Uprawniała do tego również ucieczka więźnia. Pistolet noszono na służbie – jak to się oficjalnie nazywało – do obrony własnej.

W tym kontekście należy rozumieć „honorowe zobowiązanie”, podpisywane na początku służby przez każdą nadzorczynię i każdego esesmana, stanowiące, że „o śmierci i życiu wroga państwowego” decyduje wyłącznie Führer i dlatego żaden narodowy socjalista nie jest uprawniony, żeby „dopuścić się wobec przeciwnika państwowego rękoczynów czy też go fizycznie maltretować”[\[82\]](#).

W przeciwieństwie do mężczyzn nadzorczynie prawie nigdy nie sięgały po broń. To oznacza, że ta tabuizacja dokonała się dopiero na miejscu wśród załogi SS, co skomentowała Aufseherin Alice Orlowski: „SS-mani powiedzieli, że jak kobiety zaczną strzelać, trzeba będzie zamknąć obóz. Ja nigdy nie używałam broni”[\[83\]](#).

Fakt, że te młode kobiety żyły w obrębie obozu koncentracyjnego, a zatem w przestrzeni paramilitarnej, odgrywał w tym wypadku bardzo istotną rolę. Szczególna forma zamieszkania i stroju, skoszarowanie, umundurowanie i posiadanie broni służbowej kształtowały potrzebę wdrażania do dyscypliny, a jednocześnie umacniały świadomość władzy i wewnętrzne przyzwolenie na jej użycie[\[84\]](#).

Szczególnie noszenie munduru i broni dawało kobietom poczucie władzy, pociągała je również możliwość identyfikacji z, jak się mogło wydawać, homogeniczną grupą nadzorczyń. Wyszkolenie czy też wcielenie do służby w obozie koncentracyjnym umożliwiało im

zdobyć kwalifikacji zawodowych, osiągnięcie pewnego standardu życiowego, a oprócz tego stwarzało liczne okazje do wzbogacenia^[85].

Rozdział II

**„PORZUĆCIE WSZELKĄ NADZIEJĘ,
WY, KTÓRZY TU WCHODZICIE”**

Wśród hitlerowskich obozów koncentracyjnych tylko nieliczne, jak Ravensbrück, od początku swego istnienia przeznaczone były wyłącznie dla kobiet. Inne zakładano przy funkcjonujących już obozach męskich. Brak źródeł nie pozwala dokładnie ustalić, kiedy za drutami obozu koncentracyjnego na Majdanku znalazł się pierwszy transport kobiet i dzieci. Skąpe informacje w zeznaniach i pamiętnikach wskazują, że zostały one tu osadzone jeszcze przed oficjalnym powstaniem pola żeńskiego, prawdopodobnie w kwietniu 1942 roku[86].

Pierwsza grupa nadzorczyń przyjechała z obozu kobiecego Ravensbrück do obozu koncentracyjnego i zagłady na Majdanku 16 października 1942 roku: „Pojechałyśmy koleją – zeznawała Hermine Braunsteiner w 1973 roku podczas przesłuchania – było nas dziewięć nadzorczyń i jedna przełożona”[87]. Od tego czasu aż do ewakuacji obozu w kwietniu 1944 roku zatrudniono łącznie dwadzieścia osiem strażniczek (obóz kobiecy stał się wówczas samodzielnym „oddziałem”).

Najbardziej liczna grupa spośród nich służbę na Majdanku objęła bezpośrednio po przeszkoleniu w Ravensbrück, które trwało około trzech miesięcy. Były jednak i takie, które w chwili przybycia do lubelskiego obozu koncentracyjnego miały za sobą kilka lat służby

w obozach. Na przykład Hermina Braunsteiner i Herta Ehlert legitymowały się trzyletnim stażem, Elsa Ehrich dwuletnim, a Anna Meinel i Erna Pfannstiel rocznym[88].

Na główną nadzorczynię wyznaczono Else Ehrich. To ona decydowała o rozmieszczeniu więźniarek w barakach, kierowała je do poszczególnych prac lub łaźni oraz ustalała tak zwany porządek służbowy dla nadzorczyń. Szybko zdobyła ponurą sławę. „Obchodzenie się załogi esesmańskiej z więźniarkami było nadzwyczaj brutalne. Na każdym kroku bito, kopano, używano pejcza, kijów itp.” – czytamy w relacji Matyldy Woliniewskiej. „Z nazwisk pamiętam naszą Aufseherin Ehrich i drugą, nazywaną przez nas Krwawą Brygidą, Danz, strażniczkę o nazwisku Orłowski”[89].

Oprócz poczucia misji, które umacniano w esesmańskiej załodze, istniało coś, co było nie tylko substytutem oficerskiej władzy, lecz nawet ją przewyższało. Obóz bowiem czynił z katów niczym nieograniczonych panów życia i śmierci, współczesne wcielenia średniowiecznych monarchów[90].

Antoni Sobański w reportażach z hitlerowskich Niemiec, publikowanych w połowie lat trzydziestych na łamach „Wiadomości Literackich”, dochodzi do tych samych wniosków, opisując niziny społeczne i przywołując nieodpartą żądzę władzy – tak bliską ludzkiej naturze, niezależnie od statusu społecznego: „Więc cóż dziwnego, że nerwowo i fizycznie wynędzniały bezrobotny, który jeszcze niedawno może nawet zebrał, a dzisiaj nagle ma sposobność rozkazywania i każdy cywil musi go się bać – nie umie oprzeć się tej pokusie”[91].

Majdanek dzielił się na dwa światy: świat nadludzi-panów i podludzi-niewolników. Świat panów ustanawiał nowy ład w Europie, władając życiem tysięcy, świat niewolników przeżywał męczarnie, ginąc tępiony jak szczury. Świat podludzi to pasiaki i numery na wynędzniałych i zgębnionych szkieletach, świat nadludzi to mundury SS na butnych i mocnych żołdackich postaciach. Nadludzie to führerzy, począwszy od rotenführera, a skończywszy na reichsführerze i führerze czy też

w zależności od funkcji od komandoführera lub blockführera przez rapportführera i feldführera do lagerführera.

Każdy z esesmańskich wodzów na swój sposób wyżywał się w wodzostwie i nadymał pychę, choćby był tylko hundführerem, trwając w przekonaniu, że jest naprawdę übermenschem. Jego buta oraz mniemanie o sobie były tak wielkie, że nie dostrzegał nawet ironii, jaka zawarta była w tytule scheissführera, nadanym przez więźniów kapo pilnującemu porządku w latrynie.

A w rzeczywistości było to zbiorowisko ludzi pozbawionych wszelkich ludzkich uczuć, o zdegenerowanym pojęciu moralności, zdolnych do największych draństw i okrucieństw, jakie tylko można sobie wyobrazić. Przy czym ich ludobójcze predyspozycje nie miały istotnych związków z wiekiem, poziomem umysłowym i pochodzeniem społecznym. Można jedynie chyba wnioskować, że sadystyczne i bandyckie walory poszczególnych jednostek były podstawowym warunkiem ich awansu służbowego i im większym któryś z nich był zbrodniarzem, tym szybciej się piał.

Niektórzy ludzie bywają kompletnymi rozbitkami życiowymi i nagle otwiera się przed nimi okazja pozbycia się swoich kompleksów niższości, podniesienia swojej osobowości do poziomu Boga. Stają się panami życia i śmierci. Wtedy wszyscy Niemcy byli bogami. Z dnia na dzień całe pokolenie ludzi nijakich przemieniło się w wielkie tuzy, którym niezasłużona władza uderzyła do głów.

Niewykształconym osobom z marginesu społecznego, dotychczas niedocenianym i pomijanym, dyktatura dała możliwość dzierżenia władzy nad ludźmi znajdującymi się jeszcze niżej od nich w hierarchii. Był to klasyczny scenariusz pod hasłem kata i ofiary. Niewiele osób, w których drzemała skrywana zdolność do okrucieństwa, było w stanie oprzeć się pokusie wcielenia go w życie^[92].

Zdaniem Elissy Mailänder Koslov podobnie jak w przypadku innych obozów „na Wschodzie”, tak i na Majdanku daje się zauważyć jakościowy i ilościowy wzrost przemocy, która skierowana była nie tylko

przeciw więźniom żydowskim, lecz także polskim i sowieckim. Nadzorcynie miały znaczący udział w tej dynamice przemocy. Jak można wytłumaczyć, że nawet kobiety, które w Ravensbrück nie odznaczały się szczególną brutalnością, na Majdanku zachowywały się w skrajnie agresywny i okrutny sposób?

Ważną przesłanką wyjaśniającą taki stan rzeczy była specyfika Majdanka, który był równocześnie i obozem zagłady, i obozem koncentracyjnym. Przybycie nadzorczyń w październiku 1942 roku zbiegło się z początkiem fizycznej realizacji na Majdanku „ostatecznego rozwiązania” i masowym gazowaniem, przez co kobiety te były skonfrontowane z zupełnie inną rzeczywistością obozową niż ta, którą znały z Ravensbrück. Tutaj wszyscy, także te mniej skłonne do przemocy nadzorcynie (i esesmani), bezpośrednio lub pośrednio stykali się z uśmiercaniem[93].

Z trzech tysięcy siedmiuset strażniczek i członkiń personelu pomocniczego w obozach koncentracyjnych i obozach zagłady przed sądem w okresie powojennym (lata 1945–1949) stanęło zaledwie sześćdziesiąt, a tylko dwadzieścia jeden z nich zostało straconych. Dla porównania: z pięciu tysięcy mężczyzn postawionych w stan oskarżenia pięciuset otrzymało wyrok śmierci. Niechęć aliantów do skazywania Niemek za zbrodnie wojenne nie można przypisać wyłącznie względom płci, ale przede wszystkim temu, iż tylko niektóre z nich mordowały własnymi rękami[94].

Wszelkimi sposobami starano się w nich zaszczepić fanatyczną wierność Rzeszy. Absolutny brak empatii i jakiegokolwiek współczucia w stosunku do więźniów był więcej niż wymagany. Nie wszystkie kandydatki wytrzymały psychicznie. Część z nich odeszła z własnej woli, jednak te, które zostały, wykonywały swoje obowiązki nad wyraz gorliwie. Władze nie płaciły im za miłosierdzie, a one doskonale zdawały sobie z tego sprawę[95].

Służba nadzorczyń na Majdanku, jak można wyczytać z powojennych przesłuchań i dokumentów SS, podobnie jak „zwykła” codzienna praca,

łączyła się z realizacją ambicji i identyfikacją zawodową. Podczas wielu przesłuchań były nadzorczyńnie z Majdanka podkreślały brak swojego wpływu na codzienne obowiązki. Zdaniem Elissy Mailänder Koslov te zapewnienia wyraźnie kontrastują z innymi wypowiedziami i sformułowaniami, dowodzącymi silnej identyfikacji z funkcją służbową i związaną z nią przewagą.

Te na pozór całkiem zwyczajne kobiety po podjęciu służby w obozach zagłady całkowicie się zmieniały. Niemal nieograniczona władza nad więźniarkami, bezkarność oraz brutalne środowisko, w którym pełniły służbę, miały wpływ na ich zachowanie wobec osadzonych. Zgodnie z zaleceniem komendanta obozu za popełnione przez więźniarki „występki” nadzorczyńnie mogły nakładać następujące kary: chłostę na gołe pośladki, odebranie racji żywnościowych, przeniesienie do obozowego aresztu bądź bunkra[96].

Często jednak strażniczki stosowały o wiele brutalniejsze metody radzenia sobie z „niesfornymi” podwładnymi. Pozbawione wszelkich skrupułów były skazane rękami, pejcami, kijami bądź gumowymi wężami. Zadawały bolesne rany matkom i dzieciom, bezlitośnie kopały najmłodszych i schorowanych oraz szczuły więźniów psami. Tylko w nielicznych przypadkach przełożeni karali załogę wartowniczą za znęcanie się nad więźniami. Komendantura, której zależało na dyscyplinie i porządku, popierała bezwzględność aufzejerek[97].

Nadzorczyńnie w przypadku popełnienia wykroczeń i przestępstw nie podlegały sądom powszechnym, lecz jurysdykcji Naczelnego Sądu SS, który akurat za przemoc wobec więźniów karał rzadko... Na efekty pobłażania nie trzeba było czekać długo. Nawet więźniarki, a może przede wszystkim one, dostrzegały, że po miesiącu obozowego życia w nowych strażniczkach zachodziła zmiana.

Początkowo tylko w sposobie bycia, dowcipie, śmiechu – jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiał się błysk w oku, pewność i duma, wewnętrzny spokój i zdecydowanie. Potem koncentrowały się na więźniach, zaczynały się szykany, traktowane przez nie jak zabawa.

Szybko przestawały sprawiać wrażenie panienek z „kindersztubą”, stawały się ordynarne jak pozostałe. Co na to wpływało? Świadomość władzy nad więźniami czy chęć dostosowania się do poziomu reszty niemieckich kobiet z personelu obozowego?

„Ehrich kopie «elegantko» – z ironią zauważała w swoich wspomnieniach Danuta Brzosko-Mędryk – lekko, dobrze wyćwiczonym ruchem. Nic z gwałtownego przechyłu ciała, rozczapierzenia rąk, by nie upaść, nic z sapania i wykrzywiania twarzy. Półuśmiech, wyprostowana noga w górę i – kopniak. Tak samo rozdaje policzki. Szybki ruch, piekące uderzenie i uśmiech. Nigdy śmiech. Adiutantka oberki – wielka, koścista blondyna o końskiej twarzy, Hermina Braunsteiner – już z daleka wzbudza popłoch. Jest złośliwa, mściwa, wulgarna i władcza”[\[98\]](#).

Nadzorcynie pełniące służbę na Majdanku między jesienią 1942 roku a wiosną 1944 roku nie przyszły na świat jako „ekspertki w sprawach terroru”[\[99\]](#) – sięgnęły po przemoc w dokładnie określonym momencie, w specyficznej przestrzeni społecznej i socjalnym kontekście. Stąd, aby lepiej zrozumieć sposób funkcjonowania obozu, należy dokonać analizy jego historii i życia codziennego tamtej załogi SS[\[100\]](#).

Z chwilą wstąpienia na urząd kanclerza Adolfa Hitlera 30 stycznia 1933 roku w miejsce Republiki Weimarskiej powstała III Rzesza, która wyraźnie wystąpiła przeciwko „wrogom narodu”, czyli komunistom, „pederastom”, kryminalistom oraz tak zwanym aspołecznym, do których należeli na przykład artyści berlińskich nocnych klubów, w których grało się jazz[\[101\]](#). Dla właśnie takich „wrogów narodu”, z inicjatywy ówczesnego komisarycznego prezydenta policji w Monachium, Heinricha Himmlera, powstał pierwszy obóz koncentracyjny w miejscowości Dachau.

Zgodnie z ideologią narodowosocjalistyczną obozy koncentracyjne miały stać się najskuteczniejszym narzędziem terroru wobec przeciwników politycznych III Rzeszy, terenami wyjętymi spod prawa, miejscami brutalnej samowoli i przemocy SS. Wprawdzie dla

zachowania pozorów praworządności opracowane zostały wzorowane na pruskiej dyscyplinie wojskowej regulaminy obozów koncentracyjnych, nie były one jednak ogółowi więźniów znane, a w razie stosowania interpretowane zawsze na ich niekorzyść[102].

Obóz koncentracyjny na Majdanku powstał z inicjatywy szefa niemieckiej policji i SS Heinricha Himmlera. To on podczas pobytu w Lublinie w lipcu 1941 roku zlecił Odilowi Globocnikowi, dowódcy SS i policji w dystrykcie lubelskim, aby zorganizował obóz, który przyjmie od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu tysięcy więźniów „w celu zatrudnienia ich w warsztatach oraz na budowach SS i policji”[103].

W związku z umiejscowieniem obozu na terenie pól wsi Dziesiąta, Abramowice i Kalinówka wyłania się problem jego polskiej nazwy – Majdanek. „Kriegsgefangenenlager Maydanek” pojawia się stosunkowo wcześnie, bo już w grudniu 1941 i styczniu 1942 roku w korespondencji między Urzędem Pracy w Lublinie a gubernatorem dystryktu Lublin Ernstem Zörnerem i dowódcą tamtejszej SS i policji Odilem Globocnikiem w sprawie łapanki Żydów zdatnych do pracy przy budowie obozu[104].

Geneza nazwy wiąże się z przylegającą do północnej granicy obozu dzielnicą Majdan Tatarski, zwaną popularnie Majdankiem. Ta zdrobniła nazwa została po prostu przerzucona przez miejscową ludność na określenie całego obszaru zajętego pod przyszły obóz. Jednakże w oficjalnej nomenklaturze obozowej nigdy jej nie używano. Do 1943 roku obóz nosił nazwę „Kriegsgefangenenlager der Waffen SS in Lublin”, później „Konzentrationslager der Waffen SS in Lublin”.

Koncepcję dotyczącą wielkości obozu kilkakrotnie modyfikowano. Generalny plan budowy, zatwierdzony 23 marca 1942 roku, zakładał urządzenie obozu dla stu pięćdziesięciu tysięcy więźniów i jeńców na obszarze pięciuset szesnastu hektarów. Trudności gospodarcze i niepowodzenia Niemców na froncie wschodnim nie pozwoliły jednak na pełną realizację tych zamierzeń. Ostatecznie Majdanek zajął powierzchnię dwustu siedemdziesięciu hektarów i składał się z trzech

części: więziarskiej podzielonej na pola, budynków gospodarczych i baraków załogi[105].

Jeden z największych hitlerowskich obozów koncentracyjnych w ciągu niespełna czterech lat swego istnienia wielokrotnie zmieniał charakter. Założony jako obóz jeniecki – Kriegsgefangenenlager, wkrótce przerodził się w klasyczny obóz koncentracyjny o wyraźnych cechach obozu zagłady dla Polaków, Żydów i obywateli Związku Radzieckiego, a następnie obywateli wszystkich państw okupowanej Europy. Pełnił również funkcję miejsca odosobnienia dla zakładników, obozu przesiedleńczego, a w ostatnich miesiącach także obozu pracy[106].

Majdanek jako zasadnicza część lubelskiej bazy zaopatrzeniowej dla placówek SS na Wschodzie miał spełniać podwójną funkcję. Z jednej strony byłby producentem przedmiotów wytwarzanych we własnych zakładach dla potrzeb SS, z drugiej miał dostarczać bezpłatnego robotnika wymienionym obiektom oraz filiom, których budowę Himmler uzależniał od położenia obozu macierzystego. W tym stanie rzeczy obóz spełniałby najważniejszą funkcję w programie gospodarczo-politycznym Lublina i nic dziwnego, że został potraktowany jako wytyczna pierwszoplanowa[107].

Tereny Zamojszczyzny zdawały się szczególnie interesujące dla Niemców ze względu na kwestie militarne oraz polityczno-gospodarcze. W myśl przyszłościowych planów obszar ten miał stanowić „germański wał ochronny”, który wyznaczałby przyszłą granicę Wielkiej Rzeszy. Dodatkowym atutem była urodzajność tamtejszych ziem oraz – co ciekawe – względy estetyczne. Uznano bowiem, iż renesansowe miasto Zamość jest „godne kultury niemieckiej”[108].

O dziwo, podczas okupacji Majdanek był miejscem mało znanym poza Lubelszczyzną. Nic nie wiedzieli na jego temat Polacy deportowani tu z Warszawy w styczniu 1943 roku. O Majdanku nie słyszeli także Żydzi zwożeni tu od końca kwietnia tego samego roku w trakcie powstania w getcie warszawskim, mimo że komory gazowe, w których masowo

uśmiercano więźniów żydowskich, funkcjonowały już od jesieni 1942 roku[109].

Szacuje się, że w tym czasie więziono w nim około stu pięćdziesięciu tysięcy więźniów z prawie trzydziestu państw. Wśród nich najliczniejszą grupę, bo około połowę, stanowili Żydzi deportowani z okupowanej Polski i Europy, Polacy, a także obywatele Związku Sowieckiego (Rosjanie, Białorusini i Ukraińcy). Przedstawiciele innych narodowości stanowili niewielki odsetek ogółu więźniów. Trzeba jednak pamiętać, że bilans strat ludzkich nie odda nigdy w pełni bezmiaru bólu i tragedii zarówno ofiar, jak i tych, którym udało się przeżyć koszmar majdankowego kacetu.

W porównaniu z innymi obozami koncentracyjnymi i obozami zagłady Majdanek położony był zupełnie wyjątkowo. Teren był zupełnie odsłonięty – nie było lasu, gór, niczego. W zimie więźniowie byli narażeni na kaprysy pogody. Zbudowano go tuż pod miastem, zaledwie pięć kilometrów od śródmieścia Lublina, podczas gdy wszystkie inne wznoszono zazwyczaj z dala od większych osiedli czy szlaków komunikacyjnych, najczęściej w lasach lub miejscach mało dostępnych, osłaniając je starannie przed wzrokiem osób niepowołanych.

Od północy Majdanek graniczył bezpośrednio z ruchliwą arterią wiodącą do Zamościa, Chełma i Lwowa, od południa i wschodu z gospodarstwami wiejskimi, a od zachodu sięgał aż do przedmieścia Lublina. Obóz zlokalizowano na polach uprawnych wsi Dziesiąta, Kalinówka i kolonia Abramowice w miejscu, gdzie teren tworzył niewielkie wzniesienie, wyraźnie górujące nad okolicą. Cały obszar, pozbawiony drzew, budynków i jakiegokolwiek osłony, był doskonale widoczny nawet ze znacznej odległości.

Jak zauważa Zofia Murawska, położenie obozu w sąsiedztwie ponad stutysięcznego miasta, stolicy dystryktu, nie pozwalało na ukrycie go przed oczyma społeczeństwa polskiego i wywołało, co prawdopodobnie nie było zamierzoną intencją założycieli, atmosferę grozy i niepewności w szerokim promieniu jego ponurej sławy. Było ono jednak korzystne ze

względów ekonomicznych. Wielotysięczne rzesze więźniów miały być w przyszłości użyte jako bezpłatna siła robocza przy wznoszeniu osiedla dla SS, mającego stanąć w pobliżu Majdanka.

Lokalizacja ta miała i cechy korzystne dla władz obozowych, gdyż pozwalała strażnikom śledzić każdy krok więźniów, a ponadto, dzięki niewielkiej odległości od dworca kolejowego, nie stwarzała konieczności budowy bocznicy kolejowej. Obóz nie posiadał żadnej granicy naturalnej, pomyślano więc o postawieniu zabezpieczenia sztucznego, które mogłoby go całkowicie odizolować od okolicy, uniemożliwić ucieczki więźniom i chronić przed ewentualnym napadem partyzantów^[110].

Duże znaczenie miało również korzystne położenie Lublina – wysuniętego najdalej na wschód spośród innych większych miast w Generalnym Gubernatorstwie. Miasto to, siedziba władz cywilnych i policyjnych dystryktu, a głównie pełnomocnika Himmlera, uważane było przez polityków i historyków faszystowskich za „stare niemieckie miasto” i określane mianem „pośrednika między Zachodem a Wschodem oraz krańcowym filarem wielkiej niemieckiej Rzeszy”. W realizacji programu zakładania placówek SS na Wschodzie grało poważną rolę^[111].

Pola więźniarskie miały kształt prostokąta, były otoczone podwójną linią drutów kolczastych z przewodami wysokiego napięcia i wieżami strażniczymi. Drewniane baraki usytuowano w dwóch rzędach, w każdym po dwanaście bloków, natomiast na środku znajdował się plac apelowy. Na I polu funkcjonował do września 1943 roku „szpital” męski, na II – lazaret dla inwalidów wojennych, pola III i IV zajmowali mężczyźni różnych narodowości, a V – kobiety i dzieci. We wrześniu 1943 roku rewir męski przeniesiono na pole V, a kobiety na I. Na VI polu umieszczono część magazynów i warsztatów^[112].

W systemie straży na Majdanku ważne było oddziaływanie na psychikę więźnia. Już sam widok niezliczonej ilości drutów, wież i zwartego kręgu esesmanów był źródłem depresji i budził wśród

więźniów poczucie bezsilności. Efekt ten był przez władze obozowe umiejętnie podsycany. Wprawdzie do dziś nie udało się ustalić, kiedy ostatecznie zostały wykonane przewody wysokiego napięcia i w jakich okresach były one czynne, jednak wszystkich więźniów utrzymywano w przeświadczeniu, że na noc prąd jest systematycznie włączany. Przekonanie to, obok świadomości istnienia strefy śmierci, nawet u najbardziej odważnych osób paraliżowało każdą myśl o ucieczce[113].

Mniejsze grupy transportowano samochodami ciężarowymi lub, jak w przypadku Żydów z getta na Majdanie Tatarskim w Lublinie, prowadzono pieszo. „Nie wiem – przyznawała Helena Kurcysz – jak długo trwał ten pochód katorżny. Wreszcie, z prawej strony, uderzył w nas ostry blask światła i ujrzeliśmy niekończące się szeregi baraków otoczonych drutami kolczastymi. [...] Przekroczyliśmy bramę obozu. Odtąd przestaniemy być ludźmi, a staniemy się numerami. Odtąd towarzyszyć nam będą nieustannie wrzaski SS-manów, a okrzyki: *schnell, los, weiter*, będą nam brzmieć w uszach do końca życia”[114].

Podczas transportu nie rozdzielano rodzin, co miało zapobiegać ucieczkom w trakcie podróży. „To, że nie rozłączano podczas podróży rodzin – wspominał Jerzy Pfeffer – było robione z premedytacją. W ten sposób bowiem tysiące ludzi nie uciekało, bo który na przykład ojciec, będąc z dzieckiem i żoną, ucieknie, pozostawiając ich w wagonie? Albo który syn zostawi matkę lub ojca?”[115]

Więźniowie byli przywożeni do Lublina najczęściej pociągami towarowymi w bydłowych wagonach. Podczas kilkudniowej podróży nie dawano jedzenia ani picia. Maria Czapska tak wspomina transport do obozu: „Upał był okropny. Dzieci płakały i chciały pić. Pamiętam, że sama byłam strasznie spragniona, a nie było ani wody, ani niczego, więc zlizywałam ze ściany wagonu wilgoć z wyziewów ludzkich, spływającą jak woda”[116].

Skrajnie wyczerpanych fizycznie i psychicznie więźniów nazywano „gamlami” – od niemieckiego *Gammel* – bezwartościowy kram lub *gammelig* – zepsuty, stary, bezużyteczny. Ale ta nazwa funkcjonowała

tylko w Majdanku – w Auschwitz takich ludzi określano mianem „muzułmanów”, podczas gdy w KL Stutthof nosili nazwę „kryplów” – od niemieckiego *Krüppel*, czyli kaleka.

Wszystkie nowo przybyłe rewidowano w baraku nr 44, gdzie odbierano im cały dobytek. Zarekwirowaną odzież i pieniądze więźniarek rejestrowano na specjalnych kartach *Effekten-Verzeichnis*. „Niemcy zabrali nas najpierw do jakiegoś budynku – relacjonowała Estera Kerzner – a stamtąd odstawili na Majdanek. Wolno nam było wziąć ze sobą, co kto chciał. Kiedy przyszliśmy na Majdanek, padł najpierw rozkaz *Geld, Geld, Schmuck ab!* [117] Po tym musieliśmy oddać wszystkie rzeczy” [118].

W przypadku Białorusinek i Polek do tych wykazów przedmiotów wpisywano także liczbę dzieci, często nie uwzględniając ich imion i wieku. Następnie nagich więźniów pędzono do łaźni. Przed kąpielą odbywało się obcinanie włosów oraz dezynfekcja ciała poprzez zanurzenie się w betonowych kadziach z roztworem lizolu [119]. Jeszcze raz oddajmy głos Esterze Kerzner: „W łaźni musiałyśmy się rozebrać do naga. Zabrano nam ubrania i przebrano nas w pasiaki. Kto był już w pasiaku, ten był szczęśliwy, bo wiedział, że będzie żył. Do tej chwili wciąż jeszcze wybierano ludzi na śmierć” [120].

Łaźnia – pierwsze zetknięcie z obozem, upokorzenie własną nagością – pojawia się niemal we wszystkich relacjach. To coś, co kobietom wryło się w pamięć i pod skórę. Bezbronność, wstyd, ścinane włosy, poczucie własnej brzydoty.

„Rozdzielili nas – wspominała Urszula – osobno mężczyzn, osobno kobiety. Nas, jako kobiety, wzięto do łaźni. Wyglądało to w ten sposób, że musiałyśmy się całkiem rozebrać i nago przejść do łaźni. To było coś strasznego, bo człowiek zawsze chroni tą swoją nagość. A tutaj mężczyźni i kobiety obce zupełnie, gdzie przepychają nas z jednego miejsca na drugie. [...] Jak się czuje 17-letnia dziewczyna, kiedy patrzą na nią mężczyźni, którzy... no w ogóle nie są mężczyznami. Człowiek sobie wmawia, że to nie są mężczyźni. Dziewczyna, która nie znała... Ja

byłam jedynaczką, chowana dość tak... ciepło, przede wszystkim. [...] Człowiek czytał romantyczne powieści i zawsze uważało się, że kobieta i mężczyzna są w stosunku do siebie... z szacunkiem się odnoszą. A jak człowiek może mieć jakiś szacunek, jak stoi nago, zupełnie rozebrany. Ci mężczyźni... No wszystko jedno, ale oni taksują ciebie wzrokiem. I nie ma się czym przykryć, nie ma się gdzie schować. To jest straszne uczucie.

A te kobiety starsze, matki dzieciom, jak one się czuły? Nie mówiąc o tym, że człowiek nagi wygląda brzydko. Musi być ktoś piękny, żeby wyglądał naprawdę pięknie. A tak, człowiek nagi, kobiety nagie, wcale ładnie nie wyglądają. To wcale nie jest ładny widok. I to, czy młodsza, czy starsza, ale to nie jest... Nie mówiąc o tym, że przecież myśmy wszystkie były przerażone. Odurzone. Człowiek nawet nie zdawał sobie sprawy, że może być tak traktowany. Naprawdę oni nas nie uważali za ludzi. I to w człowieku tkwi, że coś takiego mogło cię spotkać. To tak, jak dziewczyna zostanie zgwałcona i potem nie może z mężczyzną spokojnie przeżyć miłości, bo ciągle będzie to pamiętała. Nie mówiąc o tym, że wszystkie kobiety, myśmy przecież w ogóle tam nie miały miesiączki”[121].

W relacjach nagranych przez pracowników z Ośrodka Karta pojawia się też kwestia leków czy ziół, po których więźniarki traciły miesiączkę. Niektóre nie odzyskiwały jej długo po wojnie. Nigdy chyba się nie dowiemy, czy rzeczywiście oprawcy byli tak przewidujący, czy też naturalne funkcje organizmu były blokowane przez stres i głód[122].

Z chwilą, gdy więźniowie przekraczali bramę danego pola, byli natychmiast włączani w reżim obozowego regulaminu. Świat obozowy, zbudowany z zakazów i zagrożeń, rodził sprzeciw. Za niesubordynację spadały na więźniarki złośliwe i okrutne kary: aplikowano im „sport” na dziedzińcu, zakaz korespondencji czy spacerów, a najczęściej sławne „udziwienia”. Jeden z esesmanów, wrzeszcząc: „Wszystko zabronione! Nie mogę wam tylko zabronić myśleć!” – dał syntezę obozowej sytuacji[123].

Zarówno dla załogi SS, jak i dla więźniów dzień w obozie zaczynał się o 4.00 rano. Na wykonanie takich czynności jak ubieranie się, mycie i spożycie śniadania aufzejerki miały niewiele czasu, bo już o 4.45 rozpoczynał się poranny apel. Trwał on krótko, ponieważ chodziło o jak najszybsze odprowadzenie więźniów na miejsce robót. O godzinie 11.45 zarządzano przerwę obiadową. Na obiad więźniowie dostawali chochlę zupy, bez tłuszczu i soli.

Po obiedzie, około godziny 13.00 znowu wyruszano do pracy, podczas której nadzorcynie znajdowały wiele powodów do znęcania się nad więźniarkami. Jak same przyznały w powojennych procesach, były kobiety za przewinienia po twarzy bądź kijem po plecach, a gdy to nie skutkowało, kierowano je do komendanta obozu, który wymierzał im karę chłosty. Ponadto aufzejerki zamykały swoje ofiary w bunkrze o chlebie i wodzie lub wysyłały do najcięższych prac[124].

„Nie pamiętam – przyznawała Janina Raus – kto sprawował nadzór ze strony Niemców. Wiem, że były jakieś nadzorcynie Niemki, lecz nie mogę ich bliżej opisać. Nieraz po trzy godziny stałyśmy na apelach, a było już zimno, padał śnieg. Kto się ruszał za bardzo w szeregu, był bity przez te Niemki. Wiem, że z Wieniawy wzięto do obozu kobiety z dziećmi na rękach, lecz nie wiem, co się z nimi stało”[125].

Przepisowy strój więźniarski we wszystkich obozach wyglądał identycznie. W przypadku kobiet składał się on z kompletu bielizny, spódnicy i zakietu z tkaniny w szaro-niebieskie pasy, butów wydrążonych z drewna, tak zwanych holenderek, oraz chustki na głowę. Na zimę dodawano płaszcz z tego samego materiału, co uniform, bez żadnej podszewki, oraz chustkę na głowę. Strój ten nie chronił przed mrozem, a posiadanie dodatkowej odzieży czy choćby kawałka koca lub papieru pod ubraniem było uważane za przestępstwo. Poza tym nie wolno było używać pasków do płaszczy lub bluzek, przez co ubrania, luźno zwisające na wychudzonych postaciach, były wyjątkowo przewiewne[126].

Te przepisowe uniformy nosiła jedynie część więźniarek. Trudno wytłumaczyć, dlaczego było ich zwykle za mało w stosunku do liczby kobiet przebywających w danym momencie w obozie. Pozostałe otrzymywały więc stare i brudne ubrania cywilne oraz zniszczoną bieliznę, wybraną spośród rzeczy zagrabionych więźniom po przybyciu na Majdanek. Często na odzieży, którą otrzymywały więźniarki, widoczne były plamy krwi i ślady od kul. Więźniarka Aleksandra Imach opisywała jeszcze jeden proceder:

„Zdarzało się jednak – relacjonowała – iż odzienie więźniów było używane przez butnych esesmanów i esesmanki. Sama widziałam, jak jedna z esesmanek, wychodząca na miasto, miała na sobie moją zieloną wełnianą sukienkę, w której przyjechałam z Pawiaka. Sukienka ta, oddana do depozytu, była wpisana do grubej księgi majątku obozowego”[\[127\]](#).

Funkcyjne Niemki złośliwie dobierały garderobę w ten sposób, aby ani pod względem rozmiaru, ani fasonu nie pasowała do poszczególnych osób. „Dali mi czarną balową suknię z koronkami – wspominała Halina Birenbaum – długą do ziemi. Hela włożyła na mnie suknię i przepasała ją sznurkiem, podciągając do góry. W tym balowym stroju miałam rozpocząć życie więźniarskie na Majdanku. Wszystkie zresztą dostały takie dziwaczne maskaradowe stroje, jak na urągowisko”[\[128\]](#).

Staruszki dostawały suknie ślubne lub wydekoltowane stroje, na głowę zamiast chustek – fantazyjne kolorowe kapelusze, na nogi pantofle na wysokich obcasach, w dodatku za małe lub za duże. A oto typowa wypowiedź byłej więźniarki na ten temat: „Zostałam przebrana w długie, sięgające do pach, zagnidzone w nieprawdopodobny sposób kalesony, w coś od góry, czego nie życzę czarownicom z Salem, oraz w podpinkę od płaszcza”[\[129\]](#).

Gdy u więźniarki znaleziono dodatkową odzież, zawsze rozprawiano się z nią surowo. W okresie mrozów często urządzano kontrolę, znęcając się nad tymi, które miały pod pasiakami swetry, kawałki koca, papiery itp. Ponadto od 1 kwietnia, mimo zimna, a nawet przymrozków, nie

wolno im było nosić pończoch ani drewniaków. Chodzenie boso groziło jednak przeziębieniem, toteż kobiety okręcały nogi szmatami. W ten sam sposób chroniły się przed mrozem zimą. Nadzorczynie biły za to bezlitośnie[130].

Bardziej wyrafinowane obuwie wykonywano w następujący sposób: przyszywało się starą skórę jakiegoś chodaka, przybijało gwoździami wokół do drewnianej podeszwy o wielkości stopy. Bardzo często buty te nie miały sznurowadeł ani żadnych sznurków, a ponieważ przy wejściu do obozu odbierano więźniowi wszelkie rzeczy mogące mu ukrócić życie, jak nóż, lusterko, szkło, sznurek, pas, wobec czego buty te zlatywały z nóg, nawet gdy chodziło się po podłodze w baraku, a cóż dopiero w grząskim, tłustym błocie[131].

„Nie tatuowano nam numerów – opowiadała Urszula Tochman-Welc – ale Niemcy ciągle nas liczyli i sprawdzali obecność na tzw. apelach, które były bardzo męczące i uciążliwe. Odbywały się w różnych porach doby, także w nocy i bez względu na pogodę. Trwały nieraz kilka godzin. Bywały wtedy, mimo lata, dni bardzo zimne, zwłaszcza np. o godzinie 3.00 nad ranem. Na jednym z takich apeli stała przede mną kobieta z małym dzieckiem na ręku. Chcąc ochronić dziecko i siebie przed zimnem, okryła się kocem, zabranym z łóżka. Zauważyła to Niemka sprawdzająca stan więźniów, podeszła do kobiety od tyłu, jednym zamaszystym ruchem ściągnęła koc z ramion kobiety i uderzyła ją z całej siły pytałą po plecach. Kobieta aż zgięła się z bólu. Bardzo się wtedy bałam”[132].

Wyżywienie – to inna straszna zmora, która pobyt w obozie czyniła niemożliwym do zniesienia. Rano kawa – lura z kawałkiem chleba z trocin i łupin. Czasami rozdzielono troszkę margaryny, marmolady z buraków lub plasterek końskiej kielbasy. Obiad składał się najczęściej ze zgniłej brukwi i przemarzniętych ziemniaków. Prawdziwą plagą była „zupa plujka” z plew owsianych, mająca imitować owsiankę. Najgorszy był jednak jarmuż – źle opłukane i tylko zalane gorącą wodą korzenie – odpadki przysyłane z kuchni esesmanów. Kolacja – to znów lura „plujka”. Przy takim odżywianiu panowała krwawa dyzenteria, ciało

z głodu dostawało opuchlizn i pokrywało się wrzodami. Więźniarki opadały z sił. Wzrastała śmiertelność[133].

„W pierwszym okresie naszego pobytu na Majdanku, tj. w styczniu, lutym, marcu 1943 r. – zapamiętała Irena Marszałek – na polu V nie było wody. Nie było ono skanalizowane. Każdorazowe potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy w pewnej odległości od drutów ogradzających nasze pole, między blokami, na widoku esesmanów, urzędujących w «jaskółkach» – wieżach strażniczych.

Bodajże przy końcu lutego 1943 r., kiedy to V pole zapełniło się tysiącami więźniarek, władze obozu wpadły na fantastyczny pomysł: zamiast WC ustawiono pod drutami, między barakami, drewniane tragi – skrzynie z uchwyty do trzymania. Zapełniały się one szybko zawartością odchodów, następnie wypełnione po brzegi tragi kolumny więźniarek wywoziły za bramę, rozlewały na pobliskich ogródkach, użyźniając w ten sposób glebę. Jak tylko zrobiło się cieplej – trudno było wytrzymać «zapachy» unoszące się z przepełnionych trag i użyźnionych ogródków”[134].

Majdanek przez cały okres funkcjonowania miał charakter tymczasowy, o czym mogą świadczyć drewniane, łatwe do rozbiórki lub zniszczenia baraki oraz brak urządzeń sanitarnych dla więźniów. Jeden z polskich więźniów politycznych wspomina: „Warunki panujące w tym obozie – to błoto, głód. Błoto, jakiego nigdzie nie widziałem. Wszy, pluskwy, pchły i wyniszczenie głodem. Podobnych warunków nie spotkałem w żadnym innym obozie, a byłem aż w czterech”[135].

Więźniom nie wolno było posiadać środków czystości: mydeł, szczoteczek do zębów, grzebieni, ręczników ani nawet papieru toaletowego. Początkowo na polu kobiecym nie było choćby prowizorycznej ubikacji. W ciągu dnia rolę latryny spełniały doły kloaczne pozbawione osłon. W nocy, ponieważ nie wolno było opuszczać baraków, załatwiano potrzeby fizjologiczne do dużych drewnianych pojemników. Były one z reguły przepełnione i wydzierały

straszliwy fetor, co było tym bardziej dotkliwe, że okna pozostawały zamknięte nawet w czasie upałów[136].

Elementy skomplikowanego aparatu strzeżenia obozu nie ograniczały się do wart, ogrodzenia, bunkrów czy wież strażniczych, ale zgodnie z zamierzeniami esesmanów miały być uzupełniane przez samych więźniów. W tym celu, podobnie jak w innych obozach, została wprowadzona zasada tzw. odpowiedzialności zbiorowej. W odwecie za ucieczkę jednej osoby esesmani karali więźniów z całego pola czy bloku, w którym zbieg mieszkał, lub komanda, w którym pracował, chcąc w ten sposób zmusić wszystkich do wzajemnego szpiegowania się i donosów. Lęk przed represjami miał nie dopuścić do powstawania więzów solidarności między więźniami, lecz wytworzyć wśród nich atmosferę wrogości i podejrzliwości[137].

Odstraszyć od ucieczki miało więźniów również przekonanie, że każda próba wydostania się z obozu zostanie udaremniona, a schwytanego zbiega czeka szubienica. Esesmani nie rezygnowali z żadnej okazji udokumentowania tej tak mocno forsowanej przez siebie tezy. Nawet jeśli więzień zginął podczas ucieczki, zwłoki jego, jako dowód triumfu, długo leżały na widoku publicznym. Egzekucja przez powieszenie osób schwytych żywcem odbywała się zazwyczaj w obecności wszystkich więźniów podczas apelu wieczornego, przy czym zebranych biciem zmuszano do przyglądania się jej. Niejednokrotnie delikwenta przed powieszeniem tak bito i torturowano, że nie mógł o własnych siłach podejść do szubienicy[138].

Elissa Mailänder Koslov zwraca uwagę, że sytuację pogarszało stale rosnące przepełnienie obozu przy jednoczesnym dotkliwym braku personelu. O ile w Ravensbrück regulamin służby przewidywał jedną nadzorczynię na cztery więźniarki (czego i tam nie zawsze przestrzegano), to obóz na Majdanku latem 1943 roku do nadzoru nad siedmioma tysiącami więźniarek dysponował dziewiętnastoma nadzorczyнями, o czym w piśmie do Głównego Urzędu Gospodarczo-Administracyjnego w Berlinie donosił ówczesny komendant obozu Hermann Florstedt.

Zatem na jedną nadzorczynię przypadało trzysta sześćdziesiąt osiem więźniarek, nie uwzględniając absencji związanej z urlopami i zwolnieniami lekarskimi. Kobiety z Ravensbrück nie były przyzwyczajone do takich warunków pracy, co wielokrotnie podkreślały w powojennych przesłuchaniach. Jednocześnie wydaje się, że doceniały korzyści, jakie zapewniał status okupanta, a przede wszystkim liczne okazje do wzbogacenia się na majątku europejskich Żydów[139].

Czynnikiem wpływającym na fatalne położenie więźniarek Majdanka była także niestabilność zarządzania i skład osobowy załogi wartowniczej. Obozem kierowało bowiem w ciągu niespełna trzech lat funkcjonowania pięciu komendantów, co stanowiło liczbę rekordową[140].

Do kompetencji nadzorczyń należało, poza sprawowaniem ogólnej kontroli nad więźniarkami, również wymierzanie im kar za wszelkie wykroczenia popełnione na terenie obozu. Tu jaskrawo ukazywał się sadyzm tych kobiet. Wanda Kiedrzyńska pozostawiła szczegółowy spis systemu kar. I tak:

„Za drobne przekroczenie spisywano meldunek, po którym stawało się przed główną dozorczynią do raportu karnego (Strafrapport). Wyroki w sprawach meldunków zapadały 2 razy w tygodniu. Około 20 wyroków rozpatrywano na jednym posiedzeniu. W wyniku meldunku następowała stójka przed biurem albo 25 czy więcej batów. Stójka mogła trwać jednorazowo kilka godzin lub co jakiś czas kilka godzin. Były wypadki stójki od apelu wieczornego do rannego, przy czym delikwentka pracowała w dzień, a w nocy stała, lub na odwrót. Oczywiście stosowano to niezależnie od pogody, więc i przy największym mrozie.

Regulamin zabraniał patrzeć prosto w twarz dozorczyń, jeżeli sytuacja wymaga odezwania się do niej. Należało mieć oczy skromnie spuszczone, sprawę swoją zacząć od ponizającej poddańczej formuły i, broń Boże, nie uśmiechnąć się. Uśmiech był surowo karanym wykroczeniem, bo uchodził za dowód lekceważenia wysokiej władzy.

Bicie należało do normalnych spraw codziennych, było naturalnym wynikiem zetknięcia się häftlinga[141] z władzą.

Nasuwa się pytanie: Za co stosowano kary? Otóż za drobne nawet uchybienia przepisom, jak za spacer pod rękę po ulicy Lagrowej, za odwiedzenie koleżanki w rewirze, za przebywanie w obcym bloku lub w godzinie nieprzepisowej na ulicy itp. W początkowym okresie do częstych wypadków należały kilkugodzinne stójki całego bloku, zarządzane przez złośliwe blokowe, «czarne łaty». Setki kobiet w pasiakach i drewnianych trepach wykonywało coś w rodzaju podskoków czy pląsów, aby nie zamarznąć. Starsze kobiety, którym nogi odmawiały posłuszeństwa, siadały pod ścianami bloku na zlodowaciałej ziemi, co kończyło się często ciężką chorobą.

Przy pracy w warsztatach surowo karano za wynoszenie materiałów w postaci skrawków i odpadków, co jednak nie powstrzymywało więźniarek od stałego ryzyka zaopatrywania koleżanek w niezbędne gałganki, z których szyto masowo tzw. laczki, czyli coś w rodzaju pantofli rannych, noszonych do drewniaków dla ciepła. Były wypadki, że złapane na takiej kradzieży szły do bunkra lub nawet do bloku karnego na jakiś czas. W czerwcu 1942 roku komendant na ogólnym apelu ogłosił, że za najmniejszą szmatkę wyniesioną z warsztatów grozi kara śmierci przez powieszenie. Zastosowania tej kary nie notowano w Ravensbrück.

Kary cielesne były dość rozpowszechnione. Bicie odbywało się w bunkrze na specjalnym koźle, we wtorki i piątki, w asyście lekarza, który badał puls delikwentki i decydował, czy można bicie kontynuować. Używano kija długości 1 m, a grubości 1 cm. [...] Karę wymierzały do lipca 1942 roku dozorcynie Hassa i Binz, następnie – więźniarki-kryminalistki, wynagradzane za to dodatkową porcją chleba. Wśród ochotniczek do tej hańbiącej pracy znajdowała się również więźniarka polskiego pochodzenia, Agnieszka Plumbaum” [142].

Nawet jeśli nadzorczyń nie wyznaczano do zabijania, to poprzez dokonywanie selekcji brały przecież udział w procesie masowej zagłady.

Przemoc, śmierć i mord były wszechobecne w ich codziennej służbie, a także w czasie wolnym od pracy. Śwad palonych ludzkich ciał, odgłosy strzałów oraz widok zwłok, składowanych czy przewożonych w obozie, towarzyszyły codziennej pracy i godzinom odpoczynku[143].

Selekcje miały różne formy – czasami wybierano w czasie apelu, gdy wszystkie więźniarki stały równo w szeregach po pięć. Oczywiście każda wolała stać w głębi, więc ustawiając apel, starały się, żeby w pierwszym szeregu stały te lepiej wyglądające, ale właściwie nigdy (poza okresem spuchniętych nóg) nie można było przewidzieć, kogo wybiorą strażniczki. Czy młode, stare, niskie, czy grube...

Drugi system przeprowadzania selekcji polegał na tym, że aufzejerki, w ciągu dnia przechadzając się po polu, zapisywały numery upatrzonych kobiet, a w czasie apelu tylko wyczytywano numery, ustawiano kolumnę i wyprowadzano ją z pola w momencie, gdy pozostałe się rozchodziły.

Bywały „logiczne” selekcje „do gazu”, kiedy wybierano stare, chude, wyglądające mizernie – był taki wypadek, że kobieta (starsza kobieta) zauważyła, że ją zapisano w ciągu dnia, i przed apelem zamieniła się na suknię z córką (która zresztą wiedziała, że numer, który bierze wraz z suknią, jest zapisany). Podczas apelu i wywoływania numerów córka poszła za matkę, ale zawrócono ją do bloku – rzeczywiście tego dnia szły do gazu stare – i tak tego dnia poszło o jedną mniej. Ale innym razem (bo sposób powtarzano później) poszła na śmierć młoda z zapisanym numerem starej. Hitlerowcom przeważnie chodziło o wybranie jakiejś liczby i jeśli było zapisanych za mało, dobierano do zaplanowanej liczby pierwsze z brzegu[144].

Według więźniarki Danuty Brzosko-Mędryk nigdy żadna aufzejerka nie była zwolniona z asystowania nawet przy normalnym apelu na więziarskim polu; zawsze biegały między szeregami, popychały, biły i kopały, i tylko w czasie odbioru meldunku skupiały się na moment przy bramie. Ale nie opuszczały pola przed końcem apelu. Nie mogły więc być zwalniane w czasie selekcji chociażby z tego powodu, że było ich

mało. A przecież kobiety czy dzieci wybierane do komory gazowej ze strachu uciekały z szeregów. Więc one pilnowały, goniły, łapały.

„Żaden sąd na świecie nie przekona nas, które widziałyśmy wyciągane spod barakowych nor dzieci i wpychane do szeregów kobiety, że jest chociaż jedna aufzejerka, która nie byłaby współwinna morderstwa.

Nie jest niewinna ani ta, która stała oparta o drzwi baraku, by nie wtargnęła tam któraś z selekcionowanych, ani te z pejczami spod washbaraków, ani te stojące z psami pod bramą.

Każda z nich była ogniwem łańcucha śmierci.

Sędziowie mówią, że niektóre z nich były przy selekcji, ale ich postawa była bierna.

Bierne to były na Majdanku policjantki-więźniarki, które odmówiły łapania dzieci, a zmuszone do obecności w czasie tego «polowania» – stały bezradne, płacząc. I za tę bierność otrzymały po 50 batów, a myśmy musiały na to patrzeć.

Na stójkach, przed całym polem, na wieczornym, sierpniowym apelu, Niemcy bili nasze dziewczęta, a my nie mogłyśmy im pomóc.

Bierne byłyśmy my, więźniarki, zamknięte w barakach, pilnowane przez aufzejerki, gonione i bite za opuszczenie baraku. My byłyśmy bierne. I bezradne.

Ale aufzejerki były czynne. Było ich osiemnaście, tylko osiemnaście, więc kiedy teraz każda z nich zasłania się chorobą lub urlopem – kto był na Polu więźniarskim? Ich cienie?

Kto nas bił, robił rewizję na naszych pryczach, niszczył kawałki ukrytego chleba, butami rozdeptywał nasze skarby: kawałeczek mydła, ząbek czosnku, cebulę, zniszczoną, scałowaną fotografię matki?

Kto? – jeśli one, aufzejerki, ciągle były «na urlopach zdrowotnych»?

Kto uczynił tak wiele z nas kalekami? Kto spowodował, że umieramy wcześniej niż inni?

Kto szpiegował, wieszał na słupkach, głodził nas, jeśli one są niewinne?

Jeżeli jeden morduje kobietę, a inny stoi przy drzwiach, by nie uciekła – nie jest współwinny zbrodni?!”[\[145\]](#)

Psychiatrzy mówią, że poczucie winy może być świadome i nieświadome. Podstawowym zaś mechanizmem uwolnienia się od winy jest projekcja – to jest przerzucenie ujemnego uczucia, jakim darzy się kogoś, na tę właśnie osobę, mówiąc: nienawidzę cię, bo ty mnie nienawidzisz, i dlatego złe traktowanie ciebie jest uzasadnione. W ten sposób właśnie uczucia negatywne przypisuje się innej osobie lub grupie osób. Im ktoś bardziej czuje się winny, tym więcej krzywdzi innych.

Radykalizacja zachowań nadzorczyń wynikała z poczucia frustracji, którą spowodowało przeniesienie na Majdanek. Bardzo prymitywne warunki sanitarne i stałe zagrożenie epidemią wywołały wśród nadzorczyń – ale także esesmanów – szok. Kontakt z pochodzącymi w większości z Europy Środkowej więźniami, którzy ze względu na surowe warunki byli w strasznym stanie fizycznym, był odbierany przez większość nadzorczyń jako szczególnie nieprzyjemny[\[146\]](#).

Niezależnie, czy problemy były realne (epidemie, rozłąka z rodziną, nieznane warunki geograficzne i klimatyczne, spartańskie zakwaterowanie), czy wyobrażone („niższość” polskiej kultury, rzekome zagrożenie ze strony partyzantów, codzienny kontakt z żydowskimi i słowiańskimi „podludźmi”), rodziły uczucia frustracji, obrzydzenia i strachu, które w znaczący sposób przyczyniały się do radykalizacji agresywnych zachowań[\[147\]](#).

Profesor Kępiński twierdził, że krzywdziciel widzi swoją ofiarę w coraz ciemniejszych kolorach i dojrzewa w nim przekonanie, że ta w pełni zasługuje na złe traktowanie. W jego odczuciu ta osoba lub grupy osób są winne temu, że on, krzywdziciel, doznaje cierpień wewnętrznych. Tak więc – być może – według tego schematu oskarżeni o zbrodnie ludobójstwa czuli się niewinni, przerzucając winę na ofiary. A że takie odczucie mieli jeszcze niektórzy Niemcy – świadczy na

przykład fakt zrzucania przez nich winy za rozpętanie drugiej wojny światowej na Polaków^[148].

Rozdział III

„WALIŁA NICZYM BOKSER CIĘŻKIEJ WAGI”

Hermine Braunsteiner pojawia się niemal we wszystkich wspomnieniach i zeznaniach byłych więźniarek. Opisy są bliźniaczo podobne. Jej „znakiem rozpoznawczym” na Majdanku stały się kopniaki. Z powodu siły uderzenia stopień pobicia w wyniku skopania był większy niż przy uderzeniu ręką. Braunsteiner wymierzała kopniaki w szczególnie delikatne części ciała, jak okolice brzucha, podbrzusze i plecy.

Kopniaki oznaczały dodatkową degradację ofiary: chodziło o pogardliwy i poniżający gest, który jeszcze bardziej niż uderzenie w twarz wyrażał asymetrię między stosującym przemoc a jego ofiarą. Ofiara leżała na ziemi, u stóp nadzorczyńni. Skórzane buty były używane przez Braunsteiner niczym regularna broń. Chroniły kopiającą nadzorczyńnię przed urazem, a jednocześnie pozwalały uniknąć bezpośredniego kontaktu cielesnego z więźniarką, nad którą się pastwiła^[149].

Nie tylko jednak biciem, strzelaniem, wieszaniem, nie tylko gazowaniem i morzeniem głodem można człowieka zamęczyć na śmierć. Jest jeszcze jeden sposób, o którym nie wspomniano, o wiele okrutniejszy. Także słowami można znęcać się nad człowiekiem. Zadreczyć na śmierć. Plugawe, brudne słowa, jakich używali wszyscy

bez wyjątku Niemcy zatrudnieni w obozach – od rana do południa, od południa do nocy, od nocy do rana. A wokoło ofiar tylko drut kolczasty, obok kapo, a nad nimi ołowiane, milczące niebo, w którym już nie ma miejsca na wizję Boga. To był Majdanek[150].

O stosunku Braunsteiner do więźniarek świadczy fakt podany przez świadków. Kiedy więźniarka zameldowała: „Sześć kobiet do pracy”, ta krzyknęła: „Nie jesteś kobietą, jesteś świnią”[151].

Została zapamiętana jako mocna, wysoka strażniczka z węzłem jasnych włosów upiętych w tyle głowy. Spódnico-spodnie, zakrywające brzeg lśniących oficerek, furażerka wciśnięta na czoło, rękawiczki... Noszona w chłodne dni rozkloszowana czarna peleryna upodabniała ją do nocnego ptaka, poruszającego skrzydłami. Pejcz i pies. Pejcz i krzyk. Niemieckie rozkazy i selekcja. Selekcja i płacz dzieci. I zaciśnięte wąskie wargi nad wystającym podbródkiem[152].

„Braunsteiner była jedną z najbardziej brutalnych kobiet w obozie. Przybyła tu z pierwszą grupą nadzorczyń, gdy tworzono obóz kobiecy – mówi Robert Kuwałek, pracownik naukowy Państwowego Muzeum na Majdanku – i pozostała aż do końca, do jego ewakuacji. Biła i robiła to z dużym zapalem. Wychodziła przed szereg. Bardzo chętnie sama wymierzała karę chłosty”[153].

Helena Kurcysz przyznawała, że wielkiej aufzejerki Braunsteiner bały się okropnie, „bo waliła niczym bokser ciężkiej wagi”[154]. Ponieważ strażniczki w obozach nie nosiły plaketek, otrzymywały od więźniów jakieś przezwisko – bo tych ludzi, w zależności od ich niebezpieczeństwa i osobliwości, trzeba było jakoś nazwać. Do niej przylgnęło określenie „Tratująca Klacz” albo popularniejsze – „Kobyła”.

Nadawanie przydomków było elementem tak zwanej lagerszprachy, czyli języka obozowego, zwłaszcza że nazwiska szeregowych nadzorczyń nie były podawane do wiadomości publicznej. I tak Jenny-Wanda Barkmann była „Pięknym Widmem”. Za przydomkiem „Kobieta z psami” kryła się Johanna Bormann. Irma Grese dorobiła się kilku przezwisk, jak „Szara Mysz”, „Blond Anioł”, „Hiena z Auschwitz”,

„Młoda Królowa SS”. Hildegard Lächert znana była jako „Krwawa Brygida”.

Jak wynikało ze zbieranych przez prokuratorów przez pięć lat materiałów, Hermine Braunsteiner uważana była, obok Elsy Ehrich i Hildegardy Lächert, za najstraszniejszą i najbrutalniejszą dozorczynię. Po niemiecku „kobyła” to *Stute*, a przydomek wziął się stąd, że – jak zeznawała więźniarka Maria Kaufmann-Krasowska – zawsze nosiła wysokie buty z cholewami, do których miała przymocowane metalowe ostre kolce. „Tak długo biła tymi butami – wspominała Ewa Jakubowicz – aż dziewczęta nie mogły się podnieść” [\[155\]](#).

Przezwiseka i przydomki, którymi obdarzani byli oprawcy SS, funkcyjni lub znaczniejsi więźniowie w obozie, pełniły rozmaite funkcje. Przede wszystkim ujawniały i eksponowały groźny dla życia więźniów sposób zachowania się przezywanych, ich sadystyczne cechy charakteru. Były więc sygnałem ostrzegawczym. Inna ważna funkcja – to ośmieszanie, piętnowanie jakiegoś defektu moralnego, co czyniło prześladowców mniej groźnymi, jak gdyby oswajało z nimi i tym samym zwiększało szansę przeżycia [\[156\]](#).

Prokurator Ambach stwierdził, iż już samo przezwisko „Kobyła” wyróżniało ją wśród innych nadzorczyń SS. Bo na przykład nadzorczyni Emilie Macha miała przezwisko „Mutti”, czyli „Mamusia”. Wzięło się to z jej wcześniejszego, przyjacielskiego i matczynego usposobienia. Również dawna koleżanka Hermine – imienniczka Hermine Bötchter, z powodu jej stosunkowo ludzkiego zachowania została nazwana „Perełką”. Sąd wyszedł z założenia, że we wszystkich zeznaniach świadków nie zostały przedstawione pojedyncze „niestosowne zachowania”, lecz typowe przykłady egoistycznego i bezlitosnego postępowania wobec więźniarek [\[157\]](#).

Drogę zawodową Hermine Braunsteiner od „zwykłej” nadzorczyni w Ravensbrück (sierpień 1939 – październik 1942) poprzez funkcję Rapportführerin, względnie zastępczyni głównej nadzorczyni na Majdanku (październik 1942 – styczeń 1944) do pierwszej nadzorczyni

w Genthin, podoboże Sachsenhausen (styczeń 1944 – maj 1945) można określić mianem kariery. Była ona w grupie najwcześniej zatrudnionych nadzorczyń i na Majdanku należała do tych z najdłuższym stażem.

Co trzymało takie kobiety przez pięć i pół roku na służbie w obozach koncentracyjnych? Prawdopodobnie wpływ na to miała pociągająca siła władzy i przemocy. Dla młodych, przeważnie urodzonych około 1920 roku kobiet, w większości niezamężnych i najczęściej pochodzących ze środowisk mniej uprzywilejowanych społecznie, funkcja nadzorczyń była w pierwszym rzędzie dobrze opłacanym, pewnym stanowiskiem, które zapewniało ponadto status urzędnika^[158].

Bycie panią życia i śmierci wyraźnie odpowiadało Hermine. Jeszcze kilka miesięcy przed wojną nie miała wpływu na zbyt wiele spraw, tymczasem w obozie dzierżyła gigantyczną władzę (w ręce uzbrojonej dodatkowo w pejcz). W końcu spełniło się jej marzenie – była „kimś”. Co więcej, czuła się zupełnie bezkarna, a to wyzwoliło w niej najgorsze instynkty^[159]. „Kobyła” odegrała szczególną rolę w obozie koncentracyjnym na Majdanku, gdzie do głosu doszedł jej sadyzm, podczas gdy w Ravensbrück „tylko” znęcała się nad więźniami.

Austriackie więźniarki polityczne zaliczyły ją wprawdzie do „gorszej połowy” nadzorczyń, jednak przyznawały zarazem, że były tam także znacznie od niej podlejsze. Te zeznania nie wystarczą potem do jej oskarżenia w odbywającym się w Hamburgu procesie załogi Ravensbrück. Tylko nieliczne więzione kobiety z tego obozu w ogóle ją pamiętały^[160].

Na Majdanku sprawy miały się inaczej, mimo że według własnych zeznań w ciągu półtorarocznej służby w obozie Braunsteiner przez osiem miesięcy była chora na tyfus, zapalenie migdałków, zapalenie oskrzeli, dyzenterię, żółtaczkę, zapalenie pęcherzyka żółciowego i kilka innych, co częściowo znajduje potwierdzenie w dokumentach. Jednak podczas dochodzenia w trakcie procesu majdankowskiego wyszło na jaw, że Braunsteiner była znana z brutalnych ekscesów wobec polskich,

sowieckich i żydowskich więźniów KL Lublin i siała wśród nich postrach[161].

Ba, z zestawienia dni jej chorób i urlopów wynikało, że zarówno w czasie selekcji kobiet do komory gazowej w maju, jak i sierpniu 1943 roku była obecna na Majdanku i świadkowie potwierdzili, że brała w nich udział.

Kiedy więc „Kobyła” nie przebywała ani w szpitalu, ani w sanatorium, w obozie nie było jej tak źle. Po krótkim czasie awansowała na zastępczynię Elsy Ehrich, przyjaźniła się z nią, dzieliła z nią pokój, a nawet jadła z nią w mesie oficerskiej. Za szczególne zasługi w tym okresie hitlerowcy odznaczyli ją Krzyżem Zasługi Wojennej II klasy – razem z Ehrich i Marią Mandl, które po wojnie zostały skazane w Polsce na śmierć. „Nosiałam ten krzyż zasług wojennych – jak powiedziała przed sądem Braunsteiner – w butonierce marynarki munduru”[162].

Dziś można by chyba zinterpretować jej choroby w ten sposób, że pobyt w obozie tak ją odpychał, że tylko w ten sposób mogła wybrnąć z sytuacji. Jeśli jej wierzyć, to faktycznie próbowała się uwolnić z Majdanka. Podobno została poinformowana, że byłoby to możliwe tylko wtedy, gdyby spodziewała się dziecka. Jednak sześćdziesięciu trzech świadków w procesie załogi Majdanka zeznało, że Braunsteiner nie sprawiała wrażenia osoby siłą zmuszanej do pełnienia funkcji nadzorczyńi SS, przeciwnie, aktywnie współuczestniczyła w popełnianych zbrodniach. Jedna z byłych więźniarek opisała zajście z selekcji dzieci:

„Pamiętam dzień – zapewniała Krystyna Tarasiewicz – kiedy podjechały dwie wielkie ciężarówki z przyczepą, obecni przy tym byli Muhsfeldt, Ehrich i jej adiutantka Braunsteiner. Oczywiście była tam również cała sfera SS-manów. [...] Dzieci płakały, wrywały się do matek, SS-mani wrywali je matkom i brutalnie wrzucali do ciężarówek, upychając bardziej bestialsko niż zwierzątka. [...] Kiedy samochody były już pełne, resztę dzieci wrzucano tamtym stojącym na głowy, jak

worki. Widziałam, jak właśnie Braunsteiner, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, wrzucała te dzieci na górę, na głowy innych.

Wtedy sędzia zapytał: – Ile tych dzieci mogło być?

Odpowiedziałam, że może trzysta, a może pięćset. Myślę, że jak na dwa baraki, to musiało ich być około pięciuset.

– Czy jest możliwe, aby pięćset dzieci zmieściło się na dwóch ciężarowych samochodach? – Padło znów pytanie.

Mówię: Na dzisiejszy sposób widzenia dzieci i transportu – nie. Ale działy się tam rzeczy nieprawdopodobne. Po pierwsze, te dzieci były zagłodzone, to były żywe szkieleciaki. Po drugie, upychane były ciaśniej niż kurczęta, rzucono na głowy jedne drugim aż do samej góry” [163].

Nigdy nikt nie powiedział o niej dobrego słowa. Więźniarki były zgodne: nie znała litości. Opowiadały między innymi, że „Kobyła” sama wrzucała na przyczepy dzieci, które jechały do komór gazowych: „Idąc wolno w kierunku bramy V Pola – zeznawała jedna z kobiet – widziałam, że Braunsteiner wrzuciła na platformę dwoje lub troje małych dzieci. Pamiętam dokładnie taki moment, że Braunsteiner złapała jedno z tych dzieci za ramię, po czym zamachnęła tym dzieckiem i rzuciła je na samochód” [164].

Jednym z nich cisnęła z takim impetem, że dziecko zmarło na miejscu.

„Nagle zauważyłam – prostuję: usłyszałam przerażający dziecięcy krzyk i zauważyłam – zeznawała z kolei Antonia Kurcz – że jakieś dziecko, dziewczynka cztero- lub pięcioletnia, miała rączkę przytrzaśniętą w drzwiach pojazdu. Mam na myśli platformę. W tym samochodzie była Braunsteiner, którą rozpoznałam i która nie reagowała na krzyki dziecka. Nie pozwoliła uwolnić rączki dziecka i kazała kierowcy jechać. Powiedziała, że nie ma potrzeby wyjmować ręki dziecka, sama to słyszałam” [165].

Taka bezwzględność nie była niczym wyjątkowym w obozowej rzeczywistości. Z chwilą uruchomienia komór gazowych główną formą natychmiastowej zagłady dla Żydów, kobiet w ciąży, dzieci, starców

i osób niezdolnych do pracy stało się uśmiercanie tlenkiem węgla lub cyklonem B. Gazowanie poprzedzała selekcja więźniów, której dokonywały władze obozowe oraz lekarze. Tym matkom, które nie chciały rozstać się z dziećmi, wrywano je siłą[166].

Zofia Kotecka-Fugiel zeznawała w Warszawie: „[...] widziałam osobiście, jak Braunsteiner siłą wrywała dzieci matkom, Litwinkom i Rosjankom, i rzucała na platformę samochodu. W tym również dzieci maleńkie. Było to na I Polu. Miało to miejsce kilkakrotnie, przy czym w późniejszych przypadkach Braunsteiner wydzieriała dzieci matkom innych narodowości... Braunsteiner biła pejcem matki, wydzieriała im siłą dzieci i z rozmachem wrzucała na platformy”[167].

Była więźniarka Antonia Kurcz zapamiętała znamienne wydarzenie, do którego doszło prawdopodobnie w maju 1943 roku w obozie kobiecym, kiedy po likwidacji getta warszawskiego przywieziono na Majdanek kilkaset Żydówek z dziećmi. Tymczasowo umieszczono je na V polu, w maju miały być jednak odprowadzone do komory gazowej i uśmiercone. Zadaniem nadzorczyń było zebranie dzieci pod kierownictwem lekarzy SS. Była więźniarka Henryka Mitron, podczas przesłuchania 14 marca 1973 roku w Nowym Jorku, opowiadała, jak nadzorzynie kopały i biły pejcami dzieci i ich matki[168].

„Odkąd pracowałam u Weissów – wspominała z kolei Ewa Kozłowska – znów mogłam swobodnie poruszać się po obozie. Tym sposobem byłam świadkiem wielu straszliwych scen, jakie widziałam w różnych miejscach obozu. Wszystko to było przerażające i napawało mnie skrajnym pesymizmem. Widziałam, jak Braunsteiner goniła kobiety po polu, a potem, szczując psami, prowadziła w stronę krematorium. Byłam świadkiem, jak Muhsfeldt i Braunsteiner zwoływali dzieci, częstując je cukierkami, a potem wrzucali na platformę ciężarówki i wywozili, przerażone i płaczące, prosto do krematorium”[169].

Lucina Domb (Lucyna Dąb?) pamiętała, że „matki musiały oddawać dzieci. Jaka matka odda swoje dziecko. Przy pomocy psów wrywały je – Braunsteiner, Knoblich, Brygida, Krwawa Brygida. Były jeszcze inne.

Wyrywano dzieci i rzucono jak kamienie”^[170]. Zdarzały się wypadki, że matki po oddaniu potomstwa wpadały w obłąd, a ojcowie popełniali samobójstwa. Polski więzień polityczny, Jerzy Kwiatkowski, opisywał: „Która matka nie chce oddać dziecka do gazu, może z nim razem pójść na śmierć. Dużo kobiet decyduje się dobrowolnie – wybierają śmierć razem z dzieckiem”^[171].

Dziecięca niewinność nie stanowiła dla Niemców przeszkody. Ci najmłodsi byli traktowani równie brutalnie jak dorośli, wszak niezależnie od wieku nie należeli do „rasy panów”. Jedną z takich scen opisuje Anja Lundholm, choć „Kobyła” nie bierze w nim bezpośredniego udziału, to warto ją przytoczyć:

„Zdumiona patrzę, jak do malca, który zdezorientowany rozgląda się wokół i woła «mamuś, mamuś» za swoją matką, zbliża się ten gestapowski łotr, kuca przy nim, przyjaźnie się uśmiecha i coś mówi. Widzimy, że dziecko przestaje płakać i zaczyna pulchnymi paluszkami przebierać w błyszczących odznakach na mundurze. Wygląda na to, że mały nabrał zaufania do człowieka, który z dobrotliwą, ojcowską miną opowiada mu coś na pocieszenie. Pewnie, że mama zaraz wróci. Ziuta mówiła mi później, co sobie na ten widok pomyślała: że gestapowiec, który prawdopodobnie też miał takiego synka, zaczął opowiadać bajkę o małym kaczątku i pokazywał, jak ono się kołysze. Teraz mały wybucha śmiechem i wygląda jak jeden z aniołków z trąbkami na kościelnym ołtarzu. Chichocze i wykrzykuje coś z radości, zaś jego nowy przyjaciel wstaje i w pobliżu ostatniej ściany krematorium podrzuca go w górę i łapie w locie. Raz, drugi, trzeci. Okrzyki dziecka zwabiły matkę; ostrożnie podchodzi bliżej. Gestapowiec to zauważa, wykrzywia twarz w grymasie.

– On to lubi – woła do niej. I podrzuca po raz czwarty dziecko w górę, i raz jeszcze je łapie, tym razem jednak za nóżki. Małe ciało opada, mężczyzna robi krok do przodu i ze straszliwym rozmachem uderza nim o ścianę. Jeszcze słyhać echo dziecięcego śmiechu, kiedy rozbrzmiewa krzyk muru. Tylko jeden raz, ale jest to odgłos, od którego ścina się krew w żyłach. Na pobielonej ścianie, za którą piec do spopielenia już

ostatecznie skończyły swą działalność, z wielkiej plamy spływa do ziemi krew pomieszana z miazgą mózgu.

Bez cienia emocji morderca niesie małe zwłoki w stronę matki, trzyma je za nogi jak zabitego kurczaka. Kołysze ręką, więc widać, że w miejscu, gdzie dopiero co była czarująca twarzyczka, nie ma już nic. Spłaszczona, krwawa masa. Pogardliwym gestem rzuca kobiecie dziecko pod nogi, nie pozwala jej paść na ziemię, lecz brutalnie ciągnie na miejsce zbrodni, pokazuje obrzydliwą plamę i komenderuje:

– Najpierw to wyczyścisz. Potem możesz beczeć.

Po czym obojętnie się oddała i wraca do swoich kompanów, by dalej omawiać, jak najszybciej wydostać się z Ravensbrück.

Stoimy jak skamieniałe, niezdolne się ruszyć ani cokolwiek powiedzieć. Wszystko wiruje mi w mózgu. Ktoś, kto rzuca. Ktoś rzuca życie o ścianę. Mury są twardsze niż ciało dziecka. Nie, to nie było dziecko, to był pies, nie dziecko, pies, nie dziecko... Chciałabym tylko, żeby cała ziemia ze wszystkim, co się na niej znajduje, wreszcie przestała się kręcić. Robi mi się słabo. Simone i Ziuta ciężko oddychają, one też są jak sparaliżowane króliki, przykute do miejsca. Aż w końcu Tildchen, pastorska córka, już od kilku dni u kresu sił, zaczyna się śmiać, najpierw chichocze z zamkniętymi ustami. Potem naprawdę ją napada. Trzęsie się w spazmatycznym śmiechu, krew podchodzi jej do głowy, gwałtownie łapie powietrze. Przerażona Ziuta zatyka jej usta. Ale Tildchen raz po raz się wyszarpuje.

– Chodź – mówi Simone – musimy ją zaprowadzić do baraku, szybko, zanim aufzejerka zauważy.

Za późno. Na nieszczęście przechodzi akurat Braunsteiner.

– Co się tu dzieje?

Tildchen Döring śmieje się jej prosto w twarz.

Braunsteiner nie słucha naszych zapewnień, że chodzi o historyczny napad śmiechu, uderza Tildchen szpicrutą. Wtedy ta śmieje się jeszcze

bardziej, aż dostaje silnej czkawki i musi przestać. Braunsteiner przygląda się jej zwięzonymi z gniewu oczami.

– Pewnie myślisz, ty gnido, że z nami już koniec, a ty możesz się z nas bezkarnie wyśmiewać? O, proszę, przestała. Za mną!

– *Merde!* I to na tak krótko przed ostatecznym zwycięstwem! – podkpiwa Simone. W tym szyderstwie tkwi smutek. Wiadomo, Tildchen już nigdy nie zobaczymy”[\[172\]](#).

Losy dzieci, które przeżyły, były różne. Po krótkim pobycie w obozach przejściowych część z nich, uznanych za „godne” i „wartościowe”, została wysłana w głąb III Rzeszy, gdzie zmieniano im metryki urodzeń, zakazywano używania języka ojczystego i poddawano procesowi germanizacji[\[173\]](#).

„Zaraz po przybyciu na Majdanek – relacjonowała Dora Minc – odbyła się na polu obozowym segregacja. Ustawiono oddzielnie ludzi starszych, młodych i dzieci. Trzy spośród znajdujących się na placu kobiet nie chciały oddać swoich dzieci. Jedną z nich była żona mojego obecnego męża – Cukierman Fela, która nie chciała puścić rączki czteroletniego chłopca, drugą była Bromberg Dora, która nie chciała się rozstać z sześciolatnim chłopcem, a trzecią była żona kuśnierza z Lublina, której nazwiska nie pamiętam i która za żadną cenę nie chciała rozstać się ze swoim dzieckiem. Wszystkie wyżej wspomniane kobiety usunięte zostały na bok, pobite do krwi na oczach wszystkich i na śmierć zmasakrowane. Ich dzieci, które im siłą wyrwano, podzieliły los wszystkich innych. Ludzie starsi pozostali na polu obozowym, gdzie kazano im czekać. My, młodzi i zdolni do pracy, skierowani zostaliśmy do baraków. Potem stracono wszystkich starców.

Nazajutrz rano jakaś esesmanka wskazała nam grupę dzieci, otoczonych psami i esesmanami, i powiedziała nam, ażebyśmy dobrze przyglądały się dzieciom, które idą do przedszkola. Wszystkie te dzieci stracono tego ranka”[\[174\]](#).

Pierwsze transporty dzieci trafiły na Majdanek wiosną i latem 1942 roku. Transport z getta na Majdanie Tatarskim liczący około tysiąca–

tysiąca pięciuset osób, głównie kobiet i dzieci, przybył 20 kwietnia 1942 roku. Dużo dzieci było w transporcie, który dotarł z getta lubelskiego 2 września 1942 roku. Z tego transportu rozstrzelano w lesie krępieckim pięćset kobiet i dzieci. W kwietniu i maju 1943 roku prawie codziennie zjawiały się transporty z getta warszawskiego, a wiosną 1943 roku przybyło również pięć transportów z Drancy (Francja). Dzieci wraz z dorosłymi zostały uśmiercone w komorach gazowych. W styczniu 1943 roku do obozu przywieziono z różnych więzień młodzież polską w wieku czternastu–siedemnastu lat^[175].

Jak wspominał prokurator Dieter Ambach: „W sprawie «37» i «38», akcji przeciwko dzieciom, zarzuca się oskarżonym Lächert i Ryan [nazwisko po mężu „Kobyły” – dop. J. M.] udział w zamordowaniu co najmniej dwustu dzieci, w maju i sierpniu 1943 r. na polu V, oprócz tego oskarżona Ryan prowadziła samodzielne selekcje. Przesłuchiwana w charakterze świadka dozorczyńni Wallisch podała, że widziała przynajmniej dwa razy, jak oskarżona Ryan wybierała więźniów i prowadziła ich do komory gazowej koło łaźni”^[176].

W drugiej połowie maja 1943 roku na Majdanku odbyła się tak zwana pierwsza akcja dziecięca. Ofiarami były żydowskie dzieci i kilka matek, które z końcem kwietnia lub początkiem maja przybyły z transportu z warszawskiego getta. Nie zostały od razu zabite, ponieważ możliwości techniczne do eksterminacji nie były wystarczające. Te dzieci umieszczano na pewien czas w ogrodzonym baraku na kobiecym polu^[177].

Dzieci do lat trzynastu w obozie nie miały odrębnej kartoteki ani własnych numerów. Figurowały wyłącznie na kartach ewidencyjnych matek. Dzieci powyżej tego wieku traktowane były na równi z więźniami dorosłymi, musiały ciężko pracować i podlegały wszelkim rygorom regulaminu obozowego^[178].

Zachowana baza źródłowa nie pozwala na ustalenie, ile dzieci przeszło przez obóz koncentracyjny na Majdanku. Najwięcej przebywało w obozie w lipcu i sierpniu 1943 roku – około pięciu tysięcy. Jak wynika

z ustaleń Beaty Siwek-Ciupak, od 20 marca 1943 roku do 3 stycznia 1944 roku przywieziono do obozu co najmniej szesnaście transportów, w których dzieci stanowiły jedenaście procent, czyli prawie tysiąc z około ośmiu tysięcy dorosłych. Dzieci polskie osadzano na Majdanku wraz z rodzinami latem 1943 roku w ramach akcji pacyfikacyjno-wysiedleńczej na Zamojszczyźnie, której celem było wysiedlenie z tego obszaru rodzin polskich, a następnie zasiedlenie go przez gospodarzy niemieckich[179].

W ramach „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” dzieci miały zostać „zlikwidowane”. Główna nadzorkzyni Ehrich otrzymywała w związku z tym od kierownictwa obozu odpowiednie rozkazy. Do realizacji tego planu zostało jej przydzielonych kilku oficerów SS, którzy w szczególności mieli strzec, aby matki zostały oddzielone od swoich dzieci. Udostępniono także ciężarówki, którymi odwożono dzieci do komór gazowych. Z powodu spodziewanych rozruchów główna nadzorkzyni Ehrich wykorzystwała do służby wszystkie będące w jej dyspozycji nadzorkzynie, wśród nich także Lächert oraz Braunsteiner, która do tej pory pełniła w zastępstwie służbę na polu kobiecym[180].

Los większości dzieci z Zamojszczyzny nie jest do dzisiaj znany. Dzieci te odrywano przemocą od rodziców, bito i katowano. Działo się to wśród mordów i pożogi. Dzieci, pozbawione rodziców, masowo chorowały, były brudne i niedożywione, zjadało je robactwo. W nielicznych tylko wypadkach za wódkę lub pieniądze udało się wykupić dzieci od esesmanów[181]. Przesłuchiwana na okoliczność Kinderaktion Lucina Domb zeznała: „Proszono Braunsteiner i inne dozorkzynie, by się zapytały, co się stało z dziećmi. Powiedziała: «Nie bójcie się! Nic się im nie stało. Są w przedszkolu». Piękne przedszkole”[182].

Braunsteiner była świadoma celu i zbrodniczego charakteru tego czynu, nie wahała się przed użyciem siły. Motywem jej udziału w tej akcji była „szczególna gorliwość w wykonywaniu obowiązków” i „dążenie do kariery”. Czy jednak akceptowała wewnętrznie i uważała za swój realizowany przez reżim nazistowski cel, jakim było zabijanie

żydowskich dzieci i całkowita zagłada Żydów? Tego wiele lat po wojnie sędziowie nie potrafili jej udowodnić[183].

Żadnych wątpliwości nie mieli za to byli więźniowie. Aaron Kaufman, urodzony we Wrocławiu, przywieziony na Majdanek z warszawskiego getta, zeznawał 8 września 1972 roku:

„Na Majdanku zamiast konia często ciągnąłem na Kobiece Pole wóz z żywnością... Było to około kilometra od kuchni... wiozłem żywność albo węgiel. W maju 1943 r. pięć kobiet wrywało chwasty między drutami... Nagle wpadła Braunsteiner, około minuty coś do nich mówiła, a potem zaczęła je bić. Dwie kobiety zatłukła na śmierć. Tak, znam nazwiska. Były to Sara Formeńska, miała około dwudziestu sześciu lat, i trzydziestoletnia Secholovic.

Drugi raz było to na Drugim Polu... byłem z innymi mężczyznami zatrudniony przy zwózce drzewa. W pobliżu kobiety zwoziły kamienie, więc korzystając z okazji, zaczęliśmy rozmawiać. Zobaczyła to Braunsteiner, przybiegła i tak długo biła pejczem, aż zabiła dwie kobiety. Nie, nie znam nazwisk.

Trzeci raz – na Piątym Polu przy bramie – trzysta... czterysta kobiet stało..., a wiele z dziećmi. Braunsteiner kazała zostawić te dzieci, mówiąc, że pojedą one na letni obóz, gdzie dostaną dwa razy dziennie mleko...

Matki nie chciały oddać dzieci, wiedziały przecież, co je czeka... Braunsteiner chwyciła pejcz i zaczęła bić starą kobietę z dzieckiem na ręku... tak biła, aż ta kobieta upadła... Ale biła ją nadal... Zabiła ją i... jej dziecko. To było w czerwcu”[184].

Losy uwięzionych w obozach zawsze naznaczone są ogromnym bólem. Jednakże przez wzgląd na niewinność tych najmłodszych ich dola zdaje się odznaczać szczególnym tragizmem. Jako jednostki nieprzydatne do wykonywania pracy dzieci były w najlepszym wypadku pozostawione same sobie, a w najgorszym mordowane[185]. Pierwsze zbiorowe egzekucje nieco starszych, bo dziewcząt w wieku do dwudziestu lat, przypadają na kwiecień 1942 roku. Często wywożono je

na miejsce egzekucji pod pretekstem zwolnienia lub przesiedlenia. Do obozu powracały zakrwawione sukienki.

„Po każdym wieczornym apelu – zeznawała Krystyna Tarasiewicz – kiedy policzono wszystkie bloki i Rapportführerin, Hermina Braunsteiner, odebrała raporty i gdy nie usłyszałyśmy zwykłego *abtreten*, przychodził krematorzysta Muhsfeldt (szef krematorium), Oberarzt Blancke i Rindfleish, lekarze obozowi, którzy zajmowali się nie leczeniem, ale zabijaniem, była też zawsze Oberaufseherin Elsa Ehrich i jej adiutantka – Hermina Braunsteiner, a poza tym obecne były z reguły wszystkie Aufseherki, chyba że któraś miała inną służbę czy urlop, a więc oczywiście i Krwawa Brygida była przy tych selekcjach. Selekcję przeprowadzano w ten sposób, że kobiety, tak jak stały piątkami w szeregu, według bloków, były przesuwane ruchem pejcza po pięć przez krematorzystę lub Rapportführerin Braunsteiner, patrzano przede wszystkim na nogi i na twarze, te, które były wymizerowane czy stare, te, które miały rany na nogach, wybierano do gazu. Wtedy wszystkie Aufseherki były potrzebne, aby utrzymać porządek, bo działy się dantejskie sceny: te kobiety wyły, wrywały sobie włosy, krzyczały, były świadome przecież, że jest to selekcja do gazu, że są skazane na śmierć. (Selekcje odbywały się dwa, trzy razy w tygodniu). Aufseherki tłukły pejczami i siłą zapędzały do komory gazowej, tzw. gaz kamery”^[186].

Jan Preisner, korespondent „Życia Warszawy” w Bonn, relacjonował, że Danuta Brzosko-Mędryk „przedstawiła szczegółowo przebieg kilku selekcji obozowych wiosną i latem 1943 roku na tzw. V Polu na Majdanku: «Stałam ukryta za barakiem ze współwięźniarką Reginą Olszewską... Najpierw widziałyśmy świętę: naczelnego lekarza Maxa Blancke, doktora Heinricha Rindfleischa, oberaufzejerkę Else Ehrich i Herminę Braunsteiner. Kiedy doktor Blancke kierował kobiety na prawo lub lewo; na śmierć lub życie, Braunsteiner biła i wciskała siłą do szeregów więźniarki skazane na śmierć w komorze gazowej...»”^[187].

W okresie przeludnienia obozu, od przybycia więźniów żydowskich z getta warszawskiego do ostatecznej i niemal całkowitej zagłady Żydów w dniu 3 listopada 1943 roku, najwięcej ofiar pochłonęły właśnie

komory gazowe. Każdy, kto ze względu na wiek, chorobę lub słabość nie był już w stanie pracować i wydawał się tylko bezużytecznym zjadaczem żywności, był usuwany z powierzchni ziemi. Ostateczna eksterminacja przez zagazowanie była jedyną drogą, ponieważ była to metoda, dzięki której można było uśmiercić duże masy ludzi w najprostszy i najtańszy sposób...

Na zwykłym apelu porannym i wieczornym strażnicy wybierali więźniów spośród tych ustawionych w szeregach, którzy wydawali się niezdolni do pracy, których numery sami lub inni przełożeni spisali w ciągu dnia lub których po prostu nie lubili. Świadek widział, jak Hermine Braunsteiner „szukała słabych i zniedołężniałych kobiet wśród przybyłych więźniarek, a następnie wskazywała te nieszczęsne kobiety lekarzom SS Blancke'owi i Rinderowi” około piętnastu razy[188].

Tym, co dokładnie wychodzi na jaw w przesłuchaniach, jest atrakcyjność władzy nad innymi ludźmi. To doświadczenie władzy nad więźniami było dla nadzorców główną „pozytywną” stroną służby w obozie. Braunsteiner wielokrotnie podkreślała podczas przesłuchań, że w podoboże Genthin w 1944 roku jako pierwsza nadzorczyń, względnie kierowniczka obozu, „sprawowała samodzielną władzę” nad siedmiuset więźniarkami oraz udzielono jej „kompetencji do wydawania poleceń” dwudziestu trzem nadzorczyńiom[189].

Wskazuje na to również język używany podczas powojennych przesłuchań w odniesieniu do byłych więźniarek: często stosowane zaimki dzierżawcze („moje komando”, „moje więźniarki”) oraz fakt, że byli więźniowie w wypowiedziach nadzorczyń bardzo rzadko występowali jako podmiot gramatyczny, byli raczej wymieniani w formie dopełnienia, jako coś, co nadzorczyńie „dostały” pod nadzór lub „zostało dostarczone” do obozu[190].

Jak konstatował Szymon Wiesenthal, Alice von Orlowski i Hermine Braunsteiner wraz z Hildegard Lächert zaprowadziły tak straszliwy reżim w obozie kobiecym na Majdanku, jakiego nie można by sobie wyobrazić w najbardziej koszmarnych snach. Nie wszystkie

nadzorcynie były z natury bestiami. Wiele z nich odkomenderowano do obozu całkiem przypadkowo i zostały pochłonięte przez koszmar aż do zupełnego otepienia. Traktowały więźniarki jak przedmioty, które należało przy możliwie najmniejszym nakładzie sił stłoczyć w barakach lub rozmieścić na ciężarówkach.

„Każda przeszkoda w wykonywaniu tych czynności – opisywał «łowca nazistów» – spowodowana nieoczekiwaną reakcją – matka niedająca się rozdzielić z dzieckiem lub siostry trzymające się razem w drodze na śmierć – powodowała gniew, podobnie jak spiętrzenie na taśmie produkcyjnej uniemożliwiający wykonanie akordowej normy. Wówczas nadzorcynie biły i kopały, gdyż był to najprostszy sposób utrzymania w biegu maszyny zniszczenia, ale nie robiły tego z żądzy bicia.

Inaczej było z von Orłowsky i Braunsteiner. Obóz koncentracyjny obnażył ich utajone skłonności sadystyczne, którym oddawały się z namiętnością. Niekiedy nie jestem w stanie uwierzyć, że kobieta, która może być lub już jest matką, ciska dziecko jak worek, bije je pejczem między oczy czy strzela mu w twarz. Ale przecież widziałem to sam, na własne oczy, czytałem o tym w niezliczonych zeznaniach świadków zamieszczonych w książkach i mimo to dokonywać muszę owej konfrontacji między wiedzą a wiarą”[\[191\]](#).

Braunsteiner swoją wyższość nad aresztowanymi okazywała brutalnym i nieludzkim traktowaniem. Uchodziła za jedną z najskuteczniejszych nadzorczyń na Majdanku, wykorzystywała każdą okazję do szykanowania i poniżania więźniarek. Kobiety przebywające w obozie charakteryzowały ją jako: nieludzką, okrutną, brutalną, sadystyczną i wzbudzającą paniczny strach[\[192\]](#). Oto refleksje jednej z nich:

„Pojawia się Braunsteiner, by odebrać apel. Niezadowolona, z obiema rękami wciśniętymi w kieszenie szarych spódnico-spodni, staje przed nami na rozstawionych nogach, wysłuchuje raportu blokowej, macha ręką, kiedy wydaje się, że trzeba nas jeszcze raz przeliczyć. Ją też popędza głód; koleżanki już czekają w kantynie dla SS”[\[193\]](#).

Postępowanie zgodne z wieloma przepisami było niemożliwe. Jeśli podczas pracy ktoś zabrudził lub rozdarł ubranie, nie miał warunków, by je uprać lub zreperować. Niejednokrotnie Hermine Braunsteiner, Alice Orlowski lub inna funkcyjna stawała w drzwiach pierwszego lepszego baraku w momencie, gdy kobiety wybiegały na apel poranny, i biła pejczem po kolei wszystkie wychodzące. Często także razami pejcza lub kija popędzano więźniarki podczas marszu lub pracy[194].

Jedna z takich scen znajduje się we wspomnieniach Danuty Brzosko-Mędryk: „[...] czyjś nagły skowyt zatrzymuje nas. Nim zdążyłam się odwrócić, czuję uderzenie pejczem po nogach.

Wpadka? Donos? Zgubiony gryps?

Pończochy...

Wiszą już w strzępach na potłuczonych nogach. Odmrożone, sinawe łydki poprzecinane są wiśniowymi pręgami.

– *Ein! Zwei! Drei! Schneller! Schneller!* – Braunsteiner popędza nas bykowcem. Biegniemy z powrotem w stronę komendantury. Czerwona droga od badu do oficerskiego baraku nie ma dzisiaj końca. Esesmanka oddała rower postowi, sama biegnie za nami, wałąc po nogach i plecach. Byleby nie w twarz – chowam głowę w ramionach i usiłuję przyspieszyć kroku. Dziewczęta zwalniają, Niemka dyszy, smagnięcia pejczem są coraz rzadsze. Przyspieszamy ostatnim wysiłkiem bieg, by się od niej oderwać.

Jesteśmy same.

– *Halt! Halt!* – woła goniący nas post. Stajemy. Strzępy pończoch i poprzecinana skóra nóg czyni z nas gamli. I tak jak gamle czujemy się w tej chwili.

– Ale nie dostałam w twarz! – uświadamiam sobie nieomal radośnie, czym wywołuję zdziwione spojrzenia.

Prawda. One nie wiedzą, że boję się pierwszego uderzenia w twarz. Wydaje mi się, że otrzymany policzek natychmiast odbierze mi godność, załamując psychicznie i fizycznie.

Postanowiłam przejść obóz bez tego upokorzenia, ale czy mi się uda?

Toteż dzisiejszych cięć bykowcem nie uważam za ostateczność. Staram się zmniejszyć ból zimnymi kompresami” [195].

Danuta Brzosko-Mędryk pamiętała, gdy biegiem wracała na komendanturę, ale tu przed barakiem czekała Braunsteiner, adiutantka oberki:

„Wywołuje jakiś numer. Żadna się nie zgłasza.

– Korwin-Kamieńska – sylabizuje z kartki, już wyraźnie zła.

Występuje Kuca. Ma inny numer. Tłumaczy, że to pomyłka, ale dostaje po twarzy – *Weiter!*

Niemka wsiada na rower, a Kuca musi biec za nią. Gdy zwalnia, Braunsteiner bije ją pejczem po nogach.

Zachodzące słońce oświetla dwie oddalające się sylwetki.

– Rozwałka? – zastanawiamy się.

– Transport?

– *Fünf und zwanzig?*

Jeszcze w oczach mamy widziany niedawno obraz III Pola.

Długo stoimy przed barakiem. Nawet szef «Papagaj» jest zdenerwowany.

– Maminka – powtarza – co ona przeszkrobała? Gdy wreszcie możemy wrócić do «domku», prawie biegniemy, żeby dowiedzieć się, co z Kucą.

Przed pocztą stoi Kuca z Niemką, która szarpiąc ją za źle przszyty numer, woła *ab*, potem znowu *zurück*. Jeszcze tylko mała formalność: policzek na «do widzenia» i Kuca jest z nami.

Krzywi swój śmieszny nosek, usiany piegami, i nie wiemy: płacze czy się śmieje.

– Biegłam za nią aż do poczty – wyjaśnia. – Waliła mnie pejczem. W biurze czekał jakiś obcy oficer i tłumacz. Odczytali mi akt oskarżenia:

Jadwiga Korwin-Kamieńska w lutym czterdziestego pierwszego roku została złapana w Warszawie na łamaniu przepisów wprowadzonych i obowiązujących na terenach Generalnej Guberni, a mianowicie kontrola ujawniła nieposiadanie biletu tramwajowego. Mimo trzykrotnego wezwania pozwana nie stawiała się pod wyżej wymienionym adresem, wobec powyższego zaocznie została skazana na dwa tygodnie aresztu lub grzywnę. Pamiętałam, że coś takiego mi się kiedyś przytrafiło, ale kto by tu o tym myślał. Tu się o śmierć w każdej chwili ocierasz, a oni pytają, co wybieram: grzywnę czy areszt. Boki zrywać!”[\[196\]](#).

Lola Givner, która została przywieziona na Majdanek na początku maja 1943 roku, tak zapamiętała „spotkanie” z Braunsteiner:

„«Kobyła» była wysoka, kopała więźniów i prawie chodziła po ludziach. «Kobyła» mnie też kopała, do dziś mam blizny. Zdarzyło się to więcej niż raz. Szła przez barak albo przez pole. Jak jej ktoś stanął na drodze, podnosiła nogę i kopała. U mnie było tak: spotkałam ją na polu i nie zdążyłam zejść jej z drogi. Kopnęła mnie tak, że upadłam. Jak już leżałam na ziemi, dalej kopała. Najpierw, jak stałam, kopnęła mnie w plecy i upadłam na brzuch. Potem dalej mnie kopała, odeszła i zostawiła mnie leżącą na ziemi”[\[197\]](#).

Inni byli świadkami, jak aufzejerki kopały więźniarki, aż te nie mogły już wstać. A to tylko dlatego, że jedna z nich nieprawidłowo przyszyła numer więźnia. Kobieta była w stanie pokazać blizny pozostawione na jej głowie w wyniku ciosów Braunsteiner. „Do dziś noszę ślad po jej biciu – twierdziła Ewa Konikowska – które otrzymałam za to, że przypaliłam żelazkiem bieliznę, którą musiałam w obozie jej prać”. Inna, gdy została przyłapana na paleniu, pracując jako pokojówka, została tak pobita, że pękła jej błona bębenkowa w uchu i do dziś nic nie słyszy po tej stronie[\[198\]](#).

Wspomnienia byłych więźniów, często składane wiele lat po wojnie, zawierają nieścisłości. Dotyczą one głównie chronologii, liczb, a także faktów, ale nie faktu skatowania. Cytowana już kilkakrotnie Lucina

Domb, Żydówka z Tel Awiwu, twierdzi: „Zawsze znalazła powód, aby którąś z nas bić”. Co na to Hermina Braunsteiner? „Była to moja praca i nic więcej. Czasami tylko uderzyłam więźniarkę otwartą dłonią, bo trudno było utrzymać je w karności”^[199].

Warszawska chirurżka Hanna Narkiewicz-Jodko określiła ją jako okrutną i brutalną. „Ostro przyjmowała apele poranne. Każdy, kto nie ustawił się prawidłowo, był kopany i bity. Kobiety stłoczone w baraku po trzysta osób były nieustannie poganiane, wyzywane od świń i krów. Braunsteiner zawsze z kamienną twarzą na pokaz biła mocno i z premedytacją”^[200]. Lucina Domb zapamiętała, że „wiele kobiet nosiło pod sukienką koc. Pewnego razu Braunsteiner zauważyła, że jedna kobieta była za gruba. Wyciągnęła ją i biła. Nie wiem, ile jej dała. Pięćdziesiąt. Nigdy nie chodziły bez pejcza”^[201].

Inna kobieta wspominała w czasie procesu oprawcy: „Powiesili żydowską dziewczynę za próbę ucieczki z obozu. Nas ustawili dookoła szubienicy. Obok sześciu SS-manów z psami, Braunsteiner i «Krwawa Brygida». Kiedy dziewczyna była wieszana, Braunsteiner biła po twarzy wszystkie kobiety, które nie chciały na to patrzeć”^[202].

Powiedzieć, że Braunsteiner niechlubnie zapisała się w pamięci więźniarek, to jak nic nie powiedzieć. Często przyprowadzała na pole kobiece psa, dużego owczarka, i szczuła nim pracujące kobiety. Jeśli któraś próbowała ratować się ucieczką, goniła ją i biła pejczem^[203]. Pewnego razu Danuta Brzosko-Mędryk widziała, jak Braunsteiner zerwała więźniarce zawieszoną na szyi butelkę z wodą, w efekcie czego:

„[...] pozostały po sznurku dwa krwawe ślady. Stałyśmy wtedy obydwie na baczność: ona – bo chciała przemycić pod pasiakiem wodę, ja – bo nalałam tej wody z niemieckiego czajnika. Przed nami Braunsteiner w charakterystycznym dla Niemców rozkroku, w lśniących oficerkach, całym ciałem odchyłona do tyłu, śmiała się, wodę z butelki wylewając na łeb wilczura. Sierść psa, nasyciona tłuszczem, utrzymywała drgające w słońcu cenne krople. Wszystkie trzy znałyśmy ich wartość,

właśnie komendant Florstedt kazał zamknąć dopływ wody w całym obozie.

Zamach ręki, uzbrojonej w butelkę, trafił w próżnię, bo więźniarka o ułamek sekundy wcześniej zrobiła unik i nim oboje – aufzejerka i wilczur – zorientowali się, wychudzona dłoń przejechała po mokrej sierści psa i błyskawicznie wróciła do spieczonych warg”[\[204\]](#).

Braunsteiner w połowie maja 1943 roku awansowała z „prostej” nadzorczyńni na kierowniczkę kancelarii na polu kobiecym i zastępczynię głównej nadzorczyńni Elsy Ehrich. W swojej funkcji jako Rapportführerin była bardzo rzetelna i w trakcie apele zawsze dokładnie kontrolowała liczbę więźniów. Kiedy główna nadzorczyńni była nieobecna, Braunsteiner odbierała apele i przydzielała więźniarki do poszczególnych komand pracy. Oprócz tego odpowiadała za tak zwaną służbę wewnętrzną, kontrolowała porządek i czystość w barakach więziarskich. Była także odpowiedzialna za procedury przybywania nowych więźniów i wychodzenia transportów do innych obozów[\[205\]](#). Oto jedna z takich sytuacji:

„Stwardniałe, spękane, krwawiące stopy, poobijane o twardą ziemię, starają się wybijać rytm podawany przez kapo. Robią to nieudolnie, więc oberaufseherin Ehrich cofa komando.

– *Noch einmal.*

Wracają w popłochu, nie rozumiejąc przyczyny, wzbijają tumany kurzu, wywołując tym jeszcze większą wściekłość esesmanek.

– *Eins! Zwei! Drei!* – Braunsteiner wybija pejczem rytm na plecach mijających ją kobiet.

– *Eins! Zwei! Drei!* – pomaga kapo nie znającym marszu stopom, stopom spod Witebska, Zamościa i Lublina”[\[206\]](#).

Zakazane było praktycznie wszystko, wszędzie i o każdej porze...

„Ofiarą pada więźniarka przepasana kawałkiem rzemyka.

– *Verboten!*

Więc odciągają ją z szeregu, ciągną za ten nielegalnie noszony pasek i stawiają pod drutami, już po wewnętrznej stronie Pola.

Jest następna: okrzyk bólu, wrzask Niemki i z palców tryumfującej Braunsteiner zwisa granatowa wstążeczka, zerwana z warkocza razem z garścią włosów.

– *Verboten, nicht wahr?! Also...* [207]

Za noszenie podwiniętych rękawów pasiaka, mimo letniego skwaru, za przenoszenie wody w butelce, za ironiczny uśmiech na twarzy...

– *Verboten! Verstehst du, blode Kuh!* [208]

Przy pierwszej więźniarce staje pięć następnych. Oczekują wyroku” [209].

Po wojnie Braunsteiner tłumaczyła, że na tę pracę zdecydowała się jedynie ze względu na mieszkanie, które gwarantowały jej władze. Jednak w jej zachowaniu można było dostrzec znacznie więcej niż posłuszne podporządkowywanie się rozkazom. Bicie, kopanie, poniżanie i zabijanie nadzorowanych kobiet sprawiało jej przyjemność. „Kobyła” wręcz napawała się strachem innych [210].

„Z Braunsteiner miałam osobisty kontakt – zeznawała Jadwiga Węgrzecka – dlatego że była ona tak zwaną Rapportführerin i odbierała w zastępstwie Oberaufseherin apele, a ja podawałam stan liczebny rewiru jako «szrajberka» rewirowa. [...] Jakie były Braunsteiner i Lächert? Należały do tych najokrutniejszych. Były brutalne. Biły przy każdej sposobności. Wyżywały się w czasie selekcji” [211].

Danuta Brzosko-Mędryk wspominała jeden z rannych apeli, kiedy więźniarki postarały się, by być porządnie ubrane: „[...] przyglądamy się sobie z nieukrywanym zachwytem. Czyste pasiaki, paski zamiast sznurków, prawie wszystkie mamy białe chusteczki na głowach (ja nie, ja mam swoją wyblakłą, czerwoną w białe maczki!) i nowe, wycyganione od Niemek przez Joannę drewniaki. Część z nas ma nawet drewniaki z białymi płóciennymi cholewkami, co już stanowi w obozie

szczyt niebywalej elegancji. To po raz pierwszy na apel stają wyglądające heftlingi.

Przechodząca obok nas Annie David aż gwiżdże z zachwytu. Braunsteiner, ze swoją kanciastą twarzą jak zawsze zła i zawistna, obrzuca nas ostrym spojrzeniem i epitetem: – *Blode Kühe!* – co oberaufseherin Elsa Ehrich kwituje ironicznym półuśmiechem”[\[212\]](#).

Co prawda nadzorczynie w Auschwitz i na Majdanku przeprowadzały selekcje wśród więźniarek – co wynikało z podwójnej funkcji obydwu obozów, będących jednocześnie obozami koncentracyjnymi i obozami zagłady – jednak ani do rozstrzeliwań i gazowania, ani do usuwania zwłok nigdy nie wyznaczano kobiet[\[213\]](#). Najczęściej stosowaną metodą eksterminacji było uśmiercanie gazem. W komorach gazowych ginęły niemal wyłącznie osoby pochodzenia żydowskiego.

Zofia Zienkiewicz zeznawała w Warszawie: „Z obozu na Majdanku pamiętam dobrze Hermine Braunsteiner... Ona wielokrotnie dokonywała selekcji więźniów do gazowania. Selekcje te odbywały się na placu apelowym. Kazała ona nam, więźniarkom, przechodzić obok siebie i wtedy kierowała przechodzące kobiety na lewo lub prawo, co oznaczało dalsze życie lub śmierć... Selekcje te przeprowadzała Braunsteiner w czasie od wiosny do jesieni 1943 roku... przeciętnie raz na tydzień”[\[214\]](#).

Wśród wszystkich transportów z gett po przybyciu do obozu przeprowadzano selekcje, podczas których zwracano uwagę przede wszystkim na nogi. Niewielka ranka lub plamka na nogach stawała się wyrokiem śmierci. Ponieważ kobiety wiedziały, że wyłącznie wygląd zewnętrzny ma zadecydować o ich losie, mimo straszliwego lęku i niepewności, przed komisją usiłowały maszerować lekko i sprężysto, a niekiedy próbowały nawet się uśmiechać. Po każdej selekcji na placu apelowym pozostawało mnóstwo opatrunków, które kobiety pozrywały z ran, by nie przyciągały uwagi esesmanów[\[215\]](#).

Aufzejerki z esesmanami urządzali wyścigi między Żydówkami. Te, które nie mogły biec, ładowano na wóz i przeznaczano do zagazowania.

Ustalenie pełnej liczby więźniarek, które zginęły w wyniku owej eksterminacji, napotyka duże trudności, będące wynikiem zacierania się granic między śmiercią naturalną a śmiercią gwałtowną[216].

Selekcje na polach więźniarskich odbywały się przeciętnie dwa razy w ciągu tygodnia. Za każdym razem zabierano na śmierć od dwustu do czterystu osób. Danuta Brzosko-Mędryk w licznych przesłuchaniach po wojnie wymieniała „Kobyłę” jako jedną z pracowników obozu, którzy mieli prawo wybierania do komór gazowych: „[...] należała do hierarchii obozowej. Nazywałyśmy ją także «adiutantką», bo chodziła najczęściej z oberaufseherin Elszą Ehrich albo w jej zastępstwie...

– Zawsze?

– Nie. Wiele miesięcy była rapportführerin, stała w bramie, odbierając liczebne raporty o wychodzących do pracy i wchodzących kobietach i dzieciach, znała liczbę chorych, zmarłych i zagazowanych...

– Czy ktoś jeszcze pełnił tę funkcję?

– O ile pamiętam, Anna Meinel... Poza tym aufzejerka Ehlert na początku roku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego zastępowała oberaufseherin, która podobno chorowała...

– Czy świadek słyszała, że pani Braunsteiner była w szpitalu przez osiem miesięcy w czterdziestym trzecim roku?

– Nie. Nie słyszałam. I myślę, że nie... Nawet jeśli chorowała, to nie tak długo.

– Dlaczego tak świadek myśli?

– To byłaby zbyt cudowna wiadomość i cieszyłoby się tym całe Pole, jak wtedy, kiedy Danz chorowała... [...]

– Czy świadek widziała selekcję, w której brała udział pani Braunsteiner?

– Tak, w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku na Piątym Polu.

W zupełnej ciszy słyszałam własne urywane słowa. Widziałam, że dziennikarze skrętnie je notują, a mimo to odnosiłam wrażenie, że wszystko trafia w próżnię. Że dla nich ważniejsze jest to, co mówię, a nie to, co się tam działo. I że prawdę widzi tylko pani Helena, której oczy zachodziły łzami... Ale właśnie to mi przeszkadzało, bo nie do niej przecież mówiłam – mówiłam do aufseherin Braunsteiner i przedstawicieli prasy amerykańskiej. Im chciałam pokazać zbrodnie, wywołane szaleństwem rasizmu, szaleństwem idei, która sankcjonowała morderstwa. Zbrodnie, za które nigdy nie będzie kary...

Nie wiem, czy potrafiłam choć w części oddać grozę majowego dnia, kiedy schowane z Reginą Olszewską za barakiem, widziałyśmy świętę: oberarzta Maxa Blancke, doktora Heinricha Rindfleischa, krematorzystę Muhsfelda, oberaufseherin Elbę Ehrich i jej «adiutantkę», Herminę Braunsteiner... Właśnie ona, kiedy doktor Blancke, wskazując pałeczką, kierował kobiety na prawo lub lewo, na śmierć lub życie, goniła uciekające, kopała je, biła i wciskała do piątek, skazanych na śmierć w komorze gazowej. [...]

– A czy świadek widziała inną selekcję?

– Było to w sierpniu... Kobiety, rozebrane z pasiaków, w koszulach, szły rzędem w stronę «świty» i doktor Blancke znowu rozdzielał: śmierć... śmierć... życie... śmierć... śmierć... śmierć... Uciekały, wiedząc, że jedna na sto ma szansę ukrycia się w blokach zakaźnych, na strychach, w dziurach pod barakami. Tam je ukrywałyśmy. Ale Braunsteiner była zwinna, szybka, goniła je, biła po twarzach Polki, które sobą zasłaniały uciekające.

– Kryteria selekcji – przerwał mi sędzia.

– Przede wszystkim opuchnięte, poranione nogi, pokryte flegmonami lub wybująłą ziarniną. Skóra nóg u kobiet zmuszonych do ukrywania się w piwnicach, potem wystawiona w czasie pracy na słońce, pękała. W tej wybująłej ziarninie i w ropniach roiły się insekty, które więźniarki ścigały patykami. Larwy much, wszy... Były też nogi tak cienkie, że

sprawiwały wrażenie samych kości, powleczonej skórą, ale kolana i stopy miały jak napęczniałe wodą gąbki. To Greczynki”[\[217\]](#).

Stopień służbowy i wynagrodzenie Braunsteiner były porównywalne z wynagrodzeniami pozostałych nadzorczyń, jednakże miała ona, jako powierniczka i zastępczyni Ehrich, uprzywilejowaną pozycję. Wprawdzie stale podkreślała, że rozpoczęła pracę w obozach koncentracyjnych jako „zwykła” nadzorczyń, a zatem była tylko trybikiem w maszynie, ale zaraz po wojnie chętnie wspominała, z trudem skrywając dumę, że w „uznaniu” za służbę w Ravensbrück otrzymała Medal za Zasługi Wojenne[\[218\]](#).

Zakrawa to na groteskę, gdyż nigdy nie brała udziału w działaniach frontowych. Wnioski o przyznanie Wojennego Krzyża Zasługi II Klasy z mieczami – lub bez – składał komendant obozu. Nadawany był „w imieniu Führera i naczelnego dowódcy Wehrmachtu”, zaś – jako że formalnie służbę w obozach koncentracyjnych traktowano na równi ze służbą na froncie – podpisywał je szef OKW feldmarszałek Wilhelm Keitel (faktycznie rzecz jasna w zastępstwie któryś z upoważnionych oficerów)[\[219\]](#).

Odnaczenie takie zostało przyznane nie więcej niż dwudziestu pięciu nadzorczyń. Nadawane było kobietom za wybitne osiągnięcia podczas służby nieprzebiegającej pod ogniem nieprzyjaciela. Jednym zdaniem – to najważniejsze odznaczenie, jakie mogła w czasie wojny otrzymać niemiecka kobieta pełniąca służbę pomocniczą realizującą plan ustanowiony przez prawo III Rzeszy, przyznano najbardziej oddanym i gorliwym w swej pracy strażniczkom[\[220\]](#).

Te nadgorliwe nadzorzynie nie były zmuszane do tej pracy, podejmowały się jej z własnej woli. Wielu z nich podobała się ta służba. A jednak podawano w wątpliwość zbrodniczy charakter tego zajęcia, argumentując, że „Kobyła” była tylko „małą śrubką w olbrzymiej morderczej maszynie”. Negowano, że reprezentowała ona rzeczywistą siłę i czy w związku z tym można ją obarczać winą. Zastanawiano się,

czy wykonywała rozkazy, czy raczej była z własnej woli „okrutną ochotniczką”?

Ona sama przyznawała, że nie musiała pomagać sobie biciem więźniów. Nie było takiego rozkazu. Ona „od siebie” biła tych nieszczęśników. Ba, w swojej pracy pomogła mordować niezliczoną liczbę niewinnych ludzi[221].

Rozdział IV

„KRWAWA ŚRODA”

Każdą nadzorczynię SS należy oceniać indywidualnie, biorąc pod uwagę jej przekonania, poglądy polityczne, wykształcenie, pozycję społeczną, a także stan cywilny. Nie można także wszystkich kobiet w służbie obozowej z góry skazać na potępienie. Wśród licznych „bestii” znajdowały się również nieliczne aufzejerki, które do końca kierowały się zasadami moralnymi i „względnie po ludzku” traktowały więźniarki[222]. Nadzorzynie zachowywały się niezwykle okrutnie i dlatego najmniejsze nawet odruchy człowieczeństwa z ich strony szczególnie rzucały się w oczy.

Przejawy wielkoduszności lub też wyrozumiałości nadzorczyń potęgowały wśród więźniarek wrażenie samowoli i absolutnej władzy strażniczek. Stosowanie zasady „trochę marchewki i dużo kija” udowodniło, że aufzejerki w ogóle, a główne nadzorzynie w szczególności, dysponowały określonymi środkami w stosunku do więźniarek, a ich użycie nie wynikało wyłącznie ze sztywnego trzymania się rozkazów. Strażniczki nie były tylko „małymi trybikami”, lecz działały samodzielnie[223].

Ich stosunek do więźniarek był bardzo różnorodny: jedne nie wykazywały zbyt wielkiej gorliwości w karaniu kobiet za drobne

wykroczenia przeciwko regulaminowi obozowemu, inne znęcały się nad nimi przy każdej okazji, szczególnie podczas pracy[224]. Jedne, jak Braunsteiner, odznaczały się wyjątkowym okrucieństwem, inne zachowywały dystans, jak Herta Ehlert, której zachowanie w Ravensbrück Margarete Buber-Neumann określiła jako „łagodne”. Także Danuta Brzosko-Mędryk zapamiętała jej zachowanie na Majdanku jako „raczej spokojne” [225].

Nieliczne aufzejerki traktowały względnie po ludzku wybrane kobiety, najczęściej swoje rodaczki oraz więźniarki funkcyjne. Te drugie nadzorczyńnie wykorzystywały do nastawiania aresztowanych kobiet przeciwko sobie. Gdy dochodziło do buntów między nimi, strażniczki miały możliwość wykazania się przed władzami obozu. Po rozwiązaniu każdego zarzewia konfliktu otrzymywały pochwałę od komendanta[226].

Stwierdzenie, iż każda strażniczka z SS była brutalną sadystką, jest zbyt uogólnieniem – trafiły się jeden czy dwa wyjątki od tej reguły. Klara Kunig była w połowie 1941 roku strażniczką w Ravensbrück i podobozie Drezno-Universelle. Jej przełożona stwierdziła, że Kunig była zbyt łagodna dla więźniów, nie biła ich i – ogólnie mówiąc – starała się traktować ich po ludzku. Nic dziwnego, że w styczniu 1945 roku Kunig została zwolniona ze służby i prawdopodobnie wkrótce zginęła podczas bombardowania Drezna przez Brytyjczyków i Amerykanów[227].

Niestety dziewczęta takie jak Kunig były pełnym wyjątkiem. Brytyjska pisarka Sarah Helm po przeanalizowaniu wielu materiałów doszła do wniosku, że strażniczki SS można podzielić na dwie grupy. Do pierwszej należy zaliczyć zdeklarowane sadystki. Historie tych kobiet, którym przyjemność sprawiało cierpienie zadawane innym, są ogólnie znane z wielu powojennych procesów i egzekucji.

Druga, znacznie liczniejsza grupa, obejmowała „nędzne kreatury”, jak je określała Helm, stanowiące większość strażniczek, które przeważnie przypadkowo trafiały do tej „profesji”, a potem nie były już w stanie się z tego wyzwolić. „Pochodziły, ogólnie rzecz biorąc, z biedy – napisała

Helm – nie były zbyt lotne i bardzo chciały wyrwać się z domu, żeby coś w życiu zmienić. Dla robotnicy z fabryki amunicji praca strażniczki była bardzo zachęcająca. Wiązała się z wyższą płacą, lepszymi warunkami mieszkaniowymi, a poza tym szansą na spotkanie wielu przystojnych mężczyzn z SS” [228].

Jednak spora część nadzorczyń na każdym szczeblu rozbudziła w sobie sadystyczne skłonności i znajdowała przyjemność w nieustannym dręczeniu więźniarek przy takich czynnościach jak kontrola porządku, dystrybucja jedzenia czy sprawdzanie stanu liczebnego na apelu. Repertuar szykan wydaje się nieograniczony, a one nie musiały obawiać się poniesienia jakichkolwiek konsekwencji. W manuskrypcie *Archiwum obozu Ravensbrück* znajduje się wstrząsająca konkluzja: „Procent tych przywoitych wahał się w granicach 10–20 procent”.

Wiele strażniczek zostało skierowanych do tej pracy ogólnym nakazem. Wykonywały ją, przyzwyczajając się powoli do tego horroru, podobnie jak lekarz przyzwyczajają się do widoku krwi. Traktowały więźniów jak przedmioty i były brutalne wobec tych, którzy na przykład nie pracowali dość szybko, opóźniając wykonanie jakiegoś zadania. Generalnie jednak część z nich nie była bestiami, którym zadawanie bólu sprawiało chorą przyjemność.

W wielu zachowanych relacjach byłych więźniarek pojawiają się opisy nadzorczyń dotyczące ich urody. Zazwyczaj strażniczki były określane jako „przystojne”, a nawet „ładne, młode dziewczyny”, którym wojskowy uniform dodawał szyku, ale jednocześnie tworzył dystans między nimi a więźniarkami. Szybko przekonywały się, że należy się ich bać i że strach jest uzasadniony. Według Zofii Krzyżanowskiej:

„Aufseherki nie miały dla nas indywidualnego oblicza i własnych cech. Nie potrafiłabym przypomnieć sobie twarzy lub sylwetki żadnej z nich. Aufseherka to szara peleryna na szaroniebieskim mundurze, to pistolet za pasem, pałka do bicia i czarny wilczur na smyczy... Aufseherka to groza... Były dla nas trybami maszyny. A my dla nich?... Nie, mogłyśmy wczuwać się wzajemnie w swoje role. Dzielili nas zbyt

wielka przepaść. Przebywałyśmy w różnych warunkach i w różnych światach... Na czym więc mogłoby oprzeć się zrozumienie? Dla nich nie byłyśmy ludźmi. One dla nas – żywymi istotami. Aufseherka, która potrafiła zaopiekować się bezdomnym psem czy kotem, nie odczuwała żadnych wahań, znęcając się bestialsko nad chorą więźniarką. Byłyśmy przedmiotami przeznaczonymi na zniszczenie. I niszczone nas bezwzględnie, bez litości, jak przedmioty martwe, a bezużyteczne. Niszczyły nas tryby obozowej maszyny. Nie dziwiłyśmy się temu. Wszakże takie było przeznaczenie maszyny... Zagadkowe było raczej postępowanie tych dobrych, które doznawały jakichś wzruszeń, przeżywały wewnętrzne opory... A może po prostu nie chciało im się zdobywać na wysiłek maltretowania innych?" [229].

Liczbę ofiar tych okrutnych kobiet bestii trudno oszacować. Zachowanie strażniczek było przerażające, ale czasami zdarzały się dosyć zaskakujące reakcje. Halina Birenbaum zapamiętała wyjątkową sytuację:

„Odwróciłam głowę i stanęłam oko w oko z esesmanką, która zagroziła mi pejczem wyjście. Nie pojmowałam, dlaczego zatrzymują mnie w baraku, skoro zaganiali wszystkie do wyjścia. Opanowana tylko jedną myślą: aby jak najszybciej połączyć się z Helą, zapomniałam o moich chorych nogach, a nie wiedziałam, że odbywa się selekcja i właśnie na nogi aufzejerka zwraca szczególną uwagę. Byłam więc bardziej zaskoczona niż przerażona, pewna, że zachodzi jakaś pomyłka, i patrzyłam na esesmankę z niecierpliwością, może nawet z gniewem. To ją zastanowiło. Raz jeszcze spojrzała na mnie – twarz wtedy miałam jeszcze pełną, świeżą – zawahała się i przeniosła wzrok na moje stopy: widziała, że utykam. I wówczas objawiły się jej oczom moje pantofle – jeden z obcasem, drugi bez. Uniosła pejcz do góry – mogłam wyjść. Heła obserwowała tę scenę z boku, półmartwa z przerażenia. Na dworze bowiem koło baraku stały już ciężarówki pełne kobiet, które aufzejerka wybrała do komór gazowych. Dobrze, iż uświadomiłam to sobie po czasie. Gdyby aufzejerka dostrzegła strach w oczach kulejącej więźniarki, nie przysłoby jej nawet do głowy spojrzeć na pantofle” [230].

Ciekawym spostrzeżeniem, które przedstawia obozową załogę w nieco innym świetle, podzieliła się pokojówka komendanta Arthura Hermanna Florstedta, Ewa Kozłowska:

„Pracowałam u komendantowej trzy miesiące. Dla mnie ta zmiana pracy była po prostu wybawieniem, czułam się tak, jakbym nagle znalazła się w niebie. Już nie chodziłam do obozu, nie potrzebowałam się meldować i stać na apelu, nie prałam pokrwawionej i zawszonej odzieży, nie miałam przed sobą widoku krematorium. A jednak, wbrew pozorom, nie była to łatwa praca. Komendantowa była kobietą bardzo pedantyczną. Ciągle chodziła po pokojach i palcem sprawdzała, czy nie ma kurzu na meblach.

[...] Z komendantową nakrywałam do stołu, a gdy wszystko było gotowe, kazała mi iść do swojej komórki na podwórko, zapewne dlatego, ażebym czegoś się nie dowiedziała z tych ich debat czy obrad. Zauważyłam, że ona także szła do siebie na górę, nie uczestniczyła w tych obradach, na których przeważnie byli sami mężczyźni, tylko czasami widziałam, jak wysiadają z czarnej limuzyny komendanta *Oberaufseherin* Elsa Ehrich czy Hermine Braunsteiner. Muszę przyznać, że byli to zbrodniarze o dużej kulturze, bo na drugi dzień po przyjęciu stół wyglądał estetycznie, na śnieżnobiałym obrusie nie było plam i żaden kieliszek nie był rozbity czy nawet przewrócony”[\[231\]](#).

Wśród dokumentów poobozowych nie zachowały się żadne przepisy na temat wymierzania kar więźniom i więźniarkom Majdanka. Lukę tę można jednak w dużym stopniu uzupełnić na podstawie regulaminów obowiązujących w innych obozach, bowiem system kar we wszystkich KL był podobny. Pierwsza instrukcja dotycząca tego zagadnienia została opracowana w 1933 roku dla obozu w Dachau przez przyszłego inspektora obozów koncentracyjnych, Theodora Eickego. Później stała się ona podstawą do ustalania przepisów dla innych obozów[\[232\]](#).

W stosunku do więźniarek lagrów kluczowe znaczenie miały procedury pierwszego obozu koncentracyjnego dla kobiet, jakim był działający od 1937 roku Lichtenburg, oraz funkcjonującego od 1939

roku KL Ravensbrück. Ten drugi był modelowym obozem i jego regulaminowe praktyki postępowania wobec osadzonych, oraz częściowo personel, zostały przeniesione do większości później powstających podobozów kobiecych, jak na przykład Birkenau[233].

Mimo iż teoretycznie kara mogła być wymierzona po wydaniu wyroku przez komendantkę, a w poważniejszych przypadkach nawet przez Inspektorat Obozów Koncentracyjnych, zazwyczaj nadzorcynie, a także część więźniarek funkcyjnych, były natychmiast, gdy spostrzegły jakieś uchybienie, a w przypadku złego humoru nawet bez przyczyny. Funkcyjne Niemki wymierzały kary cielesne pod byle pretekstem[234].

System stosowanych wobec więźniów kar i szykan był w obozach zróżnicowany i zależał często od komendanta i esesmanów zatrudnionych w wydziale III. Formalnie istniejący katalog kar, dopuszczający karę chłosty, czasowego pozbawienia żywności, przenoszenie do kompanii karnych i tym podobnych, był w praktyce rozszerzany o inne szykany, gdyż stosowano też karę stójki, umieszczanie więźniów w specjalnych celach o wymiarach metra kwadratowego, gdzie na noc umieszczano do czterech osób, czy pobyt w bunkrach o ograniczonym dopływie powietrza[235].

Pozbawione wszelkich skrupułów strażniczki były skazane rękami, pejcami, kijami bądź gumowymi wężami. Zadawały bolesne rany matkom i dzieciom, bezlitośnie kopały najmłodszych i schorowanych oraz szczuły więźniów psami. Tylko w nielicznych przypadkach przełożeni karali załogę wartowniczą za niedozwolone znęcanie się nad więźniami. Komendantura, której zależało na dyscyplinie i porządku, popierała bezwzględność aufzejerek[236].

Bezwzględnie karano także za każde uchybienie przy pracy, nawet jeśli nie wynikało ono z winy więźniarki. Na straszliwą karę chłosty narażały się również kobiety pracujące w szwalni, pralni lub magazynach, jeśli zostały pochwycone na „organizowaniu” garderoby. Podobnie postępowano z tymi, które próbowały zabrać z ogródków jakieś

warzywa. Nie wolno było również nosić medalików, różańców ani innych przedmiotów związanych z kultem religijnym^[237].

Zeznania byłych więźniarek o sadystycznych upodobaniach nadzorczyń nikogo nie pozostawiają obojętnym. Czas wojny i dominacja nad pokonanymi nie usprawiedliwiają w żaden sposób zdziczenia obyczajów i okrucieństwa. Nie generalizując, stwierdzić należy, że wiele kobiet z personelu obozów koncentracyjnych bardzo szybko popadało w konflikt z prawem. Popełniane przestępstwo było dla nich łatwym sposobem na życie. Zapewniało przywileje i dobry zarobek.

Kategoria dóbr prawnych naruszanych przez nadzorzynie obozów w stosunku do ich podwładnych jest bardzo szeroka. Przykładowo należy tylko wspomnieć o przestępstwach pospolitych, takich jak kradzieże, przestępstwach obyczajowych polegających na naruszeniu swobody życia seksualnego, aż po przemoc skutkującą w wielu przypadkach zgonem. Dodatkowo, i co najistotniejsze, udział w zorganizowanym mordowaniu grup narodowych i w następstwie tego wyczerpanie znamion charakterystycznych dla zbrodni przeciwko ludzkości, które wchodzi w generalny katalog zbrodni wojennych^[238].

Liczne egzekucje więźniów – Polaków, w tym kobiet – odbywały się na Majdanku od stycznia 1944 roku aż do wyzwolenia. Skazańców przywożono spoza obozu szarymi autobusami lub samochodami ciężarowymi wprost do krematorium i tam ich rozstrzeliwano. W świetle dostępnych źródeł liczby wymordowanych nie da się ustalić nawet w przybliżeniu^[239].

Oprócz egzekucji z góry zaplanowanych przez władze obozowe wielokrotnie miały miejsce przypadki zastrzelenia przez strażników pojedynczych osób rzekomo w czasie ucieczki. Wystarczyło, że któraś z kobiet przez nieuwagę zbyt blisko zbliżyła się do ogrodzenia. Esesmani celowo stwarzali pozory ucieczki więźnia, gdyż za udaremnienie jej otrzymywali w nagrodę kilka dni urlopu. Pewnego razu wartownik rzucił niedopałek papierosa i polecił podnieść go więźniarce Polce. Gdy

kobieta oddaliła się nieco, aby spełnić rozkaz, natychmiast ją zastrzelił[240].

Zdarzało się, że esesmani strzelali do kobiet i dzieci dla rozrywki lub w przyływie złego humoru. Uchodziło im to całkowicie bezkarnie. Kiedyś doktor Perzanowska, słysząc na polu strzały, wybiegła przed barak i zobaczyła, że lekarz esesman Blancke strzela do kobiet myjących pod studnią naczynia. Scenę tę spokojnie obserwowała Elsa Ehrich. Gdy lekarka zapytała, co się stało, odpowiedział: „Nic się nie stało, kupiłem nowy flower i chcę go wypróbować”[241].

Byłem więźniem, którzy byli świadkami w procesie majdankowskim, utkwiał w pamięci tylko jeden przypadek zastrzelenia dokonanego przez nadzorczynię, odnotowany także w aktach SS: zgodnie z informacją zawartą w jednym z dokumentów nadzorczyńi Anna David śmiertelnie raniła więźniarkę na skutek „nieumiejętnego obchodzenia się” z bronią służbową i została z tego powodu ukarana pięcioma dniami łagodnego aresztu[242].

O niezwykłości tego przypadku świadczy fakt, że zapamiętały go prawie wszystkie nadzorczyńie, nawet te, które wiedziały o nim tylko ze słyszenia. Widok strzelającej strażniczki zdaje się także na Majdanku czymś „szczególnym”. Znamienne, że w powojennych przesłuchaniach koleżanki David jednogłośnie tłumaczyły to postrzelenie jej bezmyślnością, jak mówiły: „pijaństwem”, „histerią”, „głupotą” czy „zabawą” bronią[243].

Załoga obozu starała się każdą chwilę pobytu więźnia w tym miejscu przeobrazić w koszmar. Najprostsze czynności, jak kąpiel, dezynfekcja, przeprowadzka do innego baraku, były pretekstem do najwymyślniejszych udręk i szykan. Jednym z rodzajów kary stosowanej na Majdanku było wieszanie kobiet za ręce wykręcone do tyłu. Oryginalną karę wymierzono kiedyś Zofii Klejnotowej. Za to, że próbowała dołączyć się do grupy kobiet prowadzonych do kąpeli, musiała przez pół godziny biegać za jadącą na rowerze komendantką[244].

Szczególnie męczące były apele poranne i wieczorne. Przez cały rok, bez względu na pogodę, odbywały się one na placu apelowym. Podczas ulewy lub zamieci nadzorczynie chroniły się w kancelarii, a więźniarki musiały stać na baczność w równych szeregach i oczekiwać na ich przybycie^[245].

Zdarzały się przypadki karania kobiet wielogodzinną stójką w pozycji na baczność między dwoma rzędami ogrodzenia pól więźniarskich. Były one przy tym pewne, że druty są pod napięciem elektrycznym. Stójka trwała zwykle od apelu rannego do wieczornego.

Wycieńczone kobiety i nawet małe dzieci musiały niezależnie od pogody i pory roku stać równo w szeregach na baczność, co więcej, zdarzało się, że nadzorczynie polewały je zimną wodą. Im większa liczba więźniarek, tym dłużej trwał ów „rytuał”, podczas którego aufzejerki dodatkowo, po kilka razy przeliczały osadzone kobiety^[246]. Wiele więźniarek mówiło o tych apelach, wśród nich Aleksandra Imach:

„Jednym z najbardziej wyrafinowanych udręczeń były apele obozowe. Odbywały się one zawsze wczesnym rankiem i wieczorem. Wszystkie kobiety, ustawione piątkami na placu apelowym poszczególnymi barakami, które zwano blokami, stały wyprostowane w bezruchu. Esesmanki w towarzystwie sekretarek i blokowych obliczały stan bloku, a następnie stan całego pola. Esesmanki – to często analfabetki lub półanalfabetki. Mundur wojskowy i buty z cholewami imponowały im nade wszystko. Nie umiały liczyć, a więc czynności swoje wykonywały długo i mozolnie, wielokrotnie sprawdzając stan obliczeń: żadna omyłka nie była dopuszczalna. My zaś bez względu na pogodę, a więc w czasie mrozu, deszczu czy silnego wiatru, stałyśmy wyprostowane, często po kolana w błocie, w którym grzęzły i ginęły nasze drewniaki, i opadałyśmy z sił. A ponieważ całym naszym odzieniem były lekkie obozowe pasiaki, więc przemarzałyśmy do szpiku kości. Po każdym takim apelu stan zdrowia więźniów pogarszał się.

[...] Zdarzyło się kiedyś, że jedna z kobiet nie wyszła na apel, ukrywając się na strychu. Wielokrotnie przechodząc wzdłuż szeregów,

esesmanki nie mogły się jej doliczyć. Zaczęły się poszukiwania. Na silnym mrozie, bez pożywienia, stałyśmy w oczekiwaniu na wyniki tych poszukiwań, które na nasze nieszczęście nie dawały żadnych rezultatów. Ubywało nam sił, a niejedna utraciwszy przytomność, opadała na ziemię. Tak przestałyśmy od rana do wieczora. Gdy wreszcie ukrywająca się kobieta została odnaleziona, pobito ją i zmaltretowano w tak nieludzki sposób, że bez przytomności musiała być odniesiona do baraku.

Przeżyłyśmy wiele tego rodzaju apeli. Esesmanki w stosowaniu zasady zbiorowej odpowiedzialności były nieubłagane. Nieobecność którejkolwiek z nas, z jakiegokolwiek przyczyny, była powodem długotrwałych przestojów na mrozie i wietrze. Ciężko chore, podtrzymywane przez koleżanki stawały także do szeregu”[\[247\]](#).

Przez wiele godzin trwał apel także w mroźną noc sylwestrową 1943/1944 roku za to, że u jednej z kobiet podczas rewizji przy bramie znaleziono kawałek brukwi. Inne kary, stosowane w ramach odpowiedzialności zbiorowej, to bicie po kolei całych grup kobiet, ograniczanie możliwości zaspokajania potrzeb fizjologicznych lub pozbawianie ich posiłków. Gdy kiedyś jedna z nadzorczyń zauważyła, że z powodu zimna więźniarki spały po dwie na jednej pryczy, przez cały dzień na pole I nie dostarczono śniadań, obiadów i kolacji[\[248\]](#).

Gdy 13 marca 1943 roku uciekło trzech Żydów, więźniowie musieli na apelu stać na baczność aż do momentu ujęcia zbiegów, mimo iż tego dnia wiał silny wiatr i padał deszcz ze śniegiem, a później śnieg. Zimno tym dotkliwiej dawało się we znaki, że poprzedniego dnia wszystkim odebrano płaszcze. Do baraków pozwolono wejść dopiero po północy. Wielogodzinną stójką ukarano także pole kobiece po stwierdzeniu nieobecności osiemnastoletniej więźniarki. Na karny apel zazwyczaj kazano wynosić nawet chorych. Dla wielu z nich kończyło się to nieuniknioną katastrofą[\[249\]](#).

Pewnego razu w ubikacji zmarła Żydówka. Jej zwłoki znaleziono po wielu godzinach i dopiero wówczas apel został odwołany. Innym razem jakiś więzień zmarł przy zbieraniu kartofli. Jego ciało przysypał śnieg,

więc zanim go znaleziono, apel, zarówno w obozie żeńskim, jak i męskim, trwał do późnych godzin nocnych[250].

Po ucieczce pewnego Żyda w marcu 1943 roku, niezależnie od karnego apelu dla więźniów z całego pola, współmieszkańcy bloku, w którym mieszkał, otrzymali chłostę po dwadzieścia pięć batów. Podobną karę wymierzono więźniom zatrudnionym przy wywożeniu śmieci, gdy trzech z nich próbowało wydostać się z obozu. Powszechnie stosowaną w obozach torturą było również wieszanie ofiar na słupach za związane z tyłu ręce. Bywały także wypadki dziesiątkowania. Po nieudanej próbie ucieczki jeńców sowieckich w 1942 roku wszystkich ustawiono w szeregu i co dziesiątego rozstrzeliwano[251].

Znane są liczne wypadki skazywania na śmierć ludzi, którzy nawet nie myśleli o ucieczce. Wystarczyło na przykład, że ktoś zdrzemnął się lub zasnął i nie stanął do apelu, aby spotkał go los przeznaczony dla wszystkich zbiegów. Za ucieczkę więźnia odpowiedzialność spadała nie tylko na współtowarzyszy niedoli, ale czasem i na członków rodziny. Latem 1943 roku podczas apelu rannego powieszono dwudziestosześcioletnią kobietę, kiedy stwierdzono nieobecność jej siostry[252].

Nadzorczyńnię potrafiły często zatruć więźniarkom nawet tak radosną chwilę jak rozdawanie paczek; pod pozorem kontroli wysypywały na przykład do pudełka zawartość wszystkich torebek, tworząc w ten sposób mieszaninę różnych produktów, nienadającą się do spożycia. Więźniarki, które przeżyły obozy – zarówno Polki, jak i Żydówki – dobrze zapamiętały prześladowców. Opisywały, jedna po drugiej, swoje przeżycia: ciągłe tortury i poniżanie[253].

„Wczesnym rankiem ze snu wyrwały mnie krzyki, strzały i razy spadające na nasze plecy” – wspominała jedna z więźniarek. „Potężne wilczury towarzyszące żandarmom budziły trwogę. Trzymając się mocno za ręce, szukając wzajemnego wsparcia, maszerujemy w jednej piątce: Ignacy, Hela, dziadek, Lena i ja. Hela potknęła się o leżący na szosie kamień i upadła. Spuszczony ze smyczy, poszczuty przez swego

pana hitlerowski pies skoczył na nią, wgrzyzając się w jej plecy. Oszalałe ze strachu ciągniemy za sobą wijącą się z bólu Helę. Groźny pies nie daje za wygraną. Podbechtany śmiechem żandarmów, mocno trzyma swoją ofiarę. W końcu na rozkaz swojego pana puścił Helę na wpół przytomną ze strachu i bólu. Dopadł do nóg Niemca z kawałkiem palta i odgryzionego mięsa w paszczy. Ten z uznaniem poklepał szczekające zwierzę” [254].

Codziennie stosowanie przemocy w stosunku do więźniów służyło nie tylko zdominowaniu, złamaniu i zniszczeniu osadzonych, jak wynikało z dotychczasowych badań poświęconych obozom koncentracyjnym. Miało też pełnić funkcję „pokazową” wobec znajdujących się w pobliżu koleżanek i kolegów sprawcy, który sięgał po przemoc również dla zademonstrowania, na co go „stać” [255].

Każdy osobisty kontakt z kimś z załogi obozu zazwyczaj oznaczał bicie i poniżenie, więc więźniarki dosłownie zastygały z przerażenia, widząc nadchodzącą aufzejerkę. Regulamin obozowy przewidywał nawet poprawne zachowanie się więźnia podczas bicia! „Jak uderzył mężczyzna – przyznawała Joanna Penson – bardziej bolało. Ale chyba gorsze były te młode esesmanki w eleganckich mundurach. Te były mechanicznie i precyzyjnie. One głęboko wierzyły, że są nadludźmi, lepszą rasą, a my to zwierzęta robocze” [256].

W każdej chwili można było zostać zakatowanym z byle powodu albo wręcz bez takowego. W tym świecie realnością była codzienna śmierć. Dlatego też nie było tu miejsca ani na dobro, ani na piękno, ani na współczucie. Straszna była również bierna akceptacja śmierci przez więźniów [257]. Nie do pojęcia był także „dzień powszedni” na Majdanku – sześć komór gazowych latami „pracowało” non stop, dzień i noc. Inne ofiary, przede wszystkim kobiety, dzieci i chorzy, były zabijane uderzeniami, duszone, wieszane, topione.

„Więźniarki nadzorowane były przez nadzorki niemieckie. Przypominam sobie tylko jedną z nich – opisywała takie szykany Irena Taracha – była nieduża, tęgawa, lecz nie wiem, jak się nazywała.

Dostałam od niej kilka razy pejczem za to, że trzymałam ręce w kieszeni. Był to listopad lub grudzień, było bardzo zimno, więc ręce chowało się, gdzie tylko można było. Niemka zauważyła to i za to zbiła mnie pejczem.

Wśród więźniarek były kobiety, które paliły papierosy. W tym czasie w pobliżu V pola budowano krematorium. Jedna z więźniarek, Zofia Zborowska, zbliżyła się do robotników i od nich otrzymała kilka papierosów. Zauważyła to Niemka – nadzorczyńi, zabrała Zborowską gdzieś, ale nie wiem dokąd. Po pewnym czasie Zborowska wróciła, lecz była tak zbita, że miała całe ciało sine. Na apelu nie mogła stać. Zabrano ją do rewiru. Stamtąd już nie powróciła”[\[258\]](#).

Dla większości strażniczek SS maltretowanie podwładnych było wspaniałą zabawą i sposobem na spędzenie wolnego czasu. Biły więźniów z przyjemnością dla wykazania pełni swej władzy nad życiem i śmiercią innych ludzi. Udokumentowane są przypadki, gdy nadzorczyńie katowały okrutnie aż do momentu utraty przytomności bądź życia przez ofiarę[\[259\]](#).

„Bicie – wspominał więzień Franz Armbruster – było na porządku dziennym i niejednego pobito na śmierć. Przytoczę tylko kilka przypadków. Jeden esesman powiedział, że jest w złym humorze, że musi zaczerpnąć powietrza, i wyszedł z kijem do grupy Żydów, którzy właśnie wykonywali swoją pracę. Po krótkim czasie czterech Żydów leżało zalanych krwią. Dość często wyciągano z latryny kogoś, kto podobno «sam» do niej wpadł. Oczywiście wpadł do środka, bo ktoś go tam wrzucił. Czasami odnajdywano kogoś wiszącego w jakimś zakątku, czego również sam nie zrobił”[\[260\]](#).

Każdy aspekt życia więźniarek był zamieniony w jakąś formę szykan. Dopuszczalne były wszelkie formy psychicznego, emocjonalnego znęcania się. Całkowita dominacja nad tysiącami więźniarek była sposobem utrzymania dyscypliny, a każdy najmniejszy przejaw buntu miał natychmiastowe konsekwencje.

Zwalczany był także każdy przejaw humanitaryzmu i chęć niesienia pomocy innym. Maria Bielicka-Szczepańska została zbita pejczem za to, że owinęła kocami półnagie Żydówki, wyselekcjonowane na rewirze do komory gazowej. Podobna kara spotkała Helenę Kurcyszową, gdy dała dzieciom rosyjskim więcej zupy. Kary cielesne wymierzano także pielęgniarcom, gdy któraś z nadzorczyń spostrzegła, że gotują wodę do picia dla chorych.

Bardzo często, niezależnie od tego, że funkcyjna Niemka zbiła więźniarkę natychmiast po ujawnieniu jej wykroczenia, meldowała o tym w kancelarii, gdzie dodatkowo oficjalnie skazywano „winowajczynię”. Zazwyczaj była to także kara chłosty, wymierzana publicznie, na specjalnym koźle, w czasie apelu wieczornego. Przeciętnie wymierzano od pięciu do dwudziestu pięciu razów. Była to z zasady znacznie mniejsza liczba od tych, jakie ofiara otrzymała już wcześniej[261].

Karano także za: niedołożne maszerowanie, niedotrzymywanie kroku w marszu, plamkę na drzwiach szafki, fałdę na łożku, powolne ustawianie się na zbiórkę, rozmawianie w czasie pracy, brudne buty, trzymanie ręki w kieszeni, niewyraźne śpiewanie w czasie marszu, znaleziony w kieszeni list od żony lub inny przedmiot, wejście do sypialni w czasie dnia, przebywanie w obcym bloku lub w godzinach nieprzepisowych na ulicy, jedzenie czegokolwiek w pracy[262].

Każdego dnia kobiety zmuszano do pracy ponad siły przy przeładunku piasku i cegieł, budowie domów dla esesmanów, w różnego typu fabrykach i warsztatach. Na terenie obozu istniał kompleks przemysłowy z zakładami, których produkcja bazowała na tradycyjnych zajęciach kobiecych, takich jak szycie, tkanie czy wyplatanie. W czasie wojny na terenie całych Niemiec powstało ponad czterdzieści podobozów, w których więźniarki Ravensbrück zmuszane były do niewolniczej pracy. Pracowały one również przy wyrobie amunicji.

Kobietom nie wolno było odpoczywać ani rozmawiać, nawet jeśli spowodowane było to poważną niedyspozycją. Do wyjątków należały

dozorczynie, które tolerowały choćby chwilowe oderwanie się więźniarki od wykonywanego przez nią zajęcia. Często zdarzało się bowiem, że kobiety chore, którym udało się dostać do lepszego komanda, nie chciały odejść na rewir, wiedząc, że po powrocie do zdrowia zostaną przydzielone do innej pracy. Gdy więc nie wytrzymały szybkiego tempa, były bite, a niejednokrotnie nawet aufzejerka meldowała o ich rzekomej opieszałości w kancelarii obozu, gdzie następnie wyznaczano oficjalną karę[263].

Bili wszyscy. Kto chciał i kiedy chciał. Dozorczynie na apelu, esesmani w pracy, blokowe i sztubowe w bloku. Bili za wszystko. Za uśmiech nie w porę, za rękę w kieszeni, za nie dość szybkie ustawienie się po kotły. I za to, że się za blisko przeszło koło jakiejś potentatki łagrowej, i za to, że się miało według niej za głupią minę. Bili wszędzie. Przepadło bez śladu pojęcie nietykalnej godności ludzkiej, ludzie stawali się gromadą zwierząt rozwścieczonych i drżących przed batem[264].

Kobiety i mężczyźni w obozach znaleźli się w tych samych warunkach egzystencji, jednak stopień terroru, jaki tam zapanował, odnosił się nie tylko do poszczególnych kategorii więźniarskich, również płeć determinowała sposób, w jaki był on przeżywany. Badaczka historii kobiet w czasach Holocaustu, Joan Ringelheim, zauważa, że z gett do obozów zagłady zostało deportowanych znacznie więcej kobiet niż mężczyzn. A jednak wśród osób, które przeżyły obóz, kobiety stanowiły tylko jedną trzecią[265].

Kobiece postrzeganie rzeczywistości obozowej – z perspektywy uwarunkowań norm męskości i kobiecości obowiązujących w społeczeństwie – z oczywistych względów musi być odmienne. Świadkowie mężczyźni rzadko omawiają aspekty ściśle związane z konstrukcją kobiety i jej egzystencją w ekstremalnych warunkach. Obozowe cięższe, dramatyczne porody, przerwane macierzyństwo, eksperymenty naukowe, gwałty czy prostytutka – to tematy, do których odwołują się przede wszystkim kobiety – ich bezpośrednie ofiary[266].

W noc wigilijną Bożego Narodzenia 1943 roku w jednym z baraków na polu kobiecym zjawił się pijany szef Oddziału III, Anton Thumann, wyciągnął z łóżek kilkadziesiąt młodych dziewcząt i zaczął je przesłuchiwać. Położyła temu kres dopiero Elsa Ehrich, która potraktowała ów incydent jako ingerowanie w jej kompetencje. Ale nie zawsze wizyta esesmanów kończyła się happy endem, ponieważ kobiety w obozach dotykała szczególna dyskryminacja seksualna.

Niektóre, aby przeżyć, decydowały się na pracę prostytutek w domach publicznych, utrzymywały intymne stosunki z kapo oraz funkcjonariuszami SS. Dochodziło ponadto do gwałtów, o czym wspominał prokurator Jerzy Sawicki w emocjonalnej wypowiedzi podczas pierwszego procesu zbrodniarzy z Majdanka:

„Barak, a w nim 300 kobiet umęczonych w ciągu dnia, zhańbionych i bitych. Jest wieczór. To czekanie skurczonych kobiet na pryczy. Ta myśl nieustępliwa i dręcząca. Przyjdzie taki Pohlmann, Stalp czy inny? Na którą z nas kolej dziś? To przewracanie się z boku na bok, w męce bezsenności, po dniu pracy przerastającej siły. Przekupi dziś straż czy nie przekupi? W jakim stanie przyjdzie, jakiej będzie rozkoszy żądał? Czy czujecie, sędziowie, tę hańbę, czy czujecie tę potworną bezsilność tych kobiet? Te długie godziny czekania przed gwałceniem. Ale i to jeszcze nie jest Majdanek. Gwałciciel odszedł, zachłystując się żądzą, pijaństwem i tym drażniącym pogardliwym uśmiechem, który tak jest właściwy Stalpowi. Uprzytomnijcie sobie tę jedną sekundę, tę jedną chwilę potem, gdy kobieta zhańbiona, rozbita, szuka samotności, ucieczki od ludzi, a tu obok – 300 rozszerzonych oczu, 300 spieczonych policzków, 300 szepczących warg. Tu nie ma ucieczki, bo wokół tylko drut kolczasty, tylko prąd wysokiego napięcia... I pozostaje tylko jedna jedyna droga... w nicość, przez krematorium. Ale tam trzeba cierpliwie czekać kolejki wyznaczonej przez Niemca. To jest Majdanek!

Oto chłop polski w czasie akcji wywieziony ze swoją żoną. Siedzi z nią w baraku o 1000 łózkach. Nic tak nie łączy ludzi jak świadomość wspólnej śmierci. Nic tak nie podnosi na duchu, jak pewność, że ktoś obok w takiej chwili jest przy mnie cały. Nic tak nie pociesza w ostatnich

minutach życia jak to, że ta kobieta, moja jedyna, przy mnie już będzie do końca, który tak bliski, dotykalny. Ale tego nawet mu nie dano, tej ostatniej pociechy, tego ostatniego zjednoczenia, tego ostatniego podniesienia. I to mu odebrano. Co się działo w sercu tego chłopca, kiedy obok siedziała pohańbiona żona. Pomyślcie. 1000 oczu, 1000 sąsiadów, a tu on, chłop, bezsilnie przypatruje się hańbie swej własnej żony. Czujecie to! To jest Majdanek!”[\[267\]](#).

Załoga obozu robiła wszystko w celu doprowadzenia do tego, by człowiek zżył się z myślą, że jest odpadkiem społecznym, brudną szmatą wyrzuconą na śmietnik, istotą odepchniętą przez swoich bliźnich ze wstrętem i pogardą. Usiłowano dojść do tego drogą nieustannych upokorzeń, obelg i drwin, drogą bezlitosnego znęcania się i ośmieszania. Nieustannie wbijano w pamięć häftlingowi, że jest nędznym robakiem i takim już na zawsze pozostanie. Bez przerwy stawiano mu przed oczami jego absolutną bezwartościowość społeczną i tłumaczono, że śmierć jego lub życie nie posiada najmniejszego znaczenia.

Regulamin zabraniał uchylić się od uderzenia albo zasłaniać się rękami. Należało stać prosto, na baczność, i znieść bez mrugnięcia sypiące się na głowę i twarz ciosy. Dla tysięcy więźniarek bicie stało się codziennością. Policzkowanie i kopanie ciężkimi buciorami stanowiło rodzaj kary doraźnej, której intensywność zależała od nadzorczyńni lub więźniarki funkcyjnej. Kobiety szybko zorientowały się, które aufzejerki biją najmocniej i bez opamiętania. „Kobyła” należała właśnie do tej grupy, będąc postrachem wszystkich podwładnych.

Teren obozu koncentracyjnego był polem do popisu dla strażniczek, które prześcigały się w wymyślaniu coraz to nowych kar mających jeszcze bardziej upokorzyć ofiary. Przemoc w obozie miała wymiar realny – chłosta pejczem była tylko początkiem cierpień. Niezagojone rany przyczyniały się do zakażeń, które wywoływały gorączkę i najczęściej śmierć w męczarniach.

Na Majdanku niebezpieczeństwo wybuchu epidemii pogłębiała jeszcze przepaść – zawarta już w samej organizacji nazistowskich obozów

koncentracyjnych, ugruntowana przesłankami politycznymi i (społeczno-)rasowymi – która istniała między więźniami a załogą SS. Aby uniknąć potencjalnego zarażenia podczas stosowania przemocy fizycznej, do bicia używano pejczy i kijów, z obawy przed dotknięciem więźnia. Ponadto używanie narzędzi do bicia oznaczało nie tylko większą siłę uderzenia, ale i dodatkowe upokorzenie. Jak wyraził to przed sądem w Düsseldorfie Stanisław Chwiejczak: „One były więźniów jak zwierzęta” [268].

To dlatego prokurator Dieter Ambach oskarżający zbrodniarzy w Düsseldorfie pokusił się o stwierdzenie, że więźniowie pochodzenia żydowskiego, którzy trafili do Auschwitz, mieli trochę... szczęścia. Brzmi to makabrycznie, że mogli mówić o szczęściu, gdy przekraczali słynną bramę z napisem: *Arbeit macht frei*. Tam jednak istniała przynajmniej szansa przeżycia. A na Majdanku Żydzi praktycznie zostali pozbawieni takiej szansy.

„Widok, jaki tam zastaję – wyznawała po wojnie Janina Siwińska – dosłownie paraliżuje mnie. Powietrze jest aż ciężkie i gęste od odoru krwi i rozkładających się ciał. Pomordowani w niesamowitych pozach leżą pokotem, widać, że nie tylko do nich strzelano, ale pastwiono się nad nimi. Nie wiadomo, gdzie która kończyna i do kogo należy. Odnoszę wrażenie, że duszę się formalnie w tej atmosferze grozy” [269].

Podobnie jak w innych obozach hitlerowskich, więźniowie Majdanka byli wykorzystywani jako tania siła robocza. W połączeniu z innymi elementami obozowej rzeczywistości – bezwzględny reżimem i nędznym wyżywieniem, a nierzadko także brakiem wody pitnej, praca była jednocześnie czynnikiem eksterminacyjnym. Egzekucje odbywały się przeważnie przez rozstrzelanie. Obejmowały one głównie jeńców radzieckich, polskich więźniów politycznych i Żydów.

„Proszę sobie wyobrazić – przekonywała więźniarka Zippora Pestes – tam było tak źle, pewnego dnia usłyszeliśmy, że grupa esesmanów będzie wyszukiwać kobiety, które mają być wysłane do Oświęcimia. My wiedzieliśmy dokładnie, że Oświęcim nie był pensjonatem i że było tam

źle. Ale to było dla nas obojętne – najważniejszą rzeczą było wydostać się z tego miejsca” [270].

W stosunku do kobiet i dzieci więzionych na Majdanku esesmani stosowali głównie dwa rodzaje eksterminacji bezpośredniej: rozstrzeliwanie i uśmiercanie gazem w specjalnych komorach. Masowe rozstrzeliwania miały miejsce w lesie krępieckim już wiosną i wczesną jesienią 1942 roku, przed oficjalnym powstaniem Majdanka [271]. Pierwsza akcja likwidacyjna odbyła się 11 kwietnia 1942 roku i była wymierzona w gminę żydowską w Zamościu. Trzy tysiące ludzi załadowanych zostało do pociągu śmierci i wywiezionych do Bełżca. Z akt delegatury wynika, że dzieci, przywożone do Majdanka masowo, były mordowane w komorach gazowych... Ocenia się ich liczbę w obozie 15 lipca 1943 roku na cztery tysiące (tylko z akcji „pacyfikacyjnej” na Lubelszczyźnie).

Niektórym udawała się ucieczka do miasta, gdzie bezradnie błąkając się po ulicach, stawali się łatwym celem dla niemieckich łowców. I tylko nieliczni Polacy gotowi byli zaoferować Żydom schronienie, a tym samym zaryzykować utratę własnego życia. Cyniczne pytanie, które zrozpaczeni ludzie słyszeli w odpowiedzi na swoją prośbę o pomoc, brzmiała: „Jeśli Bóg nie lituje się nad swoim narodem, dlaczego wymagacie tego od nas, ludzi?” [272].

Jak podkreśla Maria Janion, choć nie zawsze sobie z tego zdajemy sprawę, Zagłada Żydów określa cały dzisiejszy system kultury, wszystkie pytania i dylematy ponowoczesności. W Polsce w wielu dziedzinach niedostatecznie zakorzeniło się myślenie, wyciągające wnioski z Holocaustu, który – strasznym zrzędzeniem dziejów – dokonał się przeważnie „na polskiej ziemi”. Zagłada była zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju. W dziejach świata od dawien dawna toczono imperialne wojny, wszczynano walki z takim czy innym ustrojem. Nigdy jednak w nowożytnej historii nie doszło do tak silnej eksplozji nienawiści i zniszczenia.

Nie chodzi o żadną abstrakcję czy metaforę, lecz zniszczenie w dosłownym znaczeniu tego słowa. Celem nazistów było bowiem unicestwienie całego narodu za pomocą takich metod jak zagłodzenie, rozstrzelanie, zagazowanie i spalenie. Z powierzchni ziemi miała zniknąć cała kultura. Dlatego silny sprzeciw budzą wszelkie próby relatywizacji czy bagatelizowania Zagłady bądź też nadania jej – przez analogię do działań innych dyktatorów – pozorów „normalności” [273].

Po zdławieniu powstania w getcie warszawskim (powstanie rozpoczęło się 19 kwietnia 1943 roku) duża część ocalałych Żydów została przetransportowana do obozu koncentracyjnego na Majdanku. Tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci przywożono do lagru w Lublinie do około połowy maja 1943 roku. Wśród nich była grupa około trzystu kobiet i dziewcząt, które następnie umieszczono w kobiecym baraku w Lublinie.

Pewnego popołudnia, krótko po 15 maja 1943 roku, po przybyciu ostatnich transportów z Warszawy, więźniarki te poddano selekcji. Wśród nich były „już niewarte życia” – tak nazywano niezdolne do pracy kobiety, które były wyszukiwane i mordowane przez zagazowanie. Kierownictwo nad selekcją przeznaczonych do uśmiercenia więźniów należało do pierwszego lekarza obozowego – doktora Maxa Blanckego, przypuszczalnie jeszcze jeden lekarz obozowy – doktor Heinrich Rindfleisch – brał w niej udział [274].

Tragiczną rolę Majdanka jako miejsca straceń najdobitniej unaocznia fakt, że dokonano tutaj największej egzekucji w historii WSZYSTKICH obozów hitlerowskich. Ten masowy mord ludności żydowskiej, kończący *Aktion „Reinhardt”*, otrzymał cyniczny kryptonim *Erntefest* („Dożynki”) [275].

„Kiedy o piątej rano stanęliśmy na apelu – wspominała Helena Kurcysz – zobaczyliśmy na wieżach strażniczych po trzech «postów». Zwykle był tylko jeden na każdej wieżyczce. Po apelu nie zrobili, jak zwykle, Arbeitsapelu – tylko wpędzili nas do bloków.

Natomiast wygonili na apel wszystkie Żydówki. I to nie tylko Żydówki pracujące na zewnątrz pola, ale również, ku naszemu przerażeniu, kucharki i szrajberki. Kuchnia i szrajbsztuba były obsadzone wyłącznie przez Żydówki. Aufzejerki biegały jak oszalałe i krzyczały:

– *Alle Juden austreten! Alle Juden!*^[276]

Pamiętam, jak w pewnym momencie wpadła do naszego bloku oberaufzejerka i osobiście wyprowadziła za rękę Mincie, swoją ulubioną fryzjerkę. Byłyśmy przerażone i nie wiedziałyśmy, co to wszystko znaczy. Wreszcie wszystkie Żydówki wyprowadzono za bramę i popędzono w kierunku V Pola.

Nastąpiła nagle cisza, ale te cisze obozowe, nabrzmiałe grozą i napięciem, były straszne.

Z okien naszego bloku widziałyśmy niekończące się kolumny Żydów i Żydówek, gnanych w tym samym kierunku. Po jakimś czasie powietrze wypełniły skoczne tony marszów i walców, płynące, jak się potem okazało – z głośników, ustawionych na dachach bloków. Ale wśród tej wrzaskliwej muzyki przebijały aż nadto wyraźnie serie karabinów maszynowych.

O którejś godzinie wpadła do nas jedna z aufzejerek, Alice Orłowsky, wielka blondyna, upadła na pierwsze z brzegu łóżko i dostała jakiegoś nerwowego szlochu. Krzyczała, płakała, miotła się, wreszcie, kiedy nieco przyszła do siebie, zaczęła nam opowiadać, co się tam dzieje. Mordują wszystkich Żydów, nie tylko z Majdanka, ale także z okolicznych obozów z Trawnik, Poniatowej i Bełżca. Każą im rozbierać się do naga, ustawiać po pięćdziesięciu nad rowami – uprzednio wykopanymi przez więźniów – oddają do nich serię z karabinów maszynowych i natychmiast ustawia się biegiem następna pięćdziesiątka”^[277].

Nie oszczędzono wówczas nikogo. W kolumnie skazańców znalazł się cały personel szpitalny pochodzenia żydowskiego, ponadto ciężko chore, które trzeba było wyprowadzać, a nawet wynosić na noszach, dzieci oraz więźniarki innej narodowości, jeśli niebaczenie stanęły wśród Żydówek.

W ciągu kilku najbliższych dni funkcyjne Niemki i Lagerälteste[278] skrupulatnie sprawdzały personalia wszystkich więźniarek, wyszukując osoby pochodzenia żydowskiego. Te, w stosunku do których istniały wątpliwości, czy są Aryjkami, zostały rozstrzelane[279].

„Padły pierwsze serie broni maszynowej – wspominał były więzień, Polak, Feliks Siejwa – w tej samej chwili zagłuszone zostały dźwiękami marsza wojskowego, płynącego z dziesiątków wielkich głośników, umieszczonych na słupach specjalnie postawionych w nocy. Teraz spostrzeżliśmy, że obóz został zradiofonizowany, głośnik był nawet na środku pola.

Od tego momentu do godziny 14 głośna orkiestra grała marsze, tanga, sentymentalne walce. Przeszywające się przez muzykę, nieustanne trajkotanie karabinów maszynowych i ujadanie psów znaczyły zmianę płyt.

Piekielny koncert trwał osiem godzin bez przerwy, osiem godzin śmierć wybijała ponure *staccato*”[280].

Szef krematorium, Erich Muhsfeldt, który obserwował jej przebieg z odległości kilkudziesięciu metrów, zeznał:

„Wpędzono część Żydów, zgromadzonych na polu V, do jednego baraku, gdzie musieli rozebrać się do naga. [...] Od przejścia do dołu utworzono szpaler uzbrojonych policjantów. Przez szpaler ten pędzono nagich Żydów w kierunku dołów. Tam jeden esesman z Sonderkommando wpędzał do każdego z rowów po 10-ciu. [...] Tam musieli się oni położyć, a następnie stojący nad brzegiem rowu esesmani z Sonderkommando strzelali do nich. Następne grupy pędzono również aż do jego końca, tam musieli się ci ludzie kłaść na rozstrzelanych poprzednio, tak, że z biegiem czasu rów taki zapełniał się odcinkami, aż prawie po brzegi”[281].

W ciągu dwóch dni w obozie koncentracyjnym na Majdanku i obozach pracy w Poniatowej i Trawnikach niewielkie komanda złożone z lubelskich i zamiejskowych esesmanów rozstrzelały ponad czterdzieści tysięcy Żydów. Była to przerażająca zbrodnia, historiografia i relacje

dosłownie cudem ocalałych ofiar obrazują niespotykany poziom okrucieństwa i bestialstwa sprawców, a przede wszystkim olbrzymi wymiar bólu i cierpienia ofiar.

„Krzyk i płacz zabijanych – potwierdzał Mieczysław Michałowicz – zagłuszały skoczne melodie rozbrzmiewające z głośników. Słyszeliśmy jednocześnie prawie wszystkie rodzaje walców, polek, marszów i innych utworów muzycznych.

– «Znienawidziłem muzykę» – odezwał się stojący obok mnie towarzysz obozowy.

Piekło trwało od około ósmej godziny rano aż do zmroku. Tymczasem esesmani przetrząsali cały obóz, zaglądając do każdego łóżka chorych, wydobywali pojedynczo ukrywających się więźniów żydowskich, łączyli ich w większe grupki i spędzali do kolejnych rowów”[\[282\]](#).

Dla więźniów żydowskich Majdanek pełnił funkcję obozu zagłady. Podlegali tu ciągłym selekcjom, uśmiercano ich w komorach gazowych, bito na śmierć lub masowo rozstrzeliwano. KL Lublin przeżyli tylko ci, którym udało się zbiec lub których w krótkim czasie deportowano do innych obozów[\[283\]](#).

„Przez cały czas – zapamiętała Estera Kerzner – było słychać muzykę. Choć nie byłam przy egzekucji, wiem, jak się odbyła, gdyż opowiedział mi o tym kapo – Niemiec. Najpierw wykończono mężczyzn, a potem kobiety. Musiały one wejść do baraku, w którym rozbierały się do naga. Potem ustawiały się piątkami. Mówiono im, że idą do innego obozu. Jedna z niemieckich Żydówek podeszła do SS-Hauptscharführera i powiedziała mu, że Niemcy są podli i bez czci, gdyż znęcają się nad bezbronnymi kobietami, po czym uderzyła go w twarz. Nie zareagował na to. Zaprowadzono je nagie na pole nr VI. Tam były rowy. Za każdą piątką stali esesmani, którzy strzelali do nich i wtrącali do rowów. Rowy po jakimś czasie falowały, gdyż leżały w nich trupy razem z żywymi jeszcze ludźmi. Po kilku dniach zaczęto wypróżniać rowy i palić zwłoki. Trwało to kilka miesięcy”[\[284\]](#).

Jak podkreślają autorzy opracowania na ten temat, Wojciech Lenarczyk i Dariusz Libionka, akcja ta była największą podczas drugiej wojny światowej jednorazową operacją ludobójczą. Pochłonęła więcej ofiar niż egzekucje jeńców wojennych w Katyniu, Charkowie i Miednoje wiosną 1940 roku, więcej nawet aniżeli masowe rozstrzeliwania Żydów w Babim Jarze pod Kijowem, gdzie według raportów Einsatzgruppe C w dniach 29–30 września 1941 roku zamordowano 33 771 Żydów[285].

Lech M. Nijakowski w eseju *Grzeczni ludobójcy. Dobrze wychowani obywatele w służbie zbiorowej przemocy* podkreśla, że tylko mundur daje prawo do stosowania przemocy, ale jedynie w ściśle określonych ramach i do tego bez zbędnych namiętności. Wraz z postępem procesu cywilizacyjnego żołnierze byli karani za masakry, gwałty i rabunki. Pozostałe działania agresywne związane z przemocą wobec innych są traktowane jako wyraz indywidualnych patologii lub jakiejś formy kulturowej transgresji.

Tymczasem to właśnie zwykli obywatele, dobrzy ojcowie rodzin, zadowolająco wpisujący się w ład normatywny swych społeczeństw, stawali się gorliwymi katami. I nie chodzi tu tylko o „prymitywne” kraje afrykańskie czy „barbarzyńskie” narody, ale o „awangardę” narodów ludzkości. Co więcej, sprawcy wracali potem do zwykłej codzienności i dobrze odgrywali przewidziane im role[286].

Uprzedmiotowanie, głód, bicie, utrata najbliższych, wszechobecność zwłok czy ciągły strach odcisnęły się na zdrowiu fizycznym i psychicznym byłych więźniów. Tych, którym udało się przetrwać okupację, często przez szereg lat prześladowały lęki i fobie związane z uwięzieniem. Zdarzało się, że już nie potrafili powrócić do normalnego życia (syndrom KZ[287]). Mordechaj Flajszer tak podsumował pobyt w obozie:

„Ja powiedziałem, że wyszedłem z Majdanku do Skarżyska. Majdanek nie wyszedł ze mnie, on tutaj... [pokazuje na serce] I zawsze jak ja... dostałem, pierwszy akademicki „title” i drugi i trzeci zawsze

powiedziałem, ale pierwszy to jest: ja kończyłem Majdanek. Ja myślę, że żyć w Majdanku jedną minutę, to jest rok, a może więcej...”[\[288\]](#).

Po wyjściu z obozów kobiety czasem opowiadały o swoich przejściach, czasem milczały. Zwykle nosły ciężar nadszarpniętego zdrowia i złych snów. Te, które w obozach były długo, organizowały się w stowarzyszenia i środowiska, wspierając się nawzajem. Te, które do obozów trafiły w czasie powstania warszawskiego i wysiedlenia ludności miasta przez Niemców, zwykle nie potrafiły odnaleźć się ani w obozie, ani po wojnie. Ich trauma jest większa, bo obóz był dla nich większym szokiem. Również dlatego, że obozy w 1944 roku były inne niż wcześniej[\[289\]](#).

Część ocalałych, zwłaszcza byłych więźniów żydowskich, opuszczała po wojnie ojczyznę, mając świadomość, że nikt z ich najbliższych nie przeżył okupacji. Inni emigrowali z powodu utraty domów, strachu przed powojennym bandytyzmem, grabieżami, głodem lub w trosce o własne życie. Niektórzy, aby odciąć się od przeszłości, zmieniali imię i nazwisko i z dużym dystansem podchodzili do apeli o spisywanie traumatycznych przeżyć. A ci, którzy podejmowali się tego wysiłku, często przypłacali go własnym zdrowiem[\[290\]](#).

Część II

NOWY JORK

*Pamiętać bowiem należy,
że ludzi trzeba albo dopieszczać, albo ich zniszczyć;
bowiem za krzywdy błahe się mszczą,
a za wielkie nie mogą;
zatem krzywda, którą ludziom wyrządzasz,
musi być taka, byś nie obawiał się zemsty.*

Niccolò Machiavelli, *Księżę*,
przeł. W. Rzymowski, Wrocław 1980

Rozdział V

**„W OBOZIE MOŻNA BYĆ TYLKO
ŚWIĘTYM ALBO ZBRODNIARZEM”**

Hermine Braunsteiner przebywała na Majdanku do połowy stycznia 1944 roku. Gdy Sowieci byli coraz bliżej, Hermine dobrze wiedziała, co robić. Złożyła podanie o ponowne przeniesienie do Ravensbrück, gdzie awansowała na kierowniczkę podobozu Genthin, dostając pod komendę czternaście aufzejerek. Lekarka z Paryża zeznawała, że będąc pielęgniarką w obozie Genthin, spotykała wiele razy „Kobyłę”, która spoliczkowała ją za to, że trzymała chore w szpitalu...

„[...] wiele razy biła mnie po twarzy w obecności moich pacjentek... biła pejczem młodą Rosjankę, podejrzewając ją o sabotaż w fabryce... na ciele dziewczyny ukazały się od razu sine pręgi, [Braunsteiner] nie pozwoliła mi jej pomóc ani jej kurować... W maju zapytała mnie, czy wyjdę z nią i ewakuowanymi kobietami, ponieważ jestem jedyną więźniarką znającą kilka języków. Chciała iść w stronę amerykańskiego frontu, do obozu zbliżali się Rosjanie”[\[291\]](#).

W pierwszych dniach maja 1945 roku uciekła z Genthin przed ofensywą Armii Czerwonej do zachodnich stref okupacyjnych, ewakuując się w kierunku Brandenbura z grupą pięćdziesięciu kobiet i podoficerem Wahlem. Prawdopodobnie tylko koniec wojny uratował te kobiety od śmierci w komorze gazowej. Już na samym początku procesu

w Düsseldorfie Braunsteiner opisała ze łzami w oczach incydent, jak to podczas panicznej ucieczki kobietom nie pozwolono przeprowić się przez Łabę prowizorycznym mostem. Mówiła, że same zbudowały tratwę i przeprowiły się przez rzekę w strasznym strachu[292].

„Czy możliwe jest – zastanawiał się w swojej książce Marek Łuszczyna – że Braunsteiner, świadoma sytuacji na froncie wschodnim i odporna na propagandę pełną frazesów o ostatecznym tryumfie, postanawia zatrzeć swe niewyobrażalne bestialstwo na Majdanku umiarkowanym okrucieństwem w Genthin? Musiałaby wówczas zdawać sobie sprawę nie tylko z wagi dokonanych przez siebie zbrodni, lecz także z nieuchronności upadku III Rzeszy. I to już na początku 1944 roku, czyli mniej więcej sześć miesięcy po nieudanej operacji pancerniej na łuku kurskim, której fiasko odebrało wiarę w wojenne zwycięstwo ostatnim realistom w korpusie oficerskim Wehrmachtu. Czy pół roku na ważnym stanowisku w najbardziej wysuniętym na wschód obozie koncentracyjnym mogło jej pomóc w uzyskaniu tej świadomości? Nie jest to niemożliwe, zważywszy na wielką inteligencję Braunsteiner, która w przyszłości pozwoli jej zmienić się w Amerykankę z krwi i kości”[293].

Ale zanim to się dokona, dociera do Stendal, miasta w środkowych Niemczech, mniej więcej w połowie drogi między Berlinem a Hanowerem. Potem, po trzymiesięcznej pracy w gospodarstwie w Bawarii, w październiku 1945 roku powróciła do matki, która mieszkała teraz w amerykańskiej dzielnicy Wiednia, ponieważ budynek barona Bachhofena został skonfiskowany przez sowieckie siły okupacyjne.

„Kobyła” do stycznia 1946 roku pracowała jako pomoc domowa. Pierwszy raz została aresztowana 6 maja 1946 roku przez austriacką policję, w związku z jej działalnością w obozie. Potem została przekazana alianckim władzom. Do 18 kwietnia 1947 roku przebywała w wielu obozach dla internowanych, a także w obozie jenieckim. Po zwolnieniu pracowała przez jedenaście miesięcy jako pomoc kuchenna w angielskich koszarach koła Villach. Jak żyła przez te miesiące wolności? Bała się czy lekceważyła przeszłość? Sąd brytyjski

w Niemczech skazał ją na jedenaście miesięcy więzienia. A potem znowu rok wolności. A może strachu?

Ponownie została aresztowana 7 kwietnia 1948 roku z powodu swej pracy w roli nadzorczyńi w Ravensbrück. W archiwum IPN znajduje się dokument z jej procesu, ale zdaniem Grzegorza Jekiela, wbrew treści na karcie informacyjnej IPN, nie jest to odpis wyroku, a jedynie niepotwierdzona kopia tegoż. Podobnie tłumaczenie nazwy sądu na karcie informacyjnej IPN jako Sąd Krajowy w Wiedniu (Landesgericht Wien) jest błędne. Nie zmienia to faktu, że warto przytoczyć całą treść wyroku z 22 listopada 1949 roku, bo pokazuje nastawienie austriackiego wymiaru sprawiedliwości^[294].

„Okręgowy Sąd Karny we Wiedniu jako Sąd Ludowy (Das Landesgericht für Strafsachen Wien als Volksgericht) orzekł w sprawie z oskarżenia Prokuratury we Wiedniu przeciwko: Hermine Braunsteiner, urodzona 16 lipca 1919 r. we Wiedniu, wyznania rzymskokatolickiego, niezamężna, pomoc domowa, obecnie przebywająca w więzieniu, ostatnie miejsce zamieszkania Villach, Dollhopfgasse 26, co następuje:

I./

na podstawie §§ 3 i 4 KVG 1947 po rozprawie głównej przeprowadzonej w dniu 22 listopada 1949 roku pod przewodnictwem sędziego sądu okręgowego dr. Dolpa, w obecności sędziego zawodowego dr. Schlossera jako sędziego, ławników: Marii Tichy, Josefa Madera, Josefa Janebaa i V.B. Paschinger jako protokolantki oraz w obecności adwokata dr. Schwarza, oskarżonej Hermine Braunsteiner i obrońcy dr. Ewalda Hausara orzeka:

Oskarżona Hermine Braunsteiner jest winna tego, że w Ravensbrück (Niemcy) w latach 1941–1942 w okresie tyranii narodowosocjalistycznej, korzystając ze swojej władzy jako strażniczka obozu koncentracyjnego

a) doprowadziła więźnia o nieznanym nazwisku do strasznego stanu i brutalnie znęcała się nad nim;

b) obrażała i znieważała godność ludzką więźniów o nieznanach nazwiskach oraz brutalnie traktowała więźniów o nieznanach nazwiskach z lekceważeniem godności ludzkiej i praw człowieka.

W rezultacie popełniła zbrodnię tortur i nadużycia godności ludzkiej według § 3/1 KVG 1947 oraz zbrodnię pogwałcenia praw człowieka według § 4 KVG 1947, zatem według § 3 KVG 1947 z należyтым uwzględnieniem § 34 StG i zastosowaniem § 265 StPO jest za to skazana na:

3 (trzy) lata ciężkiego więzienia

o zaostrowym trybie przez kwartał i na podstawie § 389 StPO skazana na zwrot kosztów postępowania karnego.

Zgodnie z § 9 KVG zarządza się konfiskatę całego majątku oskarżonej na rzecz Republiki Austrii.

Zgodnie z § 55 a StG, na poczet kary zalicza się areszt śledczy od 6 maja 1946 r., godz. 12 do 18 kwietnia 1947 r., godz. 12 oraz od 7 kwietnia 1948 r., godz. 12 do 22 listopada 1949 r., godz. 16.

II./

Z drugiej strony zarzuca się oskarżonej, że w Majdanku (Polska) w latach 1939–1943 w okresie tyranii narodowosocjalistycznej, wykorzystując swoje uprawnienia służbowe jako strażnik obozu koncentracyjnego w Majdanku:

a) doprowadziła więźniów o nieznanach nazwiskach do okropnego stanu, okrutnie maltretowała Kazimierę Załogę i więźniów obozu o nieznanach nazwiskach. Godność ludzka i prawa człowieka zostały rażąco naruszone;

b) naruszyła godność ludzką Kazimiery Załogi i więźniów o nieznanach nazwiskach oraz brutalnie traktowała więźniów

o nieznanym nazwisku z naruszeniem godności ludzkiej i praw ludzkości, a tym samym popełniła zbrodnię torturowania i znęcania się według § 3/1 i 2 KVG 1947 i popełniła zbrodnię pogwałcenia człowieczeństwa i godności ludzkiej według § 4 KVG 1947, od czego zostaje uniewinniona na podstawie § 259/3 StPO.

UZASADNIENIE:

Na podstawie oskarżenia i dochodzenia policji odczytano akta, zeznania świadków Wilhelmine Artner, Anny Hand, Anny Schefzik^[295], Anny Wamser, Viktorii Filler, Augusty Schaffler, Pauli Kotek, Ireny Kohn, Elisabeth Thury, Rosy Jochmann i Heleny Potetz, a także w oparciu zeznania oskarżonej następujące fakty przyjęto jako udowodnione [...].

W sądzie mogli być przesłuchani tylko świadkowie, którzy mogli przedstawić dowody jej pracy jako kierownika magazynu odzieżowego na podstawie własnego doświadczenia.

W tym okresie: od początku 1941 do zimy 1942 roku oskarżona wielokrotnie była winna znęcania się nad osadzonymi pod jej kontrolą. Z zeznań świadka Wilhelminy Artner wynika, że oskarżona biła więzione kobiety po twarzy, świadek Anna Schefzik zeznała, że oskarżona kopała więźniarki, skutkiem czego, między innymi, była krew z nosa. Jak zeznali świadkowie, Anna Wamser i Augusta Schaffler – Hermine Braunsteiner podczas wydawania butów i odzieży biła i popychała więźniarki pod najbliższym pretekstem. Z zeznań świadka Ireny Kohn wynika, że oskarżona pod podobnym pretekstem pobiła i pokopała starą Polkę, a na koniec sama świadek otrzymała uderzenie, ponieważ pomogła starej kobiecie podnieść się z podłogi. Z prawie wszystkich zeznań przesłuchanych świadków wynika, że przyczyna złego traktowania była zawsze błaha, a mianowicie gdy więźniowie np. nie stali w jednym szeregu albo stali oskarżonej na drodze. Szczególnie wyraźnie wynika to z zeznań świadka Viktorii Filler, która tylko raz miała do czynienia z oskarżoną, a było to podczas wymiany prania.

Także ten świadek stała oskarżonej na drodze i została przez oskarżoną kopnięta, aby odsunąć się na stronę. Podobnie wynika z zeznań świadka Rosy Jochmann, która stwierdziła, że oskarżona z najmniejszego powodu biła i kopała więźniarki.

Oskarżona przyznała się do znęcania się nad więźniarkami, usprawiedliwia się jednak tym, że nie umiałyby im w żaden inny sposób pomóc, przecież przy wymianie ubrań zawsze było takie zamieszanie, a wśród więźniów były też osoby (aspołeczne), które nie zabiegały o najmniejszą dyscyplinę. W rezultacie jej nerwy wielokrotnie brały górę nad nią i biła więźniarki, aby przywrócić je do rozsądku. Być może rzeczywiście wśród więźniów były kobiety, które przy wymianie ubrań nie zachowywały dyscypliny. Okoliczność ta nie upoważnia jednak oskarżonej do stosowania uderzeń pięściami i kopnięciami, zwłaszcza że sama oskarżona przyznała, że tego rodzaju środki dyscyplinarne były wówczas niedozwolone. Świadców przesłuchiwani przez sąd nie byli więźniami kryminalnymi, lecz politycznymi, wobec których nie można w ogóle mówić o odpowiedzialności, chociaż w niektórych przypadkach oskarżona dopuściła się wobec nich również nadużyć fizycznych. Z zeznań świadków wynika również, że część strażniczek zachowywała się przyzwoicie i nie podejmowała na co dzień działań wobec więźniów, ale nadal potrafiła zadbać o dyscyplinę. Nawet jeśli oskarżona nie jest opisana w najbardziej potworny i brutalny sposób, według przesłuchanych świadków była jedną z najbardziej przerażających strażniczek. Sąd nie miał powodu, by wątpić w zasadniczo identyczne zeznania powołanych świadków, w związku z tym oparł swoje ustalenia na ich oświadczeniach.

Nie ma wątpliwości, że oskarżona dokonała tych nadużyć, wykorzystując swoje uprawnienia służbowe jako strażnika w obozie koncentracyjnym Ravensbrück. Wiadomo też, że więźniowie, którzy nie mieli możliwości obrony, w wyniku ciosów pięściami i kopnięć doprowadzani byli do stanu agonalnego. Takie traktowanie, kiedy na ogół używa się tylko ciosów i kopnięć, aby usunąć kogoś z drogi, generalnie stosuje się tylko do zwierząt. Czyniąc to, oskarżona również

obrazila i zniewazyła ludzką godność więźniów, których źle traktowała. Dlatego została uznana za winną na podstawie punktu a) aktu oskarżenia. Sąd zaprzeczył, jakoby poprzez działania oskarżonej godność ludzka i prawa człowieka zostały rażąco naruszone.

Okolicznościami łagodzącymi w wyroku były:

częściowe przyznanie się do winy, brak karalności oraz fakt, że postępowanie oskarżonej było ewidentnie efektem działań innych strażników oraz że brakowało jej niezbędnego nadzoru.

Obciążające było:

Oskarżona była wielokrotnie oskarżana o napadanie na różne osoby przez dłuższy czas.

Mając na uwadze te przesłanki ustalenia kary, wymierzona kara wydaje się adekwatna do winy oskarżonej. Pozostałe decyzje oparte są na odpowiednich regulacjach prawnych.

Oskarżonej zarzucono ponadto ponizanie i znieważenie godności ludzkiej Kazimierzy Załogi oraz więźniarek o nieznanym nazwisku podczas pracy w charakterze strażnika w obozie koncentracyjnym KZ Majdanek oraz brutalne traktowanie więźniów o nieznanym nazwisku z pogardą dla godności ludzkiej i praw człowieka. Oskarżona zdecydowanie zaprzeczyła zarzucanym jej przestępstwom. Zarzuty oparte są na zeznaniach pod przysięgą świadków Kingi Głębskiej i Kazimierzy Załogi przed Sądem Okręgowym w Lublinie; z tych zeznań wynika, że oskarżona przy każdej okazji biła więźniów i szczyła ich psami, które rozdzierały ciała więźniów na strzępy (zeznanie Kingi Głębskiej), a także biła za karę staruszki skórzanym pejczem zakończonym ołowianymi kulami. Według zeznań świadka Załogi działo się tak również dlatego, że wbrew regulaminowi obozowemu więźniowie kupowali chleb poza obozem. Ten świadek również został kiedyś uderzony pejczem w twarz. Tym dwóm świadkom pokazano

zdjęcie oskarżonej (bez munduru), na podstawie którego wierzyli oni, że zidentyfikowali Hermine Braunsteiner. Ale ponieważ oskarżona zaprzecza, prawdopodobnie konieczne byłoby postawienie obu świadków twarzą w twarz z oskarżoną, co jest praktycznie niemożliwe z uwagi na miejsce zamieszkania tych świadków w Polsce. Pomieszczenie osób między tymi dwoma świadkami nie wydaje się niemożliwe, ponieważ jeden z tych świadków mówi, że oskarżona szczuła więźniów psami, a postępowanie dowodowe wykazało, że oskarżona nigdy nie była treserem psów, przynajmniej w okresie jej pracy w Ravensbrück. Wiadomo również, że psy te były na ogół używane tylko do pilnowania więźniów poza obozem koncentracyjnym. Świadek Załoga natomiast, w przeciwieństwie do świadka Głębskiej, twierdzi, że oskarżona pracowała na terenie obozu. Zatem zeznania tych dwóch świadków w Polsce nie wydają się sądowi wystarczająco rozstrzygające, aby móc oprzeć na nich zasadne oskarżenie. Tym samym sąd uniewinnił oskarżoną w zakresie punktu b) oskarżenia wobec braku rozstrzygających dowodów winy”[296].

Wyrok trzech lat więzienia za tego rodzaju okrucieństwo zakrawał na kpinę, zwłaszcza że z więzienia wyszła już po kilku miesiącach, ponieważ na poczet kary zaliczono jej okres internowania. Mało tego, austriackie Ministerstwo Sprawiedliwości 7 marca 1951 roku odmówiło władzom polskim wydania jej, motywując swą decyzję tym, że z braku dostatecznych dowodów została ona uznana za... niewinną zarzucanych czynów, za które rząd Polski Ludowej domagał się jej wydania.

Polska wpisała na listy zbrodniarzy wojennych prowadzone przez UNWCC[297] siedem tysięcy czterysta pięć nazwisk. Działalność tych misji została praktycznie zakończona do końca 1950 roku. Uzyskano przy tym ekstradycję tysiąca ośmiuset trzech zbrodniarzy – mniej więcej jedną czwartą oprawców umieszczonych na listach. Po powstaniu RFN państwo to, powołując się na zasadę niewydawania własnych obywateli, odmówiło ekstradycji zbrodniarzy wojennych. Ponieważ zaś wojskowy zarząd radzieckiej strefy okupacyjnej zrealizował wszystkie polskie

wnioski ekstradycyjne, składanie takich żądań w okresie późniejszym pod adresem NRD stało się bezprzedmiotowe[298].

Po przerwaniu ekstradycji przez władze okupacyjne zachodnich stref okupacyjnych Niemiec Polska występowała o wydanie zbrodniarzy hitlerowskich tylko sporadycznie. Wnioski te dotyczyły osób ukrywających się na terytoriach innych państw. Starania te nie zakończyły się powodzeniem. Tak było z Hermine Braunsteiner, która figurowała na liście zbrodniarzy wojennych UNWCC nr 61 pod pozycją 68 za zbrodnie popełnione na Majdanku[299].

Ba, Miejska Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Lublinie, a następnie prokuratura już w 1946 roku wszczęły postępowanie przeciwko „Kobyle”. Na wniosek Prokuratury Sąd Okręgowy w Lublinie 27 stycznia 1948 roku postanowił zastosować wobec Hermine Braunsteiner środek zapobiegawczy – areszt tymczasowy, którego termin liczyć się miał od chwili wydania jej władzom polskim. W dniu 5 kwietnia 1948 roku Ministerstwo Sprawiedliwości wystąpiło z wnioskiem o ekstradycję przebywającej w więzieniu w Wiedniu Braunsteiner, pod zarzutem dopuszczania się w obozie koncentracyjnym na Majdanku zbrodni z art. 1 i 2 Dekretu PKWN z 31 sierpnia 1944 roku. Wniosek ten nie został jednakże przez Austriaków uwzględniony.

Pierwszym polskim aktem prawnym, który miał posłużyć do rozliczeń z okupantem hitlerowskim, był dekret prezydenta RP o odpowiedzialności karnej za zbrodnie wojenne wydany 31 marca 1943 roku. Niestety, w okupowanym kraju nie było możliwości jego realizacji. Jednym z najważniejszych aktów stał się wspomniany wyżej Dekret z 31 sierpnia 1944 roku o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego. O winie nazistów orzekać miały specjalne sądy karne, których wyrok miał być ostateczny i nie mógł podlegać zaskarżeniu[300].

Problem wydania zbrodniarzy wojennych w celu osądzenia władzom państw, na których terytorium dopuścili się tych zbrodni, powstał po

pierwszej wojnie światowej. Powołano wtedy komitet do spraw odpowiedzialności, który – opierając się na postanowieniach tak zwanego regulaminu haskiego, stanowiącego załącznik do konwencji haskiej z dnia 18 października 1907 roku, dotyczącej praw i zwyczajów wojny lądowej – określił prowizoryczną listę trzydziestu dwóch zbrodni wojennych i zaproponował utworzenie specjalnego trybunału dla osądzenia sprawców tych zbrodni[301].

Pragnąc uniknąć błędów popełnionych po pierwszej wojnie światowej, państwa uczestnicy antyhitlerowskiej koalicji już w latach 1939–1942 złożyły szereg deklaracji potępiających zbrodnie dokonane przez hitlerowski Wehrmacht oraz politykę gwałtu i terroru uprawianą przez hitlerowską władzę okupacyjną na zajętych terytoriach, głównie Polski, Czechosłowacji i Związku Radzieckiego. Najważniejszym aktem z tego okresu jest deklaracja Pałacu św. Jakuba z dnia 13 stycznia 1940 roku.

Wówczas to przedstawiciele dziewięciu rządów emigracyjnych mających swe siedziby w Londynie (Belgia, Czechosłowacja, Francja, Grecja, Holandia, Jugosławia, Luksemburg, Norwegia i Polska), obradując pod przewodnictwem gen. Władysława Sikorskiego, potępili zbrodnie popełnione przez hitlerowskie władze okupacyjne, stwierdzili naruszenie przez Wehrmacht praw i zwyczajów wojennych i zapewnili, że jednym z głównych celów wojny będzie „ukaranie w drodze normalnego wymiaru sprawiedliwości ludzi winnych lub odpowiedzialnych za te zbrodnie bez względu na to, czy je nakazali, popełnili lub brali w nich udział”[302].

W aspekcie zagadnień ekstradycyjnych najistotniejsza wydaje się tak zwana deklaracja moskiewska z 30 października 1943 roku. W dokumencie tym wyraz znalazła determinacja, z jaką mocarstwa postanowiły ścigać zbrodniarzy wojennych: „Trzy mocarstwa sprzymierzone z największą pewnością znajdą ich nawet na krańcu świata i wydadzą ich oskarżycielom, żeby sprawiedliwości stało się zadość”[303].

Deklaracja stworzyła dla wszystkich państw sojusznicznych prawny obowiązek ekstradycji tych przestępców, a obowiązek moralny dla wszystkich członków społeczności międzynarodowej. Obowiązek ten powstał niezależnie od istniejących między tymi państwami innych umów ekstradycyjnych. Podstawą wydania jest tu popełnienie przez określoną osobę zbrodni w tej deklaracji wymienionej[304].

Deklaracja głosiła, że z chwilą zawarcia jakiegokolwiek rozejmu z rządem niemieckim wszyscy hitlerowcy, którzy brali udział w zbrodniach popełnionych na terenach okupowanych, będą wydani krajom, na których obszarze popełnili czyny przestępne, w celu osądzenia ich przez rządy tych krajów[305]. Niestety, uzyskanie ekstradycji przestępców wojennych było stosunkowo łatwe tylko do 1947 roku. Później zaczęły rodzić się trudności, a w 1949 roku ekstradycje praktycznie ustały.

Umowa jałtańska z 11 lutego 1945 roku podkreślała konieczność ukarania wszystkich zbrodniarzy wojennych, choć zdawano sobie sprawę z faktu, że ani normy prawne, ani instytucje prawa międzynarodowego oraz jurysdykcja poszczególnych krajów nie są gotowe na takie wyzwanie. Mimo pracy kilku komisji[306] nie udało się wypracować i przyjąć jednego wspólnego dokumentu wyznaczającego normy i praktykę postępowania wobec zbrodniarzy wojennych[307].

Dalszym ważnym aktem w tym zakresie było porozumienie londyńskie z dnia 8 sierpnia 1945 roku w przedmiocie ścigania i karania głównych przestępców wojennych osi europejskiej. Porozumienie to, powołując się na treść deklaracji moskiewskiej, proklamowało powołanie Międzynarodowego Trybunału dla osądzenia przestępców wojennych, których czyny nie dadzą się powiązać z żadną określoną miejscowością, niezależnie od tego, czy będą oni oskarżeni indywidualnie, czy jako członkowie organizacji lub grup albo w jednym i drugim charakterze[308].

Bezpośrednio po wojnie odbyły się trzy główne procesy, które miały na celu prawne skazanie personelu obozów koncentracyjnych i dotyczyły

kobiet. Były to prowadzony przez Brytyjczyków proces Bergen-Belsen i proces Ravensbrück oraz prowadzone przez polski rząd proces krakowski personelu Auschwitz. Ale jeszcze wcześniej odbył się proces o Majdanek.

Na ławie oskarżonych zasiadło sześciu członków formacji SS stanowiącej załogę obozu w Majdanku. Warto pamiętać, że na potrzeby tego procesu prokuratorzy po raz pierwszy przygotowali materiał dowodowy, który w sposób pełny i systematyczny przedstawiał funkcjonowanie obozu koncentracyjnego. Obraz ten musiał być szokujący nawet dla nich samych[309].

Na końcu mowy prokuratora Sawickiego znajdują się wstrząsające, choć jakże wymowne słowa: „[...] z tego miejsca nie waham się przyznać, iż rozumiem średniowieczne kary. Nie wstydę się Wam powiedzieć, że rozumiem dobrze, iż można domagać się łamania kości, wyrywania poszczególnych części ciała, przypiekania rozżarzoną żelazem, rozrywania końmi”[310].

Proces trwał od 27 listopada do 2 grudnia 1944 roku i toczył się na wyzwolonym skrawku Polski, odcięty od kontaktów ze światem, bez znajomości ówczesnych zdobyczy w dziedzinie prawa międzynarodowego, prowadzony był w warunkach frontowych, za pomocą prowizorycznie i z wielkim trudem uruchomionego aparatu wymiaru sprawiedliwości, był więc w całym tego słowa znaczeniu procesem pionierskim[311].

Warto dodać, iż wraz z „wyzwoleńczą” Armią Czerwoną na ziemie polskie wkroczyli funkcjonariusze NKWD. Instalowany w Polsce reżim komunistyczny nie miał kontaktów ze światem, gdyż nie był prawnie uznanym podmiotem stosunków międzynarodowych. Samo przygotowanie i przeprowadzenie procesu miało spełniać cele propagandowe, a więc uwierzytelnić, legitymizować nową władzę. Warto pamiętać, że nie funkcjonował jeszcze wtedy Najwyższy Trybunał Narodowy, a więc sprawa toczyła się przed Sądem Specjalnym[312].

„W Lublinie złapano kilku Niemców z obsługi obozowej. Postanowiono urządzić pokazowy proces. Pośpiech i potrzeba takiego procesu były zrozumiałe. Należało dać jakąś choćby cząstkową, ale szybką satysfakcję narodowi – argumentował świadek wydarzeń Jerzy Putrament – nad którym przez pięć lat znęcał się bezwzględny i okrutny okupant. Ale nasze władze, świeżo powstałe, niedoświadczone i pozbawione wyobraźni, strzeliły byka na samym początku.

W przeddzień rozprawy miasto zostało oklejone ulotkami, w których zapowiadano, że następnego dnia o tej a tej godzinie tymi a tymi ulicami zostaną na rozprawę doprowadzeni z więzienia oskarżeni, kaci z Majdanka. Niby wzywało się ludność do zachowania spokoju...

Następnego dnia, wczesnym rankiem, siedząc w redakcji, zostałem zaalarmowany straszliwą strzelaniną. Niespokojny wybiegłem na balkon. Co za widowisko!

Przez Krakowskie Przedmieście Lublina przeogromny potok ludzki. W jego środku mała grupka żołnierzy z pepeszami opartymi kolbą na ramieniu. Idą i co chwila puszczają serie w powietrze. Pośrodku tego koła ognistego wloką się oskarżeni.

Gdyby nie te pepesze – nie doszliby do najbliższego skrzyżowania. Tłum krzyczy, płacz, wrzaski kobiet, ogłuszające serie pepesz.

Na gwałt ściągnięto posiłki. Zwarte oddziały żołnierzy odepchnęły trochę tłum, ale i teraz co chwila przez kordon wojska przedzierali się pojedynczy ludzie, doskakiwali do konwoju, krzyczeli tamtym dwa – trzy słowa, pluli, potem zepchnięci przez następnych, wracali na chodniki, jeszcze mając błędne spojrzenie, ocierając pot z czoła”[\[313\]](#).

Trudno się dziwić niezwykle napiętej atmosferze, by użyć tego eufemizmu, gdyż niemal każdy widz na sali sądowej miał kogoś bliskiego w obozie i oplakiwał jego zgon.

„Sąd odbywał się w gmachu – wspominał Jerzy Putrament – gdzie teraz mieści się kasyno oficerskie w Lublinie. Dostałem przepustkę jako przedstawiciel prasy. Ale przy każdym z wejść stał wezbrany falujący

tłum. Nie sposób było choćby pokazać przepustki. Sam nie wiem, jak trafiłem do środka.

Pamiętam za to, jak trafił ówczesny minister spraw zagranicznych, Wincenty Rzymowski. Stary, ledwo łażący, oczywiście, nie mógł marzyć, żeby się przepchać przez tłum. Ale go poznano i ktoś zorganizował niezwykle transport. Dziesiątki rąk uniosły go nad głowami tłumu i tak, w pozycji leżącej, nogami naprzód, wjechał ponad tłumem na salę.

Proces był męczący i ponury. Oskarżeni nie należeli do kierownictwa obozu. Przeważnie były to drobne płotki potwornej maszyny hitlerowskiej. Jeden, zdaje się, był żandarmem. Inny pracował w magazynach. Jeszcze inny był wieloletnim więźniem obozowym, kryminalistą. Pełnił na Majdanku funkcję kapo.

Świadkowie przytaczali przerażające fakty na temat Majdanka «w ogóle». Mówili o katuszach, o głodzie, o masowych egzekucjach. Ale gdy dochodzili do oskarżonych, stawali się małomówni. Oskarżeni należeli do aparatu Majdanka, ale do jego najniższych szczebli i żaden z nich nie wyróżnił się szczególną zawziętością. Bili, głodzili, wykonując polecenia swych przełożonych. I tyle.

Na tej linii się bronili. Ba, zaczęli nawet kontratakować.

Było to nieoczekiwane i dramatyczne. Żywcem wzięte z nienapisanej jeszcze sztuki, lepsze – to jest straszniejsze – od wszystkiego, co na ten temat napisano, bo konkretne, bez kretyńskich, ahistorycznych uogólnień, tak modnych dzisiaj w literackim świecie i półświatku.

Zeznawał właśnie świadek – jeden z więźniów, bodaj pracujący u nas, w «Czytelniku». Mówił o oskarżonych:

– Bili. Głodzili. Ten, na przykład...

Wtedy oskarżony zerwał się:

– A świadek jak wyżył? Dzięki mnie! Wziąłem go do kuchni, mógł jeść więcej niż inni! Tylko ci przeżyli, którzy byli na funkcjach,

w kuchni czy magazynach. Zjadali więcej, to znaczy reszcie zostawało mniej! To co on mnie oskarża? Ja mu życie...

Podniósł się wrzask na sali. Zarządzono przerwę. Wieczorem słyszałem rozmowę świadka z Borejszą. Był na pograniczu ataku nerwowego, trzeba mu było robić zastrzyki. Nie kontratak Niemca go złamał, a reakcja niektórych naszych towarzyszy, którzy niezwykle łatwo przyjęli na wiarę oskarżenia oskarżonego i jeszcze zaczęli dorabiać teorię na temat wszystkich, którzy byli w obozach i nie zginęli”[\[314\]](#).

Wszyscy oskarżeni, niezależnie, czy byli to urzędnicy, czy też członkowie załóg obozów koncentracyjnych, używali na swoją obronę tych samych argumentów, a więc działanie na polecenie zwierzchnika, nieświadomość skutków rozkazów, brak bezpośredniego udziału w zbrodni lub po prostu wypieranie się lub umniejszanie własnej winy. Jedynym wyjątkiem był tu komendant Auschwitz Rudolf Höss, który całą odpowiedzialność za wszystkie zbrodnie w obozie wziął na siebie[\[315\]](#).

„Myślałem dużo o tej sprawie – przyznawał Jerzy Putrament – i doszedłem do paru częściowych wniosków.

Na czym polega piekielność systemu obozowego? Piekielność – nie w sensie metaforycznym, ale dosłownym. Bo że obozy w samej swej koncepcji wzorowały się na wizji piekła, znanej nam z mitologii chrześcijańskiej – to pewne.

Normalnie człowiek ma przed sobą trzy drogi: świętego czy bohatera, zwykłego człowieka, zbrodniarza. Piekielność obozu polegała na pozbawieniu człowieka tej drugiej, zwyczajnej alternatywy. W obozie człowiek co chwila stawał przed sytuacją, gdzie mógł być tylko świętym albo zbrodniarzem.

Najpiekielniejszym chwytem obozowym było pozostawienie człowiekowi tylko jednej drogi wyżycia: drogi katowania albo i zabijania innego człowieka, współwięźnia. Dobrze jeszcze (ach, bardzo dziwne «dobrze!»), jeśli taka alternatywa stawała przed człowiekiem znienacka: bo łatwiej mu było wybrać własną mękę lub śmierć

i uchronić się przed biciem czy zabijaniem innych. Ale jeśli ta droga zjawiała się powoli, jeśli przychodziła poprzez drobne przywileje, poprzez dogłębną demoralizację, płynącą z wykorzystywania przywilejów na tle powszechnej nędzy i bezprawia – wtedy o ileż trudniej było wyrzekać się, odmawiać, iść na mękę, byleby nie męczyć bliźnich!

Tą drogą doszli właśnie na swoją ławę oskarżeni. I w gruncie rzeczy jedyną ich okolicznością łagodzącą było stopniowe, podstępne wciąganie ich na nią przez demonów państwa faszystowskiego.

Oczywiście była jeszcze druga droga przetrwania: droga walki, zorganizowanego oporu i wzajemnej pomocy. Tą drogą poszła większość tych, którzy przeżyli.

Zrozumiałem jeszcze jedno: nam, którzyśmy piekła nie zaznali, nie wolno sądzić nikogo za to, co robił w obozie, jak się tam zachowywał. Po prostu trzeba znać atmosferę tego miejsca, by móc ocenić zachowanie się w nim człowieka.

Dlatego z pianą w ustach gromiłem różne paniusie (m.in. pewną późniejszą straszną «liberałkę»), którym się paliło do sądenia i potępania”[\[316\]](#).

Linia obrony polskich adwokatów była w pewnym sensie zbieżna z argumentami samych oskarżonych. Czasem adwokaci starali się budować obronę wokół kwestii formalnych. Adwokaci załogi Majdanka podważyli właściwość sądu, opierając swój wywód na prawie międzynarodowym, argumentując, iż oskarżeni powinni być sądeni jako jeńcy wojenni, a więc nie powinni stanąć przed polskim sądem karnym.

Powołując się na przepisy prawa międzynarodowego, prokurator Sawicki odrzucił te argumenty, wnosząc o nieuwzględnianie zarzutu niewłaściwości sądu. Przede wszystkim Sawicki podważył zasadność traktowania oskarżonych jako jeńców wojennych, gdyż sami nie stosowali się do prawa wojennego, a po drugie, powołał się na zasadę „czystych rąk”, a więc osoba sama łamiąca konkretne prawo nie może

się na nie powoływać (chodzi tu o konwencję haską). Sąd przychylił się do argumentacji prokuratorów[317].

Wszystkim oskarżonym udowodniono osobisty udział w wyniszczaniu i mordowaniu więźniów. Zostali skazani na karę śmierci. W kolejnych procesach przed sądami polskimi na ławie oskarżonych znalazło się jeszcze stu dwóch członków załogi Majdanka przekazanych do Polski przez władze stref okupacyjnych Niemiec w ramach ekstradycji. W procesie czterdziestu członków załogi obozu oświęcimskiego przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Krakowie w 1947 roku stanęło pięciu esesmanów z Majdanka: Arthur Liebehenschel – ostatni komendant KL Lublin i Erich Muhsfeldt – szef krematorium, oraz trzy dozorki – Luise Danz, Hildegard Lächert i Alice Orlowski.

Odpowiadali oni i zostali skazani głównie za zbrodnie popełnione w KL Auschwitz-Birkenau. Liebehenschel i Muhsfeldt – na karę śmierci, Danz – na dożywocie, a Orlowski i Lächert – na piętnaście lat więzienia. Sąd Okręgowy w Lublinie rozpatrywał w latach 1946–1948 sprawy dziewięćdziesięciu sześciu funkcjonariuszy załogi obozu lubelskiego, spośród których sześć osób zostało skazanych na karę śmierci, wśród nich Elsa Ehrich – główna nadzorki pola kobiecego[318].

W pierwszych latach po wojnie wiele placówek sądowych zajmowało się kwestią pociągnięcia do odpowiedzialności zbrodniarzy wojennych, którzy swoim postępowaniem przyczynili się do śmierci tysięcy więźniów. Jednakże tylko niewielka część strażniczek dostała się w ręce sprawiedliwości. Były aufzejerki przed sądem nagminnie przedstawiały siebie jako „bezwolne trybiki” całkowicie zależne od funkcjonariuszy SS.

Oparta na tych zeznaniach opinia o rzekomej niewinności tych kobiet bardzo długo dominowała w świadomości społecznej. To esesman w mundurze, z symbolem trupiej główki na czapce, był uosobieniem najgorszego zła czasów drugiej wojny światowej. „Kiedy próbujemy sobie wyobrazić nazistowskich zbrodniarzy – stwierdza Klaus P. Fischer

w *Przedmowie* do książki *Piękna bestia* – nieuchronnie widzimy zimne i pozbawione wyrazu twarze SA- lub SS-manów” [319].

Niewiele z kobiet, które popełniły zbrodnie w ramach reżimu nazistowskiego, zostało pociągniętych do odpowiedzialności karnej. Jeśli tak się stało, to otrzymywały głównie łagodne wyroki, ewentualnie uniewinnienia, lub też po krótkim pobycie w więzieniu wychodziły na mocy amnestii na wolność. Twierdzenia byłych nadzorczyń SS o zmuszaniu ich do popełniania zbrodni były chętnie akceptowane, ponieważ taka koncepcja odpowiadała powszechnym stereotypom dotyczącym kobiet [320].

Klaus P. Fischer ma rację, twierdząc, że według opinii publicznej wojna i zbrodnie w obozach koncentracyjnych to „męska sprawa”. Często zapomina się o kobietach – nadzorczyńach SS, które w równym stopniu, co mężczyźni, dopuszczały się przestępnych czynów, pobić i brutalnych mordów. To właśnie one, Aufseherinnen, budziły w więźniach szczególne zdumienie i obrzydzenie, gdyż wydawały się podwójnie przeczyć naturze: człowieczeństwu i kobiecości [321].

Schwytane strażniczki początkowo internowano w obozie w Recklinghausen lub w byłym obozie koncentracyjnym Dachau. Armia USA przejęła pod straż około tysiąca z nich, ale większość została zwolniona, ponieważ sprawą pierwszej wagi było wtedy ściganie mężczyzn z SS, podejrzanych o popełnienie zbrodni wojennych. Kilka kobiet trafiło na salę sądową i miały szczęście, że znalazły się w niewoli u zachodnich aliantów. Kobiety z SS, które wpadły w ręce Sowietów, były albo rozstrzeliwane na miejscu, albo zsyłane na długie lata do syberyjskich gułagów [322].

W latach 1945–1949 tylko sześćdziesiąt Austriaczek i Niemek służących w ramach SS w obozach koncentracyjnych stanęło przed sądem. Wyrok śmierci wykonano na dwudziestu jeden z nich, z czego dziesięć powiesili Brytyjczycy. Przeważająca większość strażniczek najzwyczajniej uciekła po zwolnieniu z obozów internowania, wyszła za

mąż, zmieniła nazwisko i czasami kraj zamieszkania, a potem spokojnie żyła przez długie lata[\[323\]](#).

Rozdział VI

„HERMINE JUŻ TU NIE MIESZKA”

Nie było chyba takiej miejscowości na Wschodzie, gdzie Niemcy nie popełniliby zbrodni. W chaosie lat powojennych trzeba było długiego czasu, aby czyny te mogły zostać udokumentowane, a zeznania świadków złożone w lokalnych archiwach, którymi nikt się nie interesował. Polityczne i rozmaite inne podziały w powojennej Europie uniemożliwiały jakąkolwiek wspólną akcję czy współpracę w tej dziedzinie^[324].

Z nielicznymi wyjątkami ludzie, którzy sprawowali oraz wykorzystywali władzę i przemoc wobec innych na Majdanku, nie zostali po wojnie ukarani. Mieli niewiarygodne szczęście, bo kiedy urzędnicy w nowej RFN bez przekonania, a bardziej z racji wykonania żmudnego obowiązku, zabrali się do aresztowania odpowiedzialnych za zbrodnie w nazistowskich obozach koncentracyjnych, o Majdanku nie wiedzieli jeszcze prawie nic.

Także później wiele wskazywało na to, że bardzo niewiele informacji o życiu codziennym w tym obozie kiedykolwiek ujrzy światło dzienne. Jak we wszystkich obozach zagłady brakowało tam danych o liczbie i nazwiskach zabitych, ponieważ wiele z tych ofiar było przewożonych bezpośrednio z rampy kolejowej przez krótką poczekalnię

w *Rosengarten* obozu koncentracyjnego do komory gazowej – nigdy nie zarejestrowano ich nazwisk ani nawet numeru więźnia[325].

Te nieliczne procesy zbrodniarzy hitlerowskich w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych miały nieomal groteskowe rysy. Najczęściej dominował ten sam obraz – na ławach oskarżonych zasiadały osoby, które w hierarchiach obozów zajmowały najniższe pozycje. Wśród nich znalazło się nawet wielu dawnych osadzonych, którzy dopuścili się przestępstw wobec współwięźniów. Skazywano tych, którzy zabijali kijami i kopniakami. Przedstawiciele elit, którzy zbrodnicze rozkazy wydawali, na ławach oskarżonych spotkać było trudno[326].

Wielu zbrodniarzy uniknęło kary za swoje bestialskie czyny. Republika Federalna Niemiec nie stała się dla nich piekłem, jakie oni urządzili swoim ofiarom. Przeciwnie, można powiedzieć, że władze Niemiec Zachodnich chroniły elity narodowosocjalistyczne. Losy tych zbrodniarzy dobitnie pokazały, że w wielkiej polityce sprawiedliwość nie istnieje. Wraz z rozwojem zimnej wojny okazało się, że polowanie na brunatnych przestępców właściwie nikomu już się nie opłaca. Zbrodniarze mogli spać spokojnie[327].

Większość z tych nieskruszonych nazistów wymarła w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w kryjówkach w Argentynie, Peru i innych totalitarnych krajach, które nie miały umów o ekstradycji z państwami Zachodu. Wcale nie mniej wróciło do Niemiec i Austrii, gdzie też udało im się uniknąć rozliczenia z przeszłością, aż zmarli w zapomnieniu[328].

Już po czterech latach od zakończenia drugiej wojny światowej można było odnieść wrażenie, że w ogóle nie doszło do denazyfikacji w zachodnich strefach okupacyjnych podzielonej III Rzeszy, które następnie weszły w skład RFN. Jak to się stało, że zbrodniarze wojenni i zwolennicy narodowego socjalizmu wciąż mieli się tak dobrze? Najprościej, i jednocześnie najbardziej dosadnie, będzie stwierdzić, że

w pewnym momencie po prostu okazało się, że rozliczenie zbrodniarzy i sympatyków Hitlera... się nie opłaca[329].

W przypadku zorganizowanej bandy przestępczej nikt nie miałby wątpliwości, że winny morderstwom jest w taki sam sposób jej przywódca wydający zbrodnicze rozkazy, jak i bandyta, który bezpośrednio zabijał. Za równie winnych potraktowano by tych, którzy prowadzili dokumentację zbrodni, jak i tych, którzy układali plany czy organizowali karabiny. Natomiast w przypadku procesów zbrodniarzy hitlerowskich sądownictwo zachodniemieckie „odkryło” inne interpretacje odpowiedzialności za udział w organizacji zbiorowych mordów[330].

Jedną z wątpliwości podnoszonych przez prawników było złamanie dwóch zasad prawnych: *nullum crimen sine lege* – nie ma przestępstwa bez prawa (*nulla poena sine lege* – nie ma kary bez prawa) i *lex retro non agit* – prawo nie działa wstecz. W prawie międzynarodowym nie istniały do tej pory takie przepisy, które pozwalałyby sądzić i karać za masowe zbrodnie, zaplanowane i wykonywane przez aparat państwowy[331].

W dodatku grupy poszukujące obozowych oprawców składały się głównie z mężczyzn, którzy mieli mgliste pojęcie o tym, co działo się w żeńskich placówkach. Nikt też nie znał personaliów nadzorczyń, a hitlerowcy metodycznie niszczyli dokumenty umożliwiające ich identyfikację. Przez to wielu aufzejerkom udało się umknąć wymiarowi sprawiedliwości. „Kobyła” liczyła, że będzie jedną z nich[332].

Bezkarności Braunsteiner sprzyjało również to, że Austriacy nie rozliczyli się do końca z nazistowską przeszłością – dopiero niedawno wydali pierwsze listy gończe za żyjącymi jeszcze zbrodniarzami wojennymi. W dodatku między nazistami istniała szczególna więź oparta na zażyłości. Jak można było oczekiwać, że zbudowany tak system sądownictwa poradzi sobie z wyzwaniem, które się przed nim pojawiło? Siła dawnych narodowosocjalistycznych elit polegała przede wszystkim na ich wzajemnej lojalności. Pełnili oni w powojennych

dziesięcioleciach kluczowe funkcje w różnych instytucjach państwa zachodniemieckiego. I w ten sposób mieli wpływ na wiele decyzji[333].

W społeczeństwie, które prawie w całości poparło Hitlera, zmowa milczenia była instrumentem obrony. Niemcy i Austriacy wypierali się swej działalności, przerzucali odpowiedzialność na nieżyjących przywódców (Hitlera, Goebbelsa, Himmlera) i przede wszystkim wzajemnie się kryli. W 1949 roku podróżująca po Niemczech Hannah Arendt napisała, że cztery lata po Hitlerze nie można było spotkać w Niemczech ani jednego nazisty. Nikt w przeszłości nim nie był[334].

A „Kobyła” nikomu nie chwaliła się swoją przeszłością. Po odbyciu krótkiego wyroku znów mogła cieszyć się wolnością. Najpierw pracowała w Wiedniu jako pomoc w gospodarstwie domowym u duńskiej rodziny. Po pół roku wróciła do Karyntii w Austrii, pracowała w hotelu w Velden nad jeziorem Worthersee, natomiast zimą w hurtowni nasion w Villach[335]. Tam poznała swojego przyszłego męża.

Urząd Imigracji i Naturalizacji ustali potem, że obywatel amerykański Russell Ryan, były uczestnik wojny koreańskiej, wyjechał w sierpniu 1957 roku do Europy. Postanowił swój dwutygodniowy urlop spędzić w jednym z austriackich kurortów i tam poznał Hermine. Według innej wersji pracowała w hotelu, w którym się zatrzymał. Czas wolny po pracy spędzali razem, a kiedy po dwóch tygodniach Russell wyjeżdżał, przyrzekli pisywać do siebie.

Wkrótce potem zdecydowali, że Hermine przez Kanadę przyjedzie do Stanów. Przez Kanadę – bo zapewne obawiali się, że rząd Stanów Zjednoczonych będzie zbyt skrupulatnie wniknął w przeszłość Austriaczki przybyłej z Europy. Później Russell Ryan powie prokuratorowi Schiano, że owszem, wiedział o pracy swojej żony w Ravensbrück, ale był to przecież obóz... rehabilitacyjny. Pewnie więc żyłaby spokojnie i dostatnio, gdyby nie niefortunny dla niej zbieg okoliczności i spotkanie w Tel Awiwie „łowcy nazistów” z jej byłymi ofiarami.

Zdaniem Witolda Stankowskiego Szymon Wiesenthal był przykładem człowieka uporczywie poszukującego sprawiedliwości w kwestii rozliczenia totalitaryzmu, a przede wszystkim hitlerowskiego reżimu. Wydawać by się mogło, że siłą rzeczy i za przyzwoleniem ludzi, którym była i jest bliska sprawiedliwość dziejowa, totalitaryzm uda się rozliczyć, sprawców postawić przed sądami, a tym samym zamknąć problem dokonanych zbrodni.

Jak pokazują wydarzenia, które miały miejsce po drugiej wojnie światowej, wcale nie było łatwo, a w wielu wypadkach w ogóle zbrodnia nie została osądzona, a sprawcy nie stanęli przed sądami. Problemy te dotyczyły Wiesenthala. Z uporem i stanowczością przez całe swoje powojenne życie dążył do postawienia przed obliczem Temidy sprawców zbrodni hitlerowskich. W ten sposób realizował testament Żydów zamordowanych w obozach i gettach. Jego dewizą stały się słowa, że „mordercy nigdy nie zaznają spokoju” [\[336\]](#).

Po powrocie z Tel Awiwu do Wiednia natychmiast rozpoczął śledztwo w sprawie „Kobyły”. Najpierw sięgnął po archiwalne numery lokalnych gazet i znalazł sprawozdania prasowe. Okazało się, że jej działalność na Majdanku wspomiana była tylko marginesowo i nieujęta w jakiegokolwiek dokumentacji. Po procesie słuch o niej zaginał. Wiesenthal przypuszczał, że po odbyciu kary wróciła do Wiednia, skąd pochodziła. Odnalazł jej adres w dokumentach sądowych.

„W Biurze Meldunkowym poinformowano nas – relacjonował po latach – że Hermine Braunsteiner od 1946 roku nie jest już zameldowana pod swym dawnym adresem przy Kahlenbergerstrasse 44. Ale być może mieszkają jeszcze sąsiedzi znający ją i jej stosunki rodzinne lub zgoła poinformowani, dokąd się przeprowadziła. Udałem się więc na Kahlenbergerstrasse, piękną stromą uliczkę na skraju miasta, gdzie winnice wspinają się w stronę Lasku Wiedeńskiego.

Zamiast udać się wprost pod numer 44, zadzwoniłem do drzwi jednego z sąsiednich domów. Otworzył jakiś mężczyzna, jednak na pytanie

o Hermine Braunsteiner jego twarz zachmurzyła się «Niech pan pyta gdzie indziej» – mruknął i zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Więcej szczęścia miałem w domku po przeciwnej stronie. Otworzyła mi uprzejma starsza pani, udzielając ochoczo informacji. «Naturalnie, znałam tę dziewczynę. Niech pan wejdzie. Co chciałby pan o niej wiedzieć? Czy jest pan z prasy?»

Na tak miłe potraktowanie nie chciałem odpowiadać kłamstwem i postanowiłem mówić prawdę. «Nie, nie jestem z prasy. Interesuję się panną Braunsteiner, ponieważ miała proces». «Ach tak, biedna – podjęła wątek – słyszałam o tym, naturalnie i o tym, że została skazana. Pisano w gazetach, jak obchodziła się z kobietami w obozie. Właściwie to trudno mi w to uwierzyć. Ale z drugiej strony, tak wielu świadków twierdziło, że rzeczywiście to robiła. Znałam jej rodziców, to była prawdziwie katolicka rodzina. Widywałam ją, kiedy jeszcze była małą dziewczynką, jak w każdą niedzielę ładnie ubrana wędrowała ze swoją siostrą do kościoła...» Zatopiła się we wspomnieniach, zapominając o mojej obecności. Musiałem ją poprosić, aby opowiadała dalej.

Rodzina nie była zbyt zamożna i czternasto- lub piętnastoletnia Braunsteiner musiała pracować u pewnego handlarza zwierząt, otrzymując w zamian jedynie mieszkanie i wyżywienie. Jej siostra wyjechała do Holandii jako pomoc domowa i Hermine postanowiła udać się do niej za pierwsze zarobione pieniądze, aby znaleźć tam lepszą pracę. Nic jednak z tego nie wyszło. Już na granicy została zatrzymana i zawrócona z powrotem. «Dlaczego tak się stało, tego już dziś nie wiem – mówiła starsza pani, nabierając do mnie coraz większego zaufania. – Podczas wojny jedna z jej krewnych powiedziała mi, że Hermine pracuje w Niemczech w jakimś więzieniu jako strażniczka i dobrze się jej powodzi. W Wiedniu pojawiła się po raz pierwszy w 1943 roku. Nie widziałam jej, ale poinformowali mnie sąsiedzi, że chciała mnie wówczas odwiedzić. Niestety, nie było mnie wtedy w domu. Sąsiedzi w pierwszej chwili w ogóle jej nie poznali, bo nosiła jakiś rodzaj wojskowego munduru. Po raz pierwszy zobaczyłam ją znowu po wojnie, ale nie podobało się jej w Wiedniu. Powiedziała, że nie ma tu nic do

jedzenia i że wybiera się do Karyntii. Tam też aresztowała ją policja. Może znów powróciła do Karyntii, po odbyciu kary. Ona ma tam wielu krewnych». [...]

Moja rozmówczyni była tak wdzięczna, że znalazła wreszcie jakiegoś słuchacza, iż zaczęła z kolei opowiadać o swojej wnuczce, która «teraz powinna być w wieku Hermine». Hermine Braunsteiner, która strzeliła dziecku w twarz, była dla niej wciąż milutką dziewczynką z sąsiedztwa, którą mogła porównywać ze swoją wnuczką. Nie uwierzyłaby z pewnością, gdybym jej opowiedział, co słyszałem od trzech pań w Tel Awiwie. Byłoby to dla niej równie niepojęte, jak wyobrażenie sobie, że siedząca na moich kolanach kotka mogłaby się zmienić w dziką bestię.

Na pożegnanie zapytałem ją o nazwisko i adres krewnych Hermine w Karyntii. Skwapliwie zapisała mi te dane na kartce, którą zabrałem ze sobą”[\[337\]](#).

Wiesenthal nie znalazł informacji, jakie były jej dalsze losy. Po namyśle postanowił zwrócić się o pomoc do swojego przyjaciela w Grazu, który często jeździł do Karyntii w interesach, aby dyskretnie dowiedział się o Hermine Braunsteiner pod wskazanym adresem. Niestety – od dawna jej tam nie widziano. Nie była notowana przez policję ani nie figurowała w spisie ludności. Łowca postanowił skierować tam „specjalnego wysłannika”.

To był młody, niezwykle przystojny i wygadany chłopak, który na przekór swojemu ojcu – zajadłemu antysemitom – bardzo zaangażował się w tropienie hitlerowskich zbrodniarzy. Wiesenthal nie zdradza jego personaliów, nazywając go tylko Richardem. Jego zdaniem nadawał się do tego zadania zarówno pod względem zachowania, jak i wyglądu, ponieważ chodziło o to, aby nie spłoszyć zapewne „narodowo usposobionej” rodziny z Karyntii.

Poinstruowany odpowiednio przez Wiesenthala, wynajął pokój w miasteczku, w którym mieszkała rodzina „Kobyły”, i spróbował nawiązać z nimi kontakt. Ułożył sobie historyjkę, że jest studentem z Salzburga, którego część rodziny nosi nazwisko Braunsteiner, i będąc

na wakacjach w Karyntii, dowiedział się, że mieszkają tu ludzie o takim samym nazwisku. Chciałby więc z nimi porozmawiać i sprawdzić, czy przypadkiem nie są jego dalekimi krewnymi.

Trzeciego dnia odwiedził dom, w którym mieszkała rodzina „Kobyły”. Otworzyła mu jakaś starsza pani, której opowiedział historię o swoich rzekomych krewnych z Salzburga, noszących to samo nazwisko. Odpowiedziała, że nikogo takiego nie zna. Richard wystraszył się, że zatrzaśnie mu drzwi przed nosem. Zagrał więc ostatnią kartą i wyraził przypuszczenie, że jej mąż być może jest lepiej zorientowany. Wtedy wpuściła go do domu. Wkrótce zjawił się jakiś mężczyzna w jego wieku i zaczął z nim przyjacielską pogawędkę. Richard kuł żelazo, póki gorące i zaprosił go na wieczór na kolację do restauracji.

„Następnego dnia zaproszono go na obiad – relacjonował Wiesenthal – i stosunki zostały nawiązane, ale dopiero czwartego dnia dowiedział się czegoś o Hermine Braunsteiner. Najpierw opowiedział im historię o swoim biednym wuju, który, choć niewinny, skazany został na pięć lat więzienia, bowiem zawistni ludzie, którym podobały się obrazy przywiezione przez niego z Francji, oskarżyli go o rozmaite zmyślane okrucieństwa.

Poskutkowało. «Tak samo postąpili z moją krewną – powiedziała nagle pani domu. – Skazali ją tylko za to, że była strażniczką w więzieniu i dała po buzi paru Cygankom. Ale na szczęście to już minęło. Pięć lat temu wyszła za mąż za Amerykanina i mieszka teraz w Halifaxie, w Kanadzie».

Trudniej było dowiedzieć się o obecne nazwisko Hermine Braunsteiner. Podczas jakiegoś spaceru z synem gospodyni, z którym się zaprzyjaźnił, Richard powrócił do tego tematu.

«Pojedzie pan pewnie do swojej krewnej do Kanady?»

«Chętnie bym to zrobił, ale to kosztuje tyle pieniędzy».

«Kanada była zawsze moim marzeniem – oświadczył Richard. – Wspaniała dzika natura, cudowne krajobrazy. Myślę, że za dwa lata uda

mi się tam pojechać. Mógłbym odwiedzić pańską krewną i przekazać jej pozdrowienia».

«Ona nazywa się teraz Ryan i mieszka w Halifaxie»^[338].

Ocalony z Auschwitz znajomy Wiesenthala, mieszkający w Toronto, zdołał ustalić, że Hermine Braunsteiner-Ryan już tam nie mieszka. Po trzech tygodniach, w drugiej połowie czerwca 1964 roku, wiedział więcej. Okazało się, że korespondencja do Ryanów przekierowywana jest do Stanów Zjednoczonych na adres 5211, 72nd Street, Maspeth, Queens-N.Y.

Dzięki innej korespondencji, odnalezionej przez austriackiego fotografa Benjamina Bexa, mieszkającego na stałe w Berlinie, udało się rzucić trochę światła na losy „Kobyły” po wyjściu z więzienia oraz okoliczności, w jakich trafiła do USA. Jego nieżyjąca już babcia poznała Hermine Braunsteiner po wojnie. Z dokumentów odnalezionych w jej domowym archiwum wynikało, że kobiety pisywały do siebie przez około dwadzieścia lat. „Mama wspominała – przyznawał mężczyzna – że babcia знаła kogoś takiego jak Braunsteiner. Nie zdawałem sobie jednak sprawy z tego, że tak bardzo się ze sobą przyjaźniły”^[339].

Obie były pokojówkami w hotelach w Karyntii. Hermine pracowała dorywczo, między innymi jako pokojówka w Casino Hotel Mösslacher w miejscowości Velden am Wörthersee. Babcia Bexa była zatrudniona w wielkiej posiadłości o nazwie Villa Stromberg. Poznały się prawdopodobnie w jedynym maglu w Villach, bo w mieście była tylko jedna maszyna do prasowania. Pranie przywożono tam na wózkach. Fotograf nie miał pojęcia, czy rozmawiały o przeszłości „Kobyły”.

Braunsteiner często wspominała babci Bexa, że chciałyby wyemigrować do USA. Nie powiedziała dlaczego, ale musiała podejrzewać, że jej pierwszy wyrok za działalność w Ravensbrück nie będzie, delikatnie mówiąc, końcem tej historii.

Zaproszona przez Russella Hermine szukała drogi do Kanady. Nadarzyła się okazja. Premier Nowej Szkocji w Kanadzie szukał w Europie gospodyni. Kandydatura Austriaczki została przyjęta, wiza

przysłana. Hermine po opuszczeniu kraju spędziła około czterech tygodni u swojej siostry w Holandii, a w październiku 1958 roku popłynęła do Kanady. Russell Ryan czekał na nią już na statku. Tydzień później pobrali się w Halifax i Braunsteiner przybrała nowe nazwisko – Ryan. W takiej sytuacji premier podziękował niedoszłej gosposi za pracę. Biorąc pod uwagę to, że jej mąż był Amerykaninem, bez problemu mogła wyjechać do USA. W kwietniu 1959 roku Hermine Ryan znalazła się w Stanach Zjednoczonych^[340].

Małżeństwo pozostało bezdzietne. Osiedlili się w Nowym Jorku, gdzie Russell pracował jako mechanik precyzyjny, natomiast Hermine w fabryce dzianin^[341]. Dorabiała sobie jako pomoc domowa.

Braunsteiner przez dwadzieścia lat utrzymywała kontakt ze swoją przyjaciółką, babcią Benjamina. Wysyłała listy i zdjęcia. W 1959 roku na bożonarodzeniowej kartce ze Świętym Mikołajem prosiła: „Gdy będziesz miała czas, napisz mi długi list. Często myślę o Tobie, o tym, jak potoczyły się Twoje losy po wyjeździe do Szwajcarii. Twoja Hermi”^[342]. Co znamienne, mimo nagłośnienia sprawy jej przeszłości ich kontakt trwał do 1973 roku, czyli jeszcze dziewięć lat, czego dowodzi ocalała korespondencja.

Babcia Bexa pracowała potem przez kilka lat w Szwajcarii jako pokojówka w hotelach. Braunsteiner musiała ją tam odwiedzić podczas wakacji. Latem 1962 roku beztrąsko popłynęła do Europy jako turystka „hanzeatyckim” statkiem i przez wiele miesięcy podróżowała po Republice Federalnej, meldując się należycie w każdym hotelu i zajeździe pod swoim nazwiskiem. Do tego czasu nie interesował się nią żaden organ niemieckiej władzy. Kto wie, czy przyjechałaby w późniejszych latach do Austrii lub Niemiec, zwłaszcza że już wtedy trwały gorączkowe poszukiwania Josefa Mengele i Adolfa Eichmanna.

Prześledzenie jej przypominających grę w klasy podróży z Austrii do Halifaxu w Kanadzie, a później do dzielnicy Queens w Nowym Jorku, pokazało nieprawdopodobną drogę, która zaprowadziła osławioną obozową strażniczkę do Ameryki. Cieszyła się zaufaniem i szacunkiem

sąsiadów. Nikt z nich nie podejrzewał, że ta sympatyczna starsza pani dokonywała w przeszłości rzeczy, które mogą zmrozić krew w żyłach. 15 stycznia 1963 roku Hermine Braunsteiner-Ryan otrzymała amerykańskie obywatelstwo, tracąc jednocześnie austriackie. Wtedy też nabrała pewności, że wojenne zbrodnie ujdą jej płazem. Nic bardziej mylnego[343].

Nawet Wiesenthal nie uważał Stanów Zjednoczonych za typowy cel podróży dla hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Z drugiej strony pomimo wielu formalnych próśb o ekstradycję ze strony ZSRR i jego wschodnioeuropejskich satelitów, usiłujących postawić osoby oskarżone o nazistowskie zbrodnie wojenne przed sądem, Stany Zjednoczone nigdy nie zgodziły się wysłać żadnej z nich, by mogły uczestniczyć w procesie[344].

Ale przypadek „Kobyły” z Majdanka wydawał się Wiesenthalowi zupełnie wyjątkowy, choćby ze względu na jej niespotykaną brutalność i bardzo poruszające wypowiedzi kobiet, które przeżyły tę grozę. Najpierw postanowił zwrócić się do amerykańskich urzędników rządowych, przedstawiając im to, co wiedział. Bez odpowiedzi[345]. Jej adres przekazał także izraelskiej policji 9 lipca 1964 roku.

Wiesenthal mistrzowsko opanował sztukę współpracy nie tylko z wieloma rządami, lecz także z reporterami, organizacjami żydowskimi oraz zrzeszającymi ocalałych. Niekiedy nawet wykorzystywał jednych przeciwko drugim, by osiągnąć swój cel. I zrobił to, co zazwyczaj czynił w podobnych przypadkach: dał o wszystkim znać Clyde'owi Farnsworthowi, reporterowi „New York Timesa” w Wiedniu, który właśnie napisał długi i pochlebny artykuł o Wiesenthalu zatytułowany *Sleuth with 6 Million Clients (Detektyw z sześcioma milionami klientów)* [346].

W ciągu kilku dni nota z nazwiskiem Hermine Braunsteiner oraz wszystkimi obciążającymi ją informacjami zebranymi przez Wiesenthala trafiła na biurko Joego Lelyvelda, początkującego reportera miejskiego

w Nowym Jorku. Ten natychmiast wziął się do działania, odszukując dom „Kobyły”.

Gdy otworzyła mu drzwi, jego oczom ukazała się grubokoścista kobieta o surowych ustach, które wydawały się jakby zasznurowane na zawsze. Miała na sobie różowo-białe szorty z dopasowaną bluzką bez rękawów. Z jej blond włosów, obecnie siwiejących, sterczały papiloty, w ręce zaś trzymała pędzel – malowała właśnie wewnątrz swojego domu. Była dość miła, dopóki nie dowiedziała się, kim jest Lelyveld i czego chce. Pierwszy jej komentarz brzmiał:

„Robiłam tylko to, co robi straż w obozach. W radio mówicie stale o pokoju i wolności. Dlaczego więc piętnaście czy szesnaście lat po tym wszystkim przeszkadzacie ludziom? Dostyc już odpokutowałam. Odsiedziałam karę trzech lat więzienia. Czy może pan sobie wyobrazić – zwróciła się do reportera – co oznaczają trzy lata pobytu w więzieniu? I co oni znowu chcą ode mnie?” [347].

Braunsteiner stwierdziła płaczliwym tonem, że pełniła tylko funkcję strażniczki, marnej strażniczki, która robiła, co jej kazano. Lelyveld opowiedział jej tymczasem o liście Wiesenthala, w którym przytoczone zostały oskarżenia przeciwko niej. List sugerował, że nie była jedynie niskiej rangi strażniczką, ale kimś znacznie gorszym. Znowu opanowały ją emocje, choć mąż bronił żony z amerykańskim przekonaniem.

Nie wiedział lub tylko mówił, że nie wiedział, o jej trzyletnim pobycie w więzieniu po wojnie. Także jej działalność na Majdanku i w Ravensbrück nie była mu znana. Miała mu powiedzieć, że w czasach nazistowskich była strażniczką w pewnym zakładzie karnym. Nie do pomyślenia było dla niego, iż jego żona mogła popełnić jakiegokolwiek przestępstwa. „Czy ci ludzie nigdy nie słyszeli powiedzenia: «Niech zmarli spoczywają w spokoju?»” [348].

Tekst artykułu został napisany w typowym dla „New York Timesa” subtelnym tonie, ale i tak wywołał spore poruszenie w Nowym Jorku, a ponadto przyciągnął uwagę funkcjonariuszy organów porządku publicznego w Waszyngtonie. Już następnego dnia, z prędkością

i zdecydowaniem rzadko spotykanymi w ciągu dwóch dekad okresowo pojawiających się raportów o nazistach, urzędnicy imigracyjni ogłosili, że otwierają śledztwo w sprawie kobiety, która miała stać się znana jako osławiona „Kobyła” z Majdanka[349].

Urząd Imigracyjny chciał wiedzieć, czy pani Braunsteiner, obecnie Ryan, dostała się do Stanów Zjednoczonych, ukrywając swoją nazistowską przeszłość. Co się z nią stanie – i czy cokolwiek – wciąż było niepewne. Choć raz jednak wydawało się, że w kraju coś zauważono. Amerykańscy urzędnicy mogli lekceważyć wcześniejsze próby pociągnięcia do sprawiedliwości nazistów, nie obawiając się o polityczne tego konsekwencje. Ale teraz tematem zajęli się Szymon Wiesenthal i „New York Times”. Sprawy „Tratującej Klaczy” z Queens nie dało się po prostu zignorować[350].

Jak podaje Tom Segev, biograf Wiesenthala, ten opisywał zazwyczaj nowojorskie Centrum jako filię swojego biura w Wiedniu. W rzeczywistości była to fundacja uprawniona do zbierania pieniędzy odpisywanych od podatku. Mieszcząca się na Manhattanie fundacja miała ten sam adres, co firma importująca artykuły sportowe popularnej marki Republic-Cellini. Właściciel firmy, Hermann (Hy) Katz, był człowiekiem o awanturniczym temperamentem.

Kiedy w 1964 roku przeczytał w „New York Timesie” artykuł o Wiesenthalu, jego odwaga, determinacja, a w szczególności tajemniczość podziałały na jego wyobraźnię. Lubił wyjeżdżać na safari do Afryki i wydaje się, że najbardziej podziwiał Wiesenthala jako „łowcę”. Sprawa Hermine Braunsteiner-Ryan w Nowym Jorku poruszyła go: „Pragnę ją widzieć w więzieniu – pisał do Wiesenthala – chodzi tu o prywatną zemstę [...]. Proszę mi dać tę satysfakcję, bym wiedział, że umrze w więzieniu jak Franz Stangl”[351].

Kiedy Braunsteiner po raz pierwszy przeczytała w prasie artykuł o sobie, miała zawołać: „To już dla mnie koniec ze wszystkim”. I miała trochę racji, bo chlebodawca, u którego zarabiała tygodniowo

dziewięćdziesiąt dolarów, natychmiast ją zwolnił, to samo uczynił następny[352]. Ale to był dopiero początek kłopotów.

Gdy w styczniu 1963 roku została naturalizowana, otrzymując obywatelstwo Stanów Zjednoczonych, podała fałszywe dane na temat swej przeszłości. Jedno z pytań ankiety, zarówno wizowej, jak i obywatelskiej, brzmi: czy byłeś kiedykolwiek aresztowany, skazany za zbrodnie, czy miałeś darowaną winę lub podlegałeś amnestii w innym kraju? Hermine Braunsteiner odpowiedziała, że nie, ale amerykańskie prawo imigracyjne nie uznaje obcych amnestii. Obowiązuje wprawdzie zasada zmazania każdej kary po upływie dziesięciu lat, jednak kiedy w grę wchodzi sprawy tej wagi, co posada państwowa, wiza czy obywatelstwo – konieczne jest wyjawienie wszystkich zasądzonych kar, chociażby już dawno uległy zmazaniu[353].

Wydawało się, że sprawa będzie w miarę prosta – „Kobyła” stanie przed sądem i trafi do więzienia. Ale w tej sprawie nic nie było proste, zwłaszcza że nie miała ona precedensu – nikt wcześniej nie został pozbawiony obywatelstwa amerykańskiego za zbrodnie wojenne. W tym czasie na spokojnej do tej pory ulicy w Queens rozgrywały się dantejskie sceny. Przed domem „Kobyły” demonstrowali młodzi ludzie domagający się głowy zbrodniarki. Przychodzili gapie, ciekawi, jak wygląda bestia w ludzkiej skórze.

Sąsiedzi nie chcieli uwierzyć, ale żaden z nich nie chciał podać swego nazwiska. Jednak anonimowo mieli odwagę zaprzeczać: „Trudno uwierzyć w oskarżenie przeciwko niej. Nikt nie może tak bardzo się zmienić”. Dla sąsiadek ta grubokoścista, prosto trzymająca się przyjaciółka, którą widywały w ogrodzie, sprzątającą mieszkanie, chodzącą po zakupy, była „cudowną, kochaną kobietą, którą rząd oskarża niesłusznie”[354].

Nie zauważano, że nie w tym rzecz, czy była aresztowana, czy odsiedziała trzyletni wyrok sądu austriackiego i czy ma wyrzuty sumienia, ale w tym, czy osoba o takim morale ma pozostać w Stanach Zjednoczonych...

Tymczasem jedna z sąsiadek nie zastanawiała się, czy odpokutowała za swoje zbrodnie, czy ona w ogóle odczuwała, że postępowała źle: „Nie mogę sobie wyobrazić, co za myśli przechodziły przez głowę tej biednej kobiety, kiedy usłyszała huk szyby zbitej piłką mego syna. Ona musiała pomyśleć, że to znowu bomba lub coś takiego”. Dla niej ważniejsze było, że nie musiała płacić za szkody, które wyrządziło jej dziecko: „Kiedy mój syn, bawiąc się piłką, zbił jej szybę w oknie, ona nie kazała za nią płacić. Przeciwnie. Stanowczo odmówiła. Ona tak bardzo kocha dzieci”. Trzynastolatek, o którym mowa, wspominał: „Pani Ryan zaprosiła mnie do domu, kiedy zadzwoniłem do niej, by powiedzieć, że piłką zbiłem szybę w jej oknie. Dała mi wtedy ciastko z cukrem i nie chciała pieniędzy”[\[355\]](#).

Oto jedno z wielu głosów sąsiadów byłej strażniczki hitlerowskich obozów: „Ona kocha psy... Kiedy mój pies miał szczenięta, dała mu pudełko i pomagała przy małych. Pan sam może zobaczyć, ile jest psów w tym bloku. I ona zachwyca się nimi”. Albo: „Widujemy ją z miniaturowym pinczerkiem, którego prowadzi na smyczy... widuję ją, jak idzie po zakupy... jest nadzwyczaj grzeczną sąsiadką”. Albo: „Ona stale krząta się przy domu. Pan nie widział nigdy tak czystej gospodyni”[\[356\]](#).

Jakby miłość do zwierząt albo umiejętność zachowania porządku była wystarczającym usprawiedliwieniem katowania ludzi... Pytano retorycznie, ile razy może być ta sama osoba skazana za te same przewinienia i jak długo człowiek musi pokutować za zbrodnie. Jak można porównywać poprawne zachowanie się wobec sąsiadów z unicestwianiem bezbronnych więźniów tylko dlatego, że zaliczeni zostali do „podludzi”?

Takie postrzeżenie hitlerowskich zbrodniarzy zdarzało się dość często. Fenomen ten miał najróżniejsze wytłumaczenia. Jednym z nich jest fakt, iż nadzorcy z SS, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, funkcjonują w wyobraźni wielu ludzi według stereotypu, który w rzeczywistości bynajmniej nie był powszechny, mianowicie jako perwersyjne bestie

z pejczem za cholewą, bijące po twarzy każdego więźnia, który się im nawinie na drodze.

Tego rodzaju nadzorcy również istnieli i oni właśnie ukształtowali obraz obozowego oprawcy zarówno w oczach więźniów, jak i opinii publicznej – ale taki był tylko co dziesiąty. Reszta to ludzie zupełnie przeciętni, wyróżniający się jedynie czasem niezwykłą tępotą, bądź wrodzoną, bądź przybraną jako maska ochronna. Popełniali przestępstwa raczej pod wpływem okoliczności zewnętrznych niż z własnej inicjatywy, byli produktem specyficznych warunków istniejących w III Rzeszy^[357].

Zdaniem „Kobyły”, pracując przez sześć lat w obozach, nie miała świadomości, co tam robi, więc za co mogłaby się teraz wstydzić? Przecież wykonywała tylko swoją pracę. A niektóre więźniarki zachowywały się tak, że nie mogąc sobie z nimi poradzić, biła je po głowach, aby zaprzestały kłótni... Takie myślenie było typowe dla mentalności hitlerowców. To „przewrotność i niemoralność więźniów” zmuszała „dobrych” Niemców do bicia i mordowania.

To właśnie powiązanie sentymentalizmu i sadyzmu jest hitlerowską cechą i nie przeczy jedno drugiemu – ta sama kobieta, która jest wzorem dobrej sąsiadki, może być strażniczką, szczującą psami swoje ofiary. Nie tylko w jej przypadku rzuca się w oczy absolutny brak wyrzutów sumienia. Nic nie jest w stanie zmazać zbrodni popełnionych przeciwko ludzkości. Jedno, co mogłoby doprowadzić do wybaczenia, to przywrócenie życia skatowanym czy zagazowanym ludziom.

Publikacja artykułu zelektryzowała nie tylko lokalną społeczność, lecz także odbiła się głośnym echem na całym świecie. Nie trzeba było długo czekać, aby pod domem „Kobyły” zaczęły zbierać się tłumy domagające się wymierzenia jej sprawiedliwej kary. Sześć lat po jej identyfikacji i rozpoczęciu procedury prawnej kilku młodych ludzi próbowało nawet przeprowadzić zamach na jej życie.

Ofiarą owej pomyłki omal nie padło młode małżeństwo i jedno z jej rodziców. Na szczęście, chociaż wyrwa po wybuchu była tak wielka, że

mogłaby tam wjechać ciężarówka, nikt nie zginął. Wieczorem tego samego dnia w redakcji „The New York Times” zadzwonił telefon. „Jestem członkiem «Jewish Resistance Assault Team» – oznajmił męski głos – i to ja rzuciłem zapalającą bombę... Myślałem, że tam mieszka Braunsteiner”[\[358\]](#).

Hermann Katz pisał wtedy do Wiesenthala: „Jedna z naszych miejscowych grup, «jednostka Żydowskiego Ruchu Oporu», postanowiła wysadzić w powietrze jej dom i przez pomyłkę wyrządziła szkodę w innym domu, jak sam widzisz, nie są zbyt dobrze zorganizowani. Mam jednak nadzieję, że pozbedziemy się jej, wyrzucając ją z tego kraju”[\[359\]](#).

Znaczna część, jeśli nie większość, członków zbrodniczej załogi obozu lubelskiego, przynajmniej ci, którzy zdążyli, w nadziei na uniknięcie odpowiedzialności karnej schroniła się na terenie zachodnich stref okupacyjnych Niemiec. Liczyli nie tylko na pobłażliwe traktowanie ich przez współziomków, ale także na nieznamość realiów III Rzeszy Niemieckiej i obozów koncentracyjnych przez prowadzących postępowanie denazyfikacyjne, zwłaszcza Amerykanów.

W obozach dla jeńców wojennych hitlerowscy oficerowie oglądali filmy, grali w piłkę, chodzili na wykłady akademickie. Natomiast w obozach dla dipisów[\[360\]](#) żydowskiego pochodzenia ludzie walczyli o dodatkowe porcje czarnego chleba i kawy. Większość tych obozów działała jeszcze trzy–cztery lata po wojnie, bo nikt nie chciał przyjąć Żydów. Zaczęli wyjeżdżać dopiero w 1948 roku po powstaniu państwa Izrael. Zdarzało się jednak, że osoby, które przetrwały koszmar wojny, popełniały samobójstwa. Specjalny wysłannik prezydenta Trumana skonstatuje potem: „Traktujemy ocalałych tak samo jak naziści, z tą różnicą, że ich nie mordujemy”[\[361\]](#).

Szacuje się, że tylko około piętnastu procent zbrodniarzy wojennych, którzy byli członkami załóg w obozach, udało się postawić przed sądem (najwięcej w Polsce). W przypadku załogi Majdanka było podobnie, gdyż na ławie oskarżonych znalazł się zaledwie co jedenasty

funkcjonariusz. Nie odpowiadali natomiast przed sądami tacy znani zbrodniarze jak Max Blancke, Karl Arthur Gossberg, Theodor Hessel, Josef Klaps, Otto Kloppmann, Günter Konetzny, Heinrich Worster, Peter Wyderko i dziesiątki im podobnych, nawet wtedy, kiedy znane były dowody ich winy i adresy[362].

Jeśli w pierwszych latach powojennych ściganie zbrodniarzy nazistowskich prowadzono nader intensywnie, pod wpływem tego, co wyzwoliciiele zobaczyli w obozach koncentracyjnych, to poczynając od 1948 roku, zaczęło ono zamierać. Blokada Berlina doprowadziła także do blokady mózgów alianckich wielkorządców. Nagle doszli do wniosku, że powinni oszczędzać nazistowskich zbrodniarzy, aby pozyskać Niemców do celów zimnej wojny. Zwłaszcza po śmierci Stalina zachodnia propaganda zwracała uwagę opinii publicznej przede wszystkim na zbrodnie popełnione za jego panowania[363].

Wielu Niemców i Austriaków uznało to za dobrą okazję do zestawienia zbrodni nazistowskich ze stalinowskimi, przyrównując masową śmierć głodową podczas przymusowej kolektywizacji do przeprowadzanych na skalę przemysłową masowych mordów w III Rzeszy czy deportacje do wyniszczających obozów pracy, do transportów wysyłanych do obozów zagłady, przeznaczonych od początku wyłącznie do tego celu[364].

Przemilczeniu hitlerowskich zbrodni sprzyjała także sytuacja polityczna. Drugą wojnę światową zastąpiła zimna wojna, a w niej świat zachodni skonfrontował się z komunizmem. Niemcy, uważający siebie za pierwszych obrońców chrześcijańskiej cywilizacji przed sowieckim barbarzyństwem, byli aliantom, a szczególnie Amerykanom, potrzebni w zbudowaniu układu, który mógłby przeciwstawić się Sowietom. Przy okazji w RFN pojawiały się silne głosy, że osądzanie brunatnych zbrodniarzy jest niesprawiedliwe, skoro czerwoni kaci mają się świetnie w ZSRR. Wszystko to sprawiło, że polowanie na zbrodniarzy przestało się opłacać[365].

Jak zauważa Stanisław Kania, esesmani z Majdanka, którzy znaleźli się na terenie zachodnich stref okupacyjnych Niemiec, a później RFN,

do roku 1960 nie mieli powodów do niepokoju. Jedynie w czasie pierwszych trzech powojennych lat narażeni byli na pewne przykrości. Niektórzy z nich zmuszeni zostali do składania wyjaśnień w procesach denazyfikacyjnych.

Należeli wprawdzie do tej warstwy byłych nazistów, której przedstawiciele stosunkowo często stawiano w stan oskarżenia, ale przy odrobinie szczęścia i sprytu można było się z tego wyplątać. Zaledwie kilku najbardziej znanych stanęło przed sądami alianckimi. Najgorsze, co mogło ich spotkać, to ekstradycja do Polski, ale to niebezpieczeństwo trwało krótko i po utworzeniu RFN już nie musieli się go obawiać[366].

Od 1949 roku wraz z nowo powstałą Republiką Federalną zaczęli się urządzać. Jeżeli się uwzględni, że część z nich zbiegła do innych krajów, a niektórzy zmarli, można przyjąć, że na terenie RFN było ich wtedy co najmniej pięciuset. Państwo i społeczeństwo były dla nich wyrozumiałe. Z dniem 8 maja 1960 roku przedawniały się zbrodnie zabójstwa; w pięć lat później miało nastąpić przedawnienie nawet najgroźniejszych przestępstw – zbrodni morderstwa. Gdyby nie głosy, które docierały z zagranicy, zwłaszcza byłych więźniów Majdanka, Polaków i Żydów, mogliby się czuć zupełnie pewnie[367].

Zimna wojna już tylko dopełniła dzieła – RFN stała się sojusznikiem Zachodu. Adenauer już w 1949 roku mógł sobie pozwolić na oficjalne stwierdzenie: denazyfikacja przyniosła wiele nieszczęść i wyrządziła wiele szkód. W imię jedności państwa (RFN), integracji wewnętrznej społeczeństwa władze niemieckie za zgodą aliantów odchodziły od ścigania zbrodniarzy wojennych. W 1950 roku ogłoszono zakończenie denazyfikacji[368].

Ostatecznie ekstradowano do Polski tysiąc ośmiuset trzech zbrodniarzy. Sam fakt zgłoszenia konkretnego zbrodniarza wojennego do rejestru był traktowany jako zgłoszenie wniosku o zapoczątkowanie procedury ekstradycyjnej. Za tak niską liczbę ponoszą winę przede wszystkim władze „ludowej” Polski, bo do połowy 1947 roku zarówno władze brytyjskie, jak i amerykańskie bez problemów wydawały Polsce

przestępców wojennych pod warunkiem przedstawienia odpowiedniej, wymaganej dokumentacji[369].

Do 1964 roku kontakty organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości z Polską były w RFN zakazane. Ale nawet wtedy, kiedy w listopadzie 1964 roku rząd federalny zdecydował zwrócić się z apelem o pomoc w poszukiwaniu dowodów zbrodni narodowosocjalistycznych, adresowanym również do krajów socjalistycznych, w Federalnym Ministerstwie Sprawiedliwości formułowano wytyczne dotyczące kontaktów z krajami komunistycznymi, które znacznie ograniczały możliwości skorzystania z tej pomocy[370].

Większości osób, które uznano za odpowiedzialne, nie można było odnaleźć lub zdołały one umknąć wymiarowi sprawiedliwości z powodu niezdolności do udziału w rozprawie. Bardzo negatywnie na czas trwania dochodzenia wpłynął fakt, że polskie archiwa zostały udostępnione niemieckim prawnikom dopiero w 1964 roku, pod naciskiem zbliżającej się dyskusji dotyczącej przedawnienia zbrodni w Niemczech. Fakt, że zebrany materiał dowodowy doprowadził do wniesienia publicznego oskarżenia, nie zaś do przerwania postępowania, należy rozpatrywać w tym kontekście jako sukces[371].

Jak podkreśla Sebastian Fikus, dawne elity faszystowskie miały świadomość, że przedawnienie zbrodni z czasów III Rzeszy wcale nie jest takie pewne. A to mogło spowodować w dalszej konsekwencji, że wielu znalazłoby się na ławach oskarżonych. Nic więc dziwnego, że dawne elity szukały rozwiązań prawnych, które zapewniłyby im bezkarność. Oczekiwano inicjatyw od prawników, którzy tu nie próżnowali.

Zacząło się w 1954 roku, wraz z reformą prawa karnego w RFN, kiedy to jedną z pierwszych zmian, jakie wprowadzono, była nowa postać § 33 kk. Została skonstruowana tak, by utrudnić karanie zbrodniarzy hitlerowskich. Sukces tej inicjatywy zachęcił zapewne elity postfaszystowskie do dalszych działań w tym kierunku. W Bonn utworzył się mały krąg wybitnych ekspertów, którzy postawili sobie

zadanie znalezienia prawnej możliwości objęcia amnestią zbrodniarzy w niewidoczny dla opinii publicznej sposób^[372].

Ukaranie zbrodniarzy spotkało się nie tylko z wielkimi oporami, lecz także wywoływało polityczne spory. Sprytny manewr legislacyjny sprawił, że amnestionowani zostali ostatecznie wszyscy funkcjonariusze aparatu terroru, którzy wydawali zbrodnicze rozkazy zza biurka. Fakt ten przeszedł bez echa, podczas gdy koncentrowano się na dyskusjach wokół nieprzedawniania zbrodni hitlerowskich, które były już tylko farsą odgrywaną przed międzynarodową opinią publiczną.

Warunkiem sukcesu wprowadzenia takiej nowelizacji prawnej było utrzymanie w tajemnicy jej konsekwencji. I rzeczywiście, nikt z niepowołanych osób nie zauważył, jakie otwiera ona perspektywy. Nie zauważył ich nawet profesor Jürgen Baumann z Uniwersytetu w Tübingen, który jawił się wówczas jako jeden z najwybitniejszych znawców prawa karnego. Był on ekspertem Bundestagu i uchodził za radykalnego przeciwnika amnestii dla zbrodniarzy hitlerowskich. Przy swojej antyfaszystowskiej orientacji nigdy by do tych zmian nie dopuścił, ale intryga się udała^[373].

Jakkolwiek sytuacja w RFN i uwarunkowania międzynarodowe sprzyjały dawnym zbrodniarzom, którzy nie byli ścigani za swoje czyny, to jednak pozostawała kwestia, która nie pozwalała im spać całkowicie spokojnie. Czym innym było bowiem faktyczne nieściganie niemieckich przestępców wojennych, a czym innym prawna niemożność ich skazania. Dawni naziści przemycili swój pomysł w reformie... kodeksu drogowego. Wraz z ponad stu pięćdziesięcioma artykułami nowelizującymi prawo o ruchu drogowym zreformowano jeden z paragrafów art. 50 kodeksu karnego^[374].

Pretekstem miało być łagodniejsze potraktowanie sprawców śmiertelnych wypadków drogowych. Z zapisami w kodeksie drogowym wiązał się rzekomo § 50 pkt 2 kk. Dlatego też zaproponowano jego nową formułę: „Jeżeli brak jest wyraźnych osobistych przesłanek, powiązań czy wszelkiego rodzaju osobistych związków, które by łączyły ofiarę

i sprawcę, to w przypadku współuczestnika mordu należy jego czyn potraktować zgodnie z regułami karania usiłowania tego czynu” [375].

Konsekwencje płynące z tego zapisu nie były na pierwszy rzut oka widoczne. Dla klasyfikacji kategorii mordu najważniejsza stała się kwestia związku ofiary ze sprawcą. Jeżeli morderca ofiary osobiście nie znał i nie miał z nią żadnych powiązań, to jego czyn automatycznie należało potraktować jako „usiłowanie zbrodni”. Miało to dla biurkowych zbrodniarzy hitlerowskich kluczowe znaczenie. Urzędnicy i oficerowie wydający polecenia mordów na ludziach, których nigdy nie widzieli, musieli być od tego momentu traktowani jako przestępcy, którzy zaledwie „usiłowali” (!) dokonać swoich mordów. Ale co jeszcze ważniejsze, zgodnie z niemieckim systemem prawnym „usiłowanie zbrodni” przedawniało się po piętnastu latach, czyli w maju 1960 roku [376].

Przepis ten uwolnił od odpowiedzialności całe mnóstwo brunatnych przestępców: tych, którzy swoje rozkazy podpisywali w berlińskich gabinetach, i tych, którzy wydawali zbrodnicze polecenia żołnierzom. Trafnie skonstatował tę sytuację prokurator Fritz Bauer, główny organizator tak zwanego drugiego procesu oświęcimskiego we Frankfurcie nad Menem w latach 1963–1965, który miał powiedzieć, że „demokratyzacja RFN jest pozorna i gdyby pojawił się nowy Hitler – zaledwie 18 proc. obywateli RFN wystąpiłoby aktywnie przeciw niemu” [377].

Pierwszym zbrodniarzem, który domagał się uniewinnienia na podstawie § 50 pkt 2, był funkcjonariusz Gestapo, SS-Oberscharführer Hermann Heinrich. Na wiosnę 1942 roku pracował w Referacie ds. Żydów w Krakowie. Był odpowiedzialny za ich selekcję – niezdolnych do pracy odsyłano do obozu w Bełżcu i mordowano. Dowiedziono, że z własnej inicjatywy angażował się w wyłapywanie Żydów, których szukał nawet w szpitalach. Zarzucano mu współudział w mordzie ponad trzydziestu siedmiu tysięcy Żydów [378].

Jego obrońcy odwołali się do Trybunału Federalnego, domagając się na podstawie tego paragrafu zamknięcia postępowania. Przewodniczącym zespołu prowadzącego sprawę był Werner Sarstedt, dawny sędzia III Rzeszy. Po wojnie wsławił się wyrokami uniewinniającymi hitlerowskich zbrodniarzy, które wzbudzały międzynarodowe oburzenie. Sarstedt zaakceptował argumentację obrony i Heinricha uwolnił. Wyrok ten stał się precedensem i szeroko otworzył bramy do generalnej amnestii dla zbrodniarzy „biurkowych”[\[379\]](#).

Z punktu widzenia dawnych elit hitlerowskich § 50 pkt 2 niósł jeszcze jedną wielką korzyść. Amnestionował on tylko jedną, ale tę najważniejszą część zbrodniarzy. Do odpowiedzialności mogli zostać natomiast pociągnięci ci, którzy zachowywali się okrutnie, bili i kopali. Więc § 50 pkt 2 podtrzymywał jednocześnie fikcję, że zbrodniarze hitlerowscy są w Niemczech Zachodnich dalej ścigani przez prawo[\[380\]](#).

Rozdział VII

**„W TEJ TWARZY IRLANDZKIEGO
AMERYKANINA «SIEDZI TRZECH
ESESMAŃÓW»”**

Już pod koniec wojny naziści robili wszystko, aby zatuszować swoje zbrodnie. Powołano specjalne jednostki (Enterdigungskommandos), których zadaniem było ponowne wykopywanie i palenie zwłok, niszczone obciążające dokumenty, a budynki wysadzano w powietrze. Podczas gdy „normalni” mordercy są zwykle całkowicie izolowani, mordercy nazistowscy dysponowali całym aparatem państwowym, który planował również ich ucieczkę. Przekazano za granicę pieniądze, a następnie ODESSA – siatka konspiracyjna wspierająca byłych esesmanów – zapewniła zbiegom bezpieczne kryjówki i sfalszowane dokumenty[381].

„Kobyle” pomoże z kolei Stille Hilfe, czyli Cicha Pomoc, organizacja, która miała doskonałe wejścia w bawarskiej i austriackiej chadecji, więc nigdy nie miała problemu ze zbieraniem pieniędzy w Austrii czy w Niemczech. Założyła ją tuż po wojnie (stowarzyszenie zarejestrowano w 1951 roku) hrabina Helena Elisabeth von Isenburg, żona nazistowskiego naukowca[382].

Oficjalnie troszczyła się o nazistów, których alianci stawiali przed trybunałami. Hrabina von Isenburg prowadziła szeroką kampanię, by uratować więźniów przed stryczkiem. Pisała petycje i artykuły,

przedstawiając nazistów jako nieświadome ofiary. Aliantom zarzucała stosowanie odwetowej „sprawiedliwości zwycięzców”. Poparcie deklarował nawet papież Pius XII, który obiecał interwencję, by uratować więzionych nazistów przed szubienicą.

Po cichu organizacja nawiązywała kontakty z grupami nazistów rozsianymi po całym świecie. Członkowie Stile Hilfe jeszcze przed oficjalną rejestracją pomagali hitlerowskim zbrodniarzom uciekać do Hiszpanii czy Ameryki Południowej. Zdaniem historyków skorzystali z tego zapewne Adolf Eichmann – organizator Holocaustu pojmany w latach sześćdziesiątych przez izraelskich agentów i powieszony w Jerozolimie, Josef Mengele – okrutny lekarz obozowy z Auschwitz, Walter Rauff – wysoki funkcjonariusz Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, jeden z inicjatorów budowy komór gazowych^[383].

Gdy nazistowskie grube ryby wyjechały z Niemiec, stowarzyszenie zaczęło pomagać w ucieczce niższymi rangą nazistom. Byli wśród nich Klaus Barbie – szef Gestapo w Lyonie, skazany we Francji w 1987 roku na dożywocie, czy Erich Priebke – oficer SS odpowiedzialny za masakrę ponad trzystu włoskich cywilów pod Rzymem. Gdy mimo wysiłków stowarzyszenia naziści lądowali na ławie oskarżonych, Stile Hilfe płaciła za adwokatów, na procesy wysyłała obserwatorów, a zakulisowo próbowała wywierać wpływ na sędziów. Wspierała także odpowiedzialnych za zbrodnie w Polsce – choćby Josefa Schwammbergera, komendanta obozów koncentracyjnych w Przemyślu i Rozwadowie^[384].

Działania zmierzające do zapewnienia bezpieczeństwa nazistowskim uciekinierom bezpośrednio po zakończeniu wojny były zadziwiająco skuteczne. Wystawiają kiepskie świadectwo państwom alianckim, które nie potrafiły przeszkodzić temu procederowi.

Amerykanie byli wśród inicjatorów procesów zbrodniarzy wojennych w okupowanej Europie, jednocześnie jednak przyznali azyl setkom, jeśli nie tysiącom emigrantów, głównie z Europy Wschodniej, którzy

pomagali hitlerowcom; wielu z nich można określić mianem zbrodniarzy wojennych. Amerykanie uznawali ich za uchodźców politycznych, antykomunistów[385]. Ponadto kilkanaście tysięcy znalazło schronienie na Bliskim Wschodzie, gdzie wielu byłych esesmanów wstąpiło do Legii Cudzoziemskiej, która nikogo nie pytała o przeszłość[386].

Szlaki przerzutowe nazistów z Europy na półkulę zachodnią zwane były „ścieżkami szczurów”. Główna wiodła z Niemiec do Rzymu, potem Genui, do Ameryki Południowej. Hitlerowcom pomagali nie tylko zwykli księża, ale nawet kardynałowie – przy czym trzeba podkreślić, że chodzi o pojedynczych duchownych, a nie o cały Kościół. Władze amerykańskie nie tylko wiedziały o tych ścieżkach, ale nawet kilkakrotnie je wykorzystywały, by wywieźć wybranych nazistów z Europy. Chodziło o ludzi, których wywiad USA uznał za wartościowych i chciał uchronić przed procesami w Norymberdze[387].

Nie jest specjalnie ukrywaną tajemnicą, że po wojnie armia sprowadziła do USA około tysiąca sześciuset naukowców o hitlerowskim rodowodzie, by pomagali walczyć z ZSRR w ramach operacji „Spinacz”. Ale Eric Lichtblau w swojej książce pisze o szokującej liczbie dziesięciu tysięcy nazistów, którzy znaleźli tu bezpieczne schronienie. Świadomość, że było ich tak wielu i tak łatwo przedostali się do Ameryki, jest bardzo przygnębiająca. Jak to się mogło wydarzyć?

Zdaniem wspomnianego autora opracowania *Sąsiedzi naziści. Jak Ameryka stała się bezpiecznym schronieniem dla ludzi Hitlera* większość z nich ukrywała prawdziwą tożsamość, a w drugiej połowie lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych przyjechało z samych tylko krajów wschodnioeuropejskich czterysta tysięcy imigrantów. Naziści ukryli się w tłumie. Na granicy podawali zmyślane biografie, mówili, że są byłymi jeńcami wojennymi albo rolnikami.

Udało im się wykorzystać luki w systemie i politykę imigracyjną, która faworyzowała wówczas przybyszów z Europy Wschodniej. Okrutna ironia takiej strategii polegała na tym, że do USA często trudniej było

wjechać ludziom ocalałym z Holocaustu trzymanym w obozach dla dipisów niż ich katom. Wzię wjazdową bez problemu dostał na przykład Karl Linnas, który pełnił funkcję komendanta obozu koncentracyjnego Tartu w Estonii i osobiście mordował więźniów. W pewnym stopniu był to efekt niekompetencji urzędników, ale przede wszystkim zawiniła polityka rządu[388].

Amerykanie przyznawali azyl zbrodniarzom hitlerowskim, którzy proponowali im różnego rodzaju usługi; nie naciskali na Niemców, by ci postawili przed sądem więcej złoczyńców, nie uczynili też wiele, by ukarać tych mieszkających w ich kraju. Prawo Stanów Zjednoczonych nie zezwalało na sądenie zbrodni wojennych popełnionych na terenie Europy, nie uchwalono również praw retroaktywnych, podobnych na przykład do ustawy o nazistach i ich pomocnikach przyjętej w Izraelu[389].

To rzeczywiście szokujące i zawstydzające dla Stanów Zjednoczonych, gdy uprzytomnimy sobie, że nie chodziło tylko o naukowców, lecz także o innych nazistów i kolaborantów – poczynając od strażników z obozów śmierci, poprzez oficerów SS aż po wysokiej rangi zbrodniarzy, jak Ottona von Bolschwinga, czołowego doradcę Adolfa Eichmanna, kierującego ludobójstwem Żydów, czy Andrija Artukovicia – jednego z przywódców marionetkowego rządu Chorwacji w czasie drugiej wojny światowej[390].

Walka o to, czy Hermine Braunsteiner-Ryan zostanie wydana przez władze USA do Republiki Federalnej Niemiec lub do Polski, trwała prawie dziesięć lat. Od dnia, w którym „łowca nazistów” Szymon Wiesenthal po raz pierwszy zaalarmował nowojorskich dziennikarzy o tym, że w ich mieście ukrywa się jedna z najbardziej znanych nazistowskich zbrodniarek, była strażniczka obozów koncentracyjnych Ravensbrück, Majdanek i Genthin.

Część amerykańskich dziennikarzy podejrzewała, że w tej tak długo przewlekanej, prawniczo i moralnie prostej sprawie nie działały wpływy amerykańskich Niemców, którzy – jak to jest widoczne z ich prasy

i publicystyki – byli jeszcze bardziej gorliwymi i cynicznymi nazistami aniżeli ich odpowiednicy w Niemczech Zachodnich. Jeden ze śledczych powiedział prasie, że rozpracowując sprawą Hermine Braunsteiner, wykrył wraz z prokuratorem ponad osiemdziesięciu byłych esesmanów lub ich sympatyków i prawdopodobnie Urząd Imigracyjny zajmie się także nimi.

Ale w RFN nie spieszyli się z wyrokami za zbrodnie popełnione w czasie drugiej wojny światowej. Rząd nie uznawał za podstawę do ścigania zbrodniarzy hitlerowskich zasad prawa międzynarodowego, przyjętego przez Międzynarodowy Trybunał Norymberski, i Konwencji Organizacji Narodów Zjednoczonych z 1968 roku o nieprzedawnianiu zbrodni wojennych oraz zbrodni przeciwko ludzkości^[391].

W tym czasie w prasie pojawiły się pierwsze nagłówki o kobiecie, o której Wiesenthal w „Das Beste” powiedział, że „musi zapłacić za swoje zbrodnie”. Tygodnik „National Enquire” wybrał nagłówek: *Gospodyni domowa musi zostać wydana za pracę jako strażniczka w obozie koncentracyjnym*, natomiast „Daily News” donosił, że ta kobieta odegrała znaczącą rolę w selekcji żydowskich kobiet do zagazowania.

Dopiero gdy pojawiły się artykuły na jej temat, a fotoreporterzy coraz częściej chcieli zrobić zdjęcie *housewife*, o której mówi się, że była masowym mordercą, spokój w małym gospodarstwie domowym Ryanów w nowojorskiej dzielnicy Queens dobiegł końca.

Hermine Braunsteiner nie należała do tych przeciętnych i tępych nadzorców. Według wszelkich świadectw obozowych zaliczała się do tych dziesięciu procent zwyrodniałych sadystów. Nawet na Majdanku zabicie strzałem w głowę uciekającego małego dziecka nie należało do normy. W jej psychice musiała istnieć rozległa motywacja agresji, która nie mogła po prostu zaniknąć z chwilą powrotu do życia w normalnych warunkach. A może jednak?

„Czy nie można sobie wyobrazić – zastanawiał się Wiesenthal – że człowiek, który w pewnej fazie swego życia niezwykle intensywnie

wyłądował pokłady swego sadyzmu, zdolny jest następnie do szczególnie spokojnego i przyjacielskiego zachowania? Czy też, przeciwnie, nie jest do pomyślenia, że agresja, która manifestowała się jako sadyzm w warunkach obozu koncentracyjnego, może w sytuacji ludzkiego normalnego życia wyrażać się w serdecznym podejściu do innych ludzi? Albo czy nie mamy tu do czynienia ze swoistą schizofrenią polegającą na sąsiadowaniu w duszy człowieka obu tych stron – sadystycznie złej i spolegliwie dobrej, niekontaktujących się nawzajem ze sobą? Składałby się on w takim wypadku z dwóch zupełnie różnych od siebie ludzi, z których jeden może deptać butami twarz małej dziewczynki, a drugi dawać słodczyce córeczce sąsiadów.

Nie wiem, czy kiedykolwiek nasza wiedza o duszy ludzkiej potrafi w sposób wiarygodny wyjaśnić fenomeny tego rodzaju. I choć byłoby z pewnością dobrze otrzymać takie wyjaśnienie, nie uważam tego za specjalnie ważne. Każde przestępne działanie daje się w końcu wyjaśnić w drodze badania psychiki sprawcy. Nie zmienia to jednak istoty tego działania. Naszym obowiązkiem jest oceniać czyny. Przeciwno Hermine Braunsteiner świadczą zeznania licznych wiarygodnych świadków, że biła, chłostała, deptała i mordowała. Niczego nie mogą tu zmienić zeznania licznych wiarygodnych sąsiadów, iż była najsympatyczniejszą kobietą na całej ulicy”[\[392\]](#).

Prawie dwie dekady po zakończeniu wojny, w 1964 roku, władze amerykańskie wszczęły procedurę pozbawienia jej obywatelstwa. Co roku trafiało się przeciętnie pięć takich wniosków, lecz tylko dwa z nich odnosiły zamierzony skutek. W latach pięćdziesiątych Związek Radziecki i jego państwa satelickie występowały o ekstradycję mieszkających w Ameryce narodowych socjalistów, ale wszystkie te wnioski upadły w związku z zimnowojenną kampanią propagandową. Wielu Amerykanów było przekonanych, że chodziło wówczas o nieprawdziwe oskarżenia skonstruowane przez komunistów[\[393\]](#).

Ci, którzy bronili „Kobyły”, przekonywali, że pierwszy akt ludzkiego dramatu rozegrał się wtedy, gdy była ona zmuszona opuścić szkołę, mając lat czternaście. „Widzicie więc – podkreślał później jej obrońca –

od jakich zbiegów okoliczności zależało, czy ktoś taki jak oskarżona trafi do takiego obozu”[\[394\]](#). Niezły argument, ale wówczas wielu ludzi w jej wieku musiało opuścić szkołę i iść do pracy. To było raczej charakterystyczne dla okresu 1920–1940. I nie może być traktowane jako usprawiedliwienie.

Jak to mówią: „Złego kościół nie naprawi, dobrego karczma nie zepsuje”, a mniej delikatnie: „Prawdziwy człowiek zawsze i w każdych warunkach potrafi być człowiekiem – bydlę zawsze będzie bydlęciem”. Nie jest to stwierdzenie doskonałe, ba, właściwie krzywdzące dla bydłęcia, ale jest bardziej dosadne od poprzedniego i bardziej odpowiadające warunkom Majdanka.

W celu uspokojenia opinii publicznej podano do wiadomości, że Urząd Imigracyjny zażądał od Austrii akt związanych ze skazaniem Braunsteiner w 1949 roku. Wprawdzie odpowiadało to rzeczywistości, ale do odebrania jej obywatelstwa wystarczyło, że pani Ryan przemilczała przed władzami imigracyjnymi swój wyrok, co nie ulegało wątpliwości. Jednakże biurokracja nie chciała wykorzystać tej najprostszej drogi. Chciano zademonstrować obiektywizm również w sprawach związanych z byłymi nazistami[\[395\]](#).

Russell Ryan zapewniał: „Moja żona nie skrzywdziłaby nawet muchy”, i powierzył sprawę adwokatowi Johnowi Barry’emu, który zapewnił, że proces pani Ryan ciągnąć się będzie przez wiele lat. Wystąpił też z zasadniczym pytaniem, czy dopuszczalne jest rozbijanie rodziny w drodze deportacji jednego z małżonków. Praworządne państwo postępuje tak surowo wobec każdego, kto uczestniczył w deportacji i mordowaniu milionów ludzi.

W Austrii też się nie spieszo. Minęły trzy lata, zanim prokurator Flick z Grazu udał się w tym celu do Izraela. Po przekazaniu zdjęć „Kobyły” do zagranicznych organizacji byłych prześladowanych pojawiły się liczne zgłoszenia świadków z różnych krajów, nawet z RPA. Dopiero 28 września 1971 roku zostało jej odebrane obywatelstwo

amerykańskie przez sędziego Jakuba Mischlera z Federalnego Sądu Okręgowego w Brooklynie[396].

A właściwie Hermine Braunsteiner-Ryan sama z niego zrezygnowała z mocą wsteczną, zostając tym samym bezpaństwowcem. Ale mogła nadal mieszkać w Stanach Zjednoczonych. Vincent Schiano, główny prokurator Urzędu Imigracyjnego, wznowił proces o deportację za okłamanie rządu i za zbrodnie przeciwko ludzkości. Przez cały czas odpowiadała jednak z wolnej stopy[397].

Na świadka w rozprawie została zaproszona polska dentystka Danuta Brzosko-Mędryk, a to za sprawą jej wspomnień *Niebo bez ptaków*. Autorka opisała w nich zachowanie obozowych funkcjonariuszy SS, w tym także Aufseherin Hermine Braunsteiner. Książka po wypuszczeniu jej na rynek wydawniczy żyje na ogół własnym życiem. Potwierdzeniem tego jest właśnie *Niebo bez ptaków*, pamiętnik, który dotarł do Ameryki, stając się niejako dowodem w sprawie[398].

Istotny był także fakt, że była to pierwsza ogłoszona drukiem relacja więźniarki. Wydawane wcześniej materiały wspomnieniowe wychodziły spod pióra mężczyzn. Losy kobiet uwięzionych w obozie koncentracyjnym na Majdanku były zatem prawie nieznane licznemu wówczas gronu czytelników autobiograficznych relacji wojennych.

Nazwiska Brzosko-Mędryk próżno bowiem szukać w przewodniku encyklopedycznym *Literatura polska XX wieku* czy w wielotomowym, tak zwanym złotym, słowniku biobibliograficznym *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury*. Trudno też rozstrzygnąć, dlaczego postać i twórczość pisarki nie trafiły do tych powszechnie cenionych kompendiów literackich. Przeoczenie nie należy do błahych, ponieważ *Niebo bez ptaków* z pewnością nie jest wspomnieniem banalnym[399].

Śledczy przestrzegał lekarkę, tłumacząc, że „[...] tam będzie teatr, a największy aktor to obrońca John Barry. Czy słyszałaś od Ewy, Nuny czy doktora Jerzego, że jestem wobec was nielojalny? Nie – odpowiedział sam sobie i ciągnął: – Ale chcę cię przygotować do dzisiejszego występu, bo my musimy wygrać... bo – poprawił się –

prawda musi zwyciężyć kłamstwa. Ja sypiam po trzy, cztery godziny, nie widuję żony, dzieci, ten weekend spędzę na rozmowie ze świadkiem z Paryża. Nie robię tego dla kariery. Chcemy pokazać światu, że nie pochwalamy zbrodni”[\[400\]](#).

I rzeczywiście. obrońca Hermine Braunsteiner-Ryan, oskarżanej o mord na więźniarkach Majdanka, chciał podważyć wagę tego świadectwa, wskazując niesłusznie na jego antysemitki wydzźwięk. Dodajmy, że w zbiorowej publikacji *Majdanek 1941–1944* zredagowanej przez Tadeusza Mencła relacja Danuty Brzosko-Mędryk przywoływana jest w charakterze źródła historycznego[\[401\]](#). Po przeszło ćwierć wieku ofiara hitlerowskiej kaźni spotkała swoją oprawczynię:

„Nie wiem – wspominała – czy to akurat wtedy spotkały się nasze oczy, ale teraz, gdy przywołuję tamte chwile, widzę jej twarz, oddaloną ode mnie o trzy metry.

Nie zmieniła się wiele. Wyglądała młodo. Rysy miała ostre, ten sam charakterystycznie wystający podbródek i oczy – jak dawniej – jasne i zimne. Tylko włosy, niegdyś bujne i gładko nad czołem zaczesane, teraz zmienione rozjaśnieniem i grzywką, niepasującą do twarzy – piętrzyły się nad łukami brwi. [...]

– Kiedy świadek widziała po raz pierwszy panią Braunsteiner-Ryan?

– Aufseherin Braunsteiner – rozmyślnie podkreśliłam słowo «aufseherin» – po raz pierwszy zobaczyłam w końcu stycznia lub na początku lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku.

– Gdzie?

– Na Piątym Polu kobiecym na Majdanku.

– Co pani Braunsteiner robiła?

– Ryan – sprostował obrońca.

– Aufseherin Braunsteiner wbiegła na Pole z psem.

– Dlaczego świadek pamięta, że była to właśnie pani Ryan? – zapytał sędzia.

– Ponieważ była to pierwsza esesmanka, która w ciągu dnia przyszła z psem. Do tej pory z psami przychodzili tylko esesmani. [...]

– Czy pani Braunsteiner-Ryan była?

– Tak.

– Jak to się odbywało? Proszę sądowi opisać taki fakt.

– Jedne z nas nosiły cegły, inne ziemię. Ziemię na tak zwanych nosiłkach, cegły w rękach. Pędziła nas tam i z powrotem po Piątym Polu «Krwawa Brygida». Biła deską. Jej zachrypnięty głos...

– «Krwawa Brygida»?

– Hildegarda Lächert.

– A Braunsteiner? – przerwał prokurator.

– Właśnie wtedy wpadła nieznana mi wówczas aufzejerka z psem i szczując nim, goniła więźniarki. W prawej ręce miała pejcz. Biła.

– Świadek też była uderzona?

– Po raz pierwszy wtedy poczułam prawdziwy ból od uderzenia pejczem.

Ponieważ pani Klara przetłumaczyła słowo «pejcz» jako «horsewhip», nie chciałam, aby sędzia wyobraził sobie szpicrutę, i dodałam: – Biła też bykowcem”[\[402\]](#).

„Newsday” z 23 września podawał, że Braunsteiner patrzyła na Polkę, przesywając ją spojrzeniem przez na pół opuszczone okulary. Do skandalicznej sytuacji doszło, gdy do przesłuchania świadka przystąpił obrońca „Kobyły” John Barry, który zażądał paszportu Polki:

„Jakże potem żałowałam – przyznawała – że spełniłam to życzenie. Patrzyłam, jak wielkimi literami wypisywał moje dane personalne. Robił to rozmyślnie wolno, nieomal celebrując sam fakt przerzucania kartek, podnosił na mnie oczy, uśmiechał się, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że mógłby znaleźć w paszporcie coś niezgodnego z prawdą, ale nie zrobi tego, bo jest taki miły i układny...

Widać było, że już wszedł w rolę głównego aktora tego spektaklu i przygotowuje widownię.

Mąż oskarżonej, Russell Ryan, zaczął go naśladować. W notesie rozłożonym na kolanach wypisywał szczególnie wolno mój adres.

Dopełnienie do listy wrogów «Odessy» – pomyślałam, wcale nie z najprzyjemniejszym uczuciem”[\[403\]](#).

W Ameryce o hitlerowskich obozach koncentracyjnych, o ich charakterze, wiedziano niewiele lub nic. Ten klimat nieznajomości tragicznych doświadczeń ofiar hitleryzmu ciążył na całym przebiegu postępowania przed sędzią, który pozwalał obrońcy – mówiąc delikatnie – na atakowanie i nieoszczędzanie świadka. Adwokat John Barry korzystał z tego pozwolenia często w sposób bezwzględny, niewybredny i niemający nic wspólnego z tym, co przywykliśmy nazywać obroną. Zdyskwalifikować świadka wszelkimi dozwolonymi i niedozwolonymi metodami, byleby tylko uwolnić panią życia i śmierci z Majdanka – oto linia obrony w stylu wolnoamerykańskim[\[404\]](#). Obrońca „Kobyły” chciał wiedzieć, czy:

- „ – Czy pani Ryan miała broń? Czy strzelała?
- Nie zadawaj podwójnych pytań – zwrócił uwagę sędzia.
- Zwykle miała...
- Skąd świadek wie, że miała?
- Widziałam kaburę.
- Zamkniętą? Otwartą?
- Oponuję, świadek... – zaczął prokurator, ale mu przerwałam:
- Pan żartuje... kto by się jej aż tak przyglądał?
- Czy miała coś w ręku?
- Tak. Pejcz.
- Biła?

Co to, atak na klientkę? Co się za tym kryje? – pomyślałam i znowu zamaskowałam ziewnięcie.

– Tak.

– W jaki sposób? Ręką?

– Ręką też, ale często kopała albo biła deską, stojąc w drzwiach baraku. Najczęściej jednak pejczem”[\[405\]](#).

Dochodzi do niecodziennej konfrontacji, a w czasie przesłuchań do nietypowych dla sądownictwa europejskiego sytuacji: *cross-examination* – krzyżowy ogień pytań – był tu wyjątkowo bezwzględny i brutalny. Ciężar dowodzenia winy spadał niejako na byłą więźniarkę, która przecież wcale nie myślała o zemście, jak to usiłował przedstawić obrońca Aufseherin z Majdanka, John Barry[\[406\]](#). Ten zwietrzył okazję do rozpętania kolejnej dyskusji na temat różnicy między pejczem a bykowcem i przedłużania w ten sposób procesu. Potem pani Danuta opisała, jak spotkała drugi raz oskarżoną:

„ – W lutym stałyśmy parę godzin na apelu. Kobiety rozgrzewały się, rozcierając jedna drugiej plecy... Wtedy... wpadła Braunsteiner i zaczęła się znęcać nad starszą panią za to, że wysunęła się z szeregu. Inna, widząc to, jęknęła i zaraz została przez Braunsteiner dostrzeżona i dotkliwie pobita.

– Czy Braunsteiner mówiła coś wtedy?

– Tak, że ją zatłucze na śmierć, jak ją drugi raz zobaczy.

– Następnie?

– Było to w kwietniu, przed samą Wielkanocą. W Polsce często w tym czasie zimne dni przeplatają się z wiosennymi. Wtedy przez parę dni były przymrozki, prószył śnieg z deszczem i nagle zrobiło się ciepło. Grzało mocno słońce. Szłyśmy z komendantury po obiadową zupę. Było nas kilka. Ciepło przenikające pasiaki dawało złudzenie rozprężenia.

– Rozmawiałyście? O czym?

– O czym? Tak... pamiętam... o fiołkach, że pewnie już kwitną. Tęskniłyśmy do trawy, kwiatów, ziemia Majdanka była zbita, stwardniała od drewniaków... Alina Lewacz zaczęła nucić. Nagle post...

– Kto? – sędzia zapytał panią Katty.

– Wartownik, strażnik, prawda? – zwróciła się do mnie Katty, ciepło uśmiechnięta.

– Tak, madam.

– Więc...

– Więc nagle post krzyknął «Achtung!» i...

– Proszę wyjaśnić – znowu sędzia popatrzył na Katty.

– Uwaga.

– Dziękuję. Proszę kontynuować. Proszę tłumaczyć mi każde słowo świadka.

– Post krzyknął «Achtung!», ale nim się zorientowałyśmy, z której strony grozi niebezpieczeństwo, już uczułyśmy razy na plecach i nogach. To była Aufseherin Braunsteiner. Siedząc na rowerze, biła nas pejcem. Kiedy w pewnej chwili zachwiała się i zeskoczyła z roweru, by go oddać wartownikowi, zaczęłyśmy uciekać, ale pejcz był dłuższy od dzielącej nas odległości. Za moment pończochy zwisały w strzępach, a nogi... nogi przez całą noc na zmianę moczyłyśmy w kubie z zimną wodą.

– Długo biła?

– Długo? Dla nas było to długo. Na czas nie pamiętam. Zresztą uciekłyśmy.

– Uciekły! Biedne, wygłodzone więźniarki uciekły zdrowej... – szepnął złośliwie Barry, ale mu przerwał prokurator, któremu z kolei ja nie pozwoliłam skończyć:

– W momentach zagrożenia człowiek zdobywa się na taki wysiłek, którego nie są zdolni wytłumaczyć lekarze. Następuje wyjątkowa mobilizacja siły. U jednych, bo inni... odwrotnie, załamują się.

Russell Ryan, gdy mówiłam, miazdzył mnie wzrokiem. Ewa miała rację: w tej twarzy irlandzkiego Amerykanina «siedzi trzech esesmanów».

– Nie zostałyście ukarane za ucieczkę? – zapytał sędzia.

– Nie. Nie byliśmy wtedy w gestii esesmanek, pracowaliśmy w barakach podoficerskich i oficerskich.

– Dlaczego was wtedy pani Ryan biła?

– Za to, że nosiłyśmy pończochy. W kwietniu nie wolno było nosić tych pończoch, zrobionych z pokrzyw... [...]

– Czy świadek widziała, że pani Ryan zabiła więźnia?

– Nie. Ale wiem, że strzelała do kobiety... Wiem, że wrzuciła też do kloaki Greczynkę i utopiła ją.

– Objected! Protestuję! Jak sąd może zezwolić... – wrzeszczał Barry.

– Na co sąd może pozwolić, sąd wie. Upominam świadka – powiedział sędzia – świadek ma mówić wyłącznie o tym, co widziała, a nie co słyszała lub co jej powiedziano. I proszę mówić przez tłumacza, nawet jeśli świadek rozumie angielski.

– Ja mówię o faktach...

– Proszę pytać dalej – sędzia zwrócił się do prokuratora.

– Kiedy jeszcze świadek zetknęła się z panią Braunsteiner-Ryan?

– Latem czterdziestego trzeciego roku zaskoczyła nas nagle w komendanturze. Wywoływała jakiś numer więźnia. Stałyśmy na baczność, milczałyśmy. To nie był numer żadnej z nas. Z trudem odczytała polskie nazwisko: Korwin-Kamieńska. Wystąpiła koleżanka, która...

– Kuca! – zawołał prokurator i nagle wszystkie głowy odwróciły się ku niemu, a on, trochę tym zażenowany, wyjaśnił:

– To z książki. Wiem to z książki...

– Tak. To była Kuca – powiedziałam mimo woli ciepło i serdecznie.

– To jej imię? – zapytał sędzia.

– Przewisko noszone od dziecka...

– I... – ponaglił jakby zainteresowany sędzia.

– Aufseherin Braunsteiner uderzyła ją w twarz, potem zerwała naszyty na pasiaku numer. Nosiłyśmy numery wydrukowane na prostokątnym białym płótnie. Znajdowały się nad czerwonym trójkątem z literą «P», co oznaczało Polkę, a kolor czerwony – więźnia politycznego. W tym czasie tylko niemieccy kryminaliści mieli trójkąty zielone, a badacze Pisma Świętego – fioletowe.

– Dlaczego wezwana więźniarka nie odezwała się, kiedy ją pani Ryan wywoływała? – zainteresował się sędzia.

– Kilkakrotnie zmieniano nam numery. A nowo przybyłe dostawały je po zmarłych, tak że często te same numery parokrotnie były przypisywane różnym więźniom. I właśnie koleżanka miała zmieniony, nie wiedząc o tym.

– I co było potem?

– Aufseherin Braunsteiner kazała jej biec w stronę Politische Abteilung...

– Co to jest?

– Oddział Polityczny.

– Dziękuję. Co dalej?

– Kuca biegła, a Braunsteiner, jadąc na rowerze, cały czas biła ją pejczem po nogach. A kiedy więźniarka zwalniała, najeżdżała na nią przednim kołem...

Kiedy to mówiłam, twarz Braunsteiner była samą ironią”[\[407\]](#).

Postawa mecenasa każe pamiętać o tych, którzy stali za jego klientką. Nie jest przecież tajemnicą istnienie potężnych sił pogrobowców hitleryzmu, dysponujących ogromnym majątkiem i koneksjami

w różnych zakątkach naszego globu, w tym również w obu Amerykach. Ale trzeba jednocześnie obiektywnie przyznać, że organy ścigania i oskarżenia wykazywały właściwą postawę i robiły wszystko, aby strażniczka obozu koncentracyjnego na Majdanku została pozbawiona obywatelstwa i wydalona ze Stanów Zjednoczonych[408].

I w końcu to się udało. Niespełna dziesięć lat po dziennikarzu nowojorskiej gazety, 21 marca 1973 roku, na schodach domu państwa Braunsteiner w Queens zjawiała się policja z nakazem aresztowania. „Kobyła” włożyła jesienny płaszcz, pozwoliła się zakuć w kajdanki bez protestu[409]. W Wielką Sobotę 1973 roku trafiła do aresztu ekstradycyjnego. Już następnego dnia napisała list z więzienia hrabstwa Nassau do dziadków znanego już nam Beniamina Bexa:

„Kochana Hildo, drogi Hugo!

Jestem pewna, że będziecie również bardzo zaskoczeni i jednocześnie przerażeni tym, gdzie jestem w tej chwili. Niestety, to już piąty tydzień mojego aresztowania, a tym samym konieczność oglądania od środka amerykańskiego więzienia. Nie jest mi łatwo to znieść, to dla mnie inny świat żyć z takimi ludźmi tutaj. Aż za dobrze możecie sobie wyobrazić, co ten czas tutaj oznacza dla mojego biednego Russa, a także dla mnie. Nie potrafię nawet wyrazić słowami, jak bardzo tęsknię za moim przytulnym domem, moim dobrodusznym Russem i moimi wiernymi czworonożnymi przyjaciółmi. Wszystko to zawdzięczam moim drogim przyjaciołom J., a także państwu niemieckiemu, które uważa za konieczne (ze względu na ogromną presję i potęgę finansową tak popularnego narodu) po 34 latach uczynić mnie winną i żądać ekstradycji w celu oskarżenia mnie ponownie za wszystko, co państwo niemieckie nakazało i wykonało w tym czasie.

Nie zwolnią mnie za kaucją, bo Niemcy kojarzą to z ryzykiem ucieczki. Gdybym tego chciała, nie czekałabym na to tyle lat. Są

jeszcze nie podjął decyzji i muszę czekać, aby zobaczyć, jak i co. Moja mocna wiara w Pana Boga i sprawiedliwość nie pozwalają zginać wielkiej nadziei. I wiem tylko jedno, że ta sytuacja tylko sprawia, że Russ staje się dla mnie bliższy, Russ zawsze będzie ze mną, cokolwiek by się nie działo. Dziś mija właśnie 15 lat, odkąd jestem w tym kraju, który powinien być moim drugim domem. Cóż za wielkie rozczarowanie, bo nie macie pojęcia, z jaką intrygą i brudnymi zagrywkami traktuje się tę sprawę, aby mnie napiętnować”[\[410\]](#).

Jej podejście do sprawy miało takie same cechy jak jej wypowiedzi na temat zarzutów przed i po procesie. Przekonanie o własnej nieomyślności, odrzucenie jakiegokolwiek winy państwa nazistowskiego – którego rozkazy rzekomo tylko wykonywała – a także jej jawna nienawiść do Żydów, która jest widoczna nie tylko w liście, ale również we wcześniejszym wywiadzie udzielonym jednej z gazet. Babcia Bexa, czytając list z aresztu, podobno potrząsnęła głową i powiedziała: „To, co tam jest napisane, jest nieludzkie”.

Ale minęły kolejne cztery miesiące, zanim Braunsteiner opuściła Stany. Ponoć redaktor naczelny „New York Timesa” pomstował, że amerykańska policja chroni kobietę, która dwadzieścia lat temu rozgrywała dzieci w obozie koncentracyjnym. Nie zamierzał tego tak zostawić. Przez dwa następne miesiące niemal codziennie będzie ukazywał się tekst wywierający nacisk na amerykańskie władze. W imieniu obywateli gazeta domagała się ekstradycji zbrodniarki. W ciągu kilku tygodni od publikacji pierwszego artykułu w kolejce ustawiły się cztery kraje: Niemcy, Austria, Polska i Izrael[\[411\]](#).

Polska już drugi raz starała się o Hermine Braunsteiner, zwłaszcza że żaden świadek z Polski nie był wzywany na jej proces w 1949 roku. W Polsce nie ma przedawnienia zbrodni wojennych. W końcu lat czterdziestych, w związku z odmową dalszego rozpatrywania polskich

wniosków ekstradycyjnych przez mocarstwa zachodnie, prowadzenie spraw o zbrodnie hitlerowskie przez sądy polskie stało się niemożliwe.

Po zebraniu przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce dowodów dalszych zbrodni popełnionych przez Hermine Braunsteiner-Ryan na Majdanku, w Ravensbrück i Genthin prokurator generalny PRL, opierając się na art. I i II pkt I traktatu ekstradycyjnego między Rzeczpospolitą Polską a Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej z dnia 22 listopada 1927 roku, złożył wniosek o ekstradycję Hermine Braunsteiner-Ryan za wymienione zbrodnie. Załączono szereg dokumentów oraz zeznań świadków stanowiących dowody popełnionych przez nią zbrodni^[412].

Władze polskie wystąpiły z wnioskiem o ekstradycję Hermine Braunsteiner 24 stycznia 1973 roku, uzasadniając go ciężącymi na niej takimi oto zarzutami:

1. W okresie od wiosny do jesieni 1943 roku w Lublinie jako strażniczka w obozie koncentracyjnym na Majdanku [...] wielokrotnie brała udział w selekcjach do gazowania kobiet i dzieci narodowości żydowskiej, połączonych ze szczególnym udręczeniem. W wyniku tej selekcji poniosło śmierć w komorze gazowej kilkaset kobiet i dzieci.

2. Idąc na rękę władzy niemieckiej: a) wzięła udział w selekcji do gazu więźniarek, kobiet narodowości polskiej, w wyniku której około 50 więźniarek poniosło śmierć w komorze gazowej; b) bijąc i kopiąc podczas apelu po całym ciele więźniarkę Polkę, o nieznanym nazwisku, spowodowała jej zgon; c) bijąc i kopiąc podczas apelu więźniarkę Polkę, o nieznanym nazwisku, wepchnęła ją do dołu kloaczego, powodując jej śmierć w fekaliach.

3. Na przełomie 1944–1945 w Genthin skierowała do komory gazowej w obozie koncentracyjnym Ravensbrück kilka więźniarek narodowości rosyjskiej i jugosłowiańskiej – chorych, jak też odmawiających pracy w miejscowej fabryce zbrojeniowej.

Ekstradycja (lub inaczej „wydanie”) to akt państwa polegający na wydaniu na określonych warunkach osoby znajdującej się na jego

obszarze władzom drugiego państwa w celu pociągnięcia jej do odpowiedzialności karnej na drodze sądowej lub w celu wykonania kary orzeczonej poprzednio wyrokiem sądowym^[413]. Posiada ona trzy stałe, ukształtowane historycznie cechy:

- porozumienie między państwami – zawsze jedno państwo występuje z wnioskiem o ekstradycję, a drugie wyraża na to zgodę;
- zmiana zwierzchnictwa terytorialnego w stosunku do osoby podlegającej wydaniu;
- celem wydania osoby jest przeprowadzenie postępowania karnego lub wykonanie kary prawomocnie orzeczonej^[414].

Wypada dodać, że umowy ekstradycyjne zawierają z reguły klauzule zezwalające na odmowę wydania osób, którym zarzucono popełnienie przestępstw politycznych, oraz zastrzeżenie, że nie będzie się wydawać obywateli własnych. Ponieważ jednak zgody na ekstradycję udziela „władza suwerennego państwa”, wypada się zastanowić, jaka władza w Niemczech była władna do udzielania takiej zgody po kapitulacji hitlerowskiej III Rzeszy w dniu 8 maja 1945 roku.

Jednym ze znanych i uznanych ograniczeń ekstradycji jest tak zwana zasada specjalności, głosząca, że osobę ekstradowaną można sądzić tylko za to przestępstwo, które było powodem wydania. Zasada ta była w pełni stosowana wobec zbrodniarzy hitlerowskich ekstradowanych po drugiej wojnie światowej. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że sytuacja, jaka powstała po zakończeniu działań wojennych, nie zawsze umożliwiała precyzyjne określenie czynu zarzucanego osobie, której ekstradycji żądano. Często można było określić ten czyn tylko w sposób ogólny. Wypada tu dodać, że zarówno deklaracja Pałacu św. Jakuba, jak i deklaracja moskiewska określiły zbrodnie wojenne tylko rodzajowo. Dalsza praktyka poszła więc w tym kierunku, że we wnioskach o ekstradycję tylko rodzajowo określano czyny stanowiące podstawę jej żądania^[415].

Polski wniosek był o sto stron krótszy niż niemiecki, ale nie to zdecydowało. Obawiając się procesu w Polsce, gdzie najpewniej

czekałaby ją kara śmierci, Hermine zdecydowała się dobrowolnie zrzec obywatelstwa USA w zamian za proces w Niemczech. Trzeba przy tym dodać, że powołany traktat ekstradycyjny przewiduje w art. VII, iż w razie zbiegu wniosków o ekstradycję sprawca wydany będzie temu państwu, od którego wniosek ekstradycyjny wpłynął najwcześniej. Państwo wezwane może jednak dać pierwszeństwo innemu państwu żądającemu wydania, jeżeli byłoby do tego zobowiązane na zasadzie traktatu zawartego z tym państwem^[416].

Życie Braunsteiner ocaliły zimnowojenne uwarunkowania polityczne, bowiem starania Polaków zostały zablokowane za sprawą samego Richarda Nixona. Według informacji uzyskanych z Ambasady PRL w Waszyngtonie wniosek polski złożony został wcześniej niż wniosek RFN. Pomimo to ekstradycję przyznano RFN. Z braku danych nie można się wypowiedzieć, jakie było uzasadnienie tej decyzji. Biorąc jednakże pod uwagę stanowisko USA w odniesieniu do innych polskich wniosków o ekstradycję, trzeba dojść do wniosku, że u podstawy tej decyzji legły również elementy natury politycznej^[417].

Chodzi w szczególności o sprawę ekstradycji Józefa Gazdowicza, który w latach 1947–1952 popełnił dwukrotnie zabójstwo oraz dziesięciokrotnie rabunek, a w roku 1953 zbiegł, zamieszkał w Rochester, w stanie Nowy Jork. Polski wniosek o ekstradycję został przez Sąd Zachodniej Dzielnicy Nowego Jorku z dnia 28 grudnia 1961 roku oddalony na tej podstawie, że dołączony przez władze polskie nakaz aresztowania wydany został przez prokuratora, a nie przez sąd, jak tego wymagał przepis art. X traktatu ekstradycyjnego, z pominięciem faktu, iż procedura w Polsce uległa zmianie i w czasie składania wniosku tylko prokurator mógł wydać taki nakaz^[418].

W marcu 1973 roku sędzia Jacob Mishler odczytał wyrok skazujący Hermine Braunsteiner-Ryan na ekstradycję do Republiki Federalnej Niemiec. W dniu 7 czerwca 1973 roku Sąd Apelacyjny Stanów Zjednoczonych stosunkiem głosów dwa do jednego utrzymał w mocy wyrok sądu okręgowego i skazał Hermine Braunsteiner-Ryan na

ekstradycję do RFN. Sąd Najwyższy w Waszyngtonie także zatwierdził wyrok. Ekstradycję podpisał sekretarz stanu William Rogers.

Pasażerowie samolotu Lufthansy, który wylądował w Düsseldorfie-Lohausen we wtorek 7 sierpnia 1973 roku, lecąc z nowojorskiego lotniska imienia Kennedy'ego, być może rozpoznali jedną z lecących. To Hermine Braunsteiner-Ryan – po latach zacieklej przepychanek między niemieckimi organami ścigania i ich prawnikami – została w końcu poprzedniej nocy zabrana z więzienia East Meadow przez dwóch nowojorskich policjantów i przekazana swoim niemieckim kolegom. Prawdopodobieństwo polskiego procesu sprawiło jednak, że – według świadków – na płycie lotniska La Guardia „Kobyła” będzie na granicy paniki upewniać się, czy samolot, do którego wsiada, nie polecą aby nieco dalej na wschód zamiast do RFN.

Część III

DÜSSELDORF

*Prawo jest jak płot – żmija zazwyczaj się prześlizgnie,
tygrys zawsze przeskoczy,
a bydło przynajmniej się nie rozłązi, gdzie nie powinno.*

Aforyzm nieznanego autora

Rozdział VIII

„NIE ZASTRZELIŁAM ŻADNEGO CHŁOPCA”

Jak podaje Elissa Mailänder Koslov, niektórzy spośród byłych członków komendantury i załogi wartowniczej obozu zmarli lub, jak jeden z komendantów, odebrali sobie życie. Większość uznana została za zaginioną lub żyła nierozpoznana, rozproszona w RFN. Centralnemu Ośrodkowi poprzez liczne poszukiwania i dochodzenia w *Document Center* i w Biurze Informacji Wehrmachtu ds. Strat Wojennych i Jeńców Wojennych (WAST) w Berlinie oraz przez Międzynarodowy Urząd Poszukiwań Czerwonego Krzyża w Arolsen udało się wreszcie ustalić konkretny krąg sprawców.

W dniu 18 lutego 1975 roku przedstawiciel sądu krajowego w Düsseldorfie poinformował dziennikarzy, że wpłynął liczący trzysta dwadzieścia dwie strony akt oskarżenia przeciwko dziesięciu byłym funkcjonariuszom załogi na Majdanku, z których dwoje – Hermann Hackmann i Hermine Ryan z domu Braunsteiner – na tej konferencji prasowej zostało wymienionych z nazwiska. W rezultacie śledztwa zgromadzono siedemdziesiąt tomów akt zawierających ponad piętnaście tysięcy kart^[419].

Kiedy 25 listopada 1975 roku rozpoczął się proces, Hermine Braunsteiner była jedną z piętnaściorga oskarżonych, mężczyzn i kobiet,

przebywających w areszcie. „Od 1973 r. – uważał się jej mąż – moja żona jest więźniem Niemiec Zachodnich. Przez trzy lata cierpiała w więzieniu, gdzie zrujnowała sobie zdrowie. Kto może teraz to powetować? Prawie codziennie traciła przytomność w celi. Jest to nagroda, jaką naród niemiecki daje jej za to, że w czasie drugiej wojny światowej służyła dla Niemiec w wojsku”^[420].

Po ośmiu miesiącach więzienia została – mimo sprzeciwu prokuratury – zwolniona za kaucją siedemnastu tysięcy dolarów. Będąc znów na wolności, wynajęła małe mieszkanie w Bochum, gdzie wkrótce dołączył do niej mąż. Zrezygnował z pracy jako mechanik precyzyjny w Nowym Jorku, najpierw przez jakiś czas pracował dla niemieckiej firmy, potem przeszedł na bezrobocie i żył z zasiłku. Do ostatniego dnia przebywał na sali sądowej podczas procesu, nie opuszczając ani jednego dnia rozprawy, przynosił żonie kwiaty i z nadzieją kiwał głową każdemu, kto o nią pytał: „Moja żona to dobra kobieta”^[421].

W przerwach w rozprawach podchodził do pierwszego rzędu, w którym siedziała wśród innych oskarżonych, uspokajająco głaskał po głowie i plecach lub czule ścisnął jej dłoń. Wtedy jej twarz łagodniała, uśmiechała się, zrzucając złowrogą maskę, za którą się ukrywała, co sprawiało, że jej rysy były tak złe i kanciaste. I znowu zdawała się lubianą gospodynią domową z Queens, o której sąsiedzi mówili, że jest „miłą kobietą” i „czarującą osobą”.

Nie licząc pozbawionej obywatelstwa USA „Kobyły”, sześcioro z oskarżonych odpowiadało już w przeszłości przed sądami za zbrodnie popełnione w obozach koncentracyjnych i otrzymało wyroki skazujące: cztery sądów polskich i dwa amerykańskich. Wszyscy oskarżeni przekroczyli pięćdziesiątkę. Oto oni:

Hermann Hackmann, SS-Hauptsturmführer, od lipca 1941 roku do jesieni 1942 roku kierownik oddziału III (Schutzhaftlagerführer – szef najważniejszej, więźniarskiej części obozu) na Majdanku. Sądzony był przez amerykański Trybunał Wojskowy za zbrodnie popełnione w KL Buchenwald i skazany na karę śmierci, zamienioną później na

dwadzieścia pięć lat więzienia. Zwolniony z więzienia 25 marca 1955 roku, był przedstawicielem firmy meblarskiej, mieszkał w Usler.

Wilhelm Reinartz, SS-Unterscharführer, felczer w obozie. W 1948 roku został skazany przez Sąd Okręgowy w Lublinie na dwa lata więzienia. Od 1950 roku pracował jako sanitariusz, mieszkał w Langenfeld.

Ernst Heinrich Schmidt, jedyny w tym procesie oskarżony posiadający uniwersyteckie wykształcenie, SS-Obersturmführer, lekarz obozowy od maja 1942 roku do końca 1943 roku. Mieszkał w Uelzen, powiat Burgdorf.

Thomas Ellwanger, SS-Unterscharführer w batalionie wartowniczym. Mieszkał w Eyerhausen.

Emil Josef Laurich, SS-Rottenführer w oddziale politycznym. Mieszkał w Neu-Wulmstorf.

Heinz Hermann Karl Villain, SS-Unterscharführer, Feldführer. Mieszkał w Monachium.

Fritz Heinrich Petrick, SS-Oberscharführer, Blockführer. Mieszkał w Monachium.

Heinrich Wilhelm Gustav Groffmann, SS-Unterscharführer, blokowy i Feldführer. Mieszkał w Behringen.

Arnold Georg Strippel, SS-Untersturmführer, następca Hackmanna na stanowisku kierownika oddziału III. Był sądzony przez amerykański trybunał wojskowy za zbrodnie popełnione w KL Buchenwald. Mieszkał w Niederhochstadt, w górach Taunus.

Hildegard Martha Luise Lächert, dozorczyńni w obozie kobiecym, przez więźniarki zwana „Krwawą Brygidą”, skazana w 1947 roku przez Najwyższy Trybunał Narodowy w Krakowie w procesie czterdziestu członków esesmańskiej załogi obozu oświęcimskiego na piętnaście lat więzienia. Mieszkała w Reichartshausen.

Alice Elisabeth Minna Orłowski, dozorczyńni. Ekstradowana przez władze brytyjskie do Polski, została skazana w 1947 roku przez Najwyższy Trybunał Narodowy w Krakowie w procesie czterdziestu członków esesmańskiej załogi obozu oświęcimskiego na piętnaście lat więzienia. Przedterminowo zwolniona z więzienia, wyjechała do RFN. Pracowała jako gospodyni w hotelach. W 1965 roku otrzymała rentę.

Rosa Süß, z domu Rosemarie Reischl, dozorczyńni. Po wojnie została skazana przez Sąd Okręgowy w Krakowie na dziesięć lat więzienia. Po wyjeździe do RFN mieszkała w Neureichenau.

Charlotte Karla Mayer, z domu Wöllert, dozorczyńni więźniarek pracujących w zakładach odzieżowych SS i pracowni krawieckiej na Majdanku. Mieszkała w Kolonii.

Hermine Böttcher, z domu Brückner, jej ojciec był sudeckim nazistą. Była dozorczynią na Majdanku i w Ravensbrück. Mieszkała w Hannoverze.

W sprawie ewentualnego postawienia w stan oskarżenia innych osób miano postanowić w późniejszym terminie. Obydwu emerytów, Roberta Seitza i Günthera Konietznego, uznano za niezdolnych do udziału w procesie. Ponieważ od 8 maja 1960 roku przestępstwo zabójstwa umyślnego z okresu nazizmu uległo przedawnieniu, według niemieckiego prawa karnego można było jeszcze jedynie wnieść oskarżenie o morderstwo lub współudział w morderstwie^[422].

W związku z tym prokuratura oskarżyła Hermine Braunsteiner-Ryan o zabicie co najmniej tysiąca stu osiemdziesięciu jeden więźniów obozów koncentracyjnych, samodzielnie lub z innymi osobami, oraz o udział w zabójstwie co najmniej siedmiuset pięciu innych osób. Prokuratorzy wierzyli, że mogą skazać ją i za inne okrucieństwa. Pięć i pół roku później okazało się, że byli w błędzie.

Proces przyciągnął uwagę opinii publicznej wielu krajów. Również obecnie jest on nadal przedmiotem dociekań osób zajmujących się problematyką zbrodni ludobójstwa popełnionych przez funkcjonariuszy III Rzeszy. Przyczyny tego zainteresowania są różnorodne. Znaczna

część międzynarodowej opinii publicznej miała nadzieję na ujawnienie przed sądem prawdy o Majdanku, roli, jaką odegrali w tym obozie oskarżeni, sposobów, którymi naziści doprowadzali swych zwolenników do upodlenia i zbrodni. Obawiano się jednak o to, czy zachodniemiecki wymiar sprawiedliwości, przejawiający dotychczas tyle niekonsekwencji w zakresie ścigania i karania sprawców zbrodni ludobójstwa, tym razem będzie miał dość siły, aby uporać się ze sprawą[423].

Sala, gdzie odbywały się procesy z udziałem ławy przysięgłych, miała po lewej rząd dużych okien, których mleczne szyby uniemożliwiały zobaczenie tego, co na zewnątrz, ale wpuszczały do środka dużo światła. Pod oknami siedzieli prokuratorzy, w jasne wiosenne i letnie dni rozpoznawalni tylko po konturach. Sąd, trzech sędziów w czarnych togach i sześciu ławników, siedział z przodu sali, po prawej były ławki dla oskarżonych i obrońców, z powodu ich dużej liczby przedłużone stołami i krzesłami sięgającymi aż na środek sali, przed miejsca dla publiczności. Część oskarżonych i obrońców zwrócona była tyłem do publiczności.

Za stołem sędziowskim zasiadali sędzia przewodniczący Günter Bogen, Ruth-Marie Linden-Bettmann, dr Karl-Bernhard Schmitz i jeden sędzia rezerwowy oraz pięciu ławników, gdyż z przezorności trzech spośród nich mianowano jako rezerwowych. Gdyby któryś z sędziów zawodowych lub ławników nie mógł uczestniczyć w pracy zespołu orzekającego, to zgodnie z obowiązującą procedurą proces ten trzeba by było zaczynać od początku, łącznie z ponownym przesłuchiwaniem świadków, którzy uprzednio złożyli zeznania przed sądem.

Dla tych świadków, którzy przeżyli Majdanek, ważne było, że wszyscy sędziowie zawodowi w momencie zakończenia wojny byli nieletni; nie musieli zeznawać przed byłymi nazistami. Sędziowie, a zwłaszcza przewodniczący rozprawie Günter Bogen, starali się zachować powagę sądu wobec często ponawianych różnorodnych prowokacji ze strony adwokatów[424].

Dla unaocznienia zbrodni popełnionych od grudnia 1941 do wiosny 1944 roku prasa zapożyczała rysowane przez byłych więźniów portrety oskarżonych, którzy w czasie popełnienia przestępstwa mieli od dwudziestu jeden do czterdziestu dwóch lat. Nie trwało to długo, a prasa zaczęła donosić o oskarżonych, operując głównie ich obozowymi przezwiskami, nadanymi im przez więźniów. Mordy, a przede wszystkim ujawnione okrucieństwo personelu obozowego, sprowadzano do „sadyzmu” i określano jako „orgie zabijania” lub „zbiorowe szaleństwo”[\[425\]](#).

Każdego z oskarżonych broniło dwóch adwokatów z wyboru lub z urzędu, siedzących obok swych klientów. Stworzyło to nawet pewne trudności techniczne związane z urządzeniem sali i pomieszczeniem tych osób na ławie oskarżonych tak, żeby mogły łatwo porozumiewać się ze swymi obrońcami. Rozwiązano je w ten sposób, że naprzeciw stołu sędziowskiego postawiono szerokie stoły i fotele[\[426\]](#).

Przed każdym zainstalowano mikrofony i słuchawki dla ułatwienia porozumiewania się w dużej sali o nie najlepszej akustyce. Każde słowo było nagrywane na taśmy dwóch magnetofonów, obsługiwanych przez sądową straż, która co chwila zabierała zapisane taśmy poza salę, prawdopodobnie do pokoju maszynistek. Później taśmy użytkowane były ponownie, zgodnie zresztą ze swoim przeznaczeniem.

Pod czarnym krzyżem, usytuowanym nieco z boku na szczytowej ścianie sądowej sali, za wielkim stołem zasiadał komplet sędziów zawodowych i sędziów przysięgłych; wszyscy w czarnych togach, było także kilku sędziów zapasowych, siedzieli tuż obok. Z prawej ich strony, na tym samym podwyższeniu, półbokiem zwrócony do sali, mniejszy stół dla świadków i tłumacza. Dokładnie vis-à-vis świadków, także półbokiem, usytuowany był stół prokuratorów; obok nich, nieco niżej, zasiadali oskarżyciele posiłkowi, jeszcze dalej przysięgły lekarz sądowy[\[427\]](#).

Na samym przodzie po lewej stronie wisiała duża mapa, na której narysowany był obóz. Pod nim znajdowała się wskazówka, którą

świadczenie mieli później zaznaczać miejsca, w których przebywali podczas pobytu na Majdanku. Dla wielu ta mapa była zbyt abstrakcyjna, nie rozpoznawali miejsca, w którym głodowali, marzli, cierpieli i bali się przez tygodnie, miesiące, czasem nawet lata[428].

To odbywające się wiele lat po wojnie postępowanie, które trwało tylko o miesiąc krócej niż... druga wojna światowa, stanowiło fenomen nie tylko z perspektywy wymiaru sprawiedliwości, lecz także przez to, że odzwierciedlało społeczno-polityczne napięcia i kontrowersje. W świetle procesu düsseldorfskiego pojawiają się ponadto pytania dotyczące możliwości i granic ścigania zbrodni nazistowskich oraz przydatności dla badań naukowych zgromadzonego w ogromnych ilościach materiału procesowego[429].

W dniu rozpoczęcia rozprawy przeciwko siedemnastu byłym członkom załogi obozu koncentracyjnego i zagłady na Majdanku, czyli 27 listopada 1975 roku, lokalna prasa w Düsseldorfie pytała: *Proces w sprawie Majdanka ma trwać dwa lata?* Prokuratorzy i sędziowie faktycznie liczyli wówczas, że proces ten tyle potrwa, no, może rok dłużej. Przerósł on jednak najśmielsze prognozy i przeszedł do historii wymiaru sprawiedliwości RFN jako najdłuższe, najbardziej pracochłonne i najkosztowniejsze postępowanie sądowe.

W piątą rocznicę rozpoczęcia procesu oceniano, że koszty z nim związane wyniosły dwadzieścia pięć milionów marek. Pod koniec suma ta wzrosła do około trzydziestu milionów marek RFN. Jednakże jeśli w początkowym okresie trwania procesu rozważania prasowe sugerowały podatnikom niemieckim, że jest to zbędny luksus, to później informacje na ten temat były już bardziej rzeczowe. Okazało się, że prawie połowę kosztów generowali... adwokaci[430].

Powolne prowadzenie procesu, uwarunkowane dużą liczbą świadków, jak też strategią obrony, było czynnikiem, który nie mógł oddziaływać pozytywnie na media. Wprawdzie proces dostarczał niekiedy tytuły na czołówki gazet, jak wtedy, gdy syn jednej z amerykańskich kobiet

świadków napadł na ulicy na oskarżoną Lächert, to jednak istniało niebezpieczeństwo, że umknie on uwadze opinii publicznej[431].

Na otwarciu procesu przybyło wielu dziennikarzy prasy, radia i telewizji, usiłujących fotografować oskarżonych, którzy zasłaniali twarze. Jednakże nadzieje na to, że opinia publiczna będzie systematycznie i rzetelnie informowana o przebiegu procesu i popełnionych na Majdanku zbrodniach, szybko się rozwiały. Większość dziennikarzy opuściła salę z chwilą, kiedy zakazano im robienia zdjęć i filmowania uniemożliwiającego prowadzenie rozprawy. W trzecim dniu procesu na ławach dla prasy było już tylko... trzech dziennikarzy[432].

Wiesenthal jeździł czasami do Düsseldorfu, chociaż było to dość kompromitujące przedstawienie. Kilku oskarżonych zostało zwolnionych ze względu na zły stan zdrowia lub też uniewinnionych w pierwszej fazie procesu, jeden zmarł, a w końcu pozostało ich dziewięć, wśród nich dwie kobiety[433]. Jedną z nich była Hermine Braunsteiner, teraz Ryan, kiedyś „Tratująca Klacz” albo po prostu „Kobyła”.

Ponieważ około jednej trzeciej spośród przesłuchiwanym w ramach rozprawy głównej byłych więźniów, których zeznania służyły jako materiał dowodowy, z przyczyn zdrowotnych lub psychicznych nie czuło się na siłach, by przyjechać do Niemiec, sąd i przedstawiciele obrony zmuszeni byli odbyć kilkadziesiąt podróży do Polski, Izraela, Rosji, USA i Afryki Południowej i trzykrotnie odwiedzili były obóz koncentracyjny na Majdanku. Opinia publiczna uczyniła z tego zarzut, nazywając te dwadzieścia pięć wyjazdów sądu za granicę „turystyką wymiaru sprawiedliwości”[434].

Będzie to proces, który rozsądzi wszelkie ramy: wejdzie on do historii przewodów sądowych mających na celu ukaranie zbrodni narodowosocjalistycznych jako najdłuższy, najtrudniejszy, najuciążliwszy proces tej kategorii.

Powołanych zostanie blisko trzystu pięćdziesięciu świadków, złożonych zostanie nieomal pięćdziesiąt wniosków o wyłączenie i taka

sama liczba wniosków dowodowych obrony, z dwudziestoma tysiącami stron aktów przesłuchań wstępnych; ze świadkami, którzy w czasie procesu zmarli albo z powodu choroby nie byli już zdolni do stawienia przed sądem; z oskarżonymi, którzy nie chcieli zeznawać, z przerywaniem procesu w związku z chorobami sędziów albo oskarżonych, ze stałym odkładaniem terminów na skutek braku dokumentów, które trzeba było dopiero tłumaczyć, z odkładaniem rozpraw z powodu świadków z zagranicy, którzy się nie zjawili, albo których przesłuchiwanie tak bardzo się przedłużało, że inni świadkowie znowu musieli być odwoływani i zapraszani ponownie w innym terminie^[435].

Na procesie w Düsseldorfie Danuta Brzosko-Mędryk była jednym z nielicznych świadków, których przesłuchiowano kilkakrotnie; z przerwami składała zeznania przeszło rok – od maja 1977 roku do lipca 1978 roku. Dlaczego się na to zgodziła, co zdecydowało o tym, że brała udział w tym procesie? W rozmowie w redakcji „Prawa i Życia” na podobne pytanie odpowiedziała: „Obowiązek! Obowiązek, że żyję, i to nie tylko, że żyję dzięki innym – obowiązek wynikający z faktu przynależności do ludzkiej społeczności”^[436].

Podczas kolejnego przyjazdu do Düsseldorfu, w lipcu 1979 roku, Danuta Brzosko-Mędryk odnotowała kilka zmian. Prokuratorowi Ambachowi urodził się syn, żona młodego obrońcy Braunsteiner, Eimera, oczekiwała dziecka, wyłączono ze sprawy Reinartza, a Hans Mundorf był przygaszony i jeszcze bardziej przypominał starego Żyda, którego klientka „Kobyła” w obozie nie pytałaby o narodowość, a sama skierowała na stronę „śmierci”: do komory gazowej. Gdyby to nie był Düsseldorf, ale Majdanek.

Danuta Brzosko-Mędryk odpowiadała na pytania prezesa sądu Bogena oraz prokuratorów Ambacha i Webera. Cicha, blada, starsza pani, schludnie ubrana, która od czasu do czasu owijała się szalem i bawiła pigułką, gotowa natychmiast ją zażyć, gdyby ból pleców stał się nie do zniesienia. Przyjechała prosto z sanatorium, gdzie leczyła obozowe dolegliwości. Z pozoru spokojna pani w podeszłym wieku^[437].

Kobieta, która na nią niecierpliwie czekała, nigdy nie wymieniła z nią uśmiechu, chociaż często – wbrew zakazowi – patrzyły sobie w oczy. Chyba tylko to je łączyło. Dobrze skrojony mundur kontra sztywny, niezgrabny pasiak. Elegancka furażerka z fantazją nasunięta na prawą stronę czoła i brudna chustka na głowie, zawiązana pod brodą. Lśniące oficerskie buty i spadające z nóg drewniaki. Aufseherin i häftling. Oto co jej dzieliło...

„Wówczas, w roku 1943 – przyznawała Danuta Brzosko-Mędryk – mogła mnie postawić za karę między drutami, włożyć brukiew do ust i naigrawać się ze mnie. Mogła bić pejczem do krwi, mogła bezkarnie zabić. Miała nade mną tę właśnie przewagę.

A ja? Ja mogłam tylko uciekać przed nią, zwiększając odległość między jej ręką uzbrojoną w pejcz, albo... albo zawrócić i spojrzeć jej w oczy.

Ośmielić się patrzeć w oczy obozowej strażniczce i szukać w nich człowieczeństwa”[\[438\]](#).

Jaka jest teraz? Dobrze ubrana, pewna siebie i ironiczna – jak wtedy? Czy nauczyło ją czegoś więzienie, z którego wykupiła się, składając kaucję siedemnastu tysięcy dolarów? A może jest mocniejsza o rozłożenie winy na pozostałych współoskarżonych, popierana przez neofaszystowskie ulotki, informujące, że „komory gazowe na Majdanku wybudowano po wojnie”?

Tym razem towarzyszyła jej oprócz męża koścista, szpakowata kobieta o wyłupiastych oczach, która szybko zyskała przydomek „siostry spod znaku swastyki”. Nawet prokurator Domański przyznał: „Gdyby ich oczy miały siłę sztyletów, nie byłoby na pani ciele jednego centymetra wolnego od ciosu”[\[439\]](#).

Szczególnym obciążeniem dla byłych więźniów było przejście między czterema rzędami oskarżonych na sali sądowej, kiedy musieli oni patrzeć w oczy swym oprawcom. Z powodu zmian fizycznych w wyglądzie i zestarzenia się świadkowie nie zawsze mogli jednoznacznie odszukać wśród oskarżonych osobę obwinioną. Zwłaszcza świadkowie żydowscy,

którzy w obozach patrzyli zwykle na mundur esesmanów i rzadko odważyli się spojrzeć wartownikom prosto w twarz, gdyż bezpośredni kontakt wzrokowy często był przyczyną bicia[440].

„Niemał fizycznie odczuwam wbity we mnie wzrok esesmanki Herminy Braunsteiner – odnotował w swoich wspomnieniach Andrzej Stanisławski, który zeznawał w Düsseldorfie – tej samej, o której ekstradycję z USA zabiegał rząd polski, niestety – bezskutecznie: Aufseherin Braunsteiner trafiła do RFN. Jest obecnie jeszcze brzydsza niż była w obozie na Majdanku, choć mogłoby to wydać się już niemożliwe”[441].

Tylko ci więźniowie, którzy przeżyli obóz, mogli dostarczyć dowodów popełnienia zbrodni. Po ponad trzydziestu pięciu latach trzeba było w każdym przypadku dowieść z niepodważalną pewnością morderstwa i współudziału w morderstwie bądź zidentyfikować sprawców. Tym, którzy ocaleli, trudno było po tak długim czasie ponownie stanąć twarzą w twarz ze swoimi oprawcami. Już sam fakt konieczności podjęcia podróży do Niemiec sprawiał znaczne trudności[442].

„W trakcie zeznań – przyznawała Jadwiga Węgrzecka – nie mogłam patrzeć na oskarżonych, choć czułam ich wzrok na sobie. Najbliżej stolika, przy którym było miejsce dla świadka, siedziała właśnie Braunsteiner. Miała wyjątkowo zacięty wyraz twarzy, zły. Te oczy zabijały. Stwierdziłam, że oskarżone w trakcie trwania procesu zmieniły się trochę, już nie robią na drutach! Nam, więźniarkom, chodzi nie tyle o wysokość kary wymierzonej przez sąd, choć nie jest to bez znaczenia. Nam chodzi o to, żeby one zrozumiały swoją odpowiedzialność za popełnione zbrodnie!”[443]

Z powodu różnych kruczków prawnych świadek Helena Kurcysz, z zawodu architektka, trzy razy przyjeżdżała do Düsseldorfu. Udało jej się złożyć zeznania w czasie trzysta osiemdziesiątego szóstego posiedzenia sądu, podczas którego poważnie obciążyła „Kobylę” z Majdanka, przypominając jej udział w tak zwanej akcji dziecięcej i podając przykłady bicia i znęcania się przez nią nad więźniarkami.

Wiele informacji przekazała sądowi również Krystyna Tarasiewicz, dziennikarka z Warszawy, która w obozie miała możliwość zaobserwowania selekcji więźniów – Polaków i Żydów – oczekujących na zagazowanie w „ogrodzie różanym” (plac selekcyjny – *Rosengarten*). Słyszała krzyki ludzi uśmiercanych gazem. Widziała wyrzucanie zwłok ludzkich z komory gazowej, obserwowała także *Kinderaktion* i opisała zbrodnie popełnione przez „Kobyłę” [444].

Hermine Braunsteiner uwielbiała przechadzać się po żeńskiej części obozu w Majdanku. Krocząc w ciężkich, podbitych stalą butach, budziła grozę wśród wszystkich więźniarek. Każda z nich dobrze wiedziała, do jakich okrucieństw zdolna jest ta bezwzględna strażniczka. Kobiety wielokrotnie miały okazję widzieć, jak nadzorczyńni dawała upust swoim sadystycznym skłonnościom. Strach i cierpienie innych najwidoczniej sprawiały jej przyjemność. Nikt nie miał wątpliwości, iż w słowniku Braunsteiner słowa „litość” i „współczucie” nie występowały [445].

„My, prokuratorzy, podzieliliśmy między siebie oskarżonych, ja miałem kobiety – wspominał Dieter Ambach – prokurator Weber mężczyzn. W trakcie postępowania moja praca stawała się coraz bardziej rozległa, ponieważ 90 procent postępowań w ciągu ostatnich trzech, czterech lat toczyło się przeciwko dwóm kobietom Ryan-Braunsteiner i Lächert. Zostało to wyrażone w taki sposób, że zdecydowana większość zeznań dotyczyła tych dwóch kobiet, a prawie nic nie dotyczyło mężczyzn” [446].

We wrześniu 1980 roku zeznawała Danuta Kawecka-Kozłowska, która miała piętnaście lat, kiedy wraz z rodzicami przywieziono ją na Majdanek. Po biciu przez Hermine Braunsteiner pozostały jej blizny na głowie i nodze [447]. Joanna Kozera podczas konfrontacji na sali sądowej w Düsseldorfie, gdzie była jednym ze świadków oskarżenia, zapytała Hildegard Lächert i Hermine Braunsteiner: „Dlaczego byłyście tak okrutne wy, kobiety, dla kobiet?” [448]. Oto fragment wspomnień Henryki Ostrowskiej i pierwszego jej spotkania z „Kobyłą” z Majdanka:

„Poznałam wszystkie SS-manki i jednego SS-mana. Braunsteiner, «Krwawą Brygidę», Charlotte, Lauricha, który obecnie rzekomo jest bogatym przemysłowcem i właścicielem domu towarowego. Tam w obozie był w Politische Abteilung. Mówiono, że to on wykonuje egzekucje przywożonych z zamku – więzienia w Lublinie. Miał taką wprawę w biciu, że potrafił pejczem wybijać oczy więźniom. Doszedł w tym do perfekcji. Miał wtedy 24 lata. Dzisiaj ma ponad sześćdziesiątkę, jest bardzo elegancki, przyjeżdżał i odjeżdżał z sądu pięknym samochodem.

Sędzia prosi, żebym opuściła miejsce i rozpoznała oskarżonych. Ja zostawię na koniec. Pomyśli, że jej nie rozpoznałam. Zatrzymałam się przed nią, ową groźną Braunsteiner, spojrzałam na nią, ale ominęłam ją. Przy niej siedział jakiś były SS-man, którego nie znałam. Później dowiedziałam się, że to był Hackmann, którego nie mogłam pamiętać, bo on był wtedy w Majdanku, gdy mnie jeszcze tam nie było. Na końcu wskazałam na Braunsteiner.

Tkwię więc znów tam, w Majdanku.

Gdy wchodziłam, meldowałam się, podając swój numer – taki był przepis. Podobnie, gdy się wychodziło. Wtedy usłyszałam niesamowity krzyk. Taki krzyk, że wydawało się, że dzieje się coś strasznego. To dwoje małych dzieci tak krzyczało, gdy ciągnęła je Aufseherin SS Braunsteiner...

– W jakim wieku były te dzieci? – pyta mnie obrońca.

– Nie mogę powiedzieć, bo dzieci w obozie mogły mieć po dziesięć lat, a wyglądały na pięć, sześć. Były to po prostu skóra i kości. Wyglądały tragicznie.

– Jak to, tak blisko obok pani, Ryan (bo oni nie mówili Braunsteiner) ciągnęła te dzieci, a pani nie może określić ich wieku i płci?

– Nie mogę, ponieważ te dzieci nie były ubrane. Te dzieci miały na sobie szmaty i dlatego nie mogę panu powiedzieć, czy była to dziewczynka czy chłopiec, czy były to dziewczynki czy chłopcy.

Dzieciaki były ostrzyżone. Miały na sobie jakieś brudne szmaty. Ona ciągnęła te dzieci. Ja stałam i meldowałam się. Wtedy, jak ona wychodziła, to przestałam się meldować i wyszłam za bramę. Stałam i patrzyłam. Ona te dzieci ciągnęła do «badu».

W tym momencie się załamalam. Po prostu nie mogłam dalej zeznawać. Coś się ze mną stało. Nie mogłam dalej zeznawać. I wtedy sędzia powiedział:

– Piętnaście minut przerwy, żeby świadek mógł się uspokoić.

Posiedziałam z pięć, dziesięć minut, i wtedy tłumacz ponawia prośbę, żebym wyszła i zapaliła papierosa. Dałam się przekonać. I ledwie zdążyłam wyjść, jakiś mężczyzna – taki wysoki, chudy, w okularach, klęka przede mną i woła po niemiecku: *Im Gottes namen!*... W imię Boga, proszę o przebaczenie! ...

W pierwszej chwili nie wiedziałam, o co chodzi? Kto to jest? A bałam się ich wszystkich. Okazało się, że był to pastor niemiecki, i on to prosił mnie o przebaczenie, ponieważ słyszał, jak jeszcze w pierwszej fazie zeznawałam, że widziałam gazowane dzieci, to znaczy wynoszenie ich już z Gaskamery i rzucanie na przyczepę. Gaskamera znajdowała się wewnątrz. To była część łaźni. Byłam przed tą łaźnią, bo SS-manka wysłała mnie do baraku SS-manek po książkę. Przechodząc koło łaźni, zobaczyłam przyczepę z ciągnikiem i mnóstwo tych dzieci. Trudno mi określić, ile ich było. Jedni więźniowie nosili je i rzucali na kupe, inni stojąc, rzucali je na przyczepę. A tam obok stała Braunsteiner i krematorzysta Mussfeld. To było moje pierwsze zetknięcie się z Braunsteiner. A drugi raz wtedy, kiedy ciągnęła te dzieci”[\[449\]](#).

Najbardziej bolesna była jednak konfrontacja po tak długim czasie ze wspomnieniami dotyczącymi pobytu w obozie. Wielu byłych więźniów nie było w stanie znieść występowania w roli świadka. Kilkakrotnie doszło do załamania nerwowego. Gdy sędzia Bogen zmuszony był parę razy powtórzyć pytanie skierowane do świadka Heli Rosenbaum, która myślami była zupełnie gdzie indziej, ta odpowiedziała: „Panie sędzio, mnie tutaj nie ma. Jestem znowu w obozie”[\[450\]](#).

Wielu świadków nawiązywało do selekcji. Jak już wspomniano wyżej, kryterium „zdolności do pracy” był stan nóg u kobiet. Kiedy nogi były spuchnięte, zaczerwienione, owrzodziałe albo odmrożone, więźniarki uchodziły za „niewarte już życia”, dlatego kobiety zmuszane były do odsłaniania nóg na placu apelowym. Wówczas przez szeregi stojących więźniów przechodziło z doktorem Blanckem kilku oficerów SS. Wybierali więźniarki do zabicia, a decydowali o tym przez oglądanie nóg. Szukali także kobiet, które przez chorobę lub też z innych powodów źle wyglądały[451].

Braunsteiner wraz z innymi członkami SS wyszukiwała takie kobiety i prowadziła je do wejścia na pole. Kobiety wiedziały, jaki los je czeka, i dlatego też próbowały uciekać i się chować. Oficerowie SS zamykali trasę uciekającym więźniarkom, bili je także pejcami i zapędzali z powrotem do wejścia. Następnie kobiety były prowadzone na plac selekcyjny, tzw. ogród różany, a po krótkim czasie zostały zabite cyklonem B w komorze gazowej. Sąd podał liczbę co najmniej pięćdziesięciu ofiar, a prokuratura wyszła od liczby osiemdziesięciu zabitych.

Świadek naoczny – Danuta Brzosko-Mędryk zeznała, że w tej akcji zostało uśmierconych przypuszczalnie od osiemdziesięciu do stu kobiet. Braunsteiner-Ryan nie wypowiadała się o zarzutach, jakie zostały jej postawione, chyba że zasadniczo nie zgadzały się z faktami. Sama nie zaprzeczała wprawdzie, że takie selekcje miały miejsce, ale często powtarzała, że miała pecha być towarzyszką starszej nadzorczyńni Ehrich w obozie. Odpowiedzialność za selekcje nie mogła spocząć tylko na „takiej małej nadzorczyńni jak ona”, lecz przede wszystkim na wydających rozkazy[452].

Przewlekłość rozprawy spowodowała, że obrońcom udało się zredukować niewyobrażalne zbrodnie do abstrakcyjnych wielkości, o których opowiadano w sali sądowej bez emocji i dramatyzowania. Witold Szczuka mówił na temat topienia więźniarek w ekskrementach obozowej latryny. W czasie tych zeznań strażniczki siedziały

nieporuszone, prawnicy wchodzili i wychodzili z sali, jakby nic się w niej nie działo[453].

Podobnie i Braunsteiner. Siedząc na ławie oskarżonych, niczym niewzruszona, rozwiązywała krzyżówki. Świadkom opowiadającym o jej okrutnych zbrodniach rzucała jedynie drwiące uśmiechy. Kilka dekad po zakończeniu drugiej wojny światowej w obliczu starszej pani trudno było rozpoznać straszliwą „Kobyłę” z Majdanka, jednak nikt nie miał wątpliwości, że to ona.

Zdarzały się jednak momenty, że nie potrafiła się opanować. Po półtorarocznych przesłuchaniach, 23 czerwca 1977 roku, nagle się załamała. Był to dzień, w którym jedna z Polek zeznała, jak strażniczka Braunsteiner strzeliła w plecy żydowskiemu chłopcu, który próbował uciec przed transportem do komory gazowej. W środku tego oświadczenia powściągliwa do tej pory oskarżona zaczęła walić dłońmi w stół i krzyknęła: „Ta kobieta powinna mówić prawdę. Ja nie zastrzeliłam żadnego chłopca”[454].

Zaczęła tupać nogami, wpadając w niekończący się spazm krzyku, do którego wkrótce potem dołączyły cztery pozostałe oskarżone kobiety. Lekarz, który został szybko wezwany, zakończył badanie diagnozą, że pani Ryan jest w „reaktywnym stanie podniecenia” i nie może już tego dnia uczestniczyć w procesie. Jej złość na tę kobietę jest zrozumiała, bo przecież to właśnie wypowiedzi Danuty Brzosko-Mędryk doprowadziły do jej ekstradycji z Ameryki, a później do skazania w Düsseldorfie.

Ten trzysta sześćdziesiąty dziewiąty dzień był to dzień szczególny, proces wszedł w piąty rok i – już zupełnie nieoczekiwanie – był to dzień, w którym „Kobyła” pierwszy raz zeznawała „na temat”, co oznacza, że do czegoś się przyznała – konkretnie do uczestnictwa w rozładowywaniu „nadchodzących transportów” – a zatem dokonywania selekcji, czyli wybierania ludzi przeznaczonych na śmierć w komorze gazowej[455].

Każda zbrodnia wymaga kary, nawet jeśli zbrodnia jest tak odległa w czasie, chociaż każda kara może stać się tylko częścią

sprawiedliwości. Jednak dopiero na sali sądowej można sobie w pewnym sensie wyobrazić rozmiary tak niepojętego ludobójstwa i cierpienia. I dopiero zeznanie Żydówki, sprzątaczkii u pewnego oficera SS na Majdanku, która przeżyła te okropności, dopiero te zeznania wyzwoliły bezpośrednio poczucie winy u Hermine Braunsteiner, objawiające się okrzykiem: „Nie mogę już dłużej!”^[456].

Po tym, jak w kwietniu 1979 roku uniewinniono cztery oskarżone osoby, w tym trzy kobiety, proces, a wraz z nim zainteresowanie mediów, skupiło się na pozostałych dwóch kobietach. Praca prokuratora Ambacha stała się w ostatnich trzech, czterech latach procesu coraz rozleglejsza, gdyż odtąd rozprawa skierowana była w większości przeciw dwóm głównym oskarżonym: Lächert i Braunsteiner-Ryan. Wyrazem tego było to, że przeważająca część zeznań świadków odnosiła się do tych dwóch kobiet, a tylko w niewielkim stopniu do mężczyzn^[457].

Braunsteiner-Ryan wyróżniała się wyjątkowym okrucieństwem wobec dzieci. Zdawała się darzyć je szczególną nienawiścią, kobiety też („Oni są jak gówno” – tak mówiła podczas procesu na Majdanku). Sama była bezpłodna, co być może było powodem jej nienawiści. Niekiedy krzyczała na świadków, czasami czyniła to w języku angielskim, zazwyczaj jednak relacje wygłaszane były przy pustej sali. Czasami do sądu przychodziła grupa żołnierzy lub uczniów, jednak z punktu widzenia edukacyjnego było to kompletnie niewykorzystane. Również środki masowego przekazu w Niemczech z czasem pisały coraz rzadziej na ten temat.

Proces w Düsseldorfie stał się przedmiotem licznych artykułów prasowych oraz audycji radiowych i telewizyjnych w RFN i innych krajach. Na jego temat wypowiadali się przedstawiciele różnych orientacji politycznych i światopoglądowych. Światowej opinii publicznej przez wiele lat przypomniana była problematyka faszyzmu, obozów koncentracyjnych i zbrodni ludobójstwa, chociaż często, szczególnie w pierwszej fazie procesu, publikacje prasowe dalekie były od obiektywizmu^[458].

Przed piątą rocznicą wszczęcia procesu wzmocniono policyjną ochronę gmachu i przedsięwzięto rozmaite środki ostrożności. Spodziewano się demonstracji. Rzeczywiście, w dniu 26 listopada 1980 roku, w związku z pięcioleciem procesu członków załogi Majdanka, dwadzieścia dwie organizacje młodzieżowe, kościelne i prześladowanych przez faszyzm zorganizowały warty ostrzegawcze i wiec publiczny przed gmachem sądu. Prasa zachodnioniemiecka obszernie relacjonowała przebieg manifestacji i treść przemówień[459].

Ale jeszcze zanim stawił się pierwszy świadek, akcję rozpoczęli neofaszyści. I tak przed domem byłego zastępcy oskarżyciela amerykańskiego na procesie w Norymberdze, doktora Roberta Kempnera, zebrał się tłum: wygłaszano burzliwe przemówienia atakujące wyrok norymberski, w przerwach zaś śpiewano hitlerowskie pieśni i wznoszono okrzyki „Heil Hitler!”. A policja zjawiała się dla obrony zebranych przed... antyfaszystami, którzy przybyli, aby dać wyraz swemu oburzeniu na postępowanie neofaszystów[460].

Wokół procesu zaktywizowano działalność organizacji byłych nazistów i grup skrajnie prawicowych. Przed sądem kolportowano ulotki głoszące, że na Majdanku nikt nie zginął, a zdjęcia zwłok masowo zabitych ludzi są fotografiami ofiar nalotów alianckich na Drezno. Na to, że działalność taka kompromitowała prawo i wymiar sprawiedliwości RFN w oczach świata, nie zwracano większej uwagi. Nie przewidywano, że ostentacyjne lekceważenie zasad prawa i moralności wywoła taką falę protestów zarówno w kraju, jak i za granicą, z którą politycy RFN będą musieli się liczyć[461].

Kwestie proceduralne i nadużywanie uprawnień przez adwokatów nie były jednak głównym zagrożeniem dla procesu, chociaż tym właśnie sprawom poświęcono najwięcej uwagi w dotychczasowych dyskusjach i publikacjach. Rzecz w tym, że w omówionej wyżej sytuacji polityczno-prawnej RFN, która doprowadziła do zbiorowej nieodpowiedzialności funkcjonariuszy III Rzeszy za ich czyny, sąd nie był w stanie uporać się z problematyką winy i kary za zbrodnie ludobójstwa popełnione przez

organizację przestępczą (tj. przez esesmańską załogę) w obozie koncentracyjnym na Majdanku[462].

Jak podkreśla Daniel Jonah Goldhagen, autor książki *Gorliwi kaci Hitlera. Zwyczajni Niemcy i Holocaust*, niektóre liczby dotyczące zbrodniczych instytucji i ich personelu – mimo iż wciąż niekompletne – ujawniają ogrom niemieckiego systemu zagłady. Ostatnie badania nad wszelkiego typu niemieckimi „obozami” (w tym gettami) ujawniły, że z całą pewnością było ich ponad czterdzieści tysięcy.

Kiedy pomyśli się o liczbie ludzi, którzy byli częścią ludobójczego przedsięwzięcia i którzy pracowali w tych instytucjach oraz wypełniali w nich zbrodnicze zadania, i kiedy weźmie się pod uwagę jeszcze większą liczbę tych, którzy wspomagali rozległy system dominacji, dochodzi się do wniosku, że liczba Niemców, którzy współuczestniczyli w zbrodni i – szerzej – wiedzieli o przestępczym charakterze systemu, jest zdumiewająca.

Ba, w przeciwieństwie do tego, co opisuje literatura naukowa, reżim nie dbał o to, by oszczędzić obywatelom widoków przemocy, uciemnienia i śmierci. W samych Niemczech, na oczach Niemców, reżim stworzył ogromną sieć obozów, która pokryła cały kraj. Byłoby rzeczą interesującą ustalenie, jaki fizyczny dystans dzielił Niemców od kacetów i jaki był w Niemczech najbardziej oddalony od obozu punkt[463].

Obozy – z całym arsenałem środków tam stosowanych – do dziś są przedmiotem opracowań historyków, prawników, polityków i moralistów. Jednakże do pełnego oddania istoty kacetu wydają się niezbędne studia takich jeszcze dziedzin naukowych jak: socjologia, psychologia, patologia itp. To równoczesne naświetlenie rozlicznych zjawisk obozowych mogłoby dać pełniejszą odpowiedź na nurtujące ludzi pytanie: dlaczego?

Można się zastanawiać, co sprawiło, że zwykli ludzie pochodzący z rozmaitych kręgów społecznych – a nawet katolickich domów jak Rudolf Höss – głównie pod wpływem ideologii siejącej nienawiść,

ulegali głośnym hasłom, tracili swoje człowieczeństwo i nie umiając samodzielnie odróżnić dobra od zła, przeistaczali się w zbrodniarzy? Częściową odpowiedź podaje Laurence Rees w książce *Auschwitz. Naziści i „ostateczne rozwiązanie”*:

„Najważniejszą lekcją, jaką daje nam Auschwitz, jest przemożny wpływ sytuacji na ludzkie zachowanie. Człowiek zapytany o ulicę może wskazać właściwą drogę, może być miły i dobry. Ten sam człowiek w innej sytuacji może się okazać najgorszym sadystą. Nikt nie zna siebie. Wszyscy możemy stać się dobrzy albo źli w tych różnych sytuacjach”[\[464\]](#).

Krystyna Tarasiewicz, zapytana przez Johannes Kaula z zachodnioniemieckiej telewizji, jak powinna wyglądać sprawiedliwość, tłumaczyła:

„Dziś, z perspektywy czasu, nie możemy mówić tylko o sprawiedliwości. Nie po to tu przyjechałam, aby domagać się sprawiedliwości, kary czy szukać zemsty. Jako świadkowi zbrodni popełnionych na Majdanku przez Krwawą Brygide, przez Braunsteiner, Lauricha i innych, zależy mi, aby uświadomić nie tylko obecnym na sali sądowej i nie tylko słuchającym procesu, ale wszystkim ludziom – czym jest faszyzm, do jakich granic może posunąć człowieka ślepe zapamiętanie i do czego ludzie są zdolni”[\[465\]](#).

Daniel Jonah Goldhagen zastanawia się, jak zdefiniować instytucję ludobójstwa. Jak określić sprawcę ludobójstwa? Instytucja ludobójstwa to każda instytucja, która była częścią systemu zniszczenia. Sprawca to ktoś, kto świadomie przyczynił się do masowej zagłady Żydów, to każdy, kto pracował w ludobójczej instytucji. Definicja ta obejmuje wszystkich ludzi, którzy osobiście zabijali Żydów, i tych, którzy przygotowywali ostateczny akt ludobójstwa i których pomoc przyczyniła się do spowodowania śmierci Żydów. Każdy więc, kto jako członek plutonu egzekucyjnego strzelał do Żydów, jest ludobójcą.

Ale ci, którzy spędzali tychże Żydów na miejsce kaźni, doprowadzali ich (wiedząc, jaki los ich czeka) na miejsce zbrodni lub tworzyli kordon

wokół miejsca, gdzie ich rodacy strzelali do Żydów, też są sprawcami ludobójstwa, mimo iż sami nie zabijali. Do sprawców ludobójstwa należą pracownicy kolei, którzy wiedzieli, że wiozą Żydów na śmierć. Należą do nich także przedstawiciele Kościoła, którzy wiedzieli, że ich pomoc przy identyfikacji Żydów doprowadzi ich do śmierci. Są także wśród ludobójców tak zwani sprawcy zza biurka (*Schreibtischtäter*), którzy osobiście mogli nie widzieć nigdy ofiar, ale których działalność puszczała w ruch maszynę zniszczenia^[466].

W przypadku tak zwanych sprawców zza biurka dokumenty opatrzone podpisem obwinionego stanowiły dowód ich sprawstwa. Jeśli zaś chodzi o morderstwa dokonane własnymi rękami lub czyny z użyciem przemocy, sprawa wyglądała inaczej. Na temat masowych mordów w obozie koncentracyjnym i zagłady na Majdanku nie istniały praktycznie jakiegokolwiek pisemne dokumenty o charakterze dowodowym, nie mówiąc już o codziennych aktach przemocy na więźniach^[467].

W większości przypadków łatwo jest ocenić, czy pewne jednostki lub kategorie ludzi mogą być określone jako współsprawcy Zagłady. Każdy, kto pracował w obozie śmierci, kto służył w Einsatzkommando, batalionie policji lub innej policyjnej bądź cywilnej instytucji, która mordowała Żydów lub zsyłała ich do obozów śmierci, kto był w jednostce wojskowej prowadzącej ludobójcze operacje, a także każdy, kto z własnej inicjatywy zabił Żyda, wiedząc, iż Niemcy prowadzą politykę masowej eksterminacji, był sprawcą Zagłady.

Zdaniem Daniela Jonaha Goldhagena pytanie: „Dlaczego godziłeś się uczestniczyć w działaniach, które były częścią ludobójczego programu, i postępować w sposób, który mógł jedynie przyspieszyć śmierć Żydów?”, oraz pytanie: „Jak ktoś mógł robić to, co robił, wiedząc, że jego działania pomagają zabijać Żydów?” – odnoszą się zarówno do nadzorców i małych tyranów z getta, jak i do personelu każdego obozu koncentracyjnego. Mimo iż psychologiczne różnice dzielące te dwie role mogły być wielkie, w obu przypadkach mamy do czynienia ze

sprawcami ludobójstwa. Rozbieżności występują tylko w tłumaczeniu postępów każdej z tych osób.

Sprawcy ludobójstwa działali w wielu instytucjach i przyczyniali się do Zagłady na wiele sposobów. Przeróżające komory gazowe i krematoria oraz „potwory”: Hitler, Himmler, Eichmann i jeszcze kilku innych – to główni winowajcy horroru, jaki rozegrał się w połowie XX wieku. Tymczasem zapomniano o ludziach zatrudnionych w ogromnej sieci obozów, niewyposażonych w urządzenia do masowej eksterminacji, a także o tych, którzy pracowali w ludobójczych instytucjach mniej rzucających się w oczy^[468].

Znamienna jest odpowiedź Adolfa Eichmanna, gdy w 1944 roku pytali go przyjaciele na Węgrzech: „Co będzie po wojnie, gdy świat zażąda rachunku po milionach?”. A ten konstatuje: „Sto ofiar to katastrofa, ale milion to jedynie statystyka”^[469]. obrońca Ludwig Bock przekonywał: „Niemcy, którzy byli na Majdanku, nie są mordercami z urodzenia. Mordowali, bo taka była sytuacja polityczna, takie warunki. Niech pan zwróci uwagę: po wojnie żaden z nich nie dopuścił się zbrodni”^[470].

Stary esesman Hermann Hackmann nie mógł zrozumieć, dlaczego teraz się go oskarża, on jest porządnym człowiekiem, który wykonywał tylko zarządzenia rządu Rzeszy... Ale odmowa udziału w zbrodni była możliwa. Istnieją dowody na to, iż prośby o przeniesienie były spełniane. Dowódca Einsatzgruppe D, wówczas pułkownik SS, Otto Ohlendorf oświadczył w czasie procesu norymberskiego: „Miałem dość okazji, by zorientować się, ilu ludzi z mojej grupy nie zgadza się wewnętrznie z tym rozkazem. Dlatego zabroniłem, by ci ludzie brali udział w egzekucjach, i odesłałem ich z powrotem do Niemiec”^[471].

Joanna Lubecka podkreśla, że przepisy niemieckiego kodeksu karnego wojskowego, które jednoznacznie dawały podwładnemu możliwość odmowy wykonania rozkazu, formalnie nadal obowiązywały. Jednak sytuacja prawna zmieniła się po dojściu do władzy Hitlera, który nie uchylając poprzednich przepisów, nałożył na nie swoistą matrycę, wynikającą z wprowadzenia *Führerprinzip* – zasady wodzostwa.

Polegała ona na tym, iż najwyższą i najpełniejszą władzę w państwie sprawuje jednostka stojąca na czele, przy czym władzę tę pełni w sposób arbitralny i niepodlegający żadnej kontroli. Od 1934 roku żołnierze przysięgali bezwzględną wierność Adolfowi Hitlerowi, aż do poświęcenia życia za niego. Z punktu widzenia prawa przysięga ta nie była wiążąca, gdyż zawierała zobowiązanie do bezwarunkowego popełnienia każdej zbrodni, którą zarządził Hitler, a z prawnego punktu widzenia do popełniania zbrodni nie można nikogo skutecznie zobowiązać[472].

W ludwigsburskiej Centrali Ścigania Zbrodni Narodowosocjalistycznych sprawdzono wszystkie znane ze śledztw i procesów karnych przypadki, w których w sposób kategoryczny utrzymywano, że niewykonanie zbrodniczego rozkazu oznaczało w konsekwencji zagrożenie dla zdrowia i życia. Według relacji Adalberta Rückerla, zawartej w jego referacie *Ludobójstwo hitlerowskie w Polsce i Europie 1939–1945*, żaden z tych przypadków nie znalazł potwierdzenia.

Obrońcy oskarżonych nie przedstawili sądowi ani jednego takiego przypadku, w którym odmowa wykonania zbrodniczego polecenia powodowałaby faktycznie – w sensie odpowiednich ustaleń prawnych – niebezpieczeństwo dla życia i zdrowia otrzymującego rozkaz. Zgodnie z głoszoną przez samego Himmlera ideologią SS niewykonanie rozkazu wymagającego szczególnej bezwzględności nie było zasługującym na śmierć złamaniem przysięgi, ale było traktowane jako przejaw osobistej słabości, uniemożliwiającej dalszą karierę w ramach SS[473].

Dowody, że żaden Niemiec nie został nigdy zabity ani aresztowany za odmowę strzelania do Żydów, są przekonujące. Nie podlega również dyskusji i to, że wiedza, iż nie muszą zabijać, jeśli nie chcą, była rozpowszechniona, jak potwierdzają to ustalenia dotyczące batalionów policji, Einsatzgruppen i innych zbrodnicznych instytucji. Sądy Republiki Federalnej Niemiec bezwarunkowo i słusznie oddalały twierdzenia oprawców, iż naprawdę wierzyli w to, że nie mieli innego wyboru, jak tylko mordować[474].

Jak przekonuje Daniel Jonah Goldhagen, autor książki *Gorliwi kaci Hitlera*, sądy odrzucały takie tłumaczenia nie tylko dlatego, że wiadomo było powszechnie w gronie morderców, iż nie musieli zabijać, ale także te zabiegi – zwrócenie się do dowódcy czy złożenie podania o przeniesienie – były bardzo proste. Każdy, kto sprzeciwiał się zbrodniom, mógł tak działać bez narażania się na niebezpieczeństwo. Dowody wskazują, iż oprawcy niemal nigdy nie podejmowali takich kroków.

Jak słusznie zauważa Joanna Lubecka, zarówno armie, jak i wszelkie organizacje paramilitarne są oparte na hierarchii i posłuszeństwie. Lojalność wobec dowódców i innych żołnierzy (funkcjonariuszy), a więc również wiara w słuszność rozkazów i dzięki temu ich sprawne i szybkie wykonywanie, zapewnia skuteczność akcji i tym samym chroni żołnierzy przed chaosem i niepotrzebnym zagrożeniem.

Sytuacja komplikuje się jednak, gdy wydany przez dowódcę rozkaz ma charakter przestępny, a więc którego wykonanie prowadzi do naruszenia norm prawa karnego lub też możliwości popełnienia przestępstwa określonego przepisami prawa. Dlatego przed sądami i trybunałami, które miały osądzić zbrodniarzy wojennych, pojawiło się wiele dylematów prawnych. Prawnicy alianccy (również niemieccy adwokaci) mieli przede wszystkim wątpliwości co do faktu, że oskarżeni postępowali zgodnie z prawem własnego państwa, a po drugie, wykonywali konkretne rozkazy^[475].

Proces w Düsseldorfie dowiódł w całej pełni, jak niechętnie, z jakimi oporami i ociąganiem w Republice Federalnej Niemiec podchodzono do rozliczania się z brunatną przeszłością nazistowską. Dlaczego „nic niewiedzący o zbrodniach” Niemcy nie pytali, co stało się z ich sąsiadem, który nagle o brzasku dnia rozplynął się wraz z całą swoją rodziną być może na Majdanku? Tym samym Majdanku, w którym jedną z tak licznych tortur, kto wie – czy nie najbardziej wyrafinowaną – było wpojenie setkom tysięcy więźniów przekonania, że ich życie zależy tylko od fantazji obozowych władz, właśnie tych, których przedstawicieli oskarżano w düsseldorfskim procesie^[476].

Oskarżeni prawie wcale nie wypowiadali się na temat ogólnej działalności pozostałych oskarżonych. Nasuwa to w pewnym sensie wnioski o istnieniu cichej umowy. Ja ci nie zrobię nic złego, a za to ty nie zrobisz nic złego mnie. Pewien rencista z Bonn wręcz się dziwił: „Nie mogę w to uwierzyć, o co tutaj pytają. Na Majdanku zaklinano mnie, abym nic nie mówił. Tutaj mam o wszystkim opowiadać. Gdy w Bonn będzie nowy reżim, to zostanę wówczas oskarżony z powodu tego zeznania” [477].

Znaczna część świadków, którzy znali prawdę o Majdanku, znajdowała się w momencie popełniania zbrodniczych czynów po stronie sprawców. Byli to zazwyczaj koledzy oskarżonych z esesmańskiej załogi obozu, którzy ze względu na istniejącą w RFN sytuację polityczno-prawną nie znaleźli się na ławie oskarżonych. Ci nie byli zainteresowani w ujawnianiu prawdy, bo groziło to im samym postawieniem w stan oskarżenia. Stając przed sądem, niemal wszyscy udawali, że nic nie widzieli, nic nie słyszeli i nic nie pamiętają. Ich przesłuchania pochłaniały dużo czasu i niewiele wносиły do sprawy [478].

Większość spośród świadków esesmanów starała się składać zeznania odcinające. Wspólna dla nich wszystkich – z jednym tylko wyjątkiem – była niezwykle słaba pamięć. Na przykład jeden ze świadków, szef grupy przewodników psów strażniczych, odpowiedzialny był za utworzenie zapory wokół pewnej łąki 3 listopada 1943 roku w trakcie akcji pod cyniczną nazwą „Dożynki”. W ciągu jednego dnia zastrzelono wówczas kilkanaście tysięcy żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Jednakże świadek, podobnie jak jego koledzy, nie mógł sobie niczego przypomnieć [479]. Kierownik pola więziennego Heinz Villain wyjaśniał beznamiętnie: „Rano rozpoczynała się służba, wieczorem się kończyła. A potem nas nie było” [480].

Na pytanie, o czym myślał, uczestnicząc w akcji „Dożynki”, SS-Sturmmann Franz Bauer bez żenady powiedział sądowi, że... o urlopie, który miał otrzymać za kilka dni. Inny był członek załogi Majdanka, esesman Josef Barth, który w obozie pełnił służbę wartowniczą, na pytanie sędziego, co odczuwał, kiedy młode kobiety padały przed nim na

kolana, błagając o ocalenie życia ich dzieci, odpowiedział: „Nic nie odczuwałem. Następnego dnia już o tym nie pamiętałem” [481].

Zawodziła ich pamięć. Nic nie wiedzieli o uśmiercaniu więźniów w komorach gazowych. Według nich więźniowie byli traktowani normalnie. Niebywałą amnezją „popisała” się E. Hering, która rozpoczęła służbę na Majdanku jesienią 1941 roku. Według niej nie było komór gazowych, kary chłosty. Pamiętała tylko, że z Majdanka do kawiarni w Lublinie było piętnaście minut drogi.

Zwrot w procesie spowodowały dopiero przesłuchania świadków z grupy ofiar, bo świadkowie niemieccy, przeważnie zmuszeni do zeznań przez prokuraturę, chętnie odpowiadali na pytania dotyczące stopni wojskowych, mundurów, spędzania czasu wolnego i życia codziennego w obozie. Gdy tylko doszło jednak do wymienienia konkretnych sprawców bądź współuczestników, zawsze podawano osoby, których, jak się okazało po dalszych poszukiwaniach, nie można było odnaleźć albo które już nie żyły [482].

Inną kwestią pozostaje, dlaczego Niemcy kierowali się zdumiewającym ekonomicznym irracjonalizmem w marnotrawieniu utalentowanej, niezwykle produktywnej siły roboczej. Dlaczego świadomie stwarzali niszczące zdrowie warunki i traktowali Żydów tak okrutnie, skoro już angażowali ich do „pracy”? W jakim politycznym i społecznym kontekście oraz w świetle jakich zasad takie zachowanie wobec Żydów wydawało się Niemcom sensowne?

Niechęć Niemców do wykorzystania żydowskiej siły roboczej z Europy oraz traktowanie ich w ramach takich instytucji „pracy” jak Majdanek, Lipowa, Flughafenlager i wiele innych obozów daje nam empiryczny punkt wyjścia do odpowiedzi na to pytanie. Wskazuje bowiem na to, że istotne, obiektywne cechy żydowskiej „pracy” – w porównaniu z pracą normalną – miały charakter patologiczny [483].

Rozdział IX

„ŻADEN Z NAS NIE BĘDZIE SIEDZIAŁ”

W pierwszym okresie trwania procesu w komentarzach prasowych w RFN dominowała niechęć do podejmowania spraw o zbrodnie III Rzeszy. Sytuacja zmieniła się dopiero na początku 1979 roku, kiedy dyskusja na temat przedawnienia zbrodni morderstwa, w tym zbrodni z okresu nazistowskiego, objęła szerokie kręgi społeczeństwa zachodnioniemieckiego. Wtedy na sali sądowej ponownie pojawiły się grupki dziennikarzy. Zaczęto interesować się osobowością byłych więźniów występujących w charakterze świadków, publikowano informacje o niektórych zbrodniach popełnionych na Majdanku oraz uwagi krytyczne na temat pobłażliwego traktowania winnych popełnienia zbrodni funkcjonariuszy III Rzeszy^[484].

Siła dawnych narodowosocjalistycznych elit w RFN polegała przede wszystkim na ich wzajemnej lojalności. Pełnili oni w powojennych dziesięcioleciach kluczowe funkcje w różnych instytucjach państwa zachodnioniemieckiego i w ten sposób mieli wpływ na wiele decyzji. Znakomity przykład skuteczności tych środowisk stanowił paraliż rozliczania zbrodni hitlerowskich. Był on możliwy dzięki postawie policji, która starała się podejrzanych bardziej ukrywać i ostrzegać przed grożącymi aresztowaniami, niż ich szukać. Działo się tak pewnie

dlatego, że dochodzenia w sprawie wojennych zbrodni policjanci musieliby zacząć od swoich najbliższych kolegów[485].

Po półtora roku przesłuchań większość Niemców proces ten już znudził. Prasa poświęcała mu niewiele uwagi, podczas gdy obrońcy dzień w dzień opóźniali postępowanie sądowe i zastraszali świadków. Gorzej nawet – obrońcy powoływali się często na nową rewizjonistyczną teorię, jakoby Adolf Hitler nie zdawał sobie sprawy z tego, co jego podwładni robili z Żydami. Obrona zaczęła nawet dowodzić, że okrucieństwa popełniane w Majdanku – a także inne, jakie miały miejsce podczas całej epoki nazistowskiej – zostały albo sfabrykowane, albo przesadzone[486].

Burzę wśród niemieckich historyków (szczególnie ostro zaatakowali lewicowo-liberalni intelektualiści) wywołał artykuł niemieckiego historyka Ernsta Noltego, opublikowany na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung” w 1980 roku, w którym autor postawił tezę, że terror nazistowski, a szczególnie eksterminacja Żydów w czasie drugiej wojny światowej, nie był „oryginalnym” pomysłem nazistów niemieckich, lecz raczej naturalną odpowiedzią na terror bolszewicki. A więc Auschwitz, według Noltego, był niejako następstwem GUŁ-
agu[487].

Sposób, w jaki przedstawiono drugą wojnę światową w historiografii i publicystyce, tłumaczy jak najdalej idące próby rewizji poglądów w tej dziedzinie. Szczególną rolę w dążeniach do „przywrócenia twarzy” niemieckiemu militarystom odegrała książka Franza Haldera *Hitler jako dowódca* wydana w Monachium w 1949 roku. Autor wysunął w niej tezę, że jedynie Hitler ponosi odpowiedzialność za przegraną wojnę. W ten sposób przyczynił się on do rehabilitacji niezwyciężonego sztabu generalnego i hitlerowskich generałów[488].

Na ostatniej stronie „National Zeitung” z 17 marca 1978 roku, w ramach na blisko ćwierć kolumny, przeczytać można jakże znamienne pytanie i szokującą odpowiedź:

„ – *Warum hat Hitler die Sowjetunion angegriffen?*

– *Weil er musste!*”

Co w tłumaczeniu na polski brzmi:

„– Dlaczego Hitler zaatakował Związek Radziecki?

– Bo musiał!”.

Dawna wypowiedź historyka Wolfganga Schefflera („wojna rozpętana w 1939 roku przez Hitlera”) została zakwestionowana przez Ludwiga Bocka jako „propaganda zwycięzców alianckich po 1945 roku”. Bock, wówczas zaledwie trzydziestoczteroletni, z oburzeniem powołał się na przeciwne tezy obskuranckich autorów, takich jak David L. Hoggan, którego pronazistowska książka *Narzucona wojna* była w latach sześćdziesiątych bestsellerem w RFN.

Zdaniem tego autora Hitler nie chciał konfliktu zbrojnego z Polską. Jedynie odmowa rozwiązania problemu gdańskiego po myśli Rzeszy spowodowała, że posunął się on do wywołania wojny. Józef Beck – według Amerykanina – nie był nastawiony wrogo wobec Hitlera, jednakże nie zamierzał ustępować w sprawie gdańskiej ani o centymetr, uważając, że po utracie pozycji w tym mieście zostanie podważona mocarstwowa pozycja Polski.

W celu ilustracji, w jakim duchu utrzymana była omawiana książka, przytoczmy kilka cytatów: „Druga wojna światowa wynikła z dążeń do zniszczenia Niemiec”. Albo: „Pokojowa polityka Hitlera skończyła się niepowodzeniem, ponieważ Wielka Brytania zdecydowała się na sprowokowanie Niemiec, zanim mógł on zrealizować program dojścia do porozumienia ze swymi sąsiadami”[\[489\]](#).

Jego zdaniem tylko Polska prowokowała konflikty w Gdańsku i na granicy z Niemcami. Arthur Greiser, hitlerowski prezydent Senatu Gdańska, oraz gdański gauleiter Albert Forster zachowywali się umiarkowanie i byli „skłonni do porozumienia”. Polski nadkomisarz Marian Chodacki był „aroganckim, prowokującym szowinistą”. Hitlera Hoggan kreował na obrońcę Europy przed bolszewizmem. Wypowiedzi te nie wymagają szerszego komentarza.

Równie dyskusyjne poglądy reprezentował angielski historyk Alan J.P. Taylor, który twierdził, że wybuch drugiej wojny światowej można przypisać nie tyle złej woli Hitlera, co „dyplomatycznej niezręczności” wszystkich zainteresowanych państw i ich czołowych polityków. Zdaniem autora Rzesza hitlerowska zmierzała jedynie do rewizji traktatu wersalskiego, przede wszystkim chodziło jej o Gdańsk i „korytarz”.

Polskiemu ministrowi spraw zagranicznych Józefowi Beckowi miał za złe, że utrzymywał kontakty z Niemcami hitlerowskimi, a jednocześnie wiązał się z zachodnimi sojusznikami, którzy dali Polsce granice z 1919 roku i przyznawali jej uprzywilejowane stanowisko w Wolnym Mieście Gdańsku, będąc równocześnie świadomym niezdecydowanego stanowiska Francji i Wielkiej Brytanii w kryzysie prowadzącym do wielkiej rozprawy zbrojnej.

Znamienne są wypowiedzi przywódców skrajnej prawicy w sprawie obozów koncentracyjnych: „Nie wynaleźliśmy obozów koncentracyjnych i wypraszamy sobie, aby nas za to karać. Nie można zapomnieć o wychowawczej roli obozów, gdzie z wielu bojowników czerwonego frontu i marksistów zrobiono porządnymi Niemców. [...] Największym prześladowaniem człowieka na ziemi niemieckiej było ściganie przestępstw nazistowskich” [\[490\]](#).

Stanowiska, które ujawniły się wobec też przedstawionych przez dwóch „rewizjonistycznych” historyków, wystawiają również świadectwo zachodnioniemieckim ośrodkom kształtowania opinii publicznej. Wskazują one i na to, czy społeczeństwo RFN jest podatne lub też uodpornione wobec szerzonych tego rodzaju poglądów, będących wyrazem tendencji nacjonalistycznych, niemożności oderwania się od hitlerowskiej przeszłości i wyciągnięcia wniosków z tragicznych również dla Niemców lat drugiej wojny światowej [\[491\]](#).

Strażnicy bez większego wzruszenia przyglądali się, jak ich adwokaci odrzucali oskarżenia jako nieściśle lub tendencyjne. Ludwig Bock powiedział korespondentowi „Newsweeka”, że: „Na takie procesy nie powinno się pozwalać. Nikomu już nie pomogą. Umarłych się nie

wskrzesi, a torturowani i pogrążeni w żałobie nie staną się szczęśliwsi”. Bock opowiadał się za ogólną amnestią dla wszystkich oskarżonych o zbrodnie wojenne w epoce nazistowskiej. „Nie przeczę – przyznawał łaskawie – że popełniano okrucieństwa. Ale twierdzenie, że w Majdanku zginęło 250 tys. ludzi, jest absurdem”[\[492\]](#).

Cytował również *Wojnę Hitlera* – książkę Brytyjczyka Davida Irvinga, odgrzebującą dawne wątpliwości co do tego, „czy w Niemczech hitlerowskich wymordowano aż 6 mln Żydów”. Irving twierdził, że Hitler nie wydał rozkazu likwidacji Żydów i że do roku 1943 nawet nie wiedział, iż SS Heinricha Himmlera z zapałem realizowało „ostateczne rozwiązanie w obozach śmierci na Wschodzie”. Jeśli Hitler nie był odpowiedzialny – tak argumentował Bock – to jak można uważać za odpowiedzialną grupę strażników więziennych niskiej rangi? *Dziennik Anne Frank*, słynną na całym świecie opowieść młodej Żydówki, która zginęła w hitlerowskim obozie koncentracyjnym, określił jako „dobrze znane fałszerstwo”[\[493\]](#).

Książka Irvinga ukazała się w USA, ale owe dziesięć stron poświęconych zagładzie Żydów nie wzbudziło gwałtownej reakcji innych historyków aż do czasu, kiedy publikacja ta została wydana w czerwcu w Wielkiej Brytanii i stała się bestsellerem. Utrzymując, że uczeni dali się zwieść alianckiej propagandzie wojennej i „kazirodstwu łączącemu historyków”, Irving przyznaje, że Hitler wydał rozkaz wysłania Żydów do obozów dla internowanych. Utrzymuje on jednak, że nikt nie znalazł nigdy żadnego dokumentu wiążącego go z zagładą Żydów[\[494\]](#).

Teoria Irvinga, bez względu na to, czy była do przyjęcia, czy też nie, zaważyła na współczesnej historii. Podczas ostatniego, największego procesu zbrodniarzy wojennych, toczącego się w Düsseldorfie, obrońcy czternastu oskarżonych strażników obozu koncentracyjnego skwapliwie powoływali się już na tę książkę jako na dowód, że historycy wyznaczeni przez prokuraturę i sąd nie znają „nowych odkryć”[\[495\]](#).

Nie jest przecież przypadkiem, że – poza nielicznymi wyjątkami – w RFN do dzisiaj nie odważono się postawić przed sądami nazistowskich sędziów i prokuratorów, którzy uczestnicząc w zbrodniach sądowych, współdziałali w akcjach ludobójstwa. Jedynie najbardziej haniebne wyroki sądów nazistowskich zostały anulowane[496]. Jak mogło być inaczej, skoro jednym z obrońców był były prokurator SS, reprezentujący stanowisko prawicowe (co jest eufemizmem)? Nawet ławnik Wendelin Hammer nie krył oburzenia, że obrońca Wilhelm Stolting mógł wtedy wyznać: „Pierwszą rentę zawdzięczam mojemu Führerowi i tę dzisiejszą zawdzięczam również mojemu Führerowi” [497].

W wyniku zaostżenia zimnej wojny ściganie i karanie zbrodniarzy wojennych zostało znacznie utrudnione, w przypadku Polski oznaczało często odmowę ekstradycji lub przeprowadzanie procesów przed sądami niemieckimi w RFN. Procesy te nie zawsze odbywały się w sposób rzetelny, ale polska strona nie miała już na to wpływu. Najlepszym przykładem będzie tu właśnie proces członków załogi Majdanka odbywający się przed sądem w Düsseldorfie.

W opinii Elissy Mailänder Koslov postępowanie dowodowe wypadło w Austrii w bardzo niekorzystnym czasie. Chociaż w 1975 roku za kadencji ministra sprawiedliwości Christiana Brody weszła w życie reforma wymiaru sprawiedliwości, na mocy której morderstwo, zabójstwo oraz współdziałanie w morderstwie nie podlegały przedawnieniu, nie doszło do intensywnego ścigania zbrodni nazistowskich.

Z wyjątkiem jednego wyroku uniewinniającego w 1975 roku raczej wstrzymywano postępowania i do 2000 roku nie wszczynano dalszych. Także w przypadku oskarżonej w Düsseldorfie Hermine Braunsteiner-Ryan, rodowitej wiedeńki, będącej od 1963 roku obywatelką USA, austriackie sądownictwo nie czuło się organem właściwym do wszczęcia postępowania wobec niej, nawet po pozbawieniu jej amerykańskiego obywatelstwa w 1973 roku. Oskarżona figurowała w aktach jako bezpaństwowa[498].

Dlatego oskarżeni i ich obrońcy spodziewali się, że z momentem przedawnienia w ogóle najcięższych nawet zbrodni hitlerowskich powstanie w RFN taki klimat społeczny, w którym sąd nie ośmieli się wymierzyć wysokich kar za zbrodnie z okresu drugiej wojny światowej. A gdyby nawet to nastąpiło, pozostawała jeszcze nadzieja, że Trybunał Federalny, który już wielokrotnie dawał dowody swej przychylności dla byłych nazistów, i tym razem znajdzie korzystne dla nich rozwiązanie^[499].

Piętnastoletnie prace dochodzeniowo-śledcze poprzedzające proces o zbrodnie popełnione w obozie koncentracyjnym na Majdanku nie doprowadziły do postawienia przed sądem wszystkich czy chociażby znacznej części żyjących na terenie RFN byłych członków esesmańskiej załogi tego obozu, którzy dopuścili się zbrodni ludobójstwa. Było to zaskoczeniem tylko dla niewtajemniczonych. Świadome ignorowanie przez ustawodawcę i organy mające wpływ na kształtowanie stanu prawnego RFN norm prawa międzynarodowego, jak też niestosowanie w pełni obowiązujących przepisów prawa wewnętrznego do ścigania zbrodni nazistowskich musiały doprowadzić do takich rezultatów^[500].

Byłe aufzejerki przed sądem nagminnie przedstawiały siebie jako „bezwolne trybiki” całkowicie zależne od funkcjonariuszy SS. Oparta na tych zeznaniach opinia o rzekomej niewinności tych kobiet bardzo długo dominowała w świadomości społecznej. Dopiero wnikliwe badania pozwoliły dostrzec w nadzorczyniach niemieckich obozów koncentracyjnych sprawczynie, a nie ofiary. Nie były tylko świadkami minionych wydarzeń, lecz miały także swój udział w maszynie obozowego terroru^[501].

Elissa Mailänder Koslov zwraca uwagę, że po zakończeniu drugiej wojny światowej wymiar sprawiedliwości w Europie po raz pierwszy musiał się zmierzyć z problemem zbrodni wojennych popełnionych przez kobiety. Sędziowie, oskarżyciele i prokuratorzy, którzy byli wyłącznie mężczyznami, wydawali się wobec tego precedensu nieco bezradni. Udział kobiet w zbrodniach nazizmu i ludobójstwie był trudnym przedmiotem rozpraw i śledztwa, gdyż sprawczynie zerwały

z oczekiwanymi postawami społecznymi, definiowanymi przez moralny kodeks zachowań jako typowo kobiece.

W postępowaniach karnych przeciwko byłym nadzorczyniom dały się zauważyć wyraźnie specyficzne dla danej płci interpretacje. Tak więc w procesach toczących się we wczesnych latach powojennych nadzorczynie przedstawiano głównie jako kobiety odznaczające się wyjątkowym okrucieństwem. Obraz „bestii SS” utrwalił się i ukonstytuował określony typ sprawczyń: typ kobiety bestialskiej i sadystycznej. W tym przepelnionym demonizacją i erotyzacją dyskursie przyczyn dewiacji sprawczyń doszukiwano się w „odmiennej” kobiecości[502].

„Mimo iż znałem okoliczności – przyznawał prokurator Weber – trudno mi było wówczas zobaczyć w obecnych oskarżonych dręczycielki i morderczynie. Przerwy w posiedzeniach sądu wypełnione były czytaniem gazety «Bild», robieniem na drutach, rozmowami o wydarzeniach sportowych i chorobach. Sami prostoduszni, starzy ludzie, spokojni obywatele, rozczulający się nad sobą. [...] Gdyby nie obecność byłych więźniów, którzy wciąż przypominali nam o warunkach w obozie i zachowaniu oskarżonych, można byłoby oskarżonym niemalże współczuć”[503].

Stopniowo ludzie przyzwyczajali się do opisów cierpienia, o których ciągle mówiono na sali sądowej. Tymczasem świadkowie, obserwując sceny na korytarzu podczas przerw w procesie, nie mogli uwierzyć w to, jak ich dawni oprawcy zrelaksowani palą i rozmawiają na ich oczach – a po każdym dniu rozprawy wychodzą. Wolni[504].

Od samego początku procesu prasa poświęcała szczególną uwagę kobietom: „Oskarżone – opisywał dziennikarz «Der Spiegel» – to obecnie nieporadne kobiety w kostiumach z dzianiny, wełnianych czapkach, gospodynie domowe od garnków i obwarzanków do kawy”. Emeryci na ławie oskarżonych stanowili kontrast wobec zarzucanych im morderstw: trudno było ujrzeć w starszych „sprawiających wrażenie prostodusznych paniach” i „nieporadnych panach” sprawców

i sprawczyńie z obozów koncentracyjnych. Szczególnie „ociężałe siwe kobiety” stanowiły jaskrawy kontrast wobec „krzepkich dziewcząt SS” [505].

Oskarżeni nie zabierali głosu, nie zadawali pytań, to rzecz adwokatów, co najwyżej sporządzali notatki. Około południa zaczynali spoglądać na zegarki – czas na obiad. Wsiadą w tramwaj, w zaparkowany w pobliżu samochód lub pójda spacerkiem do jakiejś knajpki na niezbyt teraz zatłoczonej starówce. Powrócą o wyznaczonej godzinie, nigdy spóźnieni. Popołudniową kawkę wypiją już w domciu, w swoich ulubionych kapciach na nogach.

Powtarzają się opisy selekcji, bicia, apeli, kolejnego nakręcania sprężyn maszyny, która wchłaniała tysiące ofiar ponad czterdziestu narodowości. Powtarza się wędrówka kolejnego świadka między ławami oskarżonych, spoglądanie w twarz morderczyń. Niektóre już przywykły, nie odwracają wzroku. Ot, zwykły, kolejny, dwusetny, a może już trzechsetny dzień procesu...

Mało kto, nie tylko więźniarki Majdanka, rozumiał, dlaczego tak wielu członków załogi tego obozu zagłady nie zajmowało miejsca na ławie oskarżonych, a byli powoływani tylko jako świadkowie:

„Kiedy siedziałam na krześle świadka – wspominała Danuta Brzosko-Mędryk – opierałam ręce o stół stojący przede mną i miałam sięgnąć po szklankę z wodą – w wyobraźni widziałam tych esesmanów i aufzejerki, którzy, jak ja, siedzieli na tym samym miejscu, mówili do tego samego mikrofonu, opierali swoje, splamione krwią niewinnych ludzi ręce o brzeg stolika i pili z tej samej szklanki. I wtedy wyło coś we mnie z rozpaczy, z poczucia bezsiły wobec niesprawiedliwości i zakłamania” [506].

Ludzie mogą strawić i być może przeżywać emocjonalnie jeden, dwa czy kilkadziesiąt opisów morderstwa, ale tysiące takich przypadków przytępiają wrażliwość słuchaczy, podobnie jak swego czasu morderców i ich ofiar. Groza staje się czymś samym przez się zrozumiałym. Dla świadków proces ten stwarzał ogromne obciążenie. Było ono nie tylko

spowodowane konfrontacją z ich byłymi prześladowcami, lecz również niesłychanymi prowokacjami, jakich dopuszczała się obrona.

„Ich pytania – mówiła Krystyna Tarasiewicz o obrońcach zbrodniarzy – zmierzały do podważenia moich zeznań, moje odpowiedzi osadzały ich na miejscu, jak np. kiedy adwokatowi Herminy Braunsteiner – na jego podchwytliwe pytanie – odpowiedziałam: A cóż pan może wiedzieć o Majdanku? Żeby pan sto tomów na temat tego obozu przeczytał i tak będzie pan wiedział mniej niż ja, która tam byłam i przeżyłam wszystko bezpośrednio. Jak człowiek, który rozgryzie jedno ziarenko gorczycy, lepiej pozna jej smak niż tragarz, który całe worki z gorczycą nosi na plecach”[\[507\]](#).

Często więźniowie, z powodu upływu czasu, wieku i zawodnej pamięci, nie mogli dość dokładnie przypomnieć sobie szczegółów. Inaczej niż Andrzej Stanisławski, który zatrudniony w obozie jako tak zwany Laufer, czyli chłopiec na posyłki czy goniec, kursował po całym Majdanku i w związku z tym widział oraz słyszał osobiście więcej niż ogół więźniów. Dlatego Stanisławski mógł niejednego z oskarżonych bardzo konkretnie i ciężko obciążyć.

„Otóż mec. Bock wypytał mnie raz jeszcze – wspominał – ile to trupów musiałem odnieść z kolegami do krematorium, po czym zakwestionował moje twierdzenie, jakobym mógł napluć na klatki piersiowe dwudziestu nieboszczyków leżących na posadzce, aby chemicznym ołówkiem wypisać na nich obozowe numery, bowiem – argumentował – «człowiek nie jest w stanie wydobyć z siebie jednorazowo tyle śliny». Spokojnie odpowiedziałem, że w obozie dla ratowania życia, a taką cenę mogłem zapłacić esesmanowi za niewykonanie jego polecenia, więźniowie nie takie rzeczy musieli robić”[\[508\]](#).

Z kolei Hans Mundorf chciał wiedzieć, czy w okresie poobozowym gdziekolwiek widział zdjęcie jego klientki, pani Hermine Braunsteiner-Ryan. „Niewykluczone – przyznał Stanisławski – że w którymś z pism, może nawet zachodniemieckich, oglądałem zdjęcie Aufseherin

Braunsteiner w okresie batalii o jej ekstradycję ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Przede wszystkim jednak pamiętam ją doskonale z obozu, w którym wyróżniała się szczególnym sadyzmem: z upodobaniem na przykład kopała więźniarki i smagała je pejczem”[\[509\]](#).

Już w 1977 roku Towarzystwo Niemiecko-Polskie określiło dotychczasowy przebieg procesu jako „skandal”, zaś międzynarodowy komitet byłych więźniów obozów koncentracyjnych w Wiedniu nazwał go „zawstydzającym”. Te zarzuty i ataki publicystów – między innymi w telewizji holenderskiej, w prasie brytyjskiej i kanadyjskiej – nie były nigdy wymierzone przeciwko sposobowi prowadzenia rozprawy przez przewodniczącego sądu Günthera Bogena, lecz wyłącznie przeciwko tonowi wystąpień i taktyce poszczególnych obrońców[\[510\]](#).

Gdy Tatiana Targalska, która wyglądała na o wiele więcej niż swoje pięćdziesiąt siedem lat, zeznała, że widziała, jak Hermine Braunsteiner chwyciła małego chłopca i zabiła go strzałem w głowę, jeden z obrońców przypuścił na nią atak, zasypując ją gradem pytań, kwestionując jej wersję wydarzeń.

W pewnym momencie, gdy ostrzegł ją przed konsekwencjami składania fałszywych zeznań, Targalska wykrzyknęła: „Dlaczego pan to robi? Czy jestem jedną z oskarżonych?”. Po takim dniu przesłuchań Schaja Weisbeker, członek żydowskiej społeczności w Düsseldorfie i dawny więzień Auschwitz, zauważył posepnie: „W tym procesie ofiary stały się winowajcami”[\[511\]](#).

Natomiast agresywny, wręcz zacietrzewiony w swej nadgorliwości i pieniactwie Bock wystąpił z tak horrendalnym wnioskiem procesowym, który przejdzie do niesławnej historii tego procesu-monstrum. Otóż stwierdził, że przewodniczący sędzia Bogen winien w sądowym gmachu wyznaczyć odosobnione miejsce dla polskich świadków, którzy byliby doprowadzani pod strażą (!), „oczywiście po to – komentował swój wniosek dr Bock – aby można ich asekurować przed

potencjalną obrazą czy wyskokiem któregoś z oskarżonych lub widzów”[\[512\]](#).

Tak bezczelny wniosek do głębi poruszył zawsze powściągliwego Günthera Bogena. Ten stale opanowany, kulturalnie i znakomicie (bo bez taryfy ulgowej dla kogokolwiek i bezstronnie) prowadzący sprawę sędzia zareplikował stanowczo: „Jak to, byli więźniowie hitlerowskich obozów mają być zamykani? Są tu gośćmi. Jeśli już uwzględnić wniosek o izolację, to chyba oskarżonych”[\[513\]](#).

Dyskusje na linii obrońcy–sąd często zresztą nie tyczyły meritum sprawy, a były czepianiem się przewodniczącego przez adwokatów i usiłowaniem pozbycia się go z sądu. Gdyby im się ten manewr udał – trzeba byłoby zaczynać proces od początku. Taki był też ich cel. Wnioski o usunięcie Bogena zawierały wprost prymitywne uzasadnienia, na przykład takie, że świadkom niemieckim (byłym esesmanom i aufzejerkom!) Bogen mówił: „Dziękuję, jest pan wolny”, podczas gdy do polskich świadków zwracał się słowami: „Dziękuję za przybycie, życzę miłego spędzenia czasu, przepraszam za trud”[\[514\]](#).

W czasie trwania procesu obrona zgłosiła ponad pięćdziesiąt wniosków o wyłączenie sędziego lub całego zespołu orzekającego ze względu na stronniczość, co w poważnym stopniu dezorganizowało pracę. W pierwszych latach procesu, do czasu rozpatrzenia takiego wniosku, następowała przerwa w rozprawie. Doszło nawet do tego, że dla uniknięcia nadmiernej zwłoki w przewodzie sądowym w czasie posiedzeń sądu na terenie gmachu był zawsze w pogotowiu inny zespół orzekający, na wypadek gdyby adwokaci domagali się wyłączenia sędziów[\[515\]](#).

Niewiarygodna była postawa Bocka, przeciwko któremu wszczęto nawet dochodzenie, bo żądał opinii psychiatry na okoliczność popędu do zabijania swej mocodawczyni Hildegardy Lächert, badań na temat „rasy żydowskiej w sensie biologicznym”, zgłaszał wątpliwości co do protokołu konferencji w Wannsee, na której pod przewodnictwem

Reinharda Heydricha ustalono ze wszelkimi szczegółami „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej” [516].

Proces zbrodniarzy z Majdanka często był procesem... procesu kwestionowania choćby liczby zamordowanych. Co dziwi, bo fakty i arytmetyka mówiły same za siebie – z tej „rzezi” pod Lublinem dostarczono siedemset trzydzieści kilogramów ludzkich włosów. Wojska sowieckie, które wyzwalały obóz na wiosnę 1944 roku, znalazły osiemset dwadzieścia tysięcy par butów oraz dokumenty tożsamości dwudziestu sześciu narodowości [517].

Opierając się na danych liczbowych z wielu zeznań, adwokat Ludwig Bock zakwestionował twierdzenie, że na Majdanku zginęło kilkaset tysięcy ludzi, gdyż mogło ich zginąć „najwyżej 20 tysięcy”. Odpowiedź świadka, dziennikarza z Gdańska, Andrzeja Stanisławskiego, sprawiła, że nawet tak wyszczekany adwokat zapomniał języka w gębie: „Panie mecenasie, doktorze Bock! Posiada pan wyjątkowy dar przypominania mi faktów, które już dawno wymazałem z mojej pamięci”. Po czym podszedł do planu i wskazując dokładnie miejsce męczeństwa więźniów – „różany ogród” i trasy śmierci – mówił dalej:

„W mauzoleum na Majdanku, panie mecenasie Bock, ręce Polaków złożyły po wojnie 7 ton prochów ludzkich, spalonych w krematorium tego obozu, którymi esesmani nawozili obozowe ogrodnictwo. Człowiek w 80 procentach składa się z wody, po spaleniu zaś – ja to oglądałem wiele razy w krematorium obozowym, panie mecenasie Bock – pozostaje z niego garść popiołu, o – taka... (tu świadek wyciągnął w kierunku adwokata rozcapierzoną dłoń). Kości ludzkie mieli w krematorium specjalny młynek. Może potrafi pan obliczyć, ile takich garści prochów ludzkich mieści się w tych siedmiu tonach w mauzoleum?” [518].

Na sali sądowej zaległa głucha cisza. Im poważniejszy jest zarzut, tym trudniejsze jest zawodowe i moralne zadanie obrońcy, ale obrońca, który po tylu miesiącach procesu wie już, czym był obóz koncentracyjny, a mimo to składa wnioski o aresztowanie świadka na sali rozpraw, jest

łajdakiem. Gdyby totalnie potępiano to, co stworzył faszyzm, adwokat w jednym z najwyższej rozwiniętych państw nie odważyłby się „mylić” ofiary z katami, świadków z oskarżonymi.

„Gdy składałam swe zeznania – relacjonowała Jadwiga Węgrzecka – adwokata Bocka nie było na sali rozpraw, co niewątpliwie wpłynęło korzystnie na atmosferę, w jakiej przychodziło mi mówić o tamtych czasach. Zauważyłam jednak, że na rozprawę przychodziło dość dużo ludzi związanych z oskarżonymi. Ich zachowanie nacechowane było lekceważeniem na przykład sądu. Nie wstawali na powitanie, bo oni tego sądu nie uznają. Nikt nie reagował na takie zachowanie”[\[519\]](#).

Kiedy była aufzejerka obozowa, Alice Orlowski, zmarła w wieku siedemdziesięciu trzech lat z powodu swych starczych dolegliwości, następnego dnia rozprawy na opustoszałym miejscu na ławie oskarżonych leżał wielki bukiet żółtych chryzantem. Strażnicy na sali rozpraw oczywiście nie mieli pojęcia, kto w ten sposób oddał cześć zmarłej zbrodniarce[\[520\]](#).

Adwokaci posiadali niespożytą wyobraźnię i wymyślali coraz to nowe absurdalne wnioski, którymi sąd musiał się zajmować. Na przykład: oskarżona Hermine Braunsteiner-Ryan nie może być sądzona przez sąd niemiecki, skoro urodziła się jako Austriaczka. Nie może być też sądzona za te same czyny dwukrotnie. Prokuratura odpowiedziała, że z chwilą przyłączenia w 1938 roku Austrii do Niemiec Braunsteiner stała się obywatelką niemiecką, tym bardziej że podlegała prawu obowiązującemu dla pomocniczej służby Waffen SS i SS Totenkopf.

Sąd przypomniał (o czym wiedzieli obrońcy, chociażby z procesu nowojorskiego), że przed Krajowym Sądem w Wiedniu odpowiadała nie za zbrodnie popełnione na Majdanku, ale za złe traktowanie więźniarek. Uznano też, że należąc do straży obozowej, była przedstawicielką niemieckiego urzędu, od którego winno wymagać się przestrzegania praworządności.

„Ja nie mogłam wiedzieć, którzy więźniowie słusznie, a którzy niesłusznie byli więzieni w obozie. Nie zaglądałam w ich akta” – broniła

się Braunsteiner. Więc sędzia zapytał, czy dla niej, jako kobiety, atmosfera obozu, bezprawie, jakie tam widziała, nie były przerażające. „Nie, miałam wówczas niewiele ponad dwadzieścia lat” [521].

Tatiana Targalska mówiła o sposobie, w jaki przyjmowano nowe transporty więźniów do obozu. Śmiertelnie znużonych podróżą w zatłoczonych bydłowych wagonach ludzi wpędzano na puste pole ogrodzone drutem kolczastym, zwane „ogrodem różanym”. Wszyscy musieli się rozebrać do naga. Uznanych za zdolnych do pracy zmuszano do kąpieli w kadziach napełnionych błotnistą cuchnącą cieczą z dodatkiem substancji żrących, co powodowało podrażnienie oczu. Słabych, kobiety ciężarne i dzieci mordowano w komorze gazowej lub w inny sposób.

W czasie selekcji szczególnie okrutnie zachowywały się dozorcynie Lächert i Braunsteiner. Pod koniec pierwszego dnia zeznań świadek Tatiana Targalska powiedziała: „Nie chcemy wspomnieniami tych strasznych przeżyć zatruwać umysłów naszych dzieci. Tutaj jednak, w imieniu tych, którzy tam, zawszeni, obdarci, brudni, sponiewierani i torturowani, zamęczeni zostali przez dziś jeszcze cynicznie zachowujące się zbrodniarki, muszę o tym mówić” [522].

To stwierdzenie stało się powodem natychmiastowej repliki mecenasa Hansa Mundorfa z Kolonii. Oświadczył on, że nie zauważył, aby oskarżone zachowywały się tutaj cynicznie, i prosił o zaprotokołowanie swej wypowiedzi. Zdaniem Stanisława Kani było to nie tylko próbą speszenia świadka, lecz także wykazania, iż złożone przez nią zeznania nie są wolne od emocji, w związku z czym ich wartość dowodowa jest wątpliwa.

Zeznania więźniarki, która zachowała w pamięci wiele istotnych dla sprawy szczegółów, były przedmiotem bacznej uwagi obrońców, którzy próbowali wszelkimi sposobami zdyskredytować jej słowa. Nie mogli jednak bezpośrednio podważyć wiarygodności tego, co mówiła. Dlatego Ludwig Bock i inni adwokaci starali się na przykład wmówić, iż

świadek... miała w obozie zapalenie opon mózgowych, co mogło spowodować trwałe uszkodzenie pamięci[523].

„ – Świadek mówiła, że na Majdanku miała zapalenie opon mózgowych – oczy Bocka wpatrywały się we mnie zza okularów, starając się nie przeoczyć nawet drgnienia mojej twarzy.

Nie od razu odpowiedziałam. Zaskoczył mnie jednak.

– Nie, nie miałam...

– Niech pani sobie dobrze przypomni – wtrącił drugi obrońca, Hohl z Mannheim.

– Nie miałam.

– Ależ, Frau Mędryk, proszę posłuchać – obrońca Hohl nachylił się nad aktami – w 1965 roku w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich zeznała pani, że latem 1943 roku była pani w szpitalu.

– Zgadza się...

– I było podejrzenie o zapalenie opon mózgowych.

Ej, panie mecenasie – pomyślałam – tu ja jestem górą, ułatwił mi pan, odczytując dokładny tekst zeznań.

– Panie mecenasie, między podejrzeniem a postawieniem diagnozy jest ogromna różnica. Szczególnie w obozie stawianie diagnozy było trudne. Ja miałam tak zwaną lagerfieber, która często przechodziła w zapalenie opon mózgowych i śmiertelne zejście. Wówczas doktor Perzanowska tylko obawiała się rozwoju choroby.

Wiedziałam, co mieli na myśli obaj obrońcy: gdyby mi udowodnili to zapalenie opon, obaliliby moje zeznania dotyczące selekcji kobiet i dzieci w lipcu i sierpniu 1943 roku”[524].

Inny incydent miał miejsce w drugim dniu zeznań Tatiany Targalskiej, która opowiedziała o tragedii dzieci żydowskich. W dniu, w którym po dzieci przyjechały samochody, wygoniono je z baraku i poprowadzono do samochodów. Wystraszona dzieci rozbiegły się. Znajdująca się wśród

eskortujących Hermine Braunsteiner osobiście zastrzeliła chłopca, który próbował schronić się w baraku.

Jak relacjonował Stanisław Kania, Mundorf zaprotestował przeciw włączeniu tego zeznania do akt procesu, ponieważ dotyczy ono zdarzenia nieobjętego aktem oskarżenia. Prokurator, występując przeciw wnioskowi obrońcy, stwierdził, że w chwili sporządzania aktu oskarżenia ta zbrodnia nie była jeszcze znana, a ponadto zeznania świadka wnoszą nowe elementy do charakterystyki oskarżonej Braunsteiner. Sąd przychylił się do zdania oskarżyciela.

Adwokat z kolei powołał się na umowę o obrocie prawnym między USA a RFN, zgodnie z którą oskarżona może być sądzona jedynie za te przestępstwa, które wymienione zostały w akcie oskarżenia. Kiedy mimo to sąd nie uwzględnił wniosku o niebranie pod uwagę zeznań świadka, Mundorf postawił kolejny wniosek o wykluczenie kompletu sądującego z rozprawy. Spowodowało to, jak zwykle, przerwę w procesie[525].

Postępowanie opóźniały też inne przyczyny, jak odwołanie prokuratora, śmierć jednego z adwokatów, ucieczka w setnym dniu rozprawy oskarżonej Lächert, choroby oskarżonych i sędziów. Do kuriozalnej sytuacji doszło dwudziestego czwartego dnia rozprawy, gdy przerwano ją o godzinie 12.15, ponieważ była aufzejerka Süss miała... wcześniejszy pociąg do domu.

A oskarżone? Czują się swobodnie, nie bały się, nie były przygnębione. Przeciwnie, śmiało i głośno wyrażały swoje opinie. Celowała w nich zwłaszcza ponad siedemdziesięcioletnia Alice Orłowski, która nawoływała: „I po co to wszystko? Żydzi dostali od nas sto milionów odszkodowania. A teraz chcą więcej. I dlatego właśnie tu jesteśmy. [...] To nie proces. To farsa... A ja znalazłam się tu przez brudne łgarstwa”[526].

Chociaż od początku procesu prokuratura i prasa podkreślały zwyczajność i przeciętność oskarżonych, wkrótce obraz sprawców opanował medialną dyskusję, w której na pierwszy plan wysuwano właśnie to, co niezwykłe i odbiegające od normy. Także tu

demonizowanie i patologia bardziej odnosiły się do kobiet, inaczej niż w relacjach telewizyjnych, które generalnie w większym stopniu koncentrowały się na ocalałych[527].

Dla niemieckiego społeczeństwa trudne było dostrzeżenie w robiącej na drutach i rozwiązującej krzyżówki gospodyni domowej i żonie w podeszłym wieku przeciętnej młodej kobiety, która wykonywała swoją „pracę” jako nadzorczyńi i która, być może, z upływem czasu znajdowała nawet w tym upodobanie. Całkiem zwyczajne kobiety jako sprawczynie nie pasują do zachodniemieckiego „samorozumienia”[528].

Adwokaci zachodniemieccy mieli czelność zakwestionować złożone przez Iwonę Stembrowicz z Warszawy zeznania jako tendencyjne tylko dlatego, że rzekomo była ona Żydówką. Nie dość na tym. Sąd, tak skrupulatnie przestrzegający zasad prawa w odniesieniu do byłych esesmanów, uznał za dopuszczalne uwzględnienie wniosku adwokatów i świadek została zmuszona do ponownego stawania przed sądem, aby wytłumaczyć się publicznie, że jej przodkowie od któregoś pokolenia byli katolikami[529].

Świadców irytowały nie tylko pytania obrony, także kontrolne pytania sądu stanowiły dla nich duże obciążenie. Przed sądem w Düsseldorfie złożyło zeznania ponad czterystu świadków. Około stu spośród nich mówiło o „akcji dziecięcej” w czerwcu 1943 roku. Ich zeznania niekiedy różniły się dość znacznie. Przyczyną tego było prawdopodobnie to, że wiele przypadków mordowania dzieci objęto jednym mianem tej akcji.

Ponieważ trzeba było udowodnić udział w przestępstwie każdego obwinionego, dokładnie skonkretyzować miejsce i czas przestępstwa oraz jego okoliczności, sędziowie i prokuratorzy pytali o szczegóły. Sąd chciał wiedzieć, o którą selekcję przy tym chodziło, jakiego koloru były włosy nadzorczyńi biorącej udział w selekcji, czy kabura jej pistoletu była otwarta, czy zamknięta i kto co uczynił w decydującym momencie. To wszystko przy możliwie dokładnym określeniu pory dnia i oświetlenia[530].

Według niemieckiego prawa karnego domniemane przestępstwo musi zostać jednoznacznie zakwalifikowane jako morderstwo, to znaczy należy dostarczyć sądowi dowody na władztwo czynu przestępnego i sprawstwo indywidualne. Nie wystarczyło wobec tego dokładnie przypomnieć sobie zbrodnię. Aby wykluczyć pomyłkę przy identyfikacji sprawców, świadkowie musieli dokładnie rozpoznać swoich dręczycieli i możliwie precyzyjnie przypomnieć sobie ich wygląd, funkcję w obozie, stopień oraz imię i nazwisko[531].

Protokołowane w dochodzeniach zeznania świadków musiały być dosłownie powtórzone przed sądem, by mogły mieć znaczenie jako dowody. Różnica między zeznaniem złożonym przed sądem a zeznaniem z dochodzenia wstępnego lub śledztwa unieważniała całą jego treść. Nie miało znaczenia, że więźniowie zatracili w obozie poczucie czasu i miejsca. Jak więc mogli sobie przypomnieć każdy szczegół po trzydziestu pięciu latach?

Danuta Brzosko-Mędryk rozpoczęła tę część przesłuchania świadka, która była dla niej tak trudna do zrozumienia jak dla Heli Rosenbaum i wszystkich innych osadzonych: fakt, że opisała selekcje, nie wystarczył sądowi do skazania oskarżonej.

„Wymaga się od nas, abyśmy wszystko widzieli i słyszeli” – skarżył się kiedyś świadek Adalbertowi Rückerlowi, szefowi Centralnego Urzędu Badania Zbrodni Narodowosocjalistycznych w Ludwigsburgu: „Byliśmy tam prawie sparaliżowani strachem i terrorem, a nasze zmysły prawie niczego nie notowały. Proszono nas o podanie godziny i dnia, ale w obozie nie mieliśmy ani zegara, ani kalendarza. Często nawet nie wiedzieliśmy, czy to niedziela, czy święto. Jesteśmy proszeni o opisanie wyglądu naszych oprawców. Ale dla nas wszyscy wyglądali tak samo w swoich mundurach”[532].

Byli więźniowie, występujący w charakterze świadków, przeżywali swój udział w procesie szczególnie intensywnie. Byli nielicznymi, którzy ocaleli, więc mieli świadomość obowiązku mówienia również w imieniu tych, którym odebrano życie. Obóz był dla nich koszmarem, od którego

musieli starać się uwolnić, aby móc rozpocząć normalne życie. Ich zgoda na udział w procesie oznaczała ponowne przeżywanie Majdanka.

Wielu z nich uświadamiało sobie, że język ludzki jest zbyt ubogi, żeby przekazać całą prawdę o obozie koncentracyjnym, prawdę o rozmiarach dehumanizacji. Słowa zagazowanie, rozstrzelanie, flegmona, tortury, rzucanie żywych dzieci w ogień są przecież nader niedokładnym opisem zjawisk. Byli świadkami uśmiercania całej społeczności więziarskiej i jednocześnie pamiętają, jak unicestwiano ludzi z ich najbliższego otoczenia[533].

Nie zawsze pojmowali, dlaczego ich się pyta, czy stali z lewej, czy prawej strony, w jakiej odległości, jaka była wtedy pogoda, czy zdarzenie miało miejsce w piątek, czy inny dzień tygodnia, jakie naszywki na mundurze nosił sprawca, jak było mu na imię, Hans czy Heinz. Jeden ze świadków indagowany o nazwiska oprawców popatrzył z politowaniem na obrońcę i powiedział: „Przecież oni się nam nie przedstawiali”[534].

Na absurd zakrawało, że po kilku dekadach od opuszczenia obozu sąd chciał wiedzieć, czy na szubienicy był hak, czy obręcz, czy więźniowie do pracy wychodzili na lewo, czy na prawo... Niemiecki sąd był cierpliwy, ale i dokładny. W końcu Niemcy z tego słyną. *Langsam, langsam, aber sicher...* Drażyli wszyscy, obrońcy, prokuratorzy, sąd...

Czy widziała pani powieszenie więźnia? Jak była ubrana ta kobieta? Jakie miała włosy? Miała buty na nogach? Ale czy można pamiętać szczegóły ubioru lub fryzurę jednej z tysięcy, osobiście nieznannej ofiary? Obrońcy, wygi sztuki procesowej, wyłapują każdą nieścisłość, nieprecyzyjny zwrot lub – co gorsza – sprzeczność. Wszystko, co może osłabić wymowę wypowiedzi. Przedłużyć postępowanie, podać w wątpliwość wiarygodność świadka[535].

Oto inne pytania, jakie zapamiętała jedna z zeznających kobiet:

„ – Jakiej długości suknie nosiły aufzejerki? Które z nich miały grube, a które cienkie nogi. Pani podała, że widziała je także w półbutach, a to jest nieprawda, bo nosiły tylko buty wysokie.

– Nie, panie mecenasie, widywałam je nawet w rannych pantoflach, byłam przecież w Reinigungskommando.

– W czasie przesłuchania w maju tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku powiedziała pani, że pies pani Braunsteiner był owczarkiem alzackim, a teraz mówi pani, że to był wilk.

– Czy to jest różnica? Ja tej różnicy nie widzę, po prostu nie znam się na tych subtelnościach.

– Oczywiście, jest to duża różnica – komentuje adwokat.

– Panie mecenasie, mogę panu pokazać takiego psa na fotografii, rysunku lub na ulicy. Nie powiedziałam, że jest to ratlerek czy buldog, tylko mówiłam, że jest to wilk. Wolf.

Adwokat Bock zadaje następne pytanie:

– Pani Mędryk, czy moja klientka popełniła jakiś czyn kryminalny, o którym pani nie napisała w swojej książce?

– Panie mecenasie, ja jestem lekarzem dentystą i gdyby pan zapytał mnie, czy zapalenie miazgi może doprowadzić do zejścia śmiertelnego, to odpowiedziałabym panu. Nie jestem jednak prawnikiem i nie mogę panu odpowiedzieć, ale chciałabym wiedzieć, kto karnie odpowiada za to, że trzy lata mojej młodości spędziłam w obozie koncentracyjnym, że nawet egzamin maturalny uznało gestapo za przestępstwo.

Bock domagał się jednak odpowiedzi, na co sędzia reagował niezmiennie: «Właśnie ją pan usłyszał». Kilkanaście minut trwała między nimi ta polemika. W końcu sędzia kazał zmienić pytanie.

Adwokat przestawił więc tylko szyk zdań, ale sensu pytania nie zmienił. Wreszcie prokurator przerwał ten dialog”[\[536\]](#).

Niektóre wybiegi stosowane przez obronę przekraczały granice kultury prawa. Podczas przesłuchania na temat wykorzystania cyklonu B doszło do skandalu. Henryka Ostrowska, wywieziona na Majdanek z Warszawy, zaraz po przybyciu usłyszała ostrzeżenie przed dwiema strażniczkami – Hermine Braunsteiner i Hildegardą Lächert. Opisała przebieg selekcji

kobiet i dzieci z warszawskiego getta, przeprowadzanej pod kierownictwem doktora Blanckiego. Na widok swych dawnych prześladowczyń świadek ze zdenerwowania nie mogła wydobyć z siebie głosu i w rozprawie zarządzono przerwę, w czasie której otrzymała środki uspokajające[537].

Jak wspomina Szymon Wiesenthal, kontynuując zeznania, Henryka Ostrowska powiedziała, że ze względu na znajomość języka niemieckiego skierowana została do pracy w magazynie. Znajdowały się tam, obok koców, pościeli, skrzyń i worków z ludzkimi włosami, również puszki z cyklonem B, oznaczone trupią główką, używane do zagazowywania. W latach 1942–1944 sprowadzono tam siedem tysięcy siedemset jednaście kilogramów cyklonu B i, jak wynika z odnalezionych dokumentów, nieustannie ponaglano o zwiększenie dostaw. Trzydzieści pięć firm trudniło się dostarczaniem tych śmiertelnych kryształków oraz budowaniem obozowych krematoriów.

Z komór gazowych, zakamuflowanych jako łaźnie, przybywali często tak zwani gońcy, którym na polecenie swego szefa Henryka Ostrowska przekazywać musiała puszki z cyklonem. Czasem na rozkaz przełożonych musiała sama je dźwigać do „łazni”, gdzie kwitowano ich odbiór. W tym momencie zeznania świadka przerwał obrońca Hans Mundorf. Zażądał pouczenia świadka, że składając podobne zeznania, obciąża sama siebie, a wkrótce potem adwokat doktor Bock wystąpił z wnioskiem o aresztowanie pani Ostrowskiej i uniemożliwienie jej powrotu do Warszawy jako podejrzanego o współudział w morderstwach, ponieważ wydawała puszki z cyklonem dla komór gazowych[538].

Na te słowa Ostrowska dostała drugiego ataku hysterii, po którym nie była już w stanie dalej uczestniczyć w rozprawie i zeznawać przeciwko Hermine. Nie był to bynajmniej pierwszy przebłysk prawniczego geniuszu Hansa Mundorfa. Kilka lat wcześniej wraz ze swoim kolegą Ludwigiem Bockem bronił Mannheima Pała, zbrodniarza hitlerowskiego, oskarżonego o dokonanie masowych morderstw w Polsce.

Większość świadków znajdowała się w Izraelu i tam miała być przesłuchana. Po przybyciu do Jerozolimy niemieccy prawnicy zażądali wyłączenia z procesu izraelskiego sędziego Richtera, motywując swój wniosek tym, że jako Żyd musi być z założenia stronniczy. O skali tupetu Mundorfa pisała wtedy prasa wielu krajów, czyniąc jego nazwisko popularnym w środowiskach byłych nazistów, co tylko pomogło mu w pozyskiwaniu kolejnych tego rodzaju spraw[539].

Czego nie zrobił Mundorf, zrobił Bock. obrońca „Krwawej Brygidy” nie miał żadnych skrupułów i postawił wniosek, aby Henrykę Ostrowską, tam na sali rozpraw, gdzie sądzono oprawców z Majdanka, aresztowano. Wniosek ten złożył po jej zeznaniach o pracy w magazynie. W efekcie „Deutsche National Zeitung” pochwaliła Bocka za „konsekwentne i mądre zaangażowanie w dążenie do ustalania prawdy”[540].

Bilans tego procesu to inne nieprawdopodobne skandale. Taktykę gry na zwłokę, jak też kompromitowania sądu i samej idei ścigania zbrodniarzy nazistowskich zastosowano już w pierwszym dniu rozprawy. obrońca Arnolda Strippela, Fritz Steinecker, zgłosił wniosek o oddalenie rzeczoznawcy, historyka Wolfganga Schefflera ze względu na jego stronniczość, ponieważ w swej książce o prześladowaniu Żydów w III Rzeszy opisał... „brutalność SS”, a doktorat zrobił u pewnego żydowskiego profesora z Berlina, co wykluczało jego bezstronność.

Scheffler był biegłym w zakresie historii współczesnej, dyplomowanym politologiem i historykiem z Berlina, który brał już udział w licznych procesach obozowych i z powodu udokumentowanej precyzji swych wypowiedzi był postrachem oskarżonych i ich obrońców. W związku z tym Scheffler w charakterze quasi-oskarżonego musiał zapewnić, że jest pochodzenia aryjskiego i nie ma „żydowskiej babki”. Musiał również bronić się przed zarzutem utrzymywania „ściśłych związków z kręgiem prześladowanych” i przed tym, że jest „zatruty” ideologią żydowską[541].

Taktyka obrońców była łatwa do rozszyfrowania: im dłużej będzie trwała rozprawa, tym bardziej odległe lub prawie niemożliwe stanie się wymierzenie oskarżonym sprawiedliwości. Czas działał na ich korzyść, choć trudno nie uznać, że ten proces, a szczególnie składanie w jego toku zeznań przez polskich świadków, miało swoje znaczenie dla uzmysłowienia Niemcom i światu, że Majdanek, jako obóz zagłady zorganizowany przez Niemców, był rzeczywistością, a nie, jak tego chcieli niektórzy, koszmarnym wytworem polskiej propagandy[542].

Kiedy w drugim dniu procesu, w listopadzie 1975 roku, Ludwig Bock prorokował, że opinia publiczna nie będzie się procesem interesować i „za dwa tygodnie zostaniemy tylko we własnym gronie”, wszystko wskazywało na to, że się nie myli. Na łamach „Die Zeit” ukazał się artykuł pod znamienym tytułem *Żaden z nas nie będzie siedział*, którego autorem był Dietrich Strothmann. I trzeba przyznać, że była to dość obiektywna relacja z procesu, a tytuł był cytatem okrzyku radości „Krwawej Brygidy” na słowa jej adwokata, który stwierdził, że po zakończeniu procesu oskarżeni będą za starzy na odbycie kary lub jej nie dożyją.

W tym kontekście prokurator Ambach powiedział, że dla uwięzionych na Majdanku Żydów była tylko jedna szansa przeżycia, a mianowicie gdyby nie zostali uznani za Żydów albo wywiezieni do innych obozów. O ile nawet w Auschwitz Żydzi mieli szansę na przeżycie, o tyle na Majdanku nie było szans. Prokuratorowi wydawało się, że oblicze oskarżonej Ryan ani drgnęło: „Zawsze zwracałem uwagę na jej pogardliwy, nienawistny wyraz twarzy – wspominał Ambach – którym prawdopodobnie zastraszała niektórych świadków podczas rozprawy głównej”[543].

Słyszalny wyraz tej postawie dała 8 grudnia 1977 roku, kiedy wychodząc z sali rozpraw, syknęła na świadka Danutę Brzosko-Mędryk, która była niemal jej równolatką. Zeznania kobiety doprowadziły oskarżoną do takiego zdenerwowania, że w czasie jednej z przerw obiadowych napadła na nią z krzykiem.

„To było w czasie grudniowego przesłuchania [1977 roku – dop. J. M.]. W przerwie obiadowej stałam na korytarzu sądowym razem z panią Beckert, Niemką z Czerwonego Krzyża, koleżanką Skibińską z Gdańska i panem prokuratorem Domańskim. W pewnej chwili dochodzi do nas Braunsteiner i coś do mnie mówi. Gwar na korytarzu nie pozwolił zrozumieć ani słowa, a towarzyszące mi osoby nawet nie zauważyły, że ona podeszła do nas, bo z sali sądowej wychodzili ludzie.

– Co ona ode mnie chciała – zapytałam stojących obok mnie i w tym momencie spojrzałam na siedzącą na ławce jej opiekunkę, ową «siostrę spod znaku swastyki», która zorientowała się, że nie doszły do mnie słowa Braunsteiner, zerwała się z ławki i gdzieś wybiegła. Po paru minutach, wychodząc do miasta, w drzwiach wahadłowych zauważyłam Braunsteiner z mężem i opiekunką. I nagle Braunsteiner krzyczy do mnie «Du...». Krzyk ten rozległ się po całym sądowym korytarzu. Zrobiła się nagle cisza, w której zdawało się, że słyszę przyspieszone bicie mego serca. Krzyk ten, który tak dobrze pamiętałam z Majdanka, choć o parę tonów niższy, był taki, iż pani Beckert obawiając się, że Braunsteiner uderzy, pchnęła mnie do przodu.

– Teraz wiem, jaka ona mogła być straszna – powiedziała pani Beckert”[\[544\]](#).

Po przerwie okazało się, iż sąd jest poinformowany o incydencie. Prokurator Weber zgłosił wniosek o przesłuchanie osób, które były świadkami zajścia.

Kiedy Gertę Beckert, która z ramienia Niemieckiego Czerwonego Krzyża towarzyszyła Polce, zapytano, jakim tonem wypowiadała swe „uwagi” Aufseherin Braunsteiner, powtórzyła: „To był wrzask, który uświadomił mi w całej pełni, jak straszliwą dozorczynią w obozie na Majdanku musiała być Aufseherin Braunsteiner, jeżeli teraz, po trzydziestu czterech latach, pozwoliła sobie na tak brutalną napaść na polskiego świadka”[\[545\]](#).

Przez kilka sekund oskarżona i ofiara stały naprzeciw siebie. I niczym jeden z bolesnych ciosów biczem z Majdanka, Polka została uderzona

syczącą groźbą byłej strażniczki: „Mów prawdę! Ty!”^[546]. Przez kilka sekund pani Danuta czuła się ponownie przemieniona w numer 4550, młodą dziewczynę w niezgrabnym stroju więźnia z czerwonym trójkątem i literą „P” na piersi. Forma zwrotu, ton głosu i mimika tak bardzo przeraziły Polkę, że długo nie mogła się uspokoić.

„Zarówno prokuratorzy, jak i sędzia przeprosili mnie za to zajście – przyznawała Danuta Brzosko-Mędryk – ten dzień obfitował w wiele niespodzianek. W czasie kolejnej przerwy przyszły do mnie oskarżone Mayer i Reichel, aby wyrazić współczucie, że muszę wracać wspomnieniami do tamtych czasów (!) i że «tej wariatce Braunsteiner wydaje się, że jest w obozie»... Jedna z tych oskarżonych wspomniała coś o kwiatach dla mnie, ale zaraz się wycofała po chłodnej replice pani Beckert”^[547].

Mecenas Mundorf próbował sprawę rozegrać w jedyny w jego sytuacji możliwy sposób. Sprytny prawnik wyraził ubolewanie, że w ogóle doszło do incydentu, który – jego zdaniem – świadczy o stanie znacznego wyczerpania nerwowego i zmęczenia psychicznego jego mandatki, która... winna skorzystać z urlopu (sic!)^[548]. Po naradzie sądu i na mocy jego decyzji „Kobyła” została aresztowana na sądowej sali i odwieziona pod strażą karetką do więzienia, w którym miała przebywać dwa tygodnie^[549]. Podobno incydent ten i jego epilog wyraźnie „uspokoił” całą ławę oskarżonych.

Rozdział X

„WĄCHAŁEM PIECZEŃ Z MIĘSA LUDZKIEGO”

Z czasem aroganckie zachowanie obrońców zbrodniarzy wywołało w opinii publicznej efekt przeciwny od przez nich zamierzonego. Coraz więcej ludzi dystansowało się od ich poglądów i praktyk oraz wyrażało swój sprzeciw, zwłaszcza że wśród oskarżonych nie było nikogo, kto by się przyznał do zarzucanych mu czynów i okazał skruchę. Negowali zarówno zbrodnie popełnione na Majdanku, jak i swój udział w nich.

Przed sądem wszyscy oskarżeni zaprzeczali, jakoby znęcali się nad więźniami. Strażniczki przyznały się tylko do lekkich uderzeń, i to jedynie w sytuacjach, gdy dochodziło do naruszania regulaminu obozowego. Były aufzejerki zeznawały również, że były osadzone wyłącznie z powodu ich lenistwa w pracy bądź kłótni o jedzenie. Sugerowały, iż więźniarki same były sobie winne, a one wykonywały jedynie swoją zawodową powinność^[550].

„Nie mam nic na sumieniu. Wykonywałem tylko swoje obowiązki... SS-Hauptsturmführer” – przekonywał na przykład Franz Stangl, były komendant obozu zagłady w Treblince, który miał na rękach krew ośmiuset tysięcy Żydów. Niektórzy oskarżeni ewidentnie wierzyli w to, w co chcieli uwierzyć. W pewnym sensie można nawet przypisać im pewną szczerłość. Uważali, że mieli dokładnie określone funkcje i tylko

te funkcje wykonywali. Pozostałe rzeczy wymazali ze swojej pamięci[551].

Byłe aufzejerki nie przyznały się również do szczucia kobiet psami, twierdziły, że zwierzęta były łagodne i przyjacielsko nastawione do ludzi. Podczas składania zeznań oskarżone nie wykazywały jakiegokolwiek poczucia winy. O służbie w obozie opowiadały jak o całkiem normalnym miejscu pracy i zamieszkania. Na pytanie, dlaczego brały udział w selekcjach do komór gazowych, odpowiadały jednogłośnie: „Gdyż obowiązek służbowy nam nakazywał”[552].

Działaniem na rozkaz tłumaczył się również Rudolf Höss, choć był on wyjątkiem w tym sensie, że równocześnie całą odpowiedzialność za wszystkie zbrodnie w Auschwitz wziął na siebie. W trakcie procesu w zasadzie się nie bronił, twierdził, że wykonywał rozkazy, ale nie wypierał się winy. Usprawiedliwiając swoje czyny bezwzględną koniecznością wykonywania rozkazów, równocześnie nie uważał, że fakt ten zwalnia go z odpowiedzialności za te czyny. Rozumiał, że musi ponieść karę, i uważał to za sprawiedliwe[553].

„Ja sam – powtarzał – ja osobiście ani nie kradłem, ani nie maltretowałem więźniów, ani nie zabijałem. Wszystko to, co tam się czyniło, robiłem na rozkaz moich przełożonych. Nie dopuściłem się żadnych czynów, wynikających z własnej złej woli. Jednakże, składając to oświadczenie, bynajmniej nie mam zamiaru wykręcać się od odpowiedzialności”[554].

Komendant KL Auschwitz nie czuł osobistej winy, uważał się za ofiarę systemu, któremu – jak sam przyznał – fanatycznie wierzył, a przez który został zdradzony. W podobnym tonie wypowiadała się Hertha Bothe, osławiona strażniczka z obozu w Bergen-Belsen, odpowiadając ponad pięćdziesiąt lat po wojnie na pytanie, czy uważa, że popełniła „błąd”, wyjaśniała: „Czy popełniłam błąd? Ależ skąd! Błędem było istnienie obozów koncentracyjnych. Jeśli o mnie chodzi, musiałam tam pracować, w przeciwnym razie sama bym się tam dostała jako więźniarka. Na tym polega mój błąd”[555].

To oszukiwanie samych siebie przez strażniczki przetrwało dziesięciolecia. Nawet po klęsce III Rzeszy niektóre kobiety z SS nadal były tak samo parszywe jak przedtem. Alice Orłowski, skazana w Polsce za swe zbrodnie w Auschwitz-Birkenau, otrzymała później w Niemczech wyrok dziewięciu miesięcy więzienia za to, że krzyknęła do barmana w kolońskim pubie: „Podanie piwa zabiera ci dwa razy więcej czasu, niż zajęło zabicie wszystkich Żydów!”[\[556\]](#).

Kuriozalne były lamenty „Krwawej Brygidy”, która narzekała na przykład, że siedzi już ponad szesnaście lat, chociaż w obozie była tylko rok i dwa i pół miesiąca...

Podobnie Hermine Braunsteiner nigdy nie przyznała się do żadnej z zarzucanych jej zbrodni. Twierdziła, iż przez większość czasu, jaki spędziła na terenie obozu, była chora, co zupełnie uniemożliwiało jej pracę. Obciążające zeznania świadków i opowiadane przez nich makabryczne historie zdawały się nie robić na „Kobyle” większego wrażenia. Ta „KZ-Frau” nie mogła sobie za nic przypomnieć, że nawet w komorze gazowej była ofiarą pejczem...

Czy ktoś uwierzy, że obozowi siepacze, oskarżeni choćby tylko o współudział w wymordowaniu w jednym zaledwie dniu ponad osiemnastu tysięcy więźniów, w całym okresie śledztwa i podczas rozprawy sądowej odpowiadali z wolnej stopy? Zamiast w pojedynczych, ciemnych celach więziennych niektóre z tych szanownych gospodyń domowych czy poważnych przedstawicieli handlowych dostali na koszt Bundesrepublikii umeblowane pokoje w pobliżu sądu[\[557\]](#).

Znamienne, że podczas zeznań świadków, mówiących o morderstwach i męczeństwie w obozie, spokojnie czy może raczej bez zainteresowania większość oskarżonych z byłego kierownictwa obozu zagłady Majdanek śledziła częste załamania świadków pod wpływem ciężaru wspomnień. Kiedy po trzyletnim procesie Maria Kaufmann-Krasowski musiała przejść przed pierwszym rzędem, by zidentyfikować oskarżonych, jej emocje były widoczne przede wszystkim w drżącym głosie. Gdy

usłyszała bezczelny śmiech oskarżonych, zaczęła się wtedy trząść, w nagłym skurczu rozkładać palce i ponownie zaciskać je w bezradnie bolesną pięść[558].

„Podczas głównej rozprawy oskarżeni zajmują się sobą – konstatował Wolfgang Weber, prokurator w procesie – robiąc wrażenie, jakby to, co mówią świadkowie, i to, co się dzieje, w ogóle ich nie dotyczyło. Bawią się przyborami do pisania, gapią się przed siebie, pod ławkami mają gazety i jeśli przewodniczący tego nie widzi, rzucają na nie okiem”[559].

Adwokaci we wszystkich procesach starali się wyodrębnić indywidualne winy oskarżonych i pokazać ich faktyczny zakres kompetencji, który według nich automatycznie zawęził ich odpowiedzialność, a tym samym jego uwzględnienie powinno wpływać na złagodzenie kary. obrońcy próbowali przedstawić działalność oskarżonych w kontekście okoliczności łagodzących, jak choćby fakt, że nie znaleźli się tam z własnej woli, lecz jako żołnierze otrzymali rozkaz, który musieli wykonać[560].

Stosowana przez oskarżonych strategia zaprzeczania, która dziś wydaje się absurdalna, wtedy uważana była za najodpowiedniejszą, ponieważ jeszcze nie był znany pełny bilans terroru stosowanego w obozach koncentracyjnych. obrońcy porównali gazowanie małych dzieci na Majdanku do współczesnych... aborcji. Adwokat z łatwością mógł sobie wyobrazić, że on, podobnie jak jego klientka, wybrał ponad tysiąc bezbronnych Żydów do natychmiastowego rozstrzelania. Według prawnika odmowa i tak nie miała sensu: „Żydzi i tak zostaliby zabici”[561].

Adwokaci podkreślali przemożny wpływ nazistowskiej propagandy oraz faktu, że od dziecka uczono ich klientów zasad pełnego posłuszeństwa wodzowi oraz ojczyźnie, dlatego strażniczki służbę w obozie traktowały jako obowiązek najwyższego rzędu. Próbowaly przekonać opinię publiczną, że ich czyny nie wynikały z osobistych pobudek i nienawiści do więźniarek, ale z konieczności wywiązania się z umowy z Waffen SS[562].

W procesach oceniano więc trzy aspekty działania na rozkaz. Po pierwsze, czy wykonujący go zdawał sobie sprawę ze zbrodniczego charakteru tego rozkazu lub skutków jego wykonania, po drugie, czy miał realną możliwość odmówienia wykonania rozkazu, czyli jakie sankcje za to groziły, i po trzecie, badano, czy dowódca dysponował realnym władztwem nad podległymi mu formacjami, a w przypadku jego braku istniała możliwość zwolnienia go z odpowiedzialności karnej. Aspekty te mogły stanowić ewentualne okoliczności łagodzące, natomiast nie zwalniały od odpowiedzialności zgodnie z art. 8 Statutu MTW[563].

Obrona Braunsteiner-Ryan wielokrotnie podkreślała, że ich klientka nie powinna stanąć przed tym sądem z dwóch powodów: po pierwsze, dlatego, że urodziła się w Austrii i od czasu cofnięcia jej obywatelstwa amerykańskiego jest bezpaństwowcem. Z drugiej strony, ponieważ została oskarżona i uniewinniona w Wiedniu w 1949 roku za zbrodnie na Majdanku. Nie powinno się sądzić kogoś dwa razy za to samo przestępstwo.

Prokuratura ripostowała, wskazując, że oskarżeni nabyli obywatelstwo niemieckie w wyniku przyłączenia Austrii do Rzeszy Niemieckiej w 1938 roku. Ta niemiecka jurysdykcja dotyczy jej choćby z tego powodu, ale także dlatego, że „popelniła zarzucane tutaj przestępstwa jako cywilny pracownik Waffen-SS i jako członek SS Totenkopfverbände. Odkąd dekret Hitlera z 17 sierpnia 1938 roku przydzielił SS Totenkopfverbände specjalne zadania policyjne, była ona odpowiedzialna za niemiecki urząd państwowy, za pilnowanie więźniów w obozie koncentracyjnym”[564].

Sędziowie zgodzili się z tym rozumowaniem i uznali również, że Braunsteiner w Wiedniu została uniewinniona od zarzutu złego traktowania i tortur, ale sprawy morderstw, które miały zostać rozstrzygnięte, nie były wówczas przedmiotem rozprawy. „Nie mogłam pozwolić sobie na osądzenie – tłumaczyła się – czy więźniowie zostali uwięzieni słusznie, czy nie, ponieważ nie znałam ich akt”. Może dostrzegłaby, że działa się tu niesprawiedliwość, ale była na to za młoda:

„Gdybym miała wtedy doświadczenie życiowe – ale miałam tylko dziewiętnaście, dwadzieścia lat”[\[565\]](#).

Od pierwszego dnia rozprawy większość obrońców dążyła konsekwentnie do skompromitowania samej idei ścigania zbrodni III Rzeszy, nie tylko podważania wiarygodności dowodów winy oskarżonych, ale również dyskredytowania i poniżania godności osobistej świadków oskarżenia oraz przewlekania procesu możliwie aż do momentu przedawnienia zbrodni morderstwa, które miało nastąpić w 1979 roku. Nie obyło się także bez prób wybielania czy nawet rehabilitacji faszyzmu niemieckiego. Wszystko to wybiegało daleko poza zakres obowiązków i uprawnień obrońców[\[566\]](#).

Biorąc pod uwagę informacje o traktowaniu świadków przez adwokatów, dla zmniejszenia ich poczucia osamotnienia i złagodzenia stresów związanych z udziałem w procesie, kierownictwo Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce po porozumieniu się z władzami wymiaru sprawiedliwości RFN wysyłało świadków na proces do RFN wraz z towarzyszącym im przedstawicielem Głównej Komisji. Byli to z reguły pracownicy Głównej i Okręgowych Komisji, którzy swoją obecnością łagodzą trudy świadków związane z podróżą i pobytem za granicą[\[567\]](#).

U boku oskarżonych siedziała ogromna rzesza adwokatów; wszyscy skorzystali z prawa do adwokata zaufania, który występował jako obrońca z urzędu na koszt państwa. Ponieważ większość adwokatów nie pochodziła z okolicy Düsseldorfu, każdemu z oskarżonych przydzielono jeszcze jednego obrońcę z urzędu z tego miasta. Miało to zagwarantować sprawny przebieg procesu. Tym samym każdy oskarżony dysponował co najmniej dwoma reprezentantami; w dniu rozpoczęcia procesu przybyło więc dwudziestu dziewięciu obrońców na piętnastu oskarżonych (w sierpniu 1976 roku na czternastu oskarżonych, gdyż jedna osoba zmarła, przypadało trzydziestu trzech obrońców)[\[568\]](#).

To był pierwszy proces, w którym większość obrońców zbrodniarzy używała bez jakiegokolwiek wstydu argumentów nazistowskich,

rasistowskich i antysemickich[569]. Do wniosków „zalatujących rasizmem i antysemityzmem” (określenie sprawozdawcy sądowego Radia Zachodnioniemieckiego Heinera Lichtensteina) należało odrzucone przez sąd żądanie powołania biegłego, który miałby ustalić, czy spalone mięso zwierzęce cuchnie tak samo jak mięso ludzkie, spalane w krematoriach obozowych, ponieważ świadek Siegfried Heine, jeden ze strażników obozowych na Majdanku, zeznał: „Wąchałem pieczeń z mięsa ludzkiego”[570].

Hans Mundorf, były członek NSDAP, wielka gwiazda zachodnioniemieckiej palestry, nie stosował tak prymitywnych chwytów jak Ludwig Bock, ale i on potrafił zaszokować. To on miał czelność złożyć następujący wniosek: „Sąd winien zlecić lekarzowi i weterynarzowi sporządzenie ekspertyzy na temat zapachów. Tylko w ten sposób bowiem można będzie wyjaśnić, czy w obozie koncentracyjnym na Majdanku paleni byli rzeczywiście ludzie, a nie zwierzęta”[571].

Do tego doszła jeszcze trudność oddzielenia po trzydziestu pięciu latach tego, co przeżyli, od tego, co usłyszeli. Wiele zeznań świadków było tak drastycznie sprzecznych, że jako materiał dowodowy stały się dla sądu bezużyteczne. Te luki starali się wykorzystywać szczególnie adwokaci zaufania oskarżonych. Ci, przeważnie doświadczeni obrońcy zbrodniarzy nazistowskich, starszego rocznika i określonej opcji politycznej, usiłowali zuchwałymi pytaniami wyprowadzić świadków z równowagi[572].

W styczniu 1980 roku, już pierwszego dnia obciążających zeznań Heleny Kurcysz, architektki ze Szczecina, Hermine Braunsteiner doprowadziła ją do załamania nerwowego na stanowisku świadka. U tej byłej więźniarki obozu na Majdanku w latach 1943–1944 szok nerwowy wywołał bezczelny, szyderczy „uśmieszek” kobiety, kiedy zidentyfikowała ją jako „Kobyłę”.

Drugiego dnia Hildegarda Lächert symulowała z kolei chorobę. Sędzia, w porozumieniu z lekarzem, uchylając tymczasowo areszt,

odesłał ją do szpitala. Rozprawę po raz kolejny odroczone. Szpital nie potwierdził diagnozy lekarza i uznał ją za zdolną do udziału w przewodzie. Na wznowienie rozprawy było już jednak za późno. Byłą esesmankę skierowano do szpitala więziennego w Bochum na dalsze badania. Jeszcze raz przejrzysta taktyka obrony osiągnęła zamierzony rezultat[573].

Niedługo potem Chaja Barmann po raz pierwszy od zakończenia wojny udała się z Tel Awiwu do Niemiec. Esesmani zastrzelili na jej oczach sześciolatniego brata. Jej rodzice, wujek, ciocia i dwóch kuzynów zginęli na Majdanku. Dla niej wyjazd był też „trudnym doznaniem”, bo nadal uważała, że każdy Niemiec powyżej sześćdziesiątki to esesman, a każdy komin automatycznie przypominał jej obozowe krematorium[574]. „Kiedy wypowiadam słowo «krematorium» – zwierzała się Danuta Brzosko-Mędryk – z trudem powstrzymuję mimowolny odruch, by sięgnąć po chusteczkę i przyłożyć ją do nosa, bo smród spalonych ciał sięga nawet tutaj”[575].

To, co działo się w Düsseldorfie, czyli powódź szokujących wniosków, mających na celu przewlekanie rozprawy, prześciganie się w żądaniach protokołowania obraźliwych jakoby wypowiedzi, manifestacyjne opuszczanie sali obrad przez obrońców i wzajemne przekrzykiwanie się przy użyciu mikrofonów zainstalowanych przy stołach, wielogodzinne dręczenie świadków w czasie przesłuchań Ernst Müller-Meiningen jr., sprawozdawca sądowy „Süddeutsche Zeitung”, nazwał „upiornym powrotem do dawnej sytuacji ciemieżców wobec ciemieżonych, morderców wobec ich ofiar”[576].

Jednakże codzienność rozprawy z jej długotrwałymi dyskusjami na temat odrzucenia takiego czy innego wniosku robiła na publiczności małe wrażenie, nie mogły tego zmienić nawet nasycone grozą obrazy z przesłuchań świadków. Po ponad dwóch i pół roku przesłuchań i dwustu siedemdziesięciu dwóch dniach rozprawy w „Rheinische Post” w lipcu 1978 roku napisano lakonicznie, że pojawia się możliwość zakończenia procesu.

Zaraz po tym rozgorzał spór między burmistrzem i stowarzyszeniem adwokatów w Düsseldorfie. Jeden z obrońców z urzędu, Jörg Weck, został wybrany na księcia karnawału i przyjął ten zaszczytny urząd. Nadburmistrzowi Düsseldorfu Klausowi Bungertowi ta czołowa rola w takiej imprezie wydała się nie do pogodzenia z zawodową działalnością adwokata. Jak wspomina Danuta Brzosko-Mędryk, nawet oskarżone zerknęły, jakby w myślach rozbierały go z togi, przystrajając w książęcy strój. „On sam przyjmując tę propozycję, widział siebie już zapewne na jakimś podeście, jak smukłymi palcami co piękniejszym dziewczętom przesyła pozdrowienia, może słyszał nawet oklaski gawiedzi – gdy nagły sprzeciw prezesa Gminy Żydowskiej, Hoffmanna, przerwał te marzenia:

– Obrońca oskarżonych o zbrodnie nie może brać udziału w ulicznej zabawie.

– Nie może? – dziwili się niektórzy członkowie stowarzyszenia adwokatów. – Mein Gott! – Że gdzieś tam, w Polsce, przed trzydziestu sześciu laty zabijano wroga, nam ograniczają wolność? Jakim prawem?!

Ale niespodziewanie po stronie prezesa Hoffmanna stanął sam Herr Bungert, nadburmistrz miasta, interweniując w karnawałowym Komitecie.

– Skojarzenie procesu z maskaradą może wywołać oburzenie uczciwych obywateli miasta Düsseldorf, a także innych miast. A zamiana adwokackiej togi na szatę «Księcia karnawału» nie jest kwestią prawną, a wyłącznie sprawą wyczucia delikatności sytuacji.

Nadburmistrza poparły trzy frakcje polityczne.

Tak więc obrońca oskarżonej Mayer utracił jednodniowy książęcy tron, nie chcąc tracić dziennego zarobku, wynoszącego ponad 600 marek, za udział w procesie” [\[577\]](#).

Jedynym chyba pozytywem zaistniałej sytuacji był fakt, że ten zgiełk wokół księcia karnawału i publiczna debata na temat stosowności

takiego zachowania budziły w Nadrenii niezmiernie emocje i wyrwały z medialnej otchłani popadające w zapomnienie postępowanie.

Proces w Düsseldorfie został zapamiętany z powodu wyjątkowej agresji obrońców oskarżonych wobec świadków. Ogólnoświatowa krytyka zwróciła się przeciwko warunkom formalnym pozwalającym na obrażanie byłych więźniów. Celował w tym trzydziestosześcioletni obrońca Hildegardy Lächert, „Krwawej Brygidy”, Ludwig Bock z Mannheim, ojciec czworga dzieci, wielbiciel Brahmsa i Beethovena, zdolny adwokat, który za wszelką cenę starał się, by o nim mówiono. Jego niechlujny wygląd, długie włosy i odpychający wyraz twarzy odróżniały go od innych, mniej lub bardziej eleganckich obrońców[578].

Bock był też sprawcą innego incydentu, gdy zgłosił wniosek o wyłączenie całego zespołu sędziowskiego, ponieważ tygodnik „Der Spiegel” opublikował fragmenty aktu oskarżenia. Zapytani w tej sprawie prokuratorzy i adwokaci, a tym samym i oskarżeni, odpowiedzieli, że nikomu nie udostępnił tego dokumentu. Oznacza to, że mógł to uczynić tylko sąd. „Pani H. Lächert – wywodził dalej Ludwig Bock – czuje się skazana już w pierwszym dniu rozprawy, a ponadto obawia się, że i w przyszłości poufną drogą przeciekać będą do prasy materiały z procesu”[579].

Jak to się stało, że ten młody człowiek tak strasznie nienawidzi, kim jest poza salą rozpraw, w domu, w życiu politycznym? Jak ocenić wystąpienie adwokata Bocka, jakie kryteria stosować przy ocenie takiej demonstracyjnej pogardy i lekceważenia wartości leżącej u podstaw etyki zawodu adwokata? *Człowiek z dobrą opinią o prawicy. Dzięki radykalnym hasłom i prawniczym kruczkom Ludwig Bock z Mannheim stał się adwokatem starych i nowych nazistów* – oto tytuł szkicu Ingrid Müller, poświęconego temu idolowi zachodnioniemieckiej palestry, w magazynie „Stern” z 21 października 1978 roku.

W tym procesie maszyny terroru w Majdanku Ludwig Bock rozwinął cały swój kunszt obrończy. Od pierwszego dnia rozprawy bombardował sędziów i biegłych wnioskami o wyłączenie. Przybyłych z Polski

i z Izraela świadków atakował tak gwałtownie, że jeden z nadprokuratorów z Düsseldorfu stwierdził z rezygnacją: „Obrona nie posunęła się jeszcze do twierdzenia, że oskarżeni są ofiarami” [580].

To Bock, śmiejąc się, ironizował, że zainteresowanie procesem tak wkrótce zmaleje, że „zostaną we własnym sosie”, a proces przeciągnie się do roku 1981, a potem oskarżeni będą zbyt chorzy i za starzy na odsiadywanie jakiegokolwiek kary. Ale on sam nie dotrwał do końca procesu. Na początku 1978 roku jego czas powoli dobiegał końca, a on coraz bardziej się dyskwalifikował.

Bock w końcu zrezygnował, zarzutów przeciwko niemu narosło zbyt wiele [581]. Doszło do postępowania przed sądem honorowym. W Wyższym Sądzie Krajowym w Karlsruhe toczyło się przeciwko niemu postępowanie w związku z zarzutem, że okazał się niegodnym „szacunku i zaufania, jakich wymaga stanowisko adwokata” (paragraf 43 Federalnego Regulaminu Adwokatury).

Na kilka dni przed ogłoszeniem wyroku przez sąd, 23 czerwca 1981 roku, program telewizji RFN *Monitor* ujawnił kolejny skandal. Reporterowi udało się przeprowadzić rozmowę z Josefina Jürgens, działaczką Cichej Pomocy, która przyznała, że od dwóch i pół roku udzielała pomocy oskarżonym w procesie w Düsseldorfie. Kobieta, zwana „Aniołem Więźniów”, powiedziała, że czyniła to „z chęci przyjścia z pomocą osobom potrzebującym”, że odwiedza je w areszcie, koresponduje z nimi. Przyznała, że zbiera pieniądze na opłacenie ekspertyz, i oświadczyła, że „naszym obowiązkiem jako Niemców jest powstać przeciwko Żydom i komunistom” [582].

Organizacjami, których zadaniem była i jest pomoc w ucieczkach, pomoc finansowa, tworzenie kół i związków, rehabilitacja byłych faszystów i poszukiwanie źródeł ich finansowania oraz opieka nad oskarżonymi Niemcami, były ponadto współpracująca z nią Kameradenhilfe („Pomoc Koleżeńska”) i Hilfspgemeinschaft auf Gegenseitigkeit der Angehörigen der ehemaligen Waffen-SS („Stowarzyszenie Samopomocy Byłych Członków Waffen-SS”). A także

Landsmannschaft Weichsel-Warthe („Ziomkostwo Wisła-Warta”), Bund Deutscher Polizeibeamter („Związek Niemieckich Urzędników Policyjnych”), Verband Deutscher Soldaten („Związek Żołnierzy Niemieckich”).

W 1946 roku prokurator procesu norymberskiego, profesor Robert Kempner, po raz pierwszy zetknął się ze Stille Hilfe poprzez ich „kampanie oszczerstw przeciwko procesom w Dachau”. Później organizacja pojawiła się ponownie, gdy po interwencji Konrada Adenauera, oprócz jeńców wojennych, w połowie lat pięćdziesiątych ze Związku Radzieckiego do Niemiec Zachodnich zwolniono wielu nazistowskich zbrodniarzy. Cicha Pomoc wysłała do nich paczki z upominkami i podała adres zaufanego prawnika. Każdemu.

Panie i panowie z Cichej Pomocy zaopiekowali się oskarżonymi. W południe przywożono tymczasowo aresztowanym ciepły posiłek z pobliskich restauracji, co miesiąc wysyłano do więzienia czek, wręczano paczki na Boże Narodzenie. A w przerwach w zeznaniach wśród publiczności propagowano idee o zabarwieniu prawicowo-ekstremistycznym, co wywołało zrozumiałe oburzenie wśród byłych więźniów obozów koncentracyjnych, którzy przybyli na proces.

Podobnie działo się w Düsseldorfie, gdzie Josefina Jürgens, szara i niepozorna, przesiadywała dzień po dniu wśród publiczności w sali 111. Gdy ujawniono jej związek ze Stille Hilfe, ludzie ze zdumieniem dowiedzieli się, że Westdeutsche Landesbank (WestLB) aktywnie wspierał działalność „opiekuńczą” tej kobiety. Zapytany wówczas, czy wie coś o kontaktach pani Jürgens, rzecznik Landesbanku odpowiedział dość wymijająco, że nie istniały powody, by to sprawdzać[583].

I nikogo nie dziwiło, że w Federalnym Trybunale Konstytucyjnym złożyła skargę na to, że w Düsseldorfie sądzi się „nie w imieniu narodu niemieckiego, do którego należę, lecz w imieniu komunistów i Żydów”? Na procesie czasami rozmawiała z jedną z innych niepozornych starszych pań, które nie opuszczały prawie żadnego dnia rozprawy. 10

maja ze współczuciem uścisnęła dłoń najbardziej konsekwentnego gościa, męża oskarżonej Hermine Braunsteiner-Ryan[584].

I dopiero po tym, jak jej działalność charytatywna została nagrodzona najwyższym odznaczeniem RFN, Federalnym Krzyżem Zasługi, stało się wiadome, że serce Josefine Jürgens bije nie tylko we właściwym miejscu, ale także po właściwej stronie. Gdy reporter zachodnioniemieckiej telewizji chciał wiedzieć, dlaczego to robi, wyjaśniła:

„Josefine Jürgens, *obserwator procesu*:

Od kiedy jestem na procesie majdankowskim, w nic już nie wierzę.

Reporter:

Dlaczego?

Josefine Jürgens, *obserwator procesu*:

Ponieważ zbyt dużo tam kłamano, popełniano krzywoprzysięstwa na moich oczach.

Reporter:

Świadkowie popełniali krzywoprzysięstwa?

Josefine Jürgens, *obserwator procesu*:

Tak, świadkowie.

Reporter:

Powiedziała Pani, że Düsseldorf znajduje się pod panowaniem żydowskim i komunistycznym. Co Pani przez to rozumie?

Josefine Jürgens, *obserwator procesu*:

Muszę tak przypuszczać, ponieważ nasza prasa nie pisze nic, co byłoby korzystne dla oskarżonych.

Heiner Lichtenstein, *obserwator procesu*:

Gdy to mówiła, nosiła Krzyż Zasługi RFN”[585].

Owo odznaczenie otrzymała za działalność humanitarną z okazji Święta Konstytucji w 1981 roku z rąk ówczesnego prezydenta RFN, Karla Carstensa (byłego członka NSDAP), z którym w czasie uroczystej ceremonii miała okazję rozmawiać o pomocy udzielanej więźniom[586]. Prezydent bronił się, że nie znał kulis jej działalności i że nie słyszał jej publicznego wystąpienia, w którym stwierdziła, że „cały ten proces w Düsseldorfie jest wymysłem komunistów i Żydów, że w ich imieniu, a nie w imieniu narodu niemieckiego toczy się proces w Düsseldorfie”[587].

Zmarła 6 grudnia 1981 roku. Jej rodzina umieściła w akcie zgonu następujące słowa: „Przez wiele lat życia walczyła o bliźnich pozostających w cieniu, o sieroty i więźniów, za co otrzymała Federalny Krzyż Zasługi”. Jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy przed jej śmiercią było wiele sporów o ten medal. Krótco wcześniej prezydent RFN i federalny minister spraw wewnętrznych podpisali dekret, na mocy którego rozporządzenie miało zostać uchylone, co było rzeczą niesłychanie rzadką.

Oprócz niej w sali sądowej znaleźli się inni sympatycy oskarżonych z ugrupowań skrajnie prawicowych, którzy wcześniej przed budynkiem Sądu Krajowego rozdawali materiały informacyjne oraz ulotki zniesławiające sąd. Skrajnie prawicowa gazeta „National- und Soldatenzeitung” była jednym z nielicznych organów prasowych, których przedstawiciele od początku przychodzili regularnie na obrady sądu. Podobno już w 1974 roku ktoś strzelał w okna warszawskiego mieszkania Danuty Brzosko-Mędryk.

Nie tylko to przysparzało kłopotów zarówno świadkom, jak i prokuratorom i sędziom. Uniewinnienia czterech oskarżonych w 1979 roku wywołały nie tylko protest, lecz także żenujące oklaski. Małe upominki, które pewnego dnia położono na stołach oskarżonych, oraz inne oznaki sympatii dla nich bardzo raniły świadków i nie ułatwiały im zeznań. Ba, 22 marca 1979 roku „Życie Warszawy” doniosło, że zrzeszająca neofaszystowskie ugrupowania organizacja

Aktionsgemeinschaft Nationales Europa wpisała „Krwawą Brygidę” na swoją listę wyborczą do parlamentu zachodnioniemieckiego.

Rzeczywiście proces rozpoczął się przy dużym zainteresowaniu mediów, przede wszystkim zagranicznych, wkrótce sala sądowa L 111 Sądu Krajowego w Düsseldorfie opustoszała. Informacje na temat procesu w prasie niemieckiej były ubogie. Niemiecką Agencję Prasową (DPA) podczas posiedzenia w dniu rozpoczęcia rozprawy reprezentował jeden dziennikarz. Wkrótce jednak opuścił salę sądową, gdyż równoległe do procesu załogi Majdanka w Wuppertal toczył się proces przeciwko młodemu mężczyźnie oskarżonemu o morderstwo, który wzbudzał ogromne zainteresowanie opinii publicznej[588].

Wielu obserwatorów podkreślało, że już w przygotowywaniu tego procesu popełniono „błędy o charakterze wykroczeń”: nie przejęto akt z NRD i Polski, przez wiele lat zaniedbywano przesłuchania świadków, do których już nie można ponownie się zwrócić, ponadto w niesłychanym stopniu czyniono różnice między świadkami. Świadców z Polski i ZSRR traktowani byli często z dystansem sprawiającym wrażenie wrogości, a nawet czuli się upokarzani. Proces mógłby być już dawno zakończony, gdyby odbywał się na podstawie prawa aliantów (zasady norymberskie). Niestety, od tego prawa zrodzonego z Układu Poczdamskiego Federalny Trybunał w porę się uwolnił jako od prawa obcego[589].

Strategia niektórych obrońców polegająca na poszerzaniu w „nieskończoność” kręgu świadków doprowadziła niejednokrotnie do umorzenia pojedynczych zarzutów morderstwa zgodnie z § 154 II kodeksu prawa karnego. Do tego doszło w przypadku powieszenia żydowskiej dziewczyny wiosną 1943 roku. Chociaż wszyscy więźniowie musieli zebrać się podczas egzekucji i było wystarczająco dużo świadków tego czynu, trzeba było i tak zrezygnować z tego punktu aktu oskarżenia. Żeby nie przeciągać rozprawy aż do świętego nigdy, sąd wolał umorzyć tę sprawę. Niemiecka procedura sądowa, która nie była przystosowana do tego typu procesów, nie pozwalała w końcu powiedzieć: „Usłyszeliśmy już dość świadków”[590].

Wniosek prokuratora Ambacha o uwolnienie trzech aufzejerek nie był zaskoczeniem dla kogoś, kto znał niemieckie prawo karne. Obaj prokuratorzy nie uznali oskarżonych i uwolnionych Rosy Reischl-Süss, Herminy Böttcher, Charlotty Mayer i Heinricha Schmidta za niewinnych. Jednak w ich opinii przez trzy lata śledztwa nie udało im się znaleźć świadków, którzy przytoczyliby dowody obciążające.

A w radiu dziennikarz i stały dokumentalista tego procesu, Heiner Lichtenstein, zastanawiał się, czy te trzy kobiety i oskarżony Schmidt również zostaliby uniewinnieni, gdyby proces na Majdanku nie rozpoczął się w listopadzie 1975 roku, ale pięć czy dziesięć lat wcześniej. Bezużyteczne dywagacje. W ocenie sądu i prokuratury wynik postępowania dowodowego nie potwierdził zarzutów postawionych tej czwórce „z wystarczającą pewnością do skazania” [591].

Żaden z trzystu dotychczas przesłuchanych świadków nie mógł, według kryteriów prawnych, wnieść dowodów na to, że trzy oskarżone kobiety i mężczyzna dopuścili się na Majdanku morderstwa. W swych mowach oskarżyciele stwierdzili z rezygnacją: „Mamy zwłoki, lecz nie mamy sprawców”. Mimo iż we wszystkich czterech przypadkach prokuratorzy opowiadali się za uniewinnieniem, podkreślali jednocześnie swoje wątpliwości co do niewinności uniewinnionych. „Jedynie sami oskarżeni wiedzą, jak bardzo uwikłani są w bezprawie” [592].

Oskarżycielami w procesie byli nadprokurator doktor Rudolf Gehrling, kierownik Centrali do spraw zbrodni nazistowskich przy prokuraturze w Kolonii, oraz prokuratorzy Wolfgang Weber i Dieter Ambach. Zdaniem Stanisława Kani szczególnie dwaj ostatni przejawiali dużą aktywność, wykraczającą często poza ściśle pojęte funkcje urzędowe; odpowiadali na pytania młodzieży szkolnej, udzielali wywiadów dla prasy, radia i telewizji.

Niezależnie jednak od ich wysokich kwalifikacji zawodowych i osobistego zaangażowania w sprawę, musieli liczyć się z istniejącymi w RFN realiami polityczno-prawnymi. Dlatego często kapitulowali

przed piętrzącymi się trudnościami związanymi z przedstawieniem każdemu z osobna oskarżonemu w sposób konkretny i niepodważalny listy osób własnoręcznie przez nich pomordowanych. Wiele innych form udziału oskarżonych w zbrodniach, a zwłaszcza fakt świadomej działalności w organizacji przestępczej dokonującej masowej eksterminacji ludzi, według obowiązującej w RFN wykładni prawnej nie mogło być branych pod uwagę[593].

Główna trudność procesu polegała, podobnie jak w innych odbywających się późno po wojnie procesach zbrodniarzy nazistowskich, na zdefiniowaniu przez izbę sądu przysięgłych sprawstwa i współudziału. To dlatego dziennikarz „Die Zeit” wzmiankował o „sprawiedliwej niesprawiedliwości” i chyba trafił w sedno, gdyż oskarżeni w pełni korzystali z dobrodziejstw państwa prawa[594].

Żeby tysiąc trzystu esesmanów w ciągu trzech lat mogło wymordować trzysta sześćdziesiąt tysięcy ludzi, wszyscy oni musieli tworzyć organizację zbrodniczą działającą gorliwie i sprawnie, tak jak to zresztą określono w wyroku Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze w stosunku do całej SS. Do udziału w ludobójstwie takich rozmiarów nie można było nikogo zmusić. Zatem nawet gdyby tylko skrupulatnie przestrzegano przepisów obowiązującego w RFN kodeksu karnego, nie można by pozostawić poza ściganiem takiej liczby morderców[595].

Według obrońcy w sprawach karnych z Berlina Wschodniego, profesora Friedricha Karla Kaula, powodem, dla którego śledztwo przeciągało się w nieskończoność i postawiono zarzuty tylko ułamkowi sprawców, były względy proceduralne. Kaul utrzymywał, że „ponieważ prokuratura poprzez formę postawionych zarzutów rozłożyła jednolitą działalność przestępczą kryminologicznie zarysowaną określeniem «Majdanek» na poszczególne czyny karalne, a ponieważ Sąd dopuścił akt oskarżenia w tej pociętej formie... prawie uniemożliwił sądowe zadośćuczynienie za zbrodnicze czyny”[596].

Już wtedy Kaul zadawał pytanie: „Czy nie jest nieodpowiedzialnym zaniedbaniem nieuznawanie SS stacjonujących w obozach zagłady po prostu za organizację przestępczą w świetle krajowego prawa karnego Republiki Federalnej w rozumieniu § 129 Kodeksu karnego?”. Heinz Galinski, przewodniczący gminy żydowskiej w Berlinie, również zadał desperackie pytanie, dlaczego bycie częścią zespołu bezpieczeństwa obozu zagłady nie wystarczyło, aby przynajmniej uznać fakt pomocnictwa i podżegania do morderstwa za coś oczywistego[597].

Tymczasem zgodnie z wymaganiami Federalnego Trybunału Sprawiedliwości każde wykroczenie musiało być osobno udowodnione i jest to wiążące. Nie można było więc ich ukarać tylko dlatego, że należeli do SS, skoro udowodnione im bicie i torturowanie więźniów było już dawno przedawnione, ponieważ zmarli główni świadkowie oskarżenia, nie można było udowodnić pomocnictwa i podżegania do morderstwa. I gdyby nie zamieszki i demonstranci protestujący przeciwko tym uniewinnieniom, te trzy kobiety i były lekarz SS nie mogliby nawet przez chwilę „posmakować” powietrza zachodnoniemieckich cel.

Ale tak się złożyło, że przestraszeni uciekli do celi, z której więźniowie są zwykle zabierani na salę sądową na rozprawę – i zostali tam zapomniani przez sierżanta. Dopiero po około czterdziestu minutach energicznego walenia w zamknięte drzwi otworzyła się przed nimi wreszcie droga do niezасłużonej wolności. Jak to nie bez sarkazmu skomentował dziennikarz „Die Zeit”, Hans Schueler, był to „pierwszy namacalny rezultat procesu po 328 dniach negocjacji”.

Zeznania więźniarek zostały potwierdzone, jak i uzupełnione przez dawne koleżanki Braunsteiner. Erna Wallisch widziała, jak popychała więźniarki, Rosa Reischl-Süss i Charlotte Mayer określiły ją jako „surową dla więźniów”. A ona, w stylowym płaszczu i białym, moherowym kapeluszu, wyglądała jak gwiazda ekranu. Mrużąc oczy w świetle fleszy, lekkim ruchem ręki odpędzała się od fotoreporterów, a jej mina wyraźnie mówiła, że gardzi ich nadmiernym zainteresowaniem. Przeciskając się przez tłum prawników, ruszyła,

dumna i dostojna, w kierunku ławy zajętej przez swoich obrońców[598]. Jej każdy gest i słowo przywodziły na myśl Józefa K. (z *Procesu* Franza Kafki), który nie mógł pojąć, o co jest oskarżany, i licząc na rozsądek wysokiego sądu, łudził się, że incydent wkrótce zostanie wyjaśniony[599].

W końcu lutego 1981 roku prokuratorzy Wolfgang Weber i Dieter Ambach w przemówieniach oskarżycielskich przed sądem w Düsseldorfie zażądali dwudziestu kar dożywotniego więzienia i dwudziestu sześciu lat więzienia dla dziewięciorga pozostających na ławie oskarżonych zbrodniarzy z Majdanka. Na sześćdziesięciu ośmiu stronach oskarżenia wymieniono fakty bicia, maltretowania i znęcania się nad kobietami. Przytoczono jako dowód wciąż trwającej buty Braunsteiner to, że na sądowym korytarzu ubliżyła świadkom, i zażądano dwukrotnej kary dożywotniego więzienia.

Jeden z prokuratorów nazwał Hermine Braunsteiner morderczynią, ponieważ była ona „współczynna” w morderstwie, popychając uciekające kobiety do szeregów idących na śmierć. W jej sprawie nie było żadnych podstaw do oddalenia zarzucanych jej czynów. A to, że działała na rozkaz, nie mogło być podstawą do uwolnienia jej od winy, ponieważ każdy normalnie myślący człowiek musiał mieć rozeznanie, do czego prowadziło wykonywanie takich rozkazów[600].

Potem rozpoczęły się mowy obrony, których treść łatwo było przewidzieć. W mowie końcowej obrońca „Kobyły” przekonywał, że jego klientka znalazła się na Majdanku, gdyż poszukiwała „lekkiej i solidnej pracy”, i wystąpił o jej uniewinnienie z braku dowodów. W miarę jak zbliżał się termin zakończenia procesu, wzrastały obawy, że członkowie załogi obozu koncentracyjnego na Majdanku unikną zasłużonej kary. Düsseldorf stał się miejscem wielu manifestacji, podczas których domagano się sprawiedliwego ukarania zbrodniarzy z Majdanka. Dnia 27 czerwca 1981 roku członkowie akcji Presse-Initiative Majdanek-Prozess zorganizowali marsz milczenia, który przeszedł ulicami miasta[601].

Wyrok ogłoszono 30 czerwca 1981 roku. Przed sądem zgromadziły się grupy demonstrantów z transparentami o treściach antyfaszystowskich i antywojennych. U wejścia do sądu stał starszy człowiek w obozowym pasiaku. Młodzi ludzie trzymali w rękach płonące pochodnie. Sala nr 111 w gmachu sądu wypełniona została do ostatniego miejsca. Wielu chętnych nie mogło się na nią dostać, ponieważ miejsca na ten dzień były od wielu tygodni zarezerwowane[602].

Po pięciu latach i siedmiu miesiącach trwania procesu sąd przysięgłych w Düsseldorfie miał w końcu odczytać wyrok. Przedtem jednak sędzia przewodniczący Günter Bogen pozwolił fotografom i ekipom telewizyjnym robić zdjęcia i filmować przez dobry kwadrans salę sądową. Obecny na sali demonstrantom zezwolił również na rozwinięcie transparentów.

Na krótko przed ogłoszeniem wyroku gwar na sali narastał. Zaczęli wchodzić oskarżeni i adwokaci. Boczny wejściem wsunęła się Braunsteiner, a za nią inni odpowiadający. Żaden z oskarżonych nie wyglądał na więźnia. Mieli dobrze skrojone i uprasowane garnitury, Braunsteiner w granatowym kostiumie, białej bluzce i z białą torebką w rękę, ze świeżo zaondulowaną głową – wyglądała jak na wizycie[603].

Kamery pracowały niemal bezszelestnie, ledwie słyszalne obroty aparatów, reporterzy bez słów, jak w niemym filmie, ale gorączkowo zmieniający miejsca ocierali się o siebie. Celowali kolejno w twarze oskarżonych, potem wracali raz jeszcze, jakby w obawie, że mogą stracić szansę na utwalenie spojrzenia, grymasu przerażenia. A może wyrazu skruchy? Kilka minut po godzinie dziesiątej sędzia Bogen wstał. Jego blada twarz niemal przerażająco kontrastowała z czernią ubioru. Wziął do rąk akta, jakby nie mógł ich udźwignąć. Kilka kartek, niecieężkich przecież. Drżały one w jego dłoniach[604].

Jeszcze Bogen nie podniósł oczu, gdy już na sali podniósł się tumult. Ręce sędziego drżały, ale głos był już opanowany, gdy poprosił o ciszę. Lecz okrzyki nie ustawały, a dwoje młodych ludzi rozwinęło transparent z napisem: „Żaden morderca z KZ nie może być uniewinniony!”. Sędzia

rozpoczął dwunastogodzinne odczytywanie trzystustronicowego uzasadnienia wyroku i wtedy dopiero publiczność powoli się uspokajała.

„Kiedy opisywał brutalność Herminy Braunsteiner – wspominała Danuta Brzosko-Mędryk – ta zerwała się z krzesła i wychyliła w stronę stołu sędziowskiego:

– Herr Vorsihzender... – ale przewodniczący sądu nie zwrócił na nią uwagi i czytał dalej.

O dwunastej piętnaście Braunsteiner spokojnie, jakby była widzem spektaklu, poczęstowała cukierkami swego obrońcę Selasa, następcę mecenasa Mundorfa. Już dwaj jej obrońcy, Pannenbecker i Mundorf, odeszli w zaświaty. Czy Braunsteiner wciąż sieje śmierć?”[\[605\]](#)

Wielu obserwatorów miało nadzieję, że sąd w swoim werdykcie zada cios bezczelnym obłudnikom. Jak wielkie było oburzenie, gdy 30 czerwca 1981 roku przewodniczący składu orzekającego Günter Bogen drżącym głosem i z bladą twarzą ogłosił wyroki.

Hildegarda Lächert, która – gdyby prokuratorzy postawili na swoim – zostałaby skazana na maksymalną karę ośmiokrotności dożywotniego pozbawienia wolności – została skazana na dwanaście lat więzienia za współudział w dwóch morderstwach. Pięciu oskarżonym mężczyznom uszło na sucho z ograniczonymi czasowo wyrokami więzienia, a w przypadku szóstego skończyło się nawet uniewinnieniem.

Hermine Ryan jako jedyna z oskarżonych skazana została na dożywotnie więzienie za dwa morderstwa, a prokuratura wnioskuje o trzy wyroki dożywocia. Przyjęła ten wyrok tępo i obojętnie. Dopiero gdy uświadomiła sobie jego znaczenie, ogarnął ją żal nad sobą i otarła chustką łzy. W ciągu pięciu lat trwania procesu z jej ust nie padło ani jedno słowo skruchy, ani jedno słowo żalu czy współczucia dla ofiar Majdanka.

Tłumaczka Martel Schaschynek przyznawała, że nieraz pytała świadków po przesłuchaniu: „Tyle wam zrobili, czy nie ma w was nienawiści?”. Odpowiedź była zazwyczaj łagodna i pełna litości, często

padało stwierdzenie: „Wyglądają zupełnie inaczej, jak dobre babcie”. Nikt nie znalazł nic pozytywnego do powiedzenia na temat Lächert i Braunsteiner-Ryan. Inni mówili: „Teraz są w takiej sytuacji, w jakiej my byliśmy wtedy”. Na co zawsze odpowiadała: „Ale to nieprawda. Nie będą bici, maltretowani i nie będą głodować”. Wielu wtedy zauważyło: „Och, wiesz, są teraz sami”. Wtedy zawsze brakowało jej słów[606].

Jednak publiczność zgromadzona w sądzie nie była tak wyrozumiała. Na sali zaczęto głośno protestować i wykrzykiwać: „To nie jest wyrok w moim imieniu!”. „To jest skandal!” Do protestów na sali przyłączyły się głosy tłumu oczekującego na ogłoszenie wyroku przed gmachem sądu.

Oburzeni byli nie tylko obserwatorzy procesu, wyrok dotknął także prokuratorów, zaś w szczególności sędziego przewodniczącego. Wyroki okazały się symboliczne, nie licząc dożywocia dla Braunsteiner. „Po procesie niemiecka prasa drwiła – wspominała Danuta Brzosko-Mędryk – że jeden ze świadków – chodziło o mnie – wyglądał młodziej i lepiej niż oskarżeni. Przyjęłam to z niesmakiem”[607].

Russell Ryan, który przysłuchiwał się procesowi, komentując wyrok, powiedział: „Jestem rozczarowany, oczekiwałem uniewinnienia”[608]. Rozczarowanych było również około osiemdziesięciu amerykańskich organizacji pravicowych i neonazistowskich. Jeszcze tego samego dnia Bogen zajął wobec wyroku stanowisko: „Konsekwencją tego procesu jest to, że po 35 latach osiągnięto górną granicę dowodu świadków. Między faktycznymi wydarzeniami w obozie na Majdanku a niewieloma rzeczami, które sąd mógł ustalić w niebudzący wątpliwości sposób, jest rażąca dysproporcja”[609].

Dziesiątki tysięcy zapisanych stron w protokole oraz werdykt wydany w 1981 roku przyniosły jeden z najważniejszych opisów Zagłady, mimo to wyrok potwierdził po raz kolejny bezradność liberalnych sądów wobec zbrodni tego rodzaju. Szymon Wiesenthal skomentował werdykt, mówiąc, iż nie ma lepszego dowodu na to, jak bardzo spada cena ludzkiego życia[610].

„Cieszyłam się – napisała po latach tłumaczka Martel Schaschynek – kiedy to się skończyło. Ucieszyłam się, gdy nagle z powodu choroby nie musiałam już tłumaczyć na rozprawie głównej. Pewnie na dłuższą metę stałabym się kłębkim nerwów. Zobaczyć nędzę świadków, doświadczyć jej. Niektórzy świadkowie podczas przesłuchania trzymali mnie konwulsyjnie za rękę. Byłam bardzo rozczarowana werdyktem. Spodziewałam się czterech wyroków dożywocia, zgodnie z żądaniem prokuratury. Byłam wręcz oszołomiona. Rozczarowani byli także Polacy, którzy przybyli z Warszawy na ogłoszenie wyroku. Ale nikt nie wyraził goryczy, a nawet krytyki sądu. Padła uwaga: «Po tylu latach wynik nie mógł być inny»”[\[611\]](#).

Po uspokojeniu publiczności na sali sędzia Günter Bogen przystąpił do odczytywania motywów wyroku, co trwało – z przerwami – około dziesięciu godzin. Argumentacja prawna, jaka została przytoczona w uzasadnieniu wyroku, odzwierciedlała wszystkie niekonsekwencje i paradoksy zachodniemieckiego ustawodawstwa i orzecznictwa w odniesieniu do zbrodni hitlerowskich[\[612\]](#).

W prawnej ocenie zachowania oskarżonej sąd ustalił, że Braunsteiner kierując się „jaskrawym egoizmem” dla osiągnięcia kariery, uczestniczyła w „planowym wykonaniu” zbrodni. Stawała „uległe i chętnie do wykonywania służby”. W przypadku „akcji dziecięcej” postępowała bezlitośnie i skwapliwie, nie zważała na żadne ludzkie i moralne bariery. Nie działała wbrew sobie i nie była do tego zmuszana, akceptowała sposób działania sprawców, na czele których stał Hitler, Göring, Himmler i Heydrich[\[613\]](#).

Do tego dochodziła jej osobista i zawodowa ambicja – zdaniem sądu przysięgłych był to uderzający rys charakteru Braunsteiner. Znała swoje możliwości awansu i podążała na Majdanku drogą kariery. Ponadto pozbyła się wszystkich swoich zahamowań i wyrzekła się ludzkich odruchów. Przez swoją brutalność, widoczną zwłaszcza w czasie „akcji dziecięcej”, przekroczyła wszelką miarę nakazanego udziału. Więc, tak jak dalej czytamy w uzasadnieniu wyroku, nie tylko popierała cudzą krzywdę, lecz także stawiała się na równi ze sprawcami czynów[\[614\]](#).

Jak podkreśla Stanisław Kania, o orzeczeniu winy oskarżonych w Düsseldorfie, podobnie jak uprzednio o postawieniu ich w stan oskarżenia, bardzo często decydował przypadek – niezniszczony przez sprawców dokument albo świadek, który ocalał i zdołał zapamiętać taką liczbę szczegółów, żeby mógł być uznany za wiarygodnego.

Jest cechą praworządnego państwa, że w każdym procesie karnym zachowuje pełne i niepodważalne znaczenie fundamentalna zasada prawna *in dubio pro reo*[\[615\]](#). Zasady tej nikt, kto został wychowany w tradycji europejskiej kultury prawnej, negować nie będzie. Jeśli jednak wymiar sprawiedliwości RFN ignoruje zbrodnie ludobójstwa, a zasady praworządności stosuje do popełnionych na ich marginesie przestępstw pospolitych, to zachodzi obawa o celowe pomylenie pojęć[\[616\]](#).

Wyrok na zbrodniarzy z Majdanka, orzeczony przez sąd w Düsseldorfie, nie był nawet symboliczny, lecz wyływał z konsekwencji, z jaką nazistowskie zbrodnie traktowano w kraju za Łabą. Przecież gdyby w RFN działała autentyczna sprawiedliwość, to przed sądami musiałyby odpowiadać za swe zbrodnie nie tysiące byłych esesmanów czy gestapowców, żeby się tylko do elity morderców ograniczyć. Lecz mnogość takich procesów, setki i tysiące wyroków skazujących musiałyby wywołać w opinii świata pogląd, że bliskie prawdy jest twierdzenie – niedorzeczne skądinąd – jakoby Niemcy mieli instynkt mordowania we krwi[\[617\]](#).

Proces w Düsseldorfie nie spełnił nadziei tych, którzy oczekiwali, że przyczyni się on w istotnym stopniu do dokonania rzetelnego obrachunku z przeszłością Niemiec. Wymiar sprawiedliwości RFN okazał się bezradny wobec popełnionych przez III Rzeszę zbrodni ludobójstwa[\[618\]](#). Wśród pozytywów należy wymienić, że „Kobyła” była pierwszą nazistowską zbrodniarką wojenną poddaną ekstradycji do Niemiec. Jej przypadek sprawił, że rząd USA powołał w 1979 roku specjalne biuro śledcze, którego celem było szukanie zbrodniarzy wojennych, ich denaturalizowanie i deportowanie.

Epilog

**„CZY DOSTRZEGA PANI SIEBIE
W POSTACI HANNY?”**

Na uprawomocnienie się wyroku trzeba było jeszcze długo czekać. Były trudności ze sformułowaniem liczącego około tysiąca stron ostatecznego tekstu uzasadnienia wyroku, bez czego skazani nie mogli wnieść wniosków o jego rewizję. Pewien czas potrzebny był także dla ponownego rozpatrzenia sprawy przez sąd wyższej instancji. Skazani przebywali więc na wolności we własnych domach, oczekując na dalszy bieg wydarzeń.

W maju 1981 roku Hermine Braunsteiner-Ryan stwierdziła w swoim przemówieniu końcowym: „Nikogo nie zabiłam” i zapewniła po raz kolejny Sąd Najwyższy, że była tylko „trybikiem w pracy”. Po czym kontynuowała: „Do końca życia będę musiała znosić los, który uczynił ze mnie ogniwo w łańcuchu, którego byłam zbyt mała, by zerwać i nie mogłam przestać”^[619]. Jakby zapominając o własnych działaniach, które zapewniły istnienie tego łańcucha.

Na początku listopada 1981 roku wniosek prokuratury o wznowienie postępowania w sprawie Braunsteiner-Ryan i Lächert został odrzucony przez siedemnasty wydział karny Sądu Okręgowego w Düsseldorfie – ten sam wydział, który prowadził proces. Powód: sprawiedliwość została

wymierzona poprzez nałożone kary. Ponadto ze względów ekonomii procesowej wznowienie jest „niedopuszczalne” [620].

Przy uchyleniu wyroku przez Federalny Trybunał Sprawiedliwości postępowanie zostałyby przydzielone innej izbie sądu przysięgłych, która musiałaby od początku zapoznać się ze sprawą. Oznaczałoby to między innymi konieczność ponownego przesłuchania wszystkich świadków, co prokuratorom wydało się nie do zaakceptowania. Poza tym obawiano się, iż postępowanie rewizyjne przeciągnie się na parę kolejnych lat, a oskarżeni, uznani za niezdolnych do udziału w rozprawie, uniknęliby kary [621].

Prokuratura zastosowała środki prawne przeciwko wyrokowi. Wniosek o rewizję wyroku złożony przez siedmiu oskarżonych z uzasadnieniem, że Sąd Krajowy naruszył przepisy postępowania i nieprawidłowo zastosował obiektywne prawo karne, odrzuciła 3. izba karna Federalnego Trybunału Sprawiedliwości poprzez decyzję z 30 maja 1984 roku. Po namyśle prokuratura zrezygnowała z przeprowadzenia rewizji procesu i zadowolila się tym, że została wymierzona kara – nawet jeśli wszystkim wydała się ona zbyt mała [622].

I tak zakończył się ten najdłużej trwający i prawdopodobnie ostatni wielki proces o zbrodnie popełnione przez funkcjonariuszy III Rzeszy. Wobec dystansu czasowego do wydarzeń w obozie popełnione tu potworne zbrodnie można było rozpoznać na podstawie dowodów świadków jedynie w ograniczonym stopniu, a winę wykazać w wyjątkowych przypadkach. Na krótko przed śmiercią, w 1996 roku, były sędzia w jednym z wywiadów dał ponownie wyraz swemu rozczarowaniu procesem. Bardzo ubolewał wówczas nad tym, że niemieckie prawo karne nie zna votum odrębnego, ponieważ w niektórych częściach wyroku byłby uczynił z tego użytek [623].

Wzorowa więźniarka Hermine Braunsteiner wyjdzie na wolność po szesnastu latach spędzonych w pojedynczej celi malowniczo położonego więzienia dla kobiet w Mülheim. Jej życie za kratkami było monotonne: w ciągu dnia pracowała w Nähstube, aby zarobić trochę pieniędzy

i odpędzić śmiertelną nudę. Regularnie uprawiała gimnastykę w swojej celi i odcinała się od cierpiącej Hildegardy Lächert.

Była dość popularna wśród współwięźniów, nie przeklinała i nie wpuszczała nikogo do swojej celi. Kiedy pierwsze artykuły o jej przeszłości wpadły w ręce innych osadzonych, wycofała się na jakiś czas i nie brała już udziału w coniedzielnym spacerze na wewnętrznym dziedzińcu więzienia. Jej mąż Russell regularnie ją odwiedzał, mając nadzieję, że kiedyś wyjdzie na jaw, na jakim wielkim nieporozumieniu opierało się to wszystko, co posłało jego żonę do więzienia.

Została ułaskawiona w 1996 roku przez ówczesnego premiera Nadrenii Północnej-Westfalii, Johannesesa Raua, ze względu na jej zły stan zdrowia. Poruszała się na wózku inwalidzkim, ponieważ z powodu cukrzycy amputowano jej goleń. Cierpiała również na artretyzm. Ostatnie lata spędziła z mężem w swoistym odosobnieniu dla emerytów, składającym się z domu opieki, szpitala i domu starców w dzielnicy Linden w Bochum, finansowanym przez wydział opieki socjalnej i prowadzonym przez Kościół ewangelicki. Mieli tam mieszkanie z dwoma pokojami o powierzchni 65 m² i opiekuna wolontariusza.

Reporter „Süddeutsche Zeitung Magazin” natknął się na nich w supermarkecie w 1996 roku. Russell Ryan pchał przed sobą wózek inwalidzki z kaleką staruszką. W pewnym momencie zatrzymał się i spytał, czy chciałyby dostać bukiet kwiatów. Staruszka pokręciła głową. On spojrzał na zegarek i pchnął wózek w kierunku wyjścia ze sklepu.

Na około rok przed jej zwolnieniem z więzienia ukazała się książka *Lektor*. Przypuszcza się, że historia „Kobyły” była jedną z inspiracji dla jej autora, Bernharda Schlinka. Oto jej fragment:

„Pod koniec czerwca ogłoszono wyrok. Hannę skazano na dożywocie. Pozostałym oskarżonym wymierzono kary czasowego pozbawienia wolności.

Sala rozpraw była pełna, tak jak na początku procesu. Poza personelem sądowym stawili się studenci mojego i miejscowego uniwersytetu, uczniowie, dziennikarze z kraju i zagranicy i ci, którzy zawsze obecni są

na rozprawach. Było głośno. Kiedy wprowadzono oskarżone, z początku nikt nie zwracał na nie uwagi. Ale potem publiczność zamilkła. Jako pierwsi uciszyli się ci, którzy siedzieli z przodu, najbliżej oskarżonych. Szturchali swoich sąsiadów i odwracali się do tych, którzy zajmowali miejsca za nimi. «Popatrzcie», szeptali, a ci, którzy patrzyli, także milkli, szturchali swoich sąsiadów, odwracali się do tych z tyłu i szeptali: «Popatrzcie». I w końcu na sali sądowej zapadła cisza.

Nie wiem, czy Hanna wiedziała, jak wygląda, czy może nawet chciała tak wyglądać. Miała na sobie czarny kostium i białą bluzkę z krawatem; krój kostiumu i krawat sprawiały, że wyglądała, jakby była w mundurze. Nigdy nie widziałem munduru, jaki nosiły kobiety pracujące dla SS. Ale pomyślałem, podobnie jak inni, że mamy przed sobą ów mundur i kobietę, która pracowała w nim dla SS, która robiła wszystko to, o co oskarżono Hannę.

Publiczność znowu zaczęła szeptać. Wiele osób, wyraźnie oburzonych, uważało, że Hanna szydzi sobie z procesu, z sądu i z tych, którzy przyszedli na ogłoszenie wyroku. Było coraz głośniejsze, część publiczności krzyczała w stronę Hanny, co o niej myśli. Póki do sali nie weszli sędziowie i przewodniczący, obrzuciwszy Hannę zirytowanym spojrzeniem, nie ogłosił wyroku. Hanna słuchała go na stojąco, wyprostowana, i ani drgnęła. Podczas odczytywania uzasadnienia usiadła. Nie odrywałem oczu od jej głowy i karku.

Odczytywanie trwało wiele godzin. Kiedy rozprawa się zakończyła i wyprowadzano oskarżone, czekałem, czy Hanna spojrzy w moim kierunku. Siedziałem tam, gdzie zawsze. Ale patrzyła gdzieś daleko przed siebie. Butnym, zranionym, zagubionym i nieskończenie zmęczonym wzrokiem. Wzrokiem, który nie chce nikogo i niczego widzieć”[\[624\]](#).

Na podstawie tej książki powstał film pod tym samym tytułem z oscarową rolą Kate Winslet (jedna ze scen była kręcona na Majdanku). Schlink oficjalnie zaprzeczył, ale w książce użył stwierdzenia „Kobyła”,

więc trudno to uznać za przypadek. Także zachowanie głównej bohaterki w czasie procesu przywodzi na myśl Hermine Braunsteiner.

„Czasem wydawało mi się, że rozpoznaję ją w jednej z aufzejerok, która została opisana jako młoda, piękna i z wielką gorliwością, bez żadnych skrupułów wykonująca wszystkie zadania, ale nie byłem tego pewny. Kiedy przyrównywałem ją do pozostałych oskarżonych, myślałem, że ową aufzejerką mogła być tylko Hanna. Ale oprócz nich było przecież dużo innych. W jednym z obozów autorka także miała do czynienia z młodą, piękną i pilną, niezwykle okrutną i niepoohamowaną aufzejerką, którą nazwała «kobyłą». Bo właśnie kobyłę jej przypominała. Czy inni też ją do niej porównywali? Czy Hanna to wiedziała, pamiętała o tym? Czy dlatego tak ją to ubodło, kiedy porównywałem ją do konia?”[\[625\]](#)

Większość środowiska literackiego Niemiec była przekonana, że to ona właśnie, Hermine Braunsteiner, jest pierwowzorem niepiśmiennej zbrodniarki, która znajduje ukojenie w ramionach młodego mężczyzny. W 1997 roku napisze do niej dziennikarz „Bilda”, Hans Bocke, który zada w liście jedno ważne pytanie: „Czy dostrzega Pani siebie w postaci Hanny z bestsellerowej powieści Bernharda Schlinka *Lektor*, uwikłanej w romans z piętnastoletnim chłopakiem?”. Braunsteiner będzie stać jedynie na dwa słowa: „Jestem wdową”[\[626\]](#).

Umrze dwa lata później.

BIBLIOGRAFIA

Dokumenty:

Akta prokuratora w sprawie przeciwko: Hermina Braunsteiner, ur. 16-07-1919 r. i inni podejrzani o to, że w czasie okupacji niemieckiej w m. Lublin znęcali się nad ludnością polską, brali udział w przestępczej organizacji SS, tj. przestępstwo z art. 1 Dekretu z dn. 31-08-1944 r., sygn. IPN Lu 319/1014.

Akta w sprawie karnej byłych członków załogi SS obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka, AIPN GK 196/112.

Akta w sprawie karnej byłych członków załogi SS obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka, AIPN GK 196/167.

Dokumenty zbrodni i męczeństwa, red. M. M. Borwicz, N. Rost, J. Wul, Kraków 1945.

Hermine Braunsteiner-Ryan zbrodniarka wojenna, strażniczka w obozach koncentracyjnych Majdanek, Ravensbrück i Genthin – akta dochodzenia, AAN, sygn. 2/842/0/21.1/15/13.

Hermine Braunsteiner-Ryan zbrodniarka wojenna, strażniczka w obozach koncentracyjnych Majdanek, Ravensbrück i Genthin – akta o ekstradycję, AAN, sygn. 2/842/0/21.1/15/11.

Hermine Braunsteiner-Ryan zbrodniarka wojenna, strażniczka w obozach koncentracyjnych Majdanek, Ravensbrück i Genthin – załączniki do wniosku ekstradycyjnego, AAN, sygn. 2/842/0/21.1/15/12.

Odpis Wyroku Sądu Krajowego w Düsseldorfie (Landgericht Düsseldorf) z dnia 30-06-1981 r. w sprawie karnej przeciwko: Hermann Hackmann, ur. 11-11-1913 r., miejsce urodzenia: Osnabrück; Arnold Georg Strippel, ur. 02-06-1911 r., miejsce urodzenia: Unshausen, Hessen; Heinrich Fritz Petrick, ur. 22-01-1913 r., miejsce urodzenia: Dresden; Heinz Hermann Karl Villain, ur. 01-02-1921 r., miejsce urodzenia: Rheinsberg, Mark Brandenburg; Thomas Ellwanger, ur. 03-03-1917 r., miejsce urodzenia: München; Heinrich Wilhelm Gustav Groffmann, ur. 19-05-1920 r., miejsce urodzenia: Behringen, Krs. Soltau; Emil Josef Laurich, ur. 21-05-1921 r., miejsce urodzenia: Hohenstein, Sudeten; Hermine Ryan, z d. Braunsteiner, ur. 16-07-1919 r., miejsce urodzenia: Wien (Österreich); Hildegard Martha Luise Lächert, ur. 19-03-1920 r., miejsce urodzenia: Berlin – członkowie załogi obozu koncentracyjnego na Majdanku, oskarżeni o zbrodnie popełnione na więźniach, sygn. IPN Bu 2586/45–54.

Odpis Wyroku Sądu Krajowego w Wiedniu (Landgericht Wien) z dnia 22-11-1949 r. w sprawie karnej przeciwko: Hermine Braunsteiner, ur. 16-07-1919 r., miejsce urodzenia: Wien, nadzorczyni (Aufseherin) w obozach koncentracyjnych na Majdanku (KL Majdanek) i w Ravensbrück (KL Ravensbrück), oskarżona o znęcanie się nad więźniami, sygn. IPN Bu 2586/110.

Żmijewska-Wiśniewska Anna, Zeznania szefa krematorium Ericha Muhsfeldta na temat byłego obozu koncentracyjnego w Lublinie (Majdanek), „Zeszyty Majdanka” 1965, t. I, s. 133–148.

Opracowania i wspomnienia:

Abramowicz Zofia, Tak było, Lublin 1962.

Adamczyk Kazimierz, „Czy świadek szuka zemsty?”. Świadectwo, propaganda, dydaktyka w powieściach obozowych Danuty Brzosko-Mędryk, „Konteksty Kultury” 2017, t. 14, z. 3, s. 346–359.

Anděl Stewart, *Notorious Nazi Women*, [b.m.w.], 2017.

Ankiewicz Jadwiga, *Majdanek 15 (18) I – 17 V 43 r. Dziennik*, Lublin 2020.

Baron-Cohen Simon, *Teoria zła. O empatii i genezie okrucieństwa*, przeł. A. Nowak, Sopot 2015.

Basak Adam, *Motywacje moralne w wyrokach na zbrodniarzy hitlerowskich*, „Studia nad Faszysmem i Zbrodniami Hitlerowskimi” 1980, t. 6, s. 247–275.

Benz Wolfgang, *Historia Trzeciej Rzeszy*, przeł. R. Kazior, Warszawa 2006.

Bex Benjamin, *Kobyła*, <http://fog-platform.com/de/kobyła/>, dostęp: 20.12.2022.

Birenbaum Halina, *Nadzieja umiera ostatnia*, Warszawa 1967.

Boguszewska Helena, *Nigdy nie zapomnę...*, „Robotnik” 1946, nr 49–102, s. 3.

Borodziej Włodzimierz, *Podobne czy różne przypadki odpowiedzialności? Totalitaryzmy: rodzimy i narzucony – nazizm i sowietyzm w Niemczech*, „Rocznik Polsko-Niemiecki” 1996, [T.] 5, s. 77–98.

Brown Daniel Patrick, *Piękna bestia. Zbrodnie SS-Aufseherin Army Grese*, przeł. J.S. Zaus, Zakrzewo 2017.

Brzosko-Mędryk Danuta, *Czy świadek szuka zemsty?*, Warszawa 1983.

Brzosko-Mędryk Danuta, *Mury z Ravensbrück*, Warszawa 1979.

Brzosko-Mędryk Danuta, *Niebo bez ptaków*, Warszawa 1968.

Bukalska Patrycja, *Numery w kolorze lila*, „Tygodnik Powszechny” 2009, nr 14, dodatek „Historia jest kobietą”, s. IV–V.

Bukalska Patrycja, *Ostatnia szansa. Polacy i Żydzi ścigają jeszcze zbrodniarzy z czasu II wojny światowej*, „Tygodnik Powszechny” 2006, nr 39, s. 14.

Bukowski Jacek, *Proces oprawców z Majdanka, Oskarżeni i obrońcy*, „Sztandar Młodych” 1977, nr 302, s. 5.

Buryła Sławomir, *Męski faszyzm*, „Teksty Drugie” 2015, nr 2, s. 142–165.

Carroll Raymond, Nater Timothy, *Kto jest oskarżony?*, „Forum” 1977, nr 32, s. 22.

Chryzantemy dla oskarżonej, „Forum” 1977, nr 21, s. 23.

Chwiejczak Stanisław, *Kolczasty trakt*, Lublin 1971.

Cisowska Sylwia, *Pokojówka w podkutyh butach*, <https://wiadomosci.onet.pl/kiosk/pokojowka-w-podkutyh-butach/w2w23>; dostęp: 09.02.2023.

Cucci Giovanni, *Fascynacja złem. Wady główne*, przeł. A. Wojnowski, Kraków 2011.

Cyprian Tadeusz, Sawicki Jerzy, Siewierski Mieczysław, *Głos ma prokurator...*, Warszawa 1966.

Cyprian Tadeusz, Sawicki Jerzy, *Ludzie i sprawy Norymbergi*, Poznań 1967.

Cyprian Tadeusz, Sawicki Jerzy, *Oskarżamy*, Kraków 1949.

Cyprian Tadeusz, Sawicki Jerzy, *Siedem wyroków Najwyższego Trybunału Narodowego*, Poznań 1962.

Czarnecka Barbara, *Kobiety w lagrze. Zapis doświadczenia*, Kraków 2018.

Czarnecka Barbara, *Pamięć mięśniowa i kobiece doświadczenie obozu koncentracyjnego*, „Teksty Drugie” 2020, nr 2, s. 272–290.

Czarnecka Barbara, *Włosy w kobiecych narracjach lagrowych*, „Acta Universitatis Lodzianis. Folia Litteraria Polonica” 2018, nr 4, s. 189–211.

Czekała Maciej, „*Nikt z nas nie będzie siedział*”. *Szczecińskie echa düsseldorfskiego procesu*, „Kurier Szczeciński” 1980, nr 33, s. 8.

Czopowicz Joanna, *Królewski chłód. SS-Aufseherin Luise Danz w relacjach i wspomnieniach Ocalałych*, praca dyplomowa pod kierunkiem dr. Piotra Setkiewicza, Kraków 2017.

Czopowicz Joanna, *SS-Aufseherin. Nadzorczyńce z Ravensbrück*, Warszawa 2021.

Czyż Piotr A., *Wspomnienia Henryki Tajchert z Włodawy – więźniarki Zamku Lubelskiego, Ravensbrück i Bergen-Belsen*, „Radzyński Rocznik Humanistyczny” 2013, t. 13, s. 71–84.

Dąbrowski Andrzej, *Oblicza śmierci w obozach koncentracyjnych (na przykładach z KL Dachau i KL Lublin)*, [w:] „Koła Historii. Czasopismo afiliowane z Instytutem Historii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie” 2014, nr 15, s. 125–134.

Delpla François, *Kusicielki diabła. Hitler i kobiety*, przeł. A. Lorek, Wrocław 2006.

Dobaczewska Wanda, *Kobiety z Ravensbrück*, Warszawa–Kraków 2020.

Dobrowolski Piotr, „*Narzucona wojna*” czy „*kontynuacja pomyłek*”. *II wojna światowa w historiografii i publicystyce Niemieckiej Republiki Federalnej*, Katowice 1970.

Drwęska-Doerlingowa Zofia, *Umarli mówią...*, „Ilustrowany Kurier Polski” 1948, nr 300, s. 9.

Dzieci oskarżają, oprac. M. Hochberg-Mariańska, N. Grüss, Kraków 1947.

Dżon-Ozimek Beata, *Maria Mandl. Zakłamywany akt zgonu „Bestii” z Auschwitz*, „Gazeta Wyborcza” (Kraków) 2017, nr 109, s. 14–15.

Erntefest, 3–4 listopada 1943. Zapomniany epizod Zagłady, red. W. Lenarczyk, D. Libionka, Lublin 2009.

Fechner Eberhard, *Proces. Obóz w Majdanku w świetle wypowiedzi uczestników rozprawy przed Sądem Krajowym w Düsseldorfie*, przeł. T. Kranz, Lublin 1996.

Fedorszczak Tomasz, *Aufseherinnen – kobiece personel w obozach koncentracyjnych SS i ich odpowiedzialność za zbrodnie wojenne (1937–1945)*, [w:] *Pozycja prawna kobiet w dziejach*, red. S. Rogowski, Wrocław 2010, s. 197–212.

Felton Mark, *Polowanie na ostatnich nazistów. Sensacyjne dzieje poszukiwania ukrywających się morderców – za III Rzeszy dumnych panów życia i śmierci, którzy wzbudzali strach samym istnieniem*, przeł. M. Baranowski, Warszawa 2013.

Fest Joachim, *Pytania bez odpowiedzi. Rozmowy z Albertem Speerem*, przeł. R. Bieniek, Wrocław 2006.

Fikus Sebastian, *Kodeks drogowy jako instrument amnestii zbrodniarzy hitlerowskich*, „Dzieje Najnowsze. Kwartalnik poświęcony historii XX wieku” 2018, R. 50, nr 2, s. 119–132.

Fikus Sebastian, *Trudny spadek dysydentów III Rzeszy w Republice Federalnej Niemiec*, Warszawa 2013.

Frankowski Marek T., *Socjologiczne aspekty funkcjonowania hitlerowskich obozów koncentracyjnych 1939–1945*, Warszawa 1996.

Friedlander Henry, McCarrick Earlean M., *The Extradition of Nazi Criminals: Ryan, Artukovic, and Demjanjuk*, Annual 4 Chapter 2 Part 1. Museum of Tolerance (Simon Wiesenthal Center Multimedia Learning Center), <https://web.archive.org/web/20120208095345/http://motlc.wiesenthal.com/site/pp.asp?c=gvKVLcMVIuG&b=395075>; dostęp: 12.02.2023.

Gańczak Filip, *Jan Sehn. Tropiciele nazistów*, Wołowiec 2020.

Goebbels Joseph, *Dzienniki. Tom 3: 1943–1945*, przeł. E.C. Król, Warszawa 2014.

Goldhagen Daniel Jonah, *Gorliwi kaci Hitlera. Zwyczajni Niemcy i Holocaust*, przeł. W. Horabik, Warszawa 1999.

Golgota kobiet. Relacje więźniarek Ravensbrück i innych obozów koncentracyjnych ze zbiorów Polskiego Instytutu Źródłowego w Lund, Szczecin–Warszawa 2018.

Golik Małgorzata, *Austria na wirażach pamięci. Kilka uwag o austriackim micie pierwszej Ofiary*, [w:] *Bezpieczeństwo informacyjne w dobie postprawdy*, red. T.W. Grabowski, M. Lakomy, K. Oświecimski, Kraków 2018, s. 247–269.

Gołaszewska Maria, *Fascynacja złem. Eseje z teorii wartości*, Warszawa–Kraków 1994.

Graczyk Daria, *Portret kobiety w strukturach SS-Gefolge na przykładzie obozu Stutthof*, „Zeszyty Muzeum Stutthof” 2014, nr 2, s. 53–88.

Greene Joshua M., *Sprawiedliwość w Dachau. Opowieść o procesach nazistów*, przeł. M. Antosiewicz, Warszawa 2012.

Grudzińska Marta, *Los dzieci w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, [w:] *Zdeptane dzieciństwo. II wojna światowa i jej wpływ na sytuację dzieci*, red. A. Bartuś, P. Trojański, Oświęcim 2017, s. 115–137.

Grudzińska Marta, *O czym mówią byli więźniowie Majdanka? Doświadczenia osobiste a pamięć publiczna*, [w:] *Świadkowie. Między ofiarą a sprawcą zbrodni*, red. A. Bartuś, Oświęcim 2017, s. 15–31.

Grudzińska Marta, *Obraz relacji między więźniami różnych narodowości w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, „Zeszyty Majdanka” 2014, t. XXVI, s. 127–177.

Grudzińska Marta, Kubiszyn Marta, *„To was tutaj tak strasznie biją? [...] Nie, nas nie. Tylko Żydów”*. Żydzi w obozie na Majdanku w świetle relacji polskich więźniów, „Studia Judaica” 2018, nr 2, s. 333–371.

Grundberger Richard, *Historia społeczna Trzeciej Rzeszy*, t. 1–2, przeł. W. Kalinowski, Warszawa 1987.

Grzywacz Marta, *Nasza pani z Ravensbrück*, Warszawa 2011.

Gumkowski Janusz, Kułakowski Tadeusz, *Zbrodniarze hitlerowscy przed Najwyższym Trybunałem Narodowym*, Warszawa 1961.

Hamerlak Kajetan, Bober Sabina, *Niemiecka Republika Federalna jako azyl dla nazistowskich zbrodniarzy wojennych. Analiza wybranych aspektów ścigania i skuteczności karania*, „Studia

Polityczne” 2020, t. 48, nr 3, s. 65–84.

Helm Sarah, *Kobiety z Ravensbrück. Życie i śmierć w hitlerowskim obozie koncentracyjnym dla kobiet*, przeł. K. Bażyńska-Chojnacka i P. Chojnacki, Warszawa 2017.

Hermine Ryan–Braunsteiner, <https://www.majdanek.eu/pl/search/hermine%20braunsteiner>;
dostęp: 06.02.2023.

Heydecker Joe, Leeb Johannes, *Trzecia Rzesza w świetle Norymbergi. Bilans tysiąca lat*, przeł. M. Zeller, Warszawa 1979.

Hilberg Raul, *Zagłada Żydów europejskich*, t. 1–3, przeł. J. Giebułtowski, Warszawa 2014.

Jackiewicz Franciszek, *Byłem więźniem Majdanka*, Lublin 1967.

Jagoda Zenon, Kłodziński Stanisław, Masłowski Jan, *Oświęcim nieznanym*, Kraków 1981.

Janion Maria, *Bohater, spisek, śmierć. Wykłady żydowskie*, Warszawa 2009.

Januszewski Bartosz, *KZ-Staat. Obozy niemieckie i ich rola w systemie państwowego terroru (1933–1945)*, „Biuletyn IPN” 2022, nr 3, s. 3–19.

Jesteśmy świadkami. Wspomnienia byłych więźniów Majdanka, Lublin 1969.

Kania Dorota, *Sprawiedliwość po niemiecku. Żadnych odszkodowań dla ofiar nazizmu*, „Gazeta Polska” 2018, nr 40, s. 12–14.

Kania Stanisław, *Proces zbrodniarzy z Majdanka*, Warszawa 1987.

Karwowska Bożena, *Ciało. Seksualność. Obozy zagłady*, Kraków 2009.

Kaul Friedrich Karl, *Wytworni ludzie. Sensacyjne procesy w NFR i Berlinie Zachodnim*, przeł. J. Frühling, Katowice 1970.

Kawa Magdalena, *Świadectwa Zagłady*, „Studia Żydowskie. Almanach” 2014, nr 4, s. 115–122.

Kąkol Kazimierz, *Sąd nierychliwy. Frankfurcki proces oprawców z Oświęcimia*, Warszawa 1966.

Kiedrzyńska Wanda, *Ravensbrück. Kobiety obóz koncentracyjny*, Warszawa 1965.

Kisielewska Zuzanna, *Bicze Hitlera*, „Focus Historia Ekstra” 2021, nr 5, s. 46–51.

Kłos Agnieszka, *Śmierć i rola trupów w „martwych przestrzeniach”*, [w:] *Narracje o Zagładzie. Numer 2. Topika Zagłady*, Katowice 2016, s. 163–201.

Knopp Guido, *SS. Przestroga historii*, przeł. M. Dutkiewicz, Warszawa 2004.

Kobiela Stanisław, *Proces załogi KL Auschwitz–Birkenau w Krakowie w 1947 r.*, cz. 5, „Wiadomości Bocheńskie” 2009, nr 3, s. 30–34.

Kobierska-Motas Elżbieta, *Ekstradycja przestępców wojennych do Polski z czterech stref okupacyjnych Niemiec 1946–1950. Cz. 1*, Warszawa 1991.

Kobierska-Motas Elżbieta, *Ekstradycja przestępców wojennych do Polski z czterech stref okupacyjnych Niemiec 1946–1950. Cz. 2*, Warszawa 1992.

„Kobyła” załamała się w 369(!) dniu rozprawy, „Kamena” 1980, nr 3, s. 10.

Kompisch Kathrin, *Sprawczynie*, przeł. S. Kupisz, N. Badiyan-Siekierzycka, Warszawa 2012.

Kozaczyńska Beata, *Ocalone z transportów Dzieci Zamojszczyzny. Losy dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny do dystryktu warszawskiego 1942–1945*, Siedlce 2011.

Kozłowska Ewa, Kozłowski Zbigniew, *Byłam pokojówką komendanta Konzentrationslager Majdanek*, Lublin 2018.

Knopp Guido, *SS, przestroga historii*, przeł. M. Dutkiewicz, Warszawa 2004.

Kranz Tomasz, *Zagłada Żydów w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, Lublin 2010.

Krwawa środa. 3 listopada 1943 roku w pamięci świadków, oprac. K. Czuryżkiewicz, B. Siwek-Ciupak, Lublin 2013.

Krzyżanowska Zofia, *Czarna flaga*, Warszawa 1978.

Kulesza Dariusz, *Ciało ludzkie w polskiej literaturze obozowej. Rekonesans*, „Ethos. Kwartalnik Instytutu Jana Pawła II KUL” 2008, R. 21, nr 2/3, s. 175–188.

Kuwałek Robert, *Obozy koncentracyjne i obozy zagłady jako miejsca pamięci*, [w:] *Następstwa zagłady Żydów. Polska 1944–2010*, red. M. Adamczyk-Garbowska, F. Tych, Lublin 2011, s. 494–527.

Kwiatkowski Jerzy, *485 dni na Majdanku*, Lublin 1988.

Lasik Aleksander, *Struktura organizacyjna oraz obsada osobowa stanowisk kierowniczych w obozie koncentracyjnym na Majdanku w latach 1941–1944*, „Zeszyty Majdanka” 2003, t. XXII, s. 121–196.

Lelyveld Joseph, *Former Nazi Camp Guard Is Now a Housewife in Queens*, „New York Times” 1964, July 14, s. 10.

Lenarczyk Wojciech, *Niemieccy więźniowie Majdanka*, „Zeszyty Majdanka” 2011, t. XXV, s. 27–95.

Leszczyńska Zofia, *Struktura osobowa władz obozu koncentracyjnego na Majdanku*, „Zeszyty Majdanka” 1967, t. II, s. 22–96.

Lichtblau Eric, *Sąsiedzi naziści. Jak Ameryka stała się bezpiecznym schronieniem dla ludzi Hitlera*, przeł. K. Skonieczny, Kraków 2015.

Listy z Majdanka, oprac. Z. Wójcikowska, Lublin 1963.

Longden Sean, *1945. Polowanie na niemieckich naukowców*, przeł. K. Skawran, Warszawa 2013.

Lower Wendy, *Furie Hitlera: Niemki na froncie wschodnim*, przeł. B. Gadomska, Wołowiec 2015.

Lubecka Joanna, *Karanie niemieckich zbrodniarzy wojennych w Polsce*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2011, nr 34, s. 11–33.

Lubecka Joanna, *Konieczność wykonania rozkazu jako instrument obrony w procesach przed Najwyższym Trybunałem Narodowym*, [w:] *Pola wolności*, red. A. Bartuś, Oświęcim–Poznań 2020, s. 217–235.

Lubecka Joanna, *Nadzorcynie w niemieckich obozach*, [w:] *Naród w niewoli*, red. F. Musiał, Kraków 2014, s. 77–81.

Lubecka Joanna, *Powojenne kariery hitlerowców*, [w:] *Naród w niewoli*, red. F. Musiał, Kraków 2014, s. 158–162.

Lundholm Anja, *Wrota piekieł. Ravensbrück*, przeł. E. Czerwiakowska, Warszawa 2014.

Ługowski Bartłomiej, *Struktura i działalność niemieckiego aparatu wysiedleńczego na Zamojszczyźnie*, „Studia Iuridica Lublinensia” 2017, vol. XXVI, nr 3, s. 77–92.

Łuszczyna Marek, *Złe. Kobiety w służbie III Rzeszy*, Kraków 2023.

Mailänder Koslov Elissa, „Going East”: *Colonial experiences and practices of violence among female and male Majdanek camp guards (1941–1944)*, „Journal for Genocide Research” 2008, t. 10, nr 4, s. 559–578.

Mailänder Koslov Elissa, *Female SS Guards and Workaday Violence. The Majdanek Concentration Camp, 1942–1944*, East Lansing 2015.

Mailänder Koslov Elissa, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, „Zeszyty Majdanka” 2005, t. XXIII, s. 71–95.

Mailänder Koslov Elissa, *Zwykła praca? Nadzorcynie SS na służbie w obozach Koncentracyjnych*, „Zeszyty Majdanka” 2011, t. XXV, s. 97–113.

Majdanek 1941–1944, red. T. Mencil, Lublin 1991.

Majdanek. Obóz koncentracyjny w relacjach więźniów i świadków, oprac. M. Grudzińska, Lublin 2022.

Majdanek. Rozprawa przed specjalnym sądem karnym w Lublinie, [b.m.w.] 1945.

Majdanek w rysunkach Karola Lindera, oprac. D. Olesiuk, Lublin 2011.

Malinowska Czesława, *Wspomnienia z obozów*, Poznań 2008.

Marszałek Józef, *Budowa obozu koncentracyjnego i ośrodka masowej zagłady na Majdanku w latach 1942–1944*, „Zeszyty Majdanka” 1969, t. IV, s. 21–90.

Marszałek Józef, *Geneza i początki budowy obozu koncentracyjnego na Majdanku*, „Zeszyty Majdanka” 1965, t. I, s. 15–75.

Marszałek Józef, *Majdanek obóz koncentracyjny w Lublinie*, Warszawa 1987.

Marszałek Józef, *Struktura organizacyjna obozu*, „Kamena” 1963, s. 7 i 14.

McKale Donald M., *Naziści. Na celowniku sprawiedliwości*, przeł. J. Sawicka, Warszawa 2013.

McQuiston John T., *Ex-Chief Immigration Trial Attorney Quits Abruptly*, „New York Times” 1973, December 8, s. 72.

Mears Charlotte, *A Social History of the Aufseherinnen of Auschwitz*, London 2020.

Michałowicz Mieczysław, *Piekło trwało od 8 godziny rano aż do zmroku*, [w:] *Masowe egzekucje Żydów 3 listopada 1943 r., Majdanek Poniatowa, Trawniki. Wspomnienia*, Lublin 1988, s. 9–10.

Milewski Piotr, *Zbrodniarze pod ochroną*, „Newsweek Historia” 2015, nr 11, s. 15–21.

Mordercze natury. Wybrane przykłady zbrodniarzy i zbrodniarek w literaturze i kulturze, red. S. Cieśliński, N. Dmitruk, J. Płoszaj, Wrocław 2020.

Murawska Zofia, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, „Zeszyty Majdanka” 1969, t. IV, s. 91–173.

Murawska Zofia, *System strzeżenia i sposoby izolacji więźniów w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, „Zeszyty Majdanka” 1965, t. I, s. 76–132.

Murawska Zofia, *Udręki kobiet*, „Kamena” 1963, s. 6–7.

Musiół Józef, *Człowiek i zbrodnia*, Oświęcim 1998.

Musiół Józef, *Świadkowie*, Katowice 1979.

Muszkowska-Penson Joanna, Grzela Remigiusz, *Było, więc minęło. Joanna Penson – dziewczyna z Ravensbrück, kobieta „Solidarności”, lekarka Wałęsy*, Warszawa 2017.

Muszkowska-Penson Joanna, Wąs Marek, *Mój dom Ravensbrück. 65. rocznica wyzwolenia obozu*, „Duży Format”. Czwartkowiec „Gazety Wyborczej” 2010, nr 16, s. 10–13.

Muża Marianna, *Radykalizm prawicowy w NRF (na przykładzie rozwoju i działalności NRD)*, Katowice 1968.

Müller-Münch Ingrid, *Die Frauen von Majdanek. Vom zerstörten Leben der Opfer und der Mörderinnen*, Hamburg 1982.

My z Majdanka. Wspomnienia byłych więźniarek, red. K. Tarasiewicz, Lublin 1988.

Nijakowski Lech M., *Rozkosz zemsty. Socjologia historyczna mobilizacji ludobójczej*, Warszawa 2013.

Nijakowski Lech M., *Grzeczni ludobójcy. Dobrze wychowani obywatele w służbie zbiorowej przemocy*, „Colloquia Anthropologica et Communicativa. Tabu, etykieta, dobre obyczaje” 2009, nr 1, s. 257–278.

Nowak Bogdan, *Każdy dzień zbliża nas do wolności. Wspomnienia więźniarek obozu koncentracyjnego na Majdanku*, <https://zamosc.naszemiasto.pl/kazdy-dzien-zbliza-nas-do-wolnosci-wspomnienia-wiezniarek/ar/c5-8572613>; dostęp: 17.09.2022.

Obara Lech, Topa Szymon, *Sprawiedliwość po niemiecku. System sądowniczy RFN torpeduje prawo unijne dające polskim obywatelom możliwość walki o prawdę historyczną. Dlaczego wyroki polskich sądów nie są automatycznie wykonywane na terenie Niemiec?*, „Do Rzeczy” 2021, nr 23, s. 59–62.

Pawlicki Artur, *Procesy osób oskarżonych o popełnienie zbrodni nazistowskich w tzw. „Kraju Warty” przed polskimi sądami specjalnymi w latach 1945–1946*, Poznań 2014.

Pajuro Ewa, *Powojenna idylla „Kobyły”*, „Polska Kurier Lubelski” 2013, nr 51, dod. „Magazyn”, s. VI.

Perzanowska Stefania, *Gdy myśli do Majdanka wracają*, Lublin 1970.

Pesendorfer David, *Die Privaten Briefe von Hitlers KZ-Schlächterin*, „News” 2013, nr 8, s. 44–49.

Pięciak Wojciech, *Niemiecka pamięć. Współczesne spory w Niemczech o miejsce III Rzeszy w historii, polityce i tożsamości (1989–2001)*, Kraków 2002.

Pilichowski Czesław, *Zbrodnie hitlerowskie na dzieciach i młodzieży polskiej 1939–1945*, Warszawa 1972.

Pitzer Andrea, *Noc, która się nie kończy. Historia obozów koncentracyjnych*, przeł. B. Pietrzyk, Kraków 2020.

Ponad ludzką miarę. Wspomnienia operowanych w Ravensbrück, Warszawa 1972.

Posmysz Zofia, *Do wolności, do śmierci, do życia*, Warszawa 1996.

Póltawska Wanda, *I boję się snów*, Częstochowa 1998.

Prusin Alexander V., *Polska Norymburga. Siedem procesów przed Najwyższym Trybunałem Narodowym, 1946–1948*, przeł. E. Olender-Dmowska, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2013, nr 9, s. 116–140.

Putrament Jerzy, *Fabryka śmierci na Majdanku*, „Rzeczpospolita” 1944, nr 3, s. 3.

Putrament Jerzy, *Fabryka śmierci na Majdanku (II)*, „Rzeczpospolita” 1944, nr 4, s. 3.

Putrament Jerzy, *Pół wieku, t. II, Wojna*, Warszawa 1969.

Pytko Kazimierz, *Latynoska filia III Rzeszy*, „Focus Historia Ekstra” 2021, nr 5, s. 88–99.

Rafałowski Franciszek, *Ekstradycja zbrodniarzy hitlerowskich po II wojnie światowej*, [w:] *Zbrodnie i sprawcy. Ludobójstwo hitlerowskie przed sądem ludzkości i historii*, red. Cz. Pilichowski, Warszawa 1980, s. 833–845.

Ramotowski Zbigniew, *Spojrzenie w twarz mordercy...*, „Życie Warszawy” 1977, nr 204, s. 5.

Ramotowski Zbigniew, *Proces „Majdanek” – po trzech latach. Dzień numer 298*, „Życie Warszawy” 1978, nr 281, s. 7.

Rees Laurence, *Auschwitz. Naziści i „ostateczne rozwiązanie”*, przeł. P. Stachura, Warszawa 2018.

Rhodes Richard, *Mistrzowie śmierci. Einsatzgruppen*, przeł. M. Urbański, Warszawa 2008.

Roland Paul, *Nazistki. Okrutne, wyrachowane, uległe*, przeł. M. Sieduszewski, Warszawa 2016.

Roth Rachel, *Przysięgnij, że opowiesz*, Warszawa 2020.

Rutkowska-Kurcyszowa Maria, *Kamyki Dawida. Wspomnienia*, Katowice 2005.

Ryszka Franciszek, *Państwo stanu wyjątkowego. Rzecz o systemie państwa i prawa Trzeciej Rzeszy*, Wrocław 1985.

Sachslehner Johannes, *Zarządca do spraw śmierci. Odilo Globocnik. Eksterminacja i obozy zagłady*, przeł. M. Kilis, Warszawa 2014.

Salzborn Samuel, *Zbiorowa niewinność. Wypieranie Szoah z niemieckiej pamięci*, przeł. K. Markiewicz, Warszawa 2022.

Sands Philippe, *Szlak szczurów. Historia ucieczki nazistowskiego oprawcy*, przeł. A. Czwojdrak, Kraków 2022.

Sawicki Jerzy, *Proces Majdanka*, [w:] *W stołecznym Lublinie*, red. M. Bechcycz-Rudnicka, Lublin 1959, s. 167–176.

Sawicki Jerzy, *To jest Majdanek*, „Kamena” 1959, nr 15, s. 2.

Schäfer Silke, *Zum Selbstverständnis von Frauen im Konzentrationslager. Das Lager Ravensbrück*, Berlin 2002.

Schumach Murray, *Neighbors Defend Ex-Nazi Guard U.S. Seeks to Deport*, „New York Times” 1972, 20 June, s. 20.

Segev Tom, *Szymon Wiesenthal. Życie i legenda*, przeł. M. Sobelman, Warszawa 2010.

Schlink Bernhard, *Lektor*, przeł. K. Niedenthal, Warszawa 2009.

Schöneman-Łuniewska Stanisława, *Kobiety z całej Europy*, [w:] *Muzułman wraca do domu i inne pamiętniki więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych*, Kraków 1985, s. 27–70.

Schröm Oliver, Röpke Andrea, *Cicha pomoc dla nazistów*, przeł. A.M. Władyka, Zakrzewo 2015.

Serca niezagaste. Wspomnienia więźniarek z Ravensbrück, Warszawa 1979.

Setkiewicz Piotr, *Załoga SS w KL Auschwitz*, Oświęcim 2017.

Siejwa Feliks, *Była to największa egzekucja w dziejach obozu koncentracyjnego*, [w:] *Masowe egzekucje Żydów 3 listopada 1943 r., Majdanek Poniatowa, Trawniki. Wspomnienia*, Lublin 1988, s. 10–14.

Sobański Antoni, *Cywil w Berlinie*, Warszawa 1934.

Sobieszczyk Agnieszka, *Związek Dziewcząt Niemieckich w systemie nazistowskiej indoktrynacji*, „Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi” 2004, t. 27, s. 331–355.

- Sofsky Wolfgang, *Traktat o przemocy*, przeł. M. Adamski, Wrocław 1999.
- Sofsky Wolfgang, *Ustrój terroru. Obóz koncentracyjny*, przeł. M. Łukasiewicz, Warszawa 2016.
- Sprawiedliwość, zemsta i rewolucja. Rozliczenia z wojną i okupacją w Europie Środkowo-Wschodniej*, red. A. Paczkowski, Gdańsk 2016.
- Stanisławski Andrzej, *Byłem świadkiem oskarżenia*, Warszawa 1982.
- Stanisławski Andrzej, *Pole śmierci*, Lublin 1969.
- Stankowski Witold, *Szymon Wiesenthal. Biografia*, Warszawa 2009.
- Stankowski Witold, *Szymon Wiesenthal – na tropie nazistów i sprawiedliwości*, „Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi” 2009, t. 31, s. 167–181.
- Stankowski Witold, *Ściganie i karanie zbrodniarzy hitlerowskich w Niemczech oraz w Polsce po II wojnie światowej. Pomiędzy doraźnym działaniem a polityką*, „Politeja. Pismo Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego” 2006, nr 5, s. 377–399.
- Stanuch Zbigniew, *Historia nie do zapomnienia. Perspektywa polska*, Szczecin 2020.
- Steinacher Gerald, *Zbiegli naziści. Jak hitlerowscy zbrodniarze uciekli przed sprawiedliwością*, przeł. M. Antosiewicz, Wołowiec 2015.
- Strebel Bernhard, „Przepaść nie do przebycia” – kompleks obozowy KL Ravensbrück, przeł. A. Lenarczyk, „Zeszyty Majdanka” 2008, t. XXIV, s. 9–63.
- Strzelecki Krzysztof, *Sprawa nie tylko Herminy Braunsteiner. Wywiad dra Pilichowskiego dla PA „Interpress”*, „Życie Warszawy” 1973, nr 69, s. 5.
- Szubarczyk Piotr, *Powrót na szczęście*, „Biuletyn IPN” 2003, nr 7, s. 41–46.
- Ściganie i karanie sprawców zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości (Wybór dokumentów)*, red. C. Pilichowski, Warszawa 1978.
- Tarasiewicz Krystyna, *Pamiętam – nie zapomnę nigdy. Relacja z procesu w Düsseldorfie*, „Radar” 1980, nr 5, s. 10–14.
- Teklik Joanna, *Balansując na krawędzi słowa: specyfika kobiecych świadectw obozowych (Delbo, Millu, Szmaglewska, Żywulska)*, „Poznańskie Studia Polonistyczne. Seria Literacka” 2010, nr 17, s. 249–262.

Tokarz Zofia, *Eksterminacja dzieci w obozach hitlerowskich na ziemiach polskich w latach 1939–1945*, [w:] *Zbrodnie i sprawcy. Ludobójstwo hitlerowskie przed sądem ludzkości i historii*, red. Cz. Pilichowski, Warszawa 1980, s. 563–579.

Tyrankiewiczowa Helena, *W Ravensbrück*, [w:] *Pamiętniki nauczycieli z obozów i więzień hitlerowskich (1939–1945)*, Warszawa 1962, s. 564–619.

Wachsmann Nikolaus, *Historia nazistowskich obozów koncentracyjnych*, przeł. M. Antosiewicz, Warszawa 2020.

Węgrzyn Łukasz, *Morfologia nazistowskich obozów koncentracyjnych i zagłady na terytorium okupowanej Polski*, Łódź 2018.

Wichert Wojciech, *Rola i znaczenie kobiety w życiu społeczno-politycznym III Rzeszy*, „Przegląd Zachodniopomorski” 2012, t. XXVII, z. 2, s. 155–169.

Wieliczka-Szarkowa Joanna, *III Rzesza. Zbrodnie bez kary*, Kraków 2015.

Wieliński Bartosz T., *Cicha Pomoc dla nazistów*, <https://web.archive.org/web/20080612234609/http://wyborcza.pl/1,76842,4666891.html>, dostęp: 17.09.2022.

Wierzbicki Bogdan, *O azylach i ekstradycji przestępców*, Warszawa 1982.

Wierzbicki Bogdan, *Prawo międzynarodowe publiczne. Zarys wykładu*, Białystok 2000.

Wiesenthal Szymon, *Prawo, nie zemsta. Wspomnienia*, przeł. A. Albrecht, Warszawa 1992.

Wińska Urszula, *My się bronimy*, [w:] *Pamiętniki nauczycieli z obozów i więzień hitlerowskich (1939–1945)*, Warszawa 1962, s. 482–563.

Wińska Urszula, *Zwyciężyły wartości. Wspomnienia z Ravensbrück*, Gdańsk 1985.

Witczak Jakub, *Gruba kreska kanclerza*, „Focus Historia Ekstra” 2021, nr 5, s. 82–87.

Witek-Malicka Wanda, *Czy to jest kobieta...? Obraz SS-Aufseherinnen we wspomnieniach Dzieci Oświęcimia*, [w:] *O współczesnych praktykach genderyzacji ciała*, red. K. Wódz, Katowice 2014, s. 133–148.

Woodward Kenneth L., Collings Anthony, „Nowe odkrycia”, „Forum” 1977, nr 32, s. 22.

Wyman David S., *Pozostawieni swemu losowi. Ameryka wobec Holocaustu 1941–1945*, przeł. W. Sadkowski, Warszawa 1994.

Zbrodnia bez kary... Eksterminacja i cierpienie polskich dzieci pod okupacją niemiecką 1939–1945, red. J. Kostkiewicz, Kraków 2020.

Zbrodnia bez kary, oprac. zbiorowe, Kraków 2022.

Zimbardo Philip G., *Efekt Lucyfera. Dlaczego dobrzy ludzie czynią zło?*, przeł. A. Cybulko, Warszawa 2009.

PRZYPISY

- [1] Powyższy wierszyk napisała dziewięcioletnia dziewczynka, prawdopodobnie pochodzenia żydowskiego, więźniarka Majdanka, ofiara Zagłady. Napisany po polsku w 1942 lub 1943 roku, został odnaleziony na karteczce ukrytej w buciku w Wałczu, do którego wywożono odzież zrabowaną więźniom Majdanka. Elżunia napisała, że śpiewa tę piosenkę na melodię *Z popielnika na Wojtusia iskiereczka mruga*.
- [2] S. Wiesenthal, *Prawo, nie zemsta. Wspomnienia*, przeł. A. Albrecht, Warszawa 1992, s. 154.
- [3] E. Lichtblau, *Sąsiedzi naziści. Jak Ameryka stała się bezpiecznym schronieniem dla ludzi Hitlera*, przeł. K. Skonieczny, Kraków 2015, s. 151.
- [4] S. Wiesenthal, op. cit., s. 154.
- [5] E. Lichtblau, op. cit., s. 151–152.
- [6] S. Wiesenthal, op. cit., s. 154–155.
- [7] *Aufseherin* (niem.) – nadzorczyni, w relacjach i wspomnieniach obozowych ta raczej rzadka, choć używana w języku obozowym nazwa – niemal oficjalna, nieodmienna – była zastępowana z reguły przez spolszczenia typu: aufzejerka, aufzjerka lub aufzejerinka.
- [8] Ibidem, s. 154–156.
- [9] E. Lichtblau, op. cit., s. 151–152.
- [10] P. Roland, *Nazistki. Okrutne, wyrachowane, uległe*, przeł. M. Sieduszewski, Warszawa 2016, s. 226–227.
- [11] K. Kompisch, *Sprawczynie*, przeł. S. Kupisz, N. Badiyan-Siekierzycka, Warszawa 2012, s. 240.

- [12] D. Graczyk, *Portret kobiety w strukturach SS-Gefolge na przykładzie obozu Stutthof*, „Zeszyty Muzeum Stutthof” 2014, nr 2, s. 87.
- [13] M. Felton, *Polowanie na ostatnich nazistów. Sensacyjne dzieje poszukiwania ukrywających się morderców – za III Rzeszy dumnych panów życia i śmierci, którzy wzbudzali strach samym istnieniem*, przeł. M. Baranowski, Warszawa 2013, s. 97.
- [14] D. Graczyk, op. cit., s. 59.
- [15] S. Buryła, *Męski faszyzm*, „Teksty Drugie” 2015, nr 2, s. 150–151.
- [16] Ibidem, s. 158.
- [17] M. Felton, op. cit., s. 98.
- [18] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, „Zeszyty Majdanka” 2005, t. XXIII, s. 92.
- [19] K. Kompisch, op. cit., s. 15.
- [20] S. Buryła, op. cit., s. 151.
- [21] L.M. Nijakowski, *Grzeczni ludobójcy. Dobrze wychowani obywatele w służbie zbiorowej przemocy*, „Colloquia Anthropologica et Communicativa. Tabu, etykieta, dobre obyczaje” 2009, nr 1, s. 277.
- [22] B. Dżon-Ozimek, *Maria Mandl. Zakłamywany akt zgonu „Bestii” z Auschwitz*, „Gazeta Wyborcza” (Kraków) 2017, nr 109, s. 14.
- [23] S. Cisowska, *Pokojówka w podkutych butach*, <https://wiadomosci.onet.pl/kiosk/pokojowka-w-podkutych-butach/w2w23>; dostęp: 09.02.2023.
- [24] *Hermine Ryan-Braunsteiner*, <https://www.majdanek.eu/pl/search/hermine%20braunsteiner>; dostęp: 06.02.2023.
- [25] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, Warszawa 1983, s. 151–152.
- [26] S. Cisowska, op. cit., dostęp: 09.02.2023.
- [27] *Hermine Ryan-Braunsteiner*, op. cit., dostęp: 06.02.2023.
- [28] Ibidem.
- [29] Eksperymenty rozpoczęto 1 sierpnia 1942 roku. Po konsultacji z Instytutem Higieny Waffen SS postanowiono dodawać do ran odłamki szkła, metalu, ziemi lub waty drzewnej w celu uzyskania warunków jak najbardziej zbliżonych do frontowych. Jak podaje strona KL Lublin, w każdej grupie część operowanych kobiet była leczona sulfonamidami, czyli lekami mającymi zahamować zakażenie bakteriami beztlenowymi i ropotwórczymi. Do operacji najczęściej wykorzystywano zarazki zgorzeli gazowej, gronkowca złocistego oraz tężca. Wprowadzane były przez iniekcję bezpośrednio do kończyny dolnej bądź przez nacięcie skóry i umieszczenie ich w ranie. Dodatkowo miażdżono mięśnie, wywołując martwicę tkanek, ułatwiając tym samym rozwój bakterii.
- [30] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, s. 154.
- [31] D. Graczyk, op. cit., s. 61.
- [32] P. Roland, op. cit., s. 229–230.
- [33] D. Graczyk, op. cit., s. 58.

- [34] Ibidem, s. 61.
- [35] W. Witek-Malicka, *Czy to jest kobieta...? Obraz SS-Aufseherinnen we wspomnieniach Dzieci Oświęcimia*, [w:] *O współczesnych praktykach genderyzacji ciała*, red. K. Wódz, Katowice 2014, s. 138.
- [36] D. Graczyk, op. cit., s. 62–63.
- [37] D. P. Brown, *Piękna bestia. Zbrodnie SS-Aufseherin Irmy Grese*, przeł. J.S. Zaus, Zakrzewo 2017, s. 103–104.
- [38] S. Cisowska, op. cit., dostęp: 09.02.2023.
- [39] M. Łuszczyna, *Złe. Kobiety w służbie III Rzeszy*, Kraków 2023, s. 19–20.
- [40] „Formularz rekrutacyjny dla kandydatek na nadzorczynie SS, archiwum Miejsca Pamięci Dachau”, sygn. 6716.
- [41] M. Felton, op. cit., s. 89.
- [42] Cyt. za: M. Łuszczyna, op. cit., s. 22.
- [43] D. Graczyk, op. cit., s. 64.
- [44] Ibidem.
- [45] Ibidem.
- [46] M. Felton, op. cit., s. 90.
- [47] K. Kompisch, op. cit., s. 252.
- [48] E. Fechner, *Proces. Obóz w Majdanku w świetle wypowiedzi uczestników rozprawy przed Sądem Krajowym w Düsseldorfie*, przeł. T. Kranz, Lublin 1996, s. 56.
- [49] D. Graczyk, op. cit., s. 64.
- [50] J. Czopowicz, *SS-Aufseherin. Nadzorczynie z Ravensbrück*, Warszawa 2021, s. 62.
- [51] E. Fechner, op. cit., s. 53–54.
- [52] K. Kompisch, op. cit., s. 259.
- [53] D. Graczyk, op. cit., s. 87.
- [54] E. Fechner, op. cit., s. 53.
- [55] E. Fechner, op. cit., s. 54.
- [56] *Tom VII protokołu rozprawy w sprawie przeciwko b. członkom załogi obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu*, sygn. IPN GK 196/167, k. 3.
- [57] Ibidem, k. 143.
- [58] S. Buryła, *Męski faszyzm*, „Teksty Drugie” 2015, nr 2, s. 149.
- [59] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca? Nadzorczynie SS na służbie w obozach koncentracyjnych*, „Zeszyty Majdanka” 2011, t. XXV, s. 98–99.
- [60] L.M. Nijakowski, op. cit., s. 271.
- [61] D. Graczyk, op. cit., s. 64–65.
- [62] Ibidem, s. 65.

- [63] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, s. 107.
- [64] Ibidem.
- [65] D. Graczyk, op. cit., s. 78.
- [66] L.M. Nijakowski, op. cit., s. 270.
- [67] Ibidem.
- [68] D. Graczyk, op. cit., s. 83.
- [69] K. Kompisch, op. cit., s. 241.
- [70] M. Łuszczyna, op. cit., s. 20.
- [71] D. Graczyk, op. cit., s. 87.
- [72] Z. Kisielewska, *Bicze Hitlera*, „Focus Historia Ekstra” 2021, nr 5, s. 49.
- [73] J. Fest *Pytania bez odpowiedzi. Rozmowy z Albertem Speerem*, przeł. R. Bieniek, Wrocław 2006, s. 171.
- [74] D. Graczyk, op. cit., s. 61.
- [75] T. Fedorszczak, *Aufseherinnen – kobiety personel w obozach koncentracyjnych SS i ich odpowiedzialność za zbrodnie wojenne (1937-1945)*, [w:] *Pozycja prawna kobiet w dziejach*, red. S. Rogowski, Wrocław 2010, s. 202.
- [76] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit., s. 99.
- [77] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 91.
- [78] D. Graczyk, op. cit., s. 66.
- [79] Ibidem.
- [80] H. Birenbaum, *Nadzieja umiera ostatnia*, Warszawa 1967, s. 87 i 89.
- [81] Bundesarchiv Berlin, NS 4/Ra/vor. 1 fol.1–25, Blatt 3–5.
- [82] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit., s. 100.
- [83] Ibidem, s. 109.
- [84] Ibidem, s. 98.
- [85] Ibidem.
- [86] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, „Zeszyty Majdanka” 1969, t. IV, s. 92.
- [87] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit., s. 97.
- [88] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 101.
- [89] B. Nowak, *Każdy dzień zbliża nas do wolności. Wspomnienia więźniarek obozu koncentracyjnego na Majdanku*, <https://zamosc.naszemiasto.pl/kazdy-dzien-zbliza-nas-do-wolnosci-wspomnienia-wiezniarek/ar/c5-8572613>; dostęp: 17.09.2022.
- [90] S. Buryła, op. cit., s. 150.
- [91] A. Sobański, *Cywil w Berlinie*, Warszawa 1934, s. 38.

- [92] P. Roland, op. cit., s. 250–251.
- [93] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit., s. 101.
- [94] P. Roland, op. cit., s. 250–251.
- [95] S. Cisowska, op. cit., dostęp: 09.02.2023.
- [96] D. Graczyk, op. cit., s. 67.
- [97] Ibidem.
- [98] D. Brzosko-Mędryk, *Niebo bez ptaków*, Warszawa 1968, s. 158.
- [99] Tym pojęciem w eseju *Experten des Terrors. Die Konzentrationslager-SS und die Shoah* Karin Orth określiła elitę rządzącą w obozach koncentracyjnych, czyli wyższych dowódców SS.
- [100] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit., s. 97–98.
- [101] J. Marszałek, *Majdanek obóz koncentracyjny w Lublinie*, Warszawa 1987, s. 9.
- [102] I. Strzelecka, *Kary w KL Auschwitz*, Oświęcim 2009, s. 7.
- [103] *Majdanek. Obóz koncentracyjny w relacjach więźniów i świadków*, oprac. M. Grudzińska, Lublin 2022, s. 9.
- [104] J. Marszałek, *Geneza i początki budowy obozu koncentracyjnego na Majdanku*, „Zeszyty Majdanka” 1965, t. I, s. 32.
- [105] *Majdanek. Obóz koncentracyjny w relacjach więźniów i świadków*, oprac. M. Grudzińska, Lublin 2022, s. 9.
- [106] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 93.
- [107] J. Marszałek, *Geneza i początki budowy obozu koncentracyjnego na Majdanku*, op. cit., s. 24.
- [108] *Zbrodnia bez kary... Eksterminacja i cierpienie polskich dzieci pod okupacją niemiecką 1939–1945*, red. J. Kostkiewicz, Kraków 2020, s. 134.
- [109] M. Grudzińska, *O czym mówią byli więźniowie Majdanka? Doświadczenia osobiste a pamięć publiczna*, [w:] *Świadkowie. Między ofiarą a sprawcą zbrodni*, red. A. Bartuś, Oświęcim 2017, s. 15–16.
- [110] Z. Murawska, *System strzeżenia i sposoby izolacji więźniów w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, „Zeszyty Majdanka” 1965, t. I, s. 79.
- [111] J. Marszałek, *Geneza i początki budowy obozu koncentracyjnego na Majdanku*, op. cit., s. 21–22.
- [112] *Majdanek*, op. cit., s. 9.
- [113] Z. Murawska, *System strzeżenia i sposoby izolacji więźniów w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, s. 100.
- [114] *My z Majdanka. Wspomnienia byłych więźniarek*, red. K. Tarasiewicz, Lublin 1988, s. 44.
- [115] Cyt. za: M. Grudzińska, *Los dzieci w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, [w:] *Zdeptane dzieciństwo. II wojna światowa i jej wpływ na sytuację dzieci*, red. A. Bartuś, P. Trojański, Oświęcim 2017, s. 117.

- [116] Ibidem.
- [117] *Geld, Geld, Schmuck ab!* (niem.) – Pieniądze, pieniądze, biżuteria [oddawać]!
- [118] *Majdanek*, op. cit., s. 217–218.
- [119] M. Grudzińska, *Los dzieci w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 124.
- [120] *Majdanek*, op. cit., s. 217–218.
- [121] P. Bukalska, *Numery w kolorze lila*, „Tygodnik Powszechny” 2009, nr 14, dodatek „Historia jest kobietą”, s. IV.
- [122] Ibidem, s. V.
- [123] *My z Majdanka*, op. cit., s. 75.
- [124] D. Graczyk, op. cit., s. 79.
- [125] *Majdanek*, op. cit., s. 58.
- [126] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 126.
- [127] *Majdanek*, op. cit., s. 92.
- [128] H. Birenbaum, *Nadzieja umiera ostatnia*, Warszawa 1967, s. 84.
- [129] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 126.
- [130] Ibidem, s. 143.
- [131] *Majdanek*, op. cit., s. 16.
- [132] Ibidem, s. 169.
- [133] Ibidem, s. 93.
- [134] Ibidem, s. 85–86.
- [135] M. Grudzińska, *Los dzieci w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 115.
- [136] Ibidem, s. 128.
- [137] Z. Murawska, *System strzeżenia i sposoby izolacji więźniów w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 98.
- [138] Ibidem, s. 99.
- [139] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit., s. 102.
- [140] E. Fechner, op. cit., s. 15.
- [141] *Häftling* (niem.) – więzień/więźniarka.
- [142] W. Kiedrzyńska, *Ravensbrück. Kobiety obóz koncentracyjny*, Warszawa 1965, s. 46–47.
- [143] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit., s. 101–102.
- [144] *My z Majdanka*, op. cit., s. 155.
- [145] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 256–257.
- [146] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit., s. 102.
- [147] Ibidem.

- [148] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 267.
- [149] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit, s. 105.
- [150] J. Sawicki, *Proces Majdanka*, [w:] *W stołecznym Lublinie*, red. M. Bechczyc-Rudnicka, Lublin 1959, s. 172.
- [151] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit, s. 334.
- [152] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit, s. 110.
- [153] E. Pajuro, *Nadzorczyńni z Majdanka: Powojenna idylla „Kobyły”*, „Polska Kurier Lubelski” 2013, nr 51, dod. „Magazyn”, s. VI.
- [154] *Jesteśmy świadkami. Wspomnienia byłych więźniów Majdanka*, Lublin 1969, s. 218.
- [155] E. Fechner, op. cit., s. 36.
- [156] Z. Jagoda, S. Kłodziński, J. Masłowski, *Oświęcim nieznany*, Kraków 1981, s. 53.
- [157] *Hermine Ryan-Braunsteiner*; op. cit., dostęp: 06.02.2023.
- [158] Ibidem, s. 113.
- [159] S. Cisowska, op. cit., dostęp: 09.02.2023.
- [160] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit, s. 101.
- [161] Ibidem, s. 101.
- [162] I. Müller-Münch, *Die Frauen von Majdanek. Vom zerstörten Leben der Opfer Und der Mörderinnen*, Hamburg 1982, s. 93.
- [163] K. Tarasiewicz, *Pamiętam – nie zapomnę nigdy. Relacja z procesu w Düsseldorfie*, „Radar” 1980, nr 5, s. 13.
- [164] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit, s. 59.
- [165] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit, s. 106.
- [166] M. Grudzińska, *Los dzieci w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit, s.133.
- [167] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit, s. 58.
- [168] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit, s. 105.
- [169] E. Kozłowska, Z. Kozłowski, *Byłam pokojówką komendanta Konzentrationslager Majdanek*, Lublin 2018, s. 43.
- [170] E. Fechner, op. cit., s. 59.
- [171] J. Kwiatkowski, *485 dni na Majdanku*, Lublin 1988, s. 113.
- [172] A. Lundholm, *Wrota piekieł. Ravensbrück*, przeł. E. Czerwiakowska, Warszawa 2014, s. 272–274.
- [173] *Zbrodnia bez kary... Eksterminacja i cierpienie polskich dzieci pod okupacją niemiecką 1939–1945*, red. J. Kostkiewicz, Kraków 2020, s. 139.
- [174] *Majdanek*, op. cit, s. 44.
- [175] Z. Tokarz, *Eksterminacja dzieci w obozach hitlerowskich na ziemiach polskich w latach 1939–1945*, [w:] *Zbrodnie i sprawcy. Ludobójstwo hitlerowskie przed sądem ludzkości*

i historii, red. Cz. Pilichowski, Warszawa 1980, s. 567.

- [176] E. Fechner, op. cit., s. 136.
- [177] *Hermine Ryan-Braunsteiner*, op. cit., dostęp: 06.02.2023.
- [178] Z. Tokarz, op. cit., s. 568.
- [179] M. Grudzińska, *Los dzieci w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit, s. 121.
- [180] *Hermine Ryan-Braunsteiner*, op. cit., dostęp: 06.02.2023.
- [181] C. Pilichowski, *Zbrodnie hitlerowskie na dzieciach i młodzieży polskiej 1939-1945*, Warszawa 1972, s. 14.
- [182] E. Fechner, op. cit., s. 105.
- [183] *Hermine Ryan-Braunsteiner*, op. cit., dostęp: 06.02.2023.
- [184] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit, s. 51–52.
- [185] *Zbrodnia bez kary...*, op. cit, s. 133.
- [186] K. Tarasiewicz, op. cit., s. 11.
- [187] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit, s. 235.
- [188] I. Müller-Münch, op. cit., s. 99.
- [189] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit, s. 103.
- [190] *Ibidem*.
- [191] S. Wiesenthal, op. cit., s. 156.
- [192] *Hermine Ryan-Braunsteiner*, op. cit., dostęp: 06.02.2023.
- [193] A. Lundholm, op. cit., s. 27–28.
- [194] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit, s. 143.
- [195] D. Brzosko-Mędryk, *Niebo bez ptaków*, s. 160–161.
- [196] *Ibidem*, s. 187.
- [197] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit, s. 104.
- [198] I. Müller-Münch, op. cit., s. 93.
- [199] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, s. 115–116.
- [200] I. Müller-Münch, op. cit., s. 93.
- [201] E. Fechner, op. cit., s. 92.
- [202] E. Pajuro, op. cit., s. VI.
- [203] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit, s. 102.
- [204] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit, s. 35–36.
- [205] *Ibidem*.
- [206] D. Brzosko-Mędryk, *Niebo bez ptaków*, op. cit, s. 235.

- [207] *Verboten, nicht wahr?! Also...* (niem.) – Nie wolno, prawda? Więc...
- [208] *Verboten! Verstehst du, blode Kuh!* (niem.) – Nie wolno! Rozumiesz, ty głupia krowo?
- [209] Ibidem, s. 239.
- [210] S. Cisowska, op. cit., dostęp: 09.02.2023.
- [211] J. Musioł, *Człowiek i zbrodnia*, Oświęcim 1998, s. 137 i 140.
- [212] D. Brzosko-Mędryk, *Niebo bez ptaków*, op. cit, s. 388.
- [213] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit, s. 109.
- [214] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit, s. 55–56.
- [215] Ibidem, s. 157.
- [216] D. Graczyk, op. cit., s. 79–80.
- [217] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit, s. 53–55.
- [218] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, s. 110.
- [219] P. Setkiewicz, *Załoga SS w KL Auschwitz*, Oświęcim 2017, s. 28.
- [220] J. Czopowicz, op. cit., s. 143.
- [221] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit, s. 152.
- [222] D. Graczyk, op. cit., s. 87.
- [223] K. Kompisch, op. cit., s. 280.
- [224] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 101.
- [225] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit., s. 106.
- [226] D. Graczyk, op. cit., s. 80.
- [227] M. Felton, op. cit., s. 90.
- [228] Ibidem, s. 93.
- [229] Z. Krzyżanowska, *Czarna flaga*, Warszawa 1978, s. 112–113.
- [230] H. Birenbaum, op. cit., s. 91.
- [231] E. Kozłowska, Z. Kozłowski, op. cit., s. 35–36.
- [232] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 142.
- [233] B. Czarnecka, *Włosy w kobiecych narracjach lagrowych*, „Acta Universitatis Lodzianis. Folia Litteraria Polonica” 2018, nr 4, s. 192.
- [234] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 143.
- [235] A. Lasik, *Struktura organizacyjna oraz obsada osobowa stanowisk kierowniczych w obozie koncentracyjnym na Majdanku w latach 1941-1944*, „Zeszyty Majdanka” 2003, t. XXII, s. 135–136.
- [236] D. Graczyk, op. cit., s. 67.
- [237] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 144.

- [238] T. Fedorszczak, op. cit., s. 206.
- [239] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 154.
- [240] Ibidem, s. 155.
- [241] Ibidem.
- [242] S. Fikus, *Kodeks drogowy jako instrument amnestii zbrodniarzy hitlerowskich*, „Dzieje Najnowsze. Kwartalnik poświęcony historii XX wieku” 2018, R. 50, nr 2, s. 119–120.
- [243] E. Mailänder Koslov, op. cit., s. 109.
- [244] Ibidem, s. 144.
- [245] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 140.
- [246] D. Graczyk, op. cit., s. 79.
- [247] *Majdanek*, op. cit., s. 92–93.
- [248] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 145.
- [249] Z. Murawska, *System strzeżenia i sposoby izolacji więźniów w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 98.
- [250] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 145.
- [251] Z. Murawska, *System strzeżenia i sposoby izolacji więźniów w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 98–99.
- [252] Ibidem, s. 99.
- [253] A.V. Prusin, *Polska Norymberga. Siedem procesów przed Najwyższym Trybunałem Narodowym, 1946–1948*, przeł. E. Olender-Dmowska, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2013, nr 9, s. 131–132.
- [254] R. Roth, *Przysięgnij, że opowiesz*, Warszawa 2020, s. 185.
- [255] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit., s. 103.
- [256] J. Muszkowska-Penson, M. Wąs, *Mój dom Ravensbrück. 65. rocznica wyzwolenia obozu*, „Duży Format”. Czwartkowiec „Gazety Wyborczej” 2010, nr 16, s. 10–13.
- [257] A. Dąbrowski, *Oblicza śmierci w obozach koncentracyjnych (na przykładach z KL Dachau i KL Lublin)*, [w:] „Koła Historii. Czasopismo afiliowane z Instytutem Historii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie” 2014, nr 15, s. 127–128.
- [258] *Majdanek*, op. cit., s. 60–61.
- [259] D. Graczyk, op. cit., s. 79.
- [260] *Majdanek*, op. cit., s. 40.
- [261] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 144.
- [262] A. Dąbrowski, op. cit., s. 127.
- [263] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 140.
- [264] W. Dobaczewska, *Kobiety z Ravensbrück*, Warszawa–Kraków 2020, s. 37–38.
- [265] P. Bukalska, op. cit., s. IV.

- [266] J. Teklik, *Balansując na krawędzi słowa: specyfika kobiecych świadectw obozowych* (Delbo, Millu, Szmagłewska, Żywulska), „Poznańskie Studia Polonistyczne. Seria Literacka” 2010, nr 17, s. 250.
- [267] Majdanek. *Rozprawa przed specjalnym sądem karnym w Lublinie*, [b.m.w.] 1945, s. 76–77.
- [268] E. Mailänder Koslov, *Zwykła praca?*, op. cit., s. 103.
- [269] *Majdanek*, op. cit., s. 317.
- [270] E. Fechner, op. cit., s. 42–43.
- [271] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 153–154.
- [272] J. Sachslehner, *Zarządca do spraw śmierci. Odilo Globocnik. Eksterminacja i obozy zagłady*, przeł. M. Kilis, Warszawa 2014, s. 245.
- [273] M. Janion, *Bohater, spisek, śmierć. Wykłady żydowskie*, Warszawa 2009, s. 63.
- [274] *Hermine Ryan-Braunsteiner*, op. cit., dostęp: 06.02.2023.
- [275] E. Fechner, op. cit., s. 14.
- [276] *Alle Juden austreten! Alle Juden!* (niem.) – Wszyscy Żydzi, wystąpić! Wszyscy Żydzi!
- [277] *My z Majdanka*, op. cit., s. 58–59.
- [278] *Lagerälteste* (niem.) – starszy/a obozu.
- [279] Z. Murawska, *Kobiety w obozie koncentracyjnym na Majdanku*, op. cit., s. 154.
- [280] F. Siejwa, *Była to największa egzekucja w dziejach obozu koncentracyjnego*, [w:] *Masowe egzekucje Żydów 3 listopada 1943 r., Majdanek Poniatowa, Trawniki. Wspomnienia*, Lublin 1988, s. 12.
- [281] A. Żmijewska-Wiśniewska, *Zeznania szefa krematorium Ericha Muhsfeldta na temat byłego obozu koncentracyjnego w Lublinie (Majdanek)*, „Zeszyty Majdanka” 1965, t. I, s. 143.
- [282] M. Michałowicz, *Piekło trwało od 8 godziny rano aż do zmroku*, [w:] *Masowe egzekucje Żydów 3 listopada 1943 r., Majdanek Poniatowa, Trawniki. Wspomnienia*, Lublin 1988, s. 10.
- [283] M. Grudzińska, *O czym mówią byli więźniowie Majdanka?*, op. cit., s. 16.
- [284] *Majdanek*, op. cit., s. 220.
- [285] *Erntefest, 3–4 listopada 1943. Zapomniany epizod Zagłady*, red. W. Lenarczyk, D. Libionka, Lublin 2009, s. 11.
- [286] L.M. Nijakowski, op. cit., s. 257.
- [287] Syndrom KZ – syndrom poobozowy występujący u byłych więźniów obozów koncentracyjnych, przez co nie mogą oni przystosować się do reszty społeczeństwa.
- [288] M. Grudzińska, *O czym mówią byli więźniowie Majdanka?*, op. cit., s. 16–17.
- [289] P. Bukalska, op. cit., s. V.
- [290] M. Grudzińska, *O czym mówią byli więźniowie Majdanka?*, op. cit., s. 18.
- [291] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 174.
- [292] I. Müller-Münch, op. cit., s. 96.

- [293] M. Łuszczyna, op. cit., s. 15.
- [294] Przekład autorstwa Grzegorza Jekiela, któremu serdecznie dziękuję za pomoc.
- [295] Prawdopodobnie niemiecka transkrypcja nazwiska Szewczyk.
- [296] *Odpis Wyroku Sądu Krajowego w Wiedniu (Landgericht Wien) z dnia 22-11-1949 r. w sprawie karnej przeciwko: Hermine Braunsteiner, ur. 16-07-1919 r., miejsce urodzenia: Wien, nadzorczyni (Aufseherin) w obozach koncentracyjnych na Majdanku (KL Majdanek) i w Ravensbrück (KL Ravensbrück), oskarżona o znęcanie się nad więźniami*, sygn. IPN Bu 2586/110.
- [297] The United Nations War Crimes Commission (UNWCC) – Komisja Narodów Zjednoczonych do spraw Zbrodni Wojennych.
- [298] F. Rafałowski, *Ekstradycja zbrodniarzy hitlerowskich po II wojnie światowej*, [w:] *Zbrodnie i sprawcy. Ludobójstwo hitlerowskie przed sądem ludzkości i historii*, red. Cz. Pilichowski, Warszawa 1980, s. 841.
- [299] Ibidem, s. 844.
- [300] D. Graczyk, op. cit., s. 81.
- [301] F. Rafałowski, op. cit., s. 833.
- [302] Ibidem, s. 834.
- [303] *Ściganie i karanie sprawców zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości (Wybór dokumentów)*, red. C. Pilichowski, Warszawa 1978, s. 135.
- [304] F. Rafałowski, op. cit., s. 837.
- [305] J. Gumkowski, T. Kułakowski, *Zbrodniarze hitlerowscy przed Najwyższym Trybunatem Narodowym*, Warszawa 1961, s. VI.
- [306] Między innymi International Commission for Penal Development and Reconstruction (Komisji Rekonstrukcji i Rozwoju Prawa Karnego) w Cambridge czy Komisji Narodów Zjednoczonych do spraw Zbrodni Wojennych.
- [307] J. Lubecka, *Karanie niemieckich zbrodniarzy wojennych w Polsce*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2011, nr 34, s. 20.
- [308] F. Rafałowski, op. cit., s. 835.
- [309] J. Lubecka, *Karanie niemieckich zbrodniarzy wojennych w Polsce*, op. cit., s. 38.
- [310] T. Cyprian, J. Sawicki, *Oskarżamy*, Kraków 1949, s. 41.
- [311] J. Sawicki, *Proces Majdanka*, [w:] *W stołecznym Lublinie*, red. M. Bechcycz-Rudnicka, Lublin 1959, s. 167.
- [312] J. Lubecka, *Karanie niemieckich zbrodniarzy wojennych w Polsce*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2011, nr 34, s. 30.
- [313] J. Putrament, *Pół wieku, t. II, Wojna*, Warszawa 1969, s. 296–297.
- [314] Ibidem, s. 297–298.
- [315] J. Lubecka, *Karanie niemieckich zbrodniarzy wojennych w Polsce*, op. cit., s. 35.
- [316] J. Putrament, op. cit., s. 298–299.

- [317] J. Lubecka, *Karanie niemieckich zbrodniarzy wojennych w Polsce*, op. cit., s. 36.
- [318] S. Kania, *Proces zbrodniarzy z Majdanka*, Warszawa 1987, op. cit., s. 15.
- [319] D.P. Brown, op. cit., s. 23.
- [320] D. Graczyk, op. cit., s. 86.
- [321] W. Witek-Malicka, op. cit., s. 134.
- [322] M. Felton, op. cit., s. 95.
- [323] Ibidem, s. 97.
- [324] S. Wiesenthal, op. cit., s. 173–174.
- [325] I. Müller-Münch, op. cit., s. 56.
- [326] S. Fikus, *Kodeks drogowy jako instrument amnestii zbrodniarzy hitlerowskich*, s. 120.
- [327] J. Witczak, *Gruba kreska kanclerza*, „Focus Historia Ekstra” 2021, nr 5, s. 87.
- [328] M. Felton, op. cit., s. 10.
- [329] J. Witczak, op. cit., s. 84.
- [330] S. Fikus, *Trudny spadek dysydentów III Rzeszy w Republice Federalnej Niemiec*, Warszawa 2013, s. 159.
- [331] J. Lubecka, *Karanie niemieckich zbrodniarzy wojennych w Polsce*, op. cit., s. 24.
- [332] S. Cisowska, op. cit., dostęp: 09.02.2023.
- [333] J. Witczak, op. cit., s. 85.
- [334] J. Lubecka, *Powojenne kariery hitlerowców*, [w:] *Naród w niewoli*, red. F. Musiał, Kraków 2014, s. 157.
- [335] *Hermine Ryan-Braunsteiner*, op. cit., dostęp: 06.02.2023.
- [336] W. Stankowski, *Szymon Wiesenthal – na tropie nazistów i sprawiedliwości*, „Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi” 2009, T. 31, s. 167.
- [337] S. Wiesenthal, op. cit., s. 158–160.
- [338] Ibidem, s. 160–162.
- [339] E. Pajuro, op. cit., s. VI.
- [340] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 114.
- [341] *Hermine Ryan-Braunsteiner*, op. cit., dostęp: 06.02.2023.
- [342] E. Pajuro, op. cit., s. VI.
- [343] S. Cisowska, op. cit., dostęp: 09.02.2023.
- [344] E. Lichtblau, op. cit., s. 153.
- [345] Ibidem.
- [346] Ibidem.
- [347] J. Lelyveld, *Former Nazi Camp Guard Is Now a Housewife in Queens*, „New York Times” 1964, July 14, s. 10.

- [348] Ibidem.
- [349] E. Lichtblau, op. cit., s. 155.
- [350] Ibidem.
- [351] T. Segev, *Szymon Wiesenthal. Życie i legenda*, przeł. M. Sobelman, Warszawa 2010, s. 387.
- [352] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 115.
- [353] Ibidem, s. 114–115.
- [354] M. Schumach, *Neighbors Defend Ex-Nazi Guard U.S. Seeks to Deport*, „New York Times” 1972, 20 June, s. 20.
- [355] Ibidem.
- [356] Ibidem.
- [357] S. Wiesenthal, op. cit., s. 165.
- [358] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 112.
- [359] T. Segev, op. cit., s. 387.
- [360] Dipisi – od angielskiego określenia *displaced persons* – osoby wywiezione na przymusowe roboty do III Rzeszy, pod koniec drugiej wojny światowej uwolnione z obozów koncentracyjnych, które nie wróciły do kraju zaraz po zakończeniu wojny.
- [361] P. Milewski, *Zbrodniarze pod ochroną*, „Newsweek Historia” 2015, nr 11, s. 18.
- [362] S. Kania, op. cit., s. 16.
- [363] S. Wiesenthal, op. cit., s. 174.
- [364] Ibidem.
- [365] J. Witczak, op. cit., s. 85.
- [366] S. Kania, op. cit., s. 16.
- [367] Ibidem.
- [368] J. Lubecka, *Powojenne kariery hitlerowców*, op. cit., s. 159.
- [369] J. Lubecka, *Karanie niemieckich zbrodniarzy wojennych w Polsce*, op. cit., s. 27–28.
- [370] S. Kania, op. cit., s. 29.
- [371] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 73–75.
- [372] S. Fikus, *Kodeks drogowy jako instrument amnestii zbrodniarzy hitlerowskich*, op. cit., s. 123.
- [373] S. Fikus, *Trudny spadek dysydentów III Rzeszy w Republice Federalnej Niemiec*, op. cit., s. 170.
- [374] J. Witczak, op. cit., s. 86.
- [375] S. Fikus, *Trudny spadek dysydentów III Rzeszy w Republice Federalnej Niemiec*, op. cit., s. 169.

- [376] S. Fikus, *Kodeks drogowy jako instrument amnestii zbrodniarzy hitlerowskich*, op. cit., s. 124.
- [377] K. Kąkol, *Sąd nierychliwy. Frankfurcki proces oprawców z Oświęcimia*, Warszawa 1966, s. 42.
- [378] S. Fikus, *Trudny spadek dysydentów III Rzeszy w Republice Federalnej Niemiec*, op. cit., s. 171.
- [379] S. Fikus, *Kodeks drogowy jako instrument amnestii zbrodniarzy hitlerowskich*, op. cit., s. 127.
- [380] Ibidem, s. 129.
- [381] S. Wiesenthal, op. cit., s. 174.
- [382] Pierwszą przewodniczącą została księżna Helena von Isenburg, a członkami założycielami byli między innymi dwaj biskupi oraz dyrektor Caritasu. Najlepsze na koniec: honorowym prezesem Stille Hilfe był dr Albert Schweitzer – teolog i duchowny, laureat... Pokojowej Nagrody Nobla w 1952 roku.
- [383] B.T. Wieliński, *Cicha Pomoc dla nazistów*, <https://web.archive.org/web/20080612234609/http://wyborcza.pl/1,76842,4666891.html>, dostęp: 17.09.2022.
- [384] Ibidem.
- [385] T. Segev, op. cit., s. 389.
- [386] M. Felton, op. cit., s. 51.
- [387] P. Milewski, op. cit., s. 19.
- [388] Ibidem, s. 16.
- [389] T. Segev, op. cit., s. 389.
- [390] P. Milewski, op. cit., s. 16.
- [391] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 199.
- [392] S. Wiesenthal, op. cit., s. 165–166.
- [393] Ibidem, s. 166.
- [394] I. Müller-Münch, op. cit., s. 92.
- [395] S. Wiesenthal, op. cit., s. 166.
- [396] Ibidem, s. 167–168.
- [397] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 115.
- [398] J. Musioł, *Człowiek i zbrodnia*, Oświęcim 1998, s. 146.
- [399] K. Adamczyk, „Czy świadek szuka zemsty?”. *Świadectwo, propaganda, dydaktyka w powieściach obozowych Danuty Brzosko-Mędryk*, „Konteksty Kultury” 2017, t. 14, z. 3, s. 348.
- [400] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 31–32.
- [401] K. Adamczyk, op. cit., s. 349.

- [402] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 41–43.
- [403] Ibidem, s. 62.
- [404] J. Musioł, *Człowiek i zbrodnia*, op. cit., s. 146.
- [405] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 71.
- [406] J. Musioł, *Człowiek i zbrodnia*, op. cit., s. 146.
- [407] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 47–51.
- [408] J. Musioł, *Świadkowie*, Katowice 1979, op. cit., s. 95.
- [409] M. Łuszczyna, op. cit., s. 34.
- [410] B. Bex, *Kobyła*, <http://fog-platform.com/de/kobyła/>, dostęp: 20.12.2022.
- [411] M. Łuszczyna, op. cit., s. 31.
- [412] F. Rafałowski, op. cit., s. 844.
- [413] B. Wierzbicki, *Prawo międzynarodowe publiczne. Zarys wykładu*, Białystok 2000, s. 100.
- [414] B. Wierzbicki, *O azylach i ekstradycji przestępców*, Warszawa 1982, s. 95–96.
- [415] F. Rafałowski, op. cit., s. 837.
- [416] Ibidem, s. 844.
- [417] Ibidem.
- [418] Ibidem.
- [419] S. Kania, op. cit., s. 28.
- [420] E. Fechner, op. cit., s. 121.
- [421] I. Müller-Münch, op. cit., s. 91.
- [422] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 75.
- [423] S. Kania, op. cit., s. 3.
- [424] Ibidem, s. 34.
- [425] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 90.
- [426] S. Kania, op. cit., s. 31–32.
- [427] A. Stanisławski, *Byłem świadkiem oskarżenia*, Warszawa 1982, s. 34–35.
- [428] I. Müller-Münch, op. cit., s. 59–60.
- [429] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 71.
- [430] Inkasowali oni po 450 DM za każdy dzień procesu, który trwał do pięciu godzin, i 550 DM za każdy dzień procesu, który przeciągał się poza pięć godzin. Zdobyto się także na porównanie, że ogólne koszty tego procesu nie przewyższają wartości jednego nowoczesnego samolotu dla Bundeswehry.

- [431] I. Müller-Münch, op. cit., s. 64.
- [432] S. Kania, op. cit., s. 35.
- [433] T. Segev, op. cit., s. 339.
- [434] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 76.
- [435] M. Czekala, „Nikt z nas nie będzie siedział”. *Szczecińskie echa düsseldorfskiego procesu*, „Kurier Szczeciński” 1980, nr 33, s. 8.
- [436] S. Kania, op. cit., s. 43.
- [437] I. Müller-Münch op. cit., s. 156.
- [438] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 220.
- [439] Ibidem, s. 221.
- [440] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 78-79.
- [441] A. Stanisławski, op. cit., s. 38.
- [442] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 78.
- [443] J. Musioł, *Człowiek i zbrodnia*, op. cit., s. 142.
- [444] S. Kania, op. cit., s. 56.
- [445] S. Cisowska, op. cit., dostęp: 09.02.2023.
- [446] I. Müller-Münch, op. cit., s. 150.
- [447] S. Kania, op. cit., s. 56.
- [448] *My z Majdanka*, op. cit., s. 163.
- [449] J. Musioł, *Świadkowie*, s. 70–72.
- [450] I. Müller-Münch, op. cit., s. 153.
- [451] *Hermine Ryan-Braunsteiner*, op. cit., dostęp: 06.02.2023.
- [452] Ibidem.
- [453] J. Musioł, *Człowiek i zbrodnia*, op. cit., s. 159.
- [454] I. Müller-Münch, op. cit., s. 98.
- [455] „Kobyła” *załamała się w 369(!) dniu rozprawy*, „Kamena” 1980, nr 3, s. 10.
- [456] Ibidem.
- [457] I. Müller-Münch, op. cit., s. 150.
- [458] S. Kania, op. cit., s. 35.
- [459] Ibidem, s. 57.
- [460] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 216.
- [461] S. Kania, op. cit., s. 32–33.

- [462] Ibidem, s. 38–39.
- [463] D.J. Goldhagen, *Gorliwi kaci Hitlera. Zwyczajni Niemcy i Holocaust*, przeł. W. Horabik, Warszawa 1999, s. 159.
- [464] L. Rees, *Auschwitz. Naziści i „ostateczne rozwiązanie”*, przeł. P. Stachura, Warszawa 2018, s. 19.
- [465] K. Tarasiewicz, op. cit., s. 14.
- [466] D.J. Goldhagen, op. cit., s. 153.
- [467] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 78.
- [468] D.J. Goldhagen, op. cit., s. 154.
- [469] E. Fechner, op. cit., s. 145.
- [470] S. Kania, op. cit., s. 47.
- [471] D.J. Goldhagen, op. cit., s. 350.
- [472] J. Lubecka, *Konieczność wykonania rozkazu jako instrument obrony w procesach przed Najwyższym Trybunałem Narodowym*, [w:] *Pola wolności*, red. A. Bartuś, Oświęcim–Poznań 2020, s. 223–224.
- [473] S. Kania, op. cit., s. 26.
- [474] D.J. Goldhagen, op. cit., s. 350.
- [475] J. Lubecka, *Konieczność wykonania rozkazu jako instrument obrony w procesach przed Najwyższym Trybunałem Narodowym*, op. cit., s. 220.
- [476] A. Stanisławski, op. cit., s. 228.
- [477] E. Fechner, op. cit., s. 40–41.
- [478] S. Kania, op. cit., s. 41.
- [479] S. Wiesenthal, op. cit., s. 169.
- [480] E. Fechner, op. cit., s. 52.
- [481] S. Kania, op. cit., s. 41.
- [482] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 77–78.
- [483] D.J. Goldhagen, op. cit., s. 292.
- [484] S. Kania, op. cit., s. 35–36.
- [485] S. Fikus, *Kodeks drogowy jako instrument amnestii zbrodniarzy hitlerowskich*, op. cit., s. 119–120.
- [486] R. Carroll, T. Nater, *Kto jest oskarżony?*, „Forum” 1977, nr 32, s. 22.
- [487] J. Lubecka, *Karanie niemieckich zbrodniarzy wojennych w Polsce*, op. cit., s. 15.
- [488] P. Dobrowolski, *„Narzucona wojna” czy „kontynuacja pomyłek”. II wojna światowa w historiografii i publicystyce Niemieckiej Republiki Federalnej*, Katowice 1970, s. 9.

- [489] Cyt. za: ibidem, s. 28.
- [490] M. Muża, *Radykalizm prawicowy w NRF (na przykładzie rozwoju i działalności NRD)*, Katowice 1968, s. 44.
- [491] P. Dobrowolski, op. cit., s. 21.
- [492] R. Carroll, T. Nater, op. cit., s. 22.
- [493] Ibidem, s. 22.
- [494] K.L. Woodward, A. Collings, „*Nowe odkrycia*”, „Forum” 1977, nr 32, s. 22.
- [495] Ibidem.
- [496] S. Kania, op. cit., s. 19–20.
- [497] E. Fechner, op. cit., s. 75.
- [498] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 77.
- [499] S. Kania, op. cit., s. 32.
- [500] Ibidem, s. 28.
- [501] D. Graczyk, op. cit., s. 86.
- [502] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 89.
- [503] Ibidem, s. 90.
- [504] I. Müller-Münch, op. cit., s. 64.
- [505] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 90.
- [506] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 255.
- [507] K. Tarasiewicz, op. cit., s. 14.
- [508] A. Stanisławski, op. cit., s. 89.
- [509] Ibidem, s. 73.
- [510] *Chryzantemy dla oskarżonej*, „Forum” 1977, nr 21, s. 23.
- [511] R. Carroll, T. Nater, op. cit., s. 22.
- [512] A. Stanisławski, op. cit., s. 106.
- [513] S. Kania, op. cit., s. 44.
- [514] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 279.
- [515] S. Kania, op. cit., s. 34.
- [516] „*Kobyła*” *załamała się w 369(!) dniu rozprawy*, op. cit., s. 10.
- [517] Ibidem.
- [518] S. Kania, op. cit., s. 49.
- [519] J. Musioł, *Świadkowie*, op. cit., s. 90.

- [520] *Chryzantemy dla oskarżonej*, op. cit., s. 23.
- [521] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 277.
- [522] S. Kania, op. cit., s. 44.
- [523] Ibidem.
- [524] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 286–287.
- [525] S. Kania, op. cit., s. 45.
- [526] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 278.
- [527] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 90–91.
- [528] Ibidem, s. 92.
- [529] S. Kania, op. cit., s. 46.
- [530] I. Müller-Münch, op. cit., s. 156–157.
- [531] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 78.
- [532] I. Müller-Münch, op. cit., s. 156–157.
- [533] S. Kania, op. cit., s. 42.
- [534] E. Fechner, op. cit., s. 83.
- [535] Z. Ramotowski, *Proces „Majdanek” – po trzech latach. Dzień numer 298*, „Życie Warszawy” 1978, nr 281, s. 7.
- [536] J. Musioł, *Świadkowie*, op. cit., s. 103–104.
- [537] S. Wiesenthal, op. cit., s. 170.
- [538] Ibidem.
- [539] M. Łuszczyna, op. cit., s. 38.
- [540] J. Musioł, *Świadkowie*, op. cit., s. 81.
- [541] *Chryzantemy dla oskarżonej*, op. cit., s. 23.
- [542] J. Musioł, *Człowiek i zbrodnia*, op. cit., s. 160.
- [543] I. Müller-Münch, op. cit., s. 99.
- [544] J. Musioł, *Świadkowie*, op. cit., s. 107–108.
- [545] A. Stanisławski, op. cit., s. 107.
- [546] I. Müller-Münch, op. cit., s. 155.
- [547] J. Musioł, *Świadkowie*, op. cit., s. 107–108.
- [548] A. Stanisławski, op. cit., s. 105–106.
- [549] Wypuszczono ją już po tygodniu na podstawie decyzji Wyższego Sądu Krajowego w Düsseldorfie.
- [550] D. Graczyk, op. cit., s. 83–84.

- [551] E. Fechner, op. cit., s. 32.
- [552] D. Graczyk, op. cit., s. 84.
- [553] J. Lubecka, *Konieczność wykonania rozkazu jako instrument obrony w procesach przed Najwyższym Trybunałem Narodowym*, op. cit., s. 232.
- [554] *Akta procesu R. Hößa*, sygn. IPN GK 196/112, k. 113.
- [555] G. Knopp, *SS. Przestroga historii*, przeł. M. Dutkiewicz, Warszawa 2004, s. 217.
- [556] J. Lubecka, *Nadzorcynie w niemieckich obozach*, op. cit., s. 81.
- [557] A. Stanisławski, op. cit., s. 56.
- [558] I. Müller-Münch, op. cit., s. 154.
- [559] E. Pajuro, op. cit., s. VI.
- [560] J. Lubecka, *Konieczność wykonania rozkazu jako instrument obrony w procesach przed Najwyższym Trybunałem Narodowym*, op. cit., s. 230.
- [561] I. Müller-Münch, op. cit., s. 67.
- [562] D. Graczyk, op. cit., s. 84.
- [563] J. Lubecka, *Konieczność wykonania rozkazu jako instrument obrony w procesach przed Najwyższym Trybunałem Narodowym*, op. cit., 224–225.
- [564] I. Müller-Münch, op. cit., s. 97.
- [565] Ibidem.
- [566] S. Kania, op. cit., s. 32.
- [567] Ibidem, s. 43.
- [568] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 76.
- [569] E. Fechner, op. cit., s. 38.
- [570] *Chryzantemy dla oskarżonej*, op. cit., s. 23.
- [571] S. Kania, op. cit., s. 45.
- [572] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 79.
- [573] M. Czekala, „Nikt z nas nie będzie siedział”. *Szczecińskie echa diüsseldorfskiego procesu*, „Kurier Szczeciński” 1980, nr 33, s. 8.
- [574] I. Müller-Münch, op. cit., s. 154.
- [575] Ibidem, s. 156.
- [576] *Chryzantemy dla oskarżonej*, op. cit., s. 23.
- [577] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 215–216.
- [578] Ibidem, s. 267.
- [579] S. Kania, op. cit., s. 37.

- [580] J. Musioł, *Człowiek i zbrodnia*, op. cit., s. 135.
- [581] I. Müller-Münch, op. cit., s. 64.
- [582] S. Kania, op. cit., s. 60.
- [583] I. Müller-Münch, op. cit., s. 179.
- [584] Ibidem, s. 176.
- [585] E. Fechner, op. cit., s. 120.
- [586] S. Kania, op. cit., s. 60.
- [587] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 367.
- [588] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 82–83.
- [589] S. Kania, op. cit., s. 58–59.
- [590] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 79.
- [591] I. Müller-Münch, op. cit., s. 65.
- [592] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 85.
- [593] S. Kania, op. cit., s. 33.
- [594] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 88.
- [595] S. Kania, op. cit., s. 28.
- [596] I. Müller-Münch, op. cit., s. 57.
- [597] Ibidem.
- [598] M. Łuszczyna, op. cit., s. 36.
- [599] Ibidem.
- [600] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 337.
- [601] S. Kania, op. cit., s. 61–62.
- [602] Ibidem, s. 62.
- [603] D. Brzosko-Mędryk, *Czy świadek szuka zemsty?*, op. cit., s. 343.
- [604] Ibidem, s. 345.
- [605] Ibidem, s. 348.
- [606] I. Müller-Münch, op. cit., s. 134–135.
- [607] E. Kozłowska, Z. Kozłowski, op. cit., s. 73.
- [608] S. Wiesenthal, op. cit., s. 171.
- [609] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, op. cit., s. 86.

- [610] T. Segev, op. cit., s. 340.
- [611] I. Müller-Münch, op. cit., s. 137.
- [612] S. Kania, op. cit., s. 63.
- [613] *Hermine Ryan-Braunsteiner*, op. cit., dostęp: 06.02.2023.
- [614] Ibidem.
- [615] *In dubio pro reo* [łac.] – zasada procesowa nakazująca sądowi tłumaczenie wątpliwości na korzyść oskarżonego (podejrzanego).
- [616] S. Kania, op. cit., s. 40.
- [617] A. Stanisławski, op. cit., s. 229.
- [618] S. Kania, op. cit., s. 3.
- [619] I. Müller-Münch, op. cit., s. 100.
- [620] Ibidem, s. 70–71.
- [621] E. Mailänder Koslov, *Proces członków załogi Majdanka przed sądem w Düsseldorfie*, s. 87.
- [622] Ibidem, s. 86.
- [623] Ibidem.
- [624] B. Schlink, *Lektor*, przeł. K. Niedenthal, Warszawa 2009, s. 125–126.
- [625] B. Schlink, op. cit., s. 93.
- [626] M. Łuszczyna, op. cit., s. 40–41.

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Wiersz

Prolog. Tel Awiw. „Czy wie pan może, co stało się z «Kobyłą»”?

Część I. Majdanek

Rozdział I. „Lekka praca niewymagająca wysiłku fizycznego”

Rozdział II. „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie”

Rozdział III. „Waliła niczym bokser ciężkiej wagi”

Rozdział IV. „Krwawa Środa”

Część II. Nowy Jork

Rozdział V. „W obozie można być tylko świętym albo zbrodniarzem”

Rozdział VI. „Hermine już tu nie mieszka”

Rozdział VII. „W tej twarzy irlandzkiego Amerykanina «siedzi trzech esesmanów»”

Część III. Düsseldorf

Rozdział VIII. „Nie zastrzeliłam żadnego chłopca”

Rozdział IX. „Żaden z nas nie będzie siedział”

Rozdział X. „Wąchałem pieczeń z mięsa ludzkiego”

Epilog. „Czy dostrzega Pani siebie w postaci Hanny?”

Bibliografia

Przypisy.

Karta redakcyjna

Copyright © by Jarosław Molenda, 2023
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz

Redakcja: Dagmara Ślęk-Paw

Korekta: Magdalena Koch, Katarzyna Kusojeć

Projekt typograficzny i łamanie: MSP Studio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-993-0

FILIA

Grupa Wydawnictwo Filia Sp. z o.o.

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA NA FAKTACH

